

Elizabeth McGregor

# Dziecko lodu

*The Ice Child*

Tłumaczenie

Janina Iwanicka



## Prolog

Lato 2000

Ogromna niedźwiedzica polarna uniosła łeb, mrużąc oczy przed światłem, odbijającym się od arktycznego śniegu. Spojrzała za siebie i zaczęła na swojego małego, który za nią podążał, ledwie widoczny na białym tle.

Wokół słychać było trzask poruszających się mas lodu w Cieśninie Wiktorii, który przesuwiał się na skutek ciśnienia wód Morza Beauforta. Kra przedzierała się przez Cieśninę Melville'a w stronę Przejścia Północno-Zachodniego.

Było znacznie zimniej, niż zdołałby wytrzymać człowiek. Niedźwiedzica jednak nie odczuwała niskiej temperatury, gdyż chroniła ją dziesięciocentymetrowa warstwa sadła oraz gęste futro. Poruszała się po swoim terytorium, na którym ona sama ustanawiała prawa.

Grecy nazywali to miejsce *Artikos*, „krajem wielkiego niedźwiedzia”. Od listopada do lutego trwała tu długa noc polarna, lecz na wiosnę życie rozkwitało w pełnej krasie.

Trzy miliony fulmarów lodowych, mew trójpalczastych, nurzyków polarnych i nurzyków podbiełych żerowało latem w Cieśninie Lancastera; przebywało tam również przeszło ćwierć miliona nerp, fok grenlandzkich i wąsatych. W maju i w czerwcu dziesięć milionów ciężkich, czarno-białych alczyków przelatywało nad wyspą Devon.

Nad tym zwierzyńcem świeciła żółtawa, pozornie nieruchoma Gwiazda Polarna, doskonale widoczna zimą. Wokół niej obracały się inne ciała z gwiazdozbioru *Ursa Major*, czyli Wielkiej Niedźwiedzicy. Najwspanialszych wrażeń dostarczała jednak zorza polarna, bładozielona i różowawa falowała w chmurach, Inuici mówili, że to latarnia zmarłych, którzy pomagają im w ten sposób w polowaniu.

Niedźwiedzica odbyła kopulację w maju poprzedniego roku na krze lodowej, unoszącej się na wodach Cieśniny Peela. Była samotną podróżniczką, zapuszczała się dalej niż reszta niedźwiedzi. Pływając i z rzadka odpoczywając na lodzie, przekroczyła koło podbiegunowe w okolicach Repulse, gdzie w marcu zauważyli ją naukowcy badający ssaki morskie. Nie oznakowali jej jednak. Zwierzę pokonywało wówczas utarty szlak wielorybi. Mogło przebyć dziennie osiemdziesiąt kilometrów, płynąc między kawałkami lodu z prędkością przeszło dziewięć kilometrów na godzinę.

W grudniu w kryjówce głęboko pod śniegiem urodziła swego pierwszego potomka, który zaraz po urodzeniu zaczął głośno zawodzić i odpychać jej ciało łapkami. W chwili narodzin ważył niecałe pół kilograma i mieścił się w zwiniętej łapie matki. Do kwietnia

osiągnął wagę trzynastu kilogramów; wtedy samica wybudziła się z lekkiego snu, w który zapadła po porodzie, i wyszła z kryjówki.

Wydostała się na śnieg, wychudzona po długiej głodówce; mały podążył za nią. Początkowo matka po prostu rozkoszowała się siedzeniem na śniegu i wygrzewaniem w promieniach słońca u wejścia do kryjówki. Przymykała oczy, chroniąc je przed ostrym światłem; nie odczuwała głodu - od czasu do czasu przewracała się na bok, aby nakarmić niedźwiadka. W takich chwilach wpatrywała się w bezkresne niebo. Niekiedy młody kładł się na jej brzuchu, a ona kołysała go, obejmując przednimi łapami, tak jak kobieta tuli dziecko w ramionach.

Nastał sierpień, światło zaczęło się zmieniać. Niedźwiedzica od wielu dni widziała, że promienie słoneczne padają na ziemię pod innym niż dotąd kątem.

Niewykluczone, że przed zakopaniem się w kryjówce zawędrowała zbyt daleko na zachód. Jej niezawodny dotąd wewnętrzny kompas tym razem najwyraźniej ją zawiódł. Kiedy zrobiło się naprawdę zimno, niezdecydowane zwierzę stanęło na zamarzającej krze.

Coś było nie tak.

Poczuła niejasne zagrożenie, które objawiło się w postaci szybszego pulsowania krwi i było jak wiadomość przesłana w formie impulsu nerwowego i zapachu. Chciała się odwrócić i powędrować na południe, gdzie zamieszkiwały inne niedźwiedzie z jej gatunku. Chęć powrotu w rodzinne strony powoli zmieniała się w przymus, podstawowy odruch instynktu zwierzęcia. Wolę wędrówki do domu zagłuszała jednak świadomość, że młody jest chory. Zbyt chory, aby przetrwać trudy dalekiego marszu. Wpatrująca się w malca niedźwiedzica ujrzała, że zwierzę pada na ziemię, przetacza się i zastyga w śniegu.

Uniosła się na tylnych łapach i po sekundzie opadła na ziemię całym ciężarem swego czterystukilogramowego ciała. Gdyby badacze, którzy oznakowali zwierzę rok wcześniej, ujrzeli jej zachowanie, byłiby niezwykle zaskoczeni. Używając takiej siły, niedźwiedzica mogła przebić się do kryjówek fok i porwać ich potomstwo, które wcześniej nie miało okazji ujrzeć światła dziennego. Zdołałaby także przebić lód, tworząc przerębel, przez który udałoby się jej wejść do wody. Otoczone śnieżną zawieją zwierzę nie chciało jednak tego zrobić.

Czuło pod sobą wrak, spoczywający na morskim dnie.

Nawet po stu sześćdziesięciu latach i pomimo grubej warstwy lodu czuło dochodzący ze statku zapach człowieka. Sterta drewna i żelaza nosiła na sobie piętno ludzi, które sprawiało, że niedźwiedzica wyczuwała coś nieprawidłowego, co odbierała jako zakłócenia w normalnym funkcjonowaniu radaru. Znów stanęła na tylnych łapach i znieruchomiła.

Następnie opadła na śnieg i wyciągnęła łeb w kierunku niedźwiadka, wyczuwając go

w zadymce, bo w panujących warunkach nie sposób było go dojrzeć. Zbliżyła się do malca, legła na śniegu i przytuliła się do niego. Na pysku poczuła jego słaby oddech.

# CZĘŚĆ 1

Zaczęło się w kwietniu.

W Wielką Sobotę świeciło słońce, był pierwszy ciepły dzień tego roku. W parku Królowej Wiktorii kwitły wiśnie, a na grabach ukazały się liście. W zakurzonych oparach miasta pojawiła się zapowiedź lata.

Kiedy Jo myślała o tym teraz, wyobrażała sobie siebie w tej samej kawiarni na rogu Bartlett Street. Siedząca obok Gina przegląda gazetę. Jo przeżywała wówczas pierwszy dzień, w którym poświęciła więcej niż przelotną myśl Douglasowi Marshallowi.

Miała dwadzieścia sześć lat, a od czterech pisywała do „Kuriera”, którego redaktorką była Gina. Od czasu do czasu Gina dochodziła do wniosku, że powinna uporządkować chaotyczne nieco życie Jo, i właśnie jej troska sprawiła, że w Wielki Piątek Jo znalazła się w niebieskim, zniszczonym Citroënie przyjaciółki.

- Wyjazd z Londynu dobrze ci zrobi - powiedziała Gina na M4 w drodze do Bath. - Nie możesz spędzić kolejnego weekendu w tym ciasnym mieszkaniu.

- Nie jest wcale ciasne! - zaprotestowała Jo. - Poza tym lubię je - dodała, broniąc trzech pokoi, w których pomieszkiwała. Pół roku po przeprowadzce większość rzeczy wciąż tkwiła w nie rozpakowanych pudłach. Kredens często świecił pustkami, a Jo odżywiła się mlekiem i bułeczkami z serem, tak przynajmniej uważała Gina.

- Musisz się sobą zająć.

Jo przewróciła oczami.

- Gino, ja się sobą z a j m u j ę.

Gina zerknęła na profil przyjaciółki i ujrzała grymas oznaczający upór.

Kiedy ludzie poznawali tę dziewczynę, marszczyli na ogół brwi, usiłując skojarzyć nazwisko z twarzą.

- Czy myśmy się już nie spotkali? - brzmiało zazwyczaj ich pierwsze zdanie.

Fotografia Jo na stronie „Kuriera” przeznaczony dla felietonistów ukazywała autorkę siedzącą na rozrzuconej stercie książek i gazet. Zdjęcie zrobiono z góry, więc roześmiana dziewczyna wyglądała, jak gdyby pływała w morzu papieru. Miała lekko odwróconą głowę, a słońce padało na jej twarz i nagie ramiona.

Co do Giny zaś, jeśli było w niej coś charakterystycznego, to sardoniczny uśmiech, nieźle pasujący do okrągłych, lekko kpiących oczu. Przodkowie Giny, zarówno Indianie, jak i Hiszpanie, pochodzili z małego jamajskiego portu, którego nie odwiedzali turyści. Jej rodzice

przyjechali do Anglii w latach pięćdziesiątych. Ojciec był inżynierem, matka pielęgniarką. Powołali na świat pięcioro krzepkich, hałaśliwych dzieci, z których Gina była najmłodsza. Została redaktorką „Kuriera” w tym samym czasie, kiedy Jo w wieku dwudziestu dwóch lat zaczęła pracować na zlecenie.

Może to dziwaczny charakter Jo tak odpowiadał jej przyjaciółce; może całkowity brak lęku. Stwierdzenie, że kariera Jo przebiegała burzliwie, byłoby zbyt łagodne. Dziewczyna rzuciła uniwersytet, żeby dołączyć do studenckiej wędrowniej trupy teatralnej, po czym wkroczyła na drogę dziennikarstwa. Bez zaproszenia udała się na koncert klasyków rocka *Excelsis* na festiwalu w Edynburgu, gdzie zauważyła ją ekipa porannego programu telewizyjnego i zatrudniła jako prezenterkę. Następnie zaś zdecydowana i otwarta Jo znalazła się pewnego ranka przed biurkiem Giny.

Była szczupłą, niemal chuda; wierciła się niecierpliwie; łatwo dawała się rozbawić, łatwo zezłościć. Miała pełen ironii, drapieżny umysł. Tego pierwszego dnia wyciągnęła rękę i mocno potrząsnęła dłonią Giny. Ciężko ją było namówić, żeby usiadła; rozsadzała ją wprost energia.

Teraz, siedząc w centrum miasta i patrząc na nią, Gina uśmiechnęła się do siebie, kryjąc się za płachtą gazety. Jo zamknęła oczy, rozciągnęła się na krześle i wystawiła twarz ku słońcu. Przez chwilę wyglądała jak osoba zażywająca zasłużonego wypoczynku. Do chwili, gdy otworzyła oczy, ziewnęła i wymierzyła palec w gazetę, którą trzymała Gina.

- I co pisze konkurencja? - zapytała, wicherząc sobie włosy i siadając prosto.

- Nic nadzwyczajnego - odparła Gina. - Poza jednym.

Otworzyła gazetę na trzeciej stronie. Jo zmrużyła oczy przed słońcem i zerknęła na artykuł.

W prawym górnym rogu znajdowała się mapa - kawałek wybrzeża i kontury gór, które dochodziły do morza.

- Co to jest? - spytała.

- Grenlandia - odparła Gina. - Znasz Douglasa Marshalla?

Jo zastanawiała się przez pewien czas.

- Podpowiedz mi... - odezwała się w końcu.

- BBC 2.

Znów minęła dłuższa chwila.

- Ogrodnictwo? - spytała w końcu Jo.

- Zimno - odparła Gina. - Archeologia.

- Ach! - skojarzyła Jo. - Mnóstwo zamieszania z powodu starych skorup. Jak wygląda

ten Marshall?

- Wysoki, zarośnięty.

- Wszyscy są zarośnięci.

- Ten uśmiechnięty. Specjalista od statków.

- A, ten. - Jo ledwie pamiętała wysokiego mężczyznę, ubranego zazwyczaj w zniszczoną skórzaną kurtkę w kiepskim kolorze brudnej czerwieni czy bladego mięsa. - Co mu się stało?

- Zaginął.

- Tam? - spytała Jo, wskazując mapę.

- W krainie lodu i śniegu.

Jo wzięła od Giny gazetę i przez chwilę przebiegła wzrokiem tekst. Zgłoszono zaginięcie Douglasa Marshalla podczas wyprawy archeologicznej do jednego z najmniej gościnnych zakątków ziemi. Westchnęła ciężko.

- Facet zaginął w burzy śnieżnej podczas jakiejś idiotycznej osobistej misji, a teraz my mamy tam jechać i go szukać - powiedziała. Wskazała palcem ostatni akapit. - Patrz, wysłali tam cholerną fregatę. Tyle forsy!

- Chyba nie myślisz tak serio? - Gina zmarszczyła brwi.

- Owszem, myślę - stwierdziła Jo. - Taki wydatek! Po co on tam pojechał? Wyłącznie dla własnej chwały, opętany jakąś obsesją! Mogę się założyć.

- Jesteś cyniczna!

- Kiedy to prawda - upierała się Jo. - Tak samo jak w przypadku tych wszystkich idiotów, którzy lecą balonami na Syberię albo zjeżdżają z Everestu. To dobry pomysł, ale tylko na komiks.

Gina zabrała jej gazetę.

- Jeśli chodzi o ścisłość, Marshall brał udział w wyprawie akademickiej - powiedziała.  
- Ekspedycja.

- No to co?

- Może on umiera, Jo!

- Prosił go ktoś, żeby tam jechał?

- Musimy coś zrobić.

- Może wysłać całą flotę na poszukiwania?

- Tak, wysłać flotę, a dlaczego nie? To obywatel brytyjski.

Jo wybuchnęła śmiechem.

- O, rany - mruknęła. - Pomachaj jeszcze flagą. - Odwróciła wzrok i popatrzyła na



przejeżdżające samochody.

- A jest alternatywa? - zapytała Gina. - Pozwolić mu zamarznąć?

- Tak - odparła Jo. I niemal w to uwierzyła.

\*

Nie pamiętała już o tej rozmowie, kiedy w następnym wtorek przyszła do redakcji „Kuriera”. Dochodziła dziesiąta rano i budynek był pełen ludzi. Jo wetknęła głowę w drzwi pokoju Giny, żeby się z nią przywitać.

- Ej, chodź tutaj! - zawołała Gina.

- Idę do czytelnicy prasowej - powiedziała Jo.

- Tylko na chwilę - nalegała Gina. - Usiądź.

Jo posłusznie zajęła wskazane miejsce.

- O co chodzi? - zapytała. - O coś dobrego? Wyślij mnie do Cannes, Gina. Popatrz tylko na mnie. Umrę, jeśli nie podarujesz mi odrobiny słońca.

Gina przerzucała jakieś papiery na biurku.

- Marshall - przypomniawszy. - Myślałam o nim. Nadal go nie odnaleziono. Chcę, żebyś coś napisała.

Jo utkwiała w niej spojrzenie.

- Żartujesz! Byle nie o tym szaleńcu!

- Chcę, żebyś porozmawiała z jego żoną.

- Nie, Gino, nie.

- Dlaczego?

Jo potrząsnęła głową.

- Nie mogę z nią zrobić wywiadu - odparła. - Kompletnie nic o tym facecie nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Mówiłam ci już, co o nim myślę.

Gina skinęła głową w roztargnieniu, jak gdyby chciała dać do zrozumienia, że to nic nie szkodzi.

- Pani Marshall nie odezwała się ani słowem, i dlatego chcę, żebyś się do niej udała.

- Żeby z nią porozmawiać...?

- Żeby porozmawiać z kimś, kto zna tę rodzinę.

- Bo...?

- Bo żaden dziennikarz nigdy jeszcze nie rozmawiał z Alicją Marshall. - Gina znalazła to, czego szukała na biurku. - To biografia Marshalla. - Wręczyła Jo pięć czy sześć spiętych kartek. - Marshall to otwarty człowiek, ale jego żona stara się nie zwracać na siebie uwagi. To szara eminencja. Jest członkinią zarządu Akademii Badawczej. Podobno nieźla z niej jędrza.

- Doprawdy? - Jo uniosła brwi. To ją w końcu zainteresowało.

- W poniedziałek poproszono ją o komentarz - dodała Gina. - Odparła: „Bez komentarza”.

- Kto ja prosił?

- „The Times”.

- Hmm... - mruknęła rozbawiona Jo.

- Widziałas ostatnie wiadomości na jego temat?

- Nie.

- Znaleźli GPS.

- Co to jest GPS? - spytała Jo.

- System lokalizacyjny, taki satelitarny kompas. Leżał na lodzie.

Jo zawahała się przez chwilę.

- To właściwie nie jest moja działka, sama wiesz - mruknęła. - Nie mogłabyś wysłać kogoś innego?

- Mam przeczucie - odparła Gina.

- Że co...?

- Sama nie wiem. Że to ci może wyjść na dobre.

- Hmm... - mruknęła znów Jo. Szybko przejrzała papiery, leżące na jej kolanach. - Nawet nie wiem, czego on szukał na tej cholernej Grenlandii.

- Średniowiecznych osad. Pozostałości po wikingach i Eskimosach.

- Fascynujące.

Gina zignorowała tę uwagę.

- Archiwista w Cambridge nazywa się Peter Bolton. - Podała Jo kolejną kartkę. - Może się z tobą spotkać jutro, o ósmej rano. Przez cały dzień wykłada.

Jo wytrzymała przez kilka sekund spojrzenie przyjaciółki, zanim odwróciła wzrok. Zbyt dobrze znała ten błysk w oku redaktorki, by pozwolić sobie na odmowę.

- Świetnie - burknęła, pakując papiery.

By dostać się do domu, musiała odbyć długą drogę metrem. Po dniu spędzonym na wprowadzaniu poprawek i robieniu notatek dotyczących kolejnego artykułu, do którego wywiad miała przeprowadzić w piątek, Jo nadal nie interesowała się Marshalllem. Dopiero jadąc turkoczającym wagonikiem wraz z setkami innych ludzi, przejrzała pobieżnie jego życiorys.

*Douglas James Marshall, urodzony w Ontario w 1960 roku. Wykładowca w Blethyn College, profesor archeologii, specjalista w dziedzinie stanowisk morskich. Zainteresowania:*

statki z epoki wiktoriańskiej. Przewodniczący Królewskiej Komisji Dziedzictwa Morskiego w latach 1989-92, autor książek: „Katastrofy morskie” (1994), „Pod Morzem Śródziemnym” (1996), „W poszukiwaniu cesarza Augusta” (1997)...

W ciągu ostatnich dwóch lat Douglas Marshall był członkiem Akademii Badawczej. Regularnie zapraszano go tam, gdzie potrzeba było specjalisty z jego branży. Poza tym miał swój stały program w BBC 2. Jo pamiętała tytuł, mogła nawet zobaczyć przed oczyma krajobrazy i rozmaite fotografie zamieszczane w niedzielnych dodatkach gazet. Co do samego Marshalla nie przypominała sobie niczego poza jego szerokim uśmiechem.

Kiedy dotarła do domu, na jej automatycznej sekretarce migало światelko, widziała też, że faks przygotowuje się do pracy. Zignorowała to i wzięła prysznic, po czym przygotowała sobie kanapkę. Dopiero później, owinięta w ręcznik, przeczytała to, co nadesłała jej Gina. Poza biografią Marshalla było to ksero sobotniego artykułu. Marshall zaginął w miejscu o nazwie Uummannatsaa.

Jo zmarszczyła brwi i podeszła do jednego z pudeł, gdzie przez chwilę grzebała między książkami. W końcu wyciągnęła swój stary szkolny atlas i usiadła z nim, przerzucając stronę po stronie. *Uummannatsaa*... Nie potrafiła znaleźć tego miejsca. Popatrzyła na wyspy Przejścia Północno-Zachodniego, przeniosła spojrzenie nad Morze Baffina i Grenlandię. Z mapy wynikało, że wybrzeże jest górzyste. Z pewnością o tej porze roku lód szczelnie pokrywał fiordy, sięgając głęboko w morze. Czy w ogóle zresztą topniał kiedykolwiek? Zadrzała. Nie lubiła zimna i myśl o spędzeniu choć jednego dnia w klimacie podbiegunowym przerażała ją. Lubiła natomiast plaże pełne ciepłego piasku, miejsca, w których można było zrzucić buty i ubranie. Uśmiechnęła się i zaczęła kartkować stary atlas.

Napłynęły wspomnienia. Na wewnętrznej stronie okładki dziecięcą ręką Jo napisała swe imię i nazwisko, a także adres, pod którym mieszkała w wieku lat siedmiu: *Rheindahlen JHQ, Niemcy Zachodnie*. Jej ojciec, urzędnik państwowy, miał skończone pięćdziesiąt lat, gdy Jo pojawiła się na świecie, i pracował jako doradca w Ministerstwie Obrony. Kartki w atlasie były szorstkie i grube, liternictwo i układ graficzny staroświeckie. Ojciec nieustannie podróżował, więc w dzieciństwie codziennie szukała na mapach miejsca, w którym przebywał w danej chwili. Dobrze pamiętała jak przyglądała się poszczególnym krajom. Znajdowała nazwy kojarzące się nawet teraz z ojcem: Kuwejt, Singapur, Wyspy Falklandzkie, inne wyspy, omiatane wiatrem i omywane prądem morskim. Spojrzała na wielki, zielony łuk Kanady, postrzępiony zarysem wiecznej zmarzliny.

Zamknęła atlas i odłożyła na miejsce, a następnie spojrzała na jego zniszczoną czerwoną okładkę, niepasującą do nowszych książek w błyszczących obwolotach. Miała

nieprzenikniony wyraz twarzy. W ciągu ostatnich pięciu lat straciła zarówno matkę, jak i ojca, i jeszcze nie zdołała się z tym pogodzić. A ludzie tacy jak Douglas Marshall celowo skazywali się na samotność. Wpatrzona w okładkę szkolnego atlasu, zastanawiała się, jaka rodzina czeka na powrót tego człowieka.

Dopiero kiedy zgasiała lampę, kątem oka ujrzała światełko faksu w korytarzu. Z kubkiem kawy w zgięciu łokcia wyciągnęła kartkę papieru, rozrywając ją przy okazji. Twarz Douga Marshalla, przedarta na dwie części, znalazła się przed jej oczyma. Na górze kartki Gina nabazgrała *Oto twój człowiek*. Jo przyłożyła obie połówki do siebie.

To nie było dobre zdjęcie. Marshall krzywił się w promieniach słońca. Trudno było odgadnąć jego wiek, chociaż dałaby mu raczej mniej lat, niż miał. Na tle oceanu opierał się o białą poręcz, trzymając coś w jednej ręce. Jo zmrużyła oczy, ale nie rozpoznała tego przedmiotu, przypominającego metalowy pręt czy kijek.

Z westchnieniem udała się do sypialni.

- Z pewnością cię pokocham - mruknęła, zamykając drzwi.

\*

Akademia Badawcza mieściła się w georgiańskim budynku, otoczonym ogrodami. Niegdyś była to własność prywatna. Czarny płot, zdobiony skomplikowanym wzorem z liści i winorośli, oddzielał ją od ulicy.

McCulloch Road znajdowała się w sercu miasta, tuż obok Lion Yard, a kiedy Jo tam dotarła parę minut przed ósmą, właśnie tworzyły się korki. Samochody tłoczyły się w wąskiej uliczce, czekając, aż z ciężarówki dostawczej wyładowany zostanie towar przed budynkiem jednego z college'ów. Jakies sto metrów dalej Jo dostrzegła łukowate wejście, czworokątny dziedziniec i czerwony herb na średniowiecznym murze.

Podwójne, oszklone drzwi prowadziły do przestronnego foyer. Naciskając dzwonek, Jo patrzyła na recepcję, za którą znajdowało się jakieś biuro, i na gabloty w holu. Po lewej stronie widać było inne drzwi, a po prawej klatkę schodową.

Z biura wyszła kobieta. Uśmiechnęła się do Jo, otworzyła drzwi i wpuściła dziewczynę do środka.

- Jest na górze - poinformowała. - Powiem mu, że pani przyszła. - Wskazała krzesło w holu.

Pomieszczenie było olbrzymie, miało niemal dziesięć metrów wysokości. Jo zauważyła, że niedawno najwyraźniej odnowiono tylną część gmachu; za schodami znajdowała się ściana ze szkła, a szeroki korytarz prowadził do nowoczesnego budynku, wyglądającego na bibliotekę.

Minęło kilka minut. W końcu Jo wstała i podeszła do stojących przy ścianie gablotek. Położyła dłoń na pochylej szybie pierwszej, w której znajdowały się nic nie mówiące jej przedmioty i kilka fotografii w kolorze sepii. Była tam srebrna łyżeczka z miedzianymi ozdobami, zniszczone kartki małej książki, ze spłowiałymi, niegdyś złotymi inicjałami, małe kawałki jakiegoś metalu, kartka z rysunkiem przedstawiającym coś w rodzaju silnika. Jo wpatrywała się w fotografie. Przedstawiały czterech umundurowanych mężczyzn, jeden z nich był bardzo młody. Mieli upozowany, sztywny wygląd jak na wczesnowiktoriańskich dagerotypach. Pod zdjęciem widniały nazwiska, ale ledwie rzuciła na nie okiem. Żaden z mężczyzn nie patrzył prosto w obiektyw aparatu. W gablotce znajdowała się również długa i wąska mapa jakiegoś kanału.

- Panno Harper...?

Odwróciła się. Nie słyszała kroków, ale mężczyzna stał tuż obok. Miał mniej więcej tyle samo wzrostu co ona i był okrągłutki jak beczułka. Wyciągnął rękę.

- Peter Bolton.

- Jo Harper.

Od razu się jej spodobał: miał twarz rozentuzjzmowanego ucznia. Ważył zapewne ponad sto kilogramów i ciężko oddychał po wysiłku związanym ze schodzeniem po schodach.

- Z daleka pani przyjechała? - zapytał.

- Z Londynu - odparła.

- Ach! - westchnął współczująco. - Zapraszam na gorącą czekoladę. - Zatrzymał się i spojrzał na nią. - Pija pani gorącą czekoladę?

- Owszem - powiedziała.

- To dobrze.

Poszli do jego gabinetu. W drodze do Cambridge Jo usiłowała wyobrazić sobie Boltona i instytut i te jej wyobrażenia okazały się słuszne. To było typowe akademickie pomieszczenie, tak typowe, że wyglądało, jak gdyby przygotowano je do filmu. Półki z książkami zajmowały przestrzeń od podłogi do sufitu. Pokryte kurzem książki leżały też na podłodze. Ledwo udało się im wejść do środka, po tym, jak mocno napaarli na drzwi, a następnie utorowali sobie drogę do dwóch krzeseł, tkwiących jak wyspy w morzu gazet i papierów.

Bolton wyciągnął spod biurka termos.

- Mamy tu automat, który nigdy nie działa, i panią Cropp, która działa zawsze. Nie chcę jej jednak zawracać głowy - wyjaśnił, nalewając czekoladę do dwóch plastikowych kubków.

Przez chwilę pili w milczeniu.

- Mój telefon nie przestaje dzwonić - odezwał się Bolton.
- Musi pan mieć dosyć nas wszystkich.
- Ależ nie! - odparł radośnie. - Nagle stałem się niesłychanie popularny.
- Czy Doug Marshall zaginął już kiedyś?
- Nigdy.
- Ale przecież jeździł na niebezpieczne wyprawy...
- O, tak. Na Antarktydę, do Turcji, do Azji, na Wyspy Karaibskie.
- A w Arktykę?
- Dwukrotnie.
- Rozumiem - powiedziała. Rozejrzała się dookoła. - Dawno go pan zna?
- Ponad dziesięć lat.
- Przykro mi. Musi się pan zamartwiać.

Bolton lekko skinął głową.

- Tak... To niepodobne do Douglasa, ale staram się nie martwić.
- Jest pan jednak zaniepokojony.
- O, tak.

- A jego żona?

- Alicja...? - Urwał nagle i milczał odrobinę za długo jak na zwykłą przerwę w rozmowie. - Ona także, oczywiście.

Jo uśmiechnęła się.

- Chciałabym z nią porozmawiać. Czy to możliwe?

Ku jej zdumieniu, Bolton oblał się rumieńcem.

- Nie - odparł.

Stanowczość tej odpowiedzi trochę ją zaskoczyła.

- Chodzi mi tylko o krótki wywiad - wyjaśniła. - Może o zdjęcie.

Bolton potrząsnął głową.

- Alicja nigdy nie wypowiada się publicznie - odparł.

- To zajmie tylko kilka minut. Ma pan jej adres?

- Proszę wybaczyć... Jeśli chce się pani dowiedzieć czegoś o wyprawie Douga, chętnie udzielię informacji...

Zrezygnowała z nastawiania na spotkanie z panią Marshall.

- Nie wiem nic o Dougu Marshallu i nie rozumiem tej jego namiętności do Grenlandii - wyznała.

- Nie wie pani, od czego zaczynał? - spytał Bolton.

- Nie.

- Qilatitsoq?

- Nic mi to nie mówi.

Bolton z niedowierzaniem pokręcił głową. Wyjął teczkę z jednej z szuflad. Otworzywszy ją, wyciągnął stosik papierów, po czym zaczął wysuwać z niego pojedyncze kartki.

- Miałem wydać oświadczenie dla prasy, gdyby mnie o to poproszono - wyjaśnił. - Proszę wziąć odbitkę. To życiorys Douga... Spis artykułów jego pióra...

- Dziękuję. - Wzięła papiery.

- Zaczął od społeczności Inuitów - ciągnął Bolton. - To ze względu na Franklina, który był jego życiową pasją. Oczywiście, zajmował się też innymi rzeczami, bardzo wieloma innymi rzeczami, ale Inuici i Franklin to tematy jego pracy doktorskiej. Właśnie dlatego wyruszył na poszukiwanie mumii na Grenlandii. Słyszała pani o tym?

- Przykro mi...

Bolton przejechał ręką po włosach.

- Sześć kobiet i dwójka dzieci - powiedział. - Nie żyją od ponad pięciuset lat, a ciała zachowały się w doskonałym stanie...

- Och, jak ci, których odnaleziono w Andach?

- Podobnie. Zimno i sucho, rozumie pani.

- I to byli...

- Inuici. Nazywano ich też Eskimosami. Albo Esquimaux. - Przeliterował to słowo.

- I dlatego Doug Marshall ponownie tam pojechał, ze względu na mumie?

- Owszem.

- Znalazł coś?

- Nie, ale Doug w i e, że jest jeszcze inny grób, ważne miejsce obrzędów religijnych, gdzieś w głębi fiordu.

- Rozumiem - odparła Jo. Ale szczerze mówiąc, niewiele rozumiała. Ludzie żyjący na lodzie! Nie mogła sobie wyobrazić takiego życia.

- No i oczywiście pozostaje jeszcze sprawa Franklina - dodał Bolton.

Zadzwoił telefon. Naukowiec podniósł słuchawkę.

Jo nie miała pojęcia, kim - lub czym - był Franklin. Odniosła nagle wrażenie, że Bolton nadaje na innych falach. To uczucie zazwyczaj ogarniało ją, gdy traciła zainteresowanie jakimś tematem. Tu przecież nie było nic ciekawego poza namiętnością

Douga do zmarłych. Delikatnie postukała w biurko Boltona, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

- Jak długo szukał tych zwłok? - wyszeptała.

Zakrył ręką słuchawkę.

- Sześć lat.

Zapomnij, pomyślała. Na litość boską, a cóż to za szaleństwo, które każe człowiekowi przez sześć lat poszukiwać ciał w miejscu, w którym panuje wieczny mróz?!

Bolton zaczął przerzucać kartki leżącego przed nim terminarza. Jego spojrzenie stało się nieobecne, gdy słuchał rozmówcy po drugiej stronie linii.

- Ma ustny egzamin o czternastej trzydzieści...

Jo wstała. Wyjęła z torebki kartkę i napisała: „Ma pan czas w porze lunchu?”.

Bolton zerknął na kartkę, skinął głową i napisał: *13.30. Może.*

- Dziękuję - powiedziała.

Schodząc po schodach, przystanęła w połowie drogi, zastanawiając się nad tym, że świat szuka mężczyzny, którego nie można było znaleźć, prasa zaś szuka kobiety, która nie chciała dać się znaleźć. Jeszcze zobaczymy! - powiedziała sobie Jo.

Podeszła do recepcji, gdzie ta sama kobieta, którą ją wpuściła, wstała zza biurka i podeszła do niej. Jo uśmiechnęła się pogodnie.

- Pan Bolton dał mi adres pani Marshall, ale nie znam okolic Cambridge - skłamała gładko. - Jeśli skręcę w prawo z...

Pani Cropp znieruchomiała na chwilę, zanim zerknęła na mapę, którą Jo trzymała przed sobą. Potrząsnęła głową.

- Tędy pani nie dojedzie - powiedziała. - Proszę pojechać A603. Wyjedzie pani na autostradę. Proszę przejechać przez most i jechać aż do Eversden.

Jo postanowiła zaryzykować. Zerknęła na mapę.

- Czy dom jest w Little Eversden?

- Nie. Za oboma Eversden, ale niech pani nie zjeżdża na Haslingfield. To za daleko.

Jo uśmiechnęła się szeroko i złożyła mapę.

- Wspaniale - powiedziała. - Dziękuję.

- Nie ma za co.

No cóż, pomyślała Jo, kierując się ku drzwiom, ktoś w końcu dotrze do tej żony. Równie dobrze mogę to być ja.

\*

Według mapy, która nie była zbyt szczegółowa, w obrębie trzydziestu kilometrów



kwadratowych znajdowało się może z dziesięć wiosek. Jo znalazła się w chłodnej, szarzielonej okolicy. Drogi wytyczone przed wiekami przecinały nisko położone, błotniste tereny. Jo, która uwielbiała góry i lubiła przebywać na pofałdowanym terenie, zawsze czuła się nieco zagubiona na płaskich przestrzeniach wschodniej Anglii. Nawet światło było tu wysokie i jakieś niezwykle.

Minęła rząd domów stojących w wąskiej uliczce. Po trzydziestu sekundach wioska zniknęła. Drobną mżawka pokryła szybę samochodu. Jo uruchomiła wycieraczki, pokonała skręt w prawo, który pojawił się nie wiadomo skąd. Droga zwężyła się do szerokości ścieżki i auto zaczęło podskakiwać na wybojach. Po obu stronach dróżki stały czarno-białe wskaźniki, pokazujące poziom wody w rzece, która płynęła tuż obok. Przed sobą Jo widziała kościół.

Podjechała bliżej i znowu zerknęła na mapę. Marshallowie musieli mieszkać gdzieś w tej okolicy. Wyobrażała sobie, że to będzie jakiś większy dom, znany wszystkim miejscowym. Wyrzała i zobaczyła mężczyznę spacerującego z psem. Opuściła szybę.

- Przepraszam! - zawołała. - Czy jest tu gdzieś dom pani Marshall?

Mężczyzna ściągnął smycz, żeby spaniel nie skoczył pod samochód.

- Marshall...? - powtórzył z namysłem.

- Alicja Marshall - dodała Jo.

- Nie znam żadnej Marshall - odparł.

Jo pojechała dalej. Wkrótce, zniechęcona, znalazła się znowu na A603. Zgrzytając ze złości zębami, skręciła z głównej drogi i pojechała na południe.

Deszcz rozpadał się na dobre i ściemniło się tak, że musiała włączyć światła. Gdy to zrobiła, zobaczyła nagle tablicę na wpół zakrytą żywopłotem. Jednak dopiero sto metrów dalej uświadomiła sobie jej treść i nacisnęła hamulec. *Franklin House*. Warto spróbować.

\*

To był piękny, stary budynek z kamienia, ze spadzistym dachem pokrytym dachówką. Jo pomyślała, że wzniesiono go w osiemnastym, może dziewiętnastym wieku. Olbrzymi krzew magnolii zasłaniał drzwi. Jo nacisnęła dzwonek.

Po dłuższym czasie usłyszała kroki i drzwi się otworzyły. Kobieta, która w nich stała, była bardzo wysoką czterdziestoparolatką ubraną w ciemny kostium i z włosami zaczesanymi do tyłu. Sprawiała wrażenie bardzo zadbanej i opanowanej. Jeśli nawet nie była piękna, to z pewnością zwracała na siebie uwagę.

- Tak...?

- Szukam pani Marshall - powiedziała Jo.

- Nazywa się pani...?

Jo wyciągnęła dłoń.

- Jo Harper - przedstawiła się. - Czy trafiłam pod właściwy adres?

Kobieta nie wyciągnęła ręki.

- W związku z czym pani przyszła?

- Rozmawiałam z Peterem Boltonem z Akademii - wyjaśniła Jo.

Twarz Alicji Marshall zachmurzyła się. Na jej ustach pojawił się wyraz niesmaku.

- On tu panią przysłał? - spytała.

- Nie - odparła Jo. - Ale rozmawiałam z nim jakąś godzinę temu. Jestem z „Kuriera”.

Wzmianka o jednej z najbardziej prestiżowych gazet angielskich czasem ułatwiała wstęp do rozmowy; nazwa była gwarancją, że dany temat zostanie potraktowany inteligentnie i z powagą. Jo oczekiwała, że wyraz twarzy Alicji Marshall natychmiast ulegnie zmianie.

Jednakże kobieta zaczęła zamykać drzwi.

- Zastanawiałam się, czy nie mogłaby mi pani opowiedzieć czegoś o tej wycieczce - powiedziała Jo. - Dlaczego mąż pojechał... Co pani czuje w związku z takimi... - zawahała się przez moment pod pogardliwym spojrzeniem kobiety - ...przygodami?

Na twarzy Alicji Marshall pojawił się uśmiech.

- P r z y g o d a m i? - powtórzyła.

- Czy miała pani wiadomości od męża?

- Nie.

Drzwi zacięły się lekko na płycie posadzki. Alicja popchnęła je mocniej.

- Żadnej wiadomości odkąd wyjechał?

- Nie. A teraz proszę...

Jo położyła dłoń na framudze drzwi.

- Są państwo w separacji? - zapytała.

Alicja Marshall posłała jej przeciągłe spojrzenie.

- Wy, dziennikarze! - powiedziała w końcu z pogardą w głosie.

- Czy porozmawia pani o nim? - nalegała Jo.

- Proszę zabrać rękę z drzwi.

- Martwi się pani?

- Nie.

- Słucham? Naprawdę się pani nie martwi?

Pani Marshall znacząco spojrzała na dłoń Jo na framudze.

- Myśli pani, że on żyje? - dopytywała się dziewczyna.

- Nie mam pojęcia.

Zdumiona Jo opuściła dłoń.

Alicja Marshall zatrzasnęła drzwi.

Przez jakiś czas Jo nie ruszała się z miejsca, wpatrując się w ciężką, metalową kołatkę. Odwróciwszy się, zerknęła w górę i zauważyła, że nabrzmiałe krople deszczu zbierają się na pąkach porastających nagie jeszcze gałęzie magnolii.

- Nie martwi się - mruknęła.

Posiadłość rozciągała się aż do linii lasów. Widok przypominał obrazek z książki. Jo zastanawiała się, dlaczego Alicja pragnie, by uznano, że nie obchodzi jej los męża. Nagle zrobiło jej się żal Douglasa Marshalla. Poczula się zainteresowana, co popchnęło go do tej wyprawy.

## 2

John Marshall śnił.

Wiedział, że to sen, ale nie mógł się obudzić.

Widział ojca na lodzie - małą, czarną kropkę na zamrożonym oceanie. Niebo nad nim miało bładoniebieski kolor. Doug mówił coś do swojego jedyne syna, coś bardzo ważnego, odwracając jednocześnie głowę, tak że słowa ulatywały w bezgraniczną przestrzeń.

John spojrzał w dół. U jego stóp widniały nadzwyczaj wyraźne ślady niedźwiedzia polarnego. Cztery masywne łapy odbiły się w śniegu; widać było odciski długich pazurów. John zrobił krok do przodu i włożył stopę w jedną z tych wielkich dziur. Kiedy znowu uniósł wzrok, ojca już nie było. Zamiast niego, niecałe dwadzieścia metrów dalej, spośród bloków lodu wyłaniała się *Jeanette*.

John osłupiał. Śniesz, pomyślał. Jesteś w domu, we własnym łóżku, i śniesz. Ten widok to nieprawda. A jednak wszystko wyglądało prawdziwie - śliczny, mały statek De Longa, zakupiony w Anglii, z drewnianym kadłubem, napędzany silnikiem parowym. Ruszył ku niemu po niedźwiedzich śladach, widząc teraz, że zwierzę obeszło wrak dookoła. Ileż to lat temu wypłynęła *Jeanette*? Sto trzydzieści? Leżała gdzieś na dnie morza, połamana... A jednak zarazem była tutaj, bez żywego ducha na pokładzie. Z wyjątkiem niego...

Poczuł poręcz pod dłonią, gdy wchodził przez luk. Wspiął się na pokład z łatwością możliwą tylko w snach. Przy pierwszym szczeblu poręcz była wyżłobiona, dąb miał jaśniejszy kolor. John wiedział, że przez niemal dwa lata *Jeanette* wirowała w śmiertelnym tańcu. Płynęła normalnie tylko przez kilka tygodni, dopóki nie upomniał się o nią lód, trzymający ją w swych okowach, gdy dryfowała w pozbawionej nadziei podróży po trójkącie

wyznaczonym przez polarne prądy. John znał szczegóły podróży tak dobrze, jak gdyby sam ją odbył.

Wyruszyli z Nowego Jorku w lipcu tysiąc osiemset siedemdziesiątego dziewiątego roku. Minęli Cieśninę Beringa pod koniec sierpnia. Ścigali swoje marzenie o Morzu Arktycznym. Popłynęli na północ, chcąc spędzić zimę na Morzu Czukockim, wierząc, że tam, gdzie prąd Kuro-siwo zderza się z Golsztrzem, lód topi się, co umożliwia dotarcie do bieguna.

Przez dwa lata żyli swym marzeniem, aż w końcu utkwili w lodzie. Jedenastego czerwca tysiąc osiemset osiemdziesiątego pierwszego roku kadłub *Jeanette* zaczął mruzczeć, najpierw cicho jak kwilące niemowlę, potem statek zajęczał jak człowiek, który otrzymuje cios w splot słoneczny.

John stęknął przez sen, jak gdyby sam otrzymał taki cios.

O czwartej po południu lód zaczął naciskać na lewą burtę, kładąc statek na prawej. *Jeanette* przechyliła się o szesnaście stopni, a poszycie prawej burty rozwarło się na szerokość przeszło trzech centymetrów. De Long nakazał spuścić szalupy i wciągnąć je na oddaloną od statku krę.

Tymczasem lód napierający na lewą burtę uniósł ją, pogrążając prawą. Palacze ujrzeli, że *Jeanette* przełamuje się pośrodku, a woda wlewa się do kotłowni. Na pokładzie wrzała praca przy rozładunku przewożonych psów i żywności. Wszyscy się obawiali, że lada chwila lód ponownie naprze i rozłupie statek na dwie części. *Jeanette* była wygięta, stalowe śruby z trudem wytrzymywały napór mas lodu. Pokład przechylił się o dwadzieścia stopni i powoli pogrążał się w wodzie.

Okolo piątej lód ruszył jak lokomotywa.

Pokład popękał, a załoga otrzymała rozkaz zabrania prowiantu, odzieży, pościeli i książek. Kiedy marynarze usiłowali spełnić rozkaz, kolejna kra wpadła na kadłub. Statek błyskawicznie nabierał wody. Przechylił się do trzydziestu stopni, gdy zszedł z pokładu ostatni marynarz.

*Jeanette* zamarła w panującym wokół półmroku, jakby w oczekiwaniu na nadchodzącą śmierć. Zatonęła o czwartej nad ranem.

Członkowie załogi stali na krze i obserwowali, jak zanurza się komin, a noki rei kładą się na lodzie. *Jeanette* poszła na dno niemal w pionie, jak gdyby przed śmiercią chciała jeszcze rozejrzeć się dookoła.

John niemal c z u ł zimną wodę pochłaniającą statek, c z u ł, jak nad pokładem zamyka się lodowa przepaść. Lód dostał się do jego krwiobiegu i zawiądnął zmysłami.

Olbrzymim wysiłkiem woli wydostał się ze statku.

Odszedł po śladach niedźwiedzia, widząc, jak miejscami splatają się ze śladami jego ojca. Patrzył na długie szarobiałe kilometry kry i mocno zacisnął powieki, tak że ujrzał kolorowe plamki, eksplodujące błękitem i oranżem jak migoczące fajerwerki. Kiedy otworzył oczy, zauważył otoczkę wokół słońca. Mróz przenikał jego ciało, każdy centymetr skóry i kości. Znowu rozejrzał się wokół, żeby raz jeszcze zobaczyć ducha *Jeanette*, statku, który nie mógł ponownie pojawić się na tym świecie. Być może jednak wcale nie znalazł się na tym świecie.

- Tato! - zawołał. - Tato!

Jego głos, przetoczywszy się po lodzie, ucichł po kilku sekundach. Padający drobnutki śnieg zasypywał ślady i niedźwiedzia, i ojca. John pomyślał, że się zgubił. Zniknie w tej samej zatoce, do której udał się ojciec i z której nie było odwrotu. Żadnej ścieżki. Żadnego przewodnika. Żadnego wyjścia.

Poczuł przemożne pragnienie, żeby położyć się na lodzie.

- John - powiedział ktoś.

Gdy głos rozległ się ponownie, młody człowiek otworzył oczy.

Zobaczył Amy Wickham, która lekko potrząsała jego ramieniem.

- To ty... - powiedział.

- Ja - przytaknęła. - Jesteś cholernie zmarznięty.

John Marshall zamrugał, napinając mięśnie ręki, która wystawała spod przykrycia.

- Miałem sen - rzekł. - Jezu, czuję się tak, jak gdybym zamarzał na śmierć. -

Uśmiechnął się. - Rozgrzej mnie, dobrze?

Amy włożyła rękę pod kołdrę i roztarła skórę na jego ramieniu. Złapał jej dłoń, pociągnął, a Amy zbliżyła twarz do jego twarzy.

- Ładnie pachniesz - zamruczał.

- Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego o tobie - odparła.

Uśmiechnął się leniwie. Wieczorami pracował w uniwersyteckim barze, a wczoraj miał ciężką noc. Postawiono mu sześć drinków i teraz bolała go głowa. Gdy tak leżał, Amy przyjrzała mu się z uśmiechem. Postanowił to wykorzystać.

- Chodź do mnie - poprosił cicho.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

- Nie, kiedy śmierdzisz jak browar - rzekła.

- No, chodź.

Określiła się na obcasach, umykając mu. Bawiło ją drażnienie się z chłopakiem.

- Co ci się śniło? - zapytała.

Przejechał dłonią po twarzy i odwrócił wzrok od okna, przez które wpadały promienie słońca, gdyż Amy odsunęła zasłony.

- De Long - odparł. - I *Jeanette*.

- Znowu... - westchnęła. - To obsesja, Marshall. O b s e s j a.

Wstała.

- I tata - dodał.

Popatrzyła na niego z niepewnym wyrazem twarzy - na jej obliczu odmalowały się zarówno troska, jak i trwoga. Nie wiedziała, jak zareagować na wzmiankę o jego ojcu; John tak rzadko wspominał Douga, że stanowił on dla niej obce terytorium. Znała Johna dopiero od kilku tygodni i poczuła się raptem jak intruz. Podeszła do okna, poprawiając palcem kosmyk włosów. Mógł się jej przyjrzeć, gdy przeciągał się, usiłując usunąć z pamięci widok tonącej *Jeanette*.

Amy Wickham była jego rówieśnicą, dziewiętnastolatką. Miała niespełna metr sześćdziesiąt wzrostu, czarne włosy i dość krzepką budowę ciała. Poznał ją pod koniec ubiegłego semestru: widział jak tańczyła, sama, na maleńkim parkiecie jednego z pubów w mieście. Musiała się tak kręcić od kilku minut, zanim podszedł, ujął ją za ramię i pociągnął w swoim kierunku.

- Kiedy za mnie wyjdiesz? - zapytał teraz.

- Nie bądź głupi - odparła, nie odwracając nawet głowy.

I dobrze, bo przecież nie mówił tego poważnie.

Amy odwróciła się i wtedy zobaczył, że jednak jest poważna. Natychmiast przeszła mu ochota do żartów. Przeszył go strach.

- O co chodzi? - spytał i usiadł.

- Nie o twojego ojca. Nie ma żadnych wiadomości.

Ulga.

- Dzwoniła twoja matka - oznajmiła Amy.

John westchnął i zwlókł się z łóżka. Podniósł dzinsy z podłogi, gdzie rzucił je ubiegłej nocy. Nie spytał, co mówiła Alicja.

- Nie słyszałeś telefonu?

- Nie.

- Dzwonił, kiedy wchodziłam. Jakaś dziennikarka z „Kurier” chce napisać o waszej rodzinie - powiedziała Amy. Patrzyła, jak się ubierał. - Twoja matka chce, żebyś przyjechał do domu. Masz nie rozmawiać z tą kobietą. Matka powtórzyła to trzy razy. Dziennikarka

nazywa się Joanne Harper.

- Nie mam ochoty rozmawiać z nikim - stwierdził John, wciągając sweter przez głowę.

Amy podeszła do stolika z komputerem i przerzuciła kilka kartek z fotografiami, które John wydrukował w nocy, kiedy wrócił z pracy.

- Co to jest? - spytała.

- Nic, co mogłoby cię zainteresować - odparł.

Trzymała przed sobą zdjęcie, obracając je w rozmaite strony i usiłując dopatrzeć się, co przedstawia.

- Co to jest? - powtórzyła. - Dziwnie wygląda.

- Dryfujący lód - wyjaśnił. Wziął od niej kartkę. - Cieśnina Lancastera - dodał, wodząc czubkiem palców po konturach linii brzegowej. - Pamiętasz, co ci mówiłem o tej grupie? - spytał. - O osiemnastu ludziach, którzy wyruszyli tropem Franklina? To kanadyjscy historycy. Zdjęcie pochodzi z ich strony internetowej i przedstawia wczorajszy lód dryfujący w cieśninie; idzie na południe, wzdłuż Kanału McClintocka.

- Aha - mruknęła.

John uśmiechnął się.

- Udawaj, że to cię chociaż trochę obchodzi - poprosił.

Uniosła oczy i odwzajemniła uśmiech.

Otoczył szyję Amy ramieniem, trzymając kartkę przed jej oczyma.

- Historycy szukają sensacji - stwierdził. Czuł jej oddech na swoim policzku. - Wielcy historycy szukają wielkiego wiktoriańskiego statku. Wielki statek zniknął bez śladu, ludzie też zniknęli. Nigdy się nie odnaleźli. Facet, który znajdzie wrak, dostanie mnóstwo forsy i zyska ogromne uznanie.

- Znaleźć coś w tym lodzie? Nie ma mowy!

- W lodzie - przytaknął. - Szerokim na półtora tysiąca kilometrów.

Amy udała, że ziewa.

- To nudne - stwierdziła.

Wypuścił ją z objęć.

- Brak ci wyobraźni - powiedział. - W tym cały kłopot.

Wzruszyła ramionami.

- Zajmuję się matematyką, zapomniałeś? Ty zagrzebałeś się w archeologii. - Rzuciła okiem na pozostałe fotografie. Złapała jedną z nich i wykrzyknęła. - Jaki słodki!

Było to zdjęcie niedźwiedzia polarnego, siedzącego na biało-niebieskim lodzie, oświetlonym promieniami słońca, padającymi z boku. Głowa zwierzęcia była przechylona w

charakterystyczny sposób; nasłuchiwał odgłosów fok.

John westchnął z rezygnacją.

- Ta niedźwiedzica wcale nie jest słodka - rzekł. - To największy drapieżnik lądowy, prawdziwa maszyna do zabijania. - Wyjął fotografię z ręki Amy. - Widzisz tę bliznę w kształcie półksiężyca na jej pysku? Załoga ma ze sobą fotografa nazwiskiem Sibley. Lubi robić takie zdjęcia. Fotografował grizzly, karibu, białe niedźwiedzie. Tę samicę nazywają Pływaczką.

- Dlaczego?

- A jak myślisz? - Wyszczrzył do niej zęby. - Przepląwa cholernie długie dystanse.

Amy znów zerknęła na zdjęcie.

- Spójrz na te łapy! Ogromne, ale urocze.

John nie słuchał. Według informacji z Internetu olbrzymi drapieżnik z blizną na pysku od wielu kilometrów szedł tropem statków Franklina. Niesamowite! John popatrzył na niedźwiedzicę, na jej szyję, potężne barki, rozumne spojrzenie.

Amy podniosła swój plecak i zarzuciła go na ramię. Oparła dłoń na biodrze i patrzyła na chłopaka.

- John - odezwała się. - Matka prosiła, żebyś zaraz przyjechał do domu.

John oderwał w końcu spojrzenie od wydruku, rzucił go na biurko i przesunął dłonią po włosach. Popatrzył wymownie na łóżko, a potem na dziewczynę. Uśmiechnął się chłopięcym uśmiechem, który rozjaśniał jego twarz.

- Ale ja nie chcę wracać do domu - powiedział.

\*

Jo jechała z powrotem do Akademii, kiedy zadzwoniła leżąc na siedzeniu obok komórka.

- Jo? Tu Gina.

- Cześć.

- Gdzie jesteś?

- Jadę z powrotem do Cambridge - odparła Jo. Światło przed nią zmieniało się właśnie na czerwone. Nacisnęła hamulec.

- Zawróć - poleciła Gina.

- Co? - Odniosła wrażenie, że się przesłyszała.

- Wracaj.

- Dlaczego?

- Pani Marshall zatelefonowała do mnie.



Jo stanęła przed przejściem dla pieszych, przepuszczając studentów z książkami pod pachą. Dziewczyna w czarnym podkoszulku i obcisłej, różowej kurtce przejechała na rowerze.

Jo widziała, że mężczyzna w samochodzie przed nią odwraca głowę, żeby spojrzeć na młodą kobietę.

- I...?

- Jest wściekła.

- Dlaczego? - zdziwiła się Jo. - Zachowywałam się jak chodząca uprzejmość. Powinnaś była mnie słyszeć. Nawet nie przestąpiłam progu domu.

- Peter Bolton także dzwonił.

- Z nim wszystko było w porządku!

- Już nie jest.

- Boże! - jęknęła Jo. - Pani Marshall szybko mnie spławiła.

- Jest członkinią zarządu Akademii, zapomniałaś? - spytała Gina. - Przeznacza na badania spore dotacje.

- I dlatego nie wolno nam o nic pytać?

- Nie możemy naciskać - odparła Gina. - To jej prywatne nieszczęście.

- Przecież ten facet nie umarł - zauważyła Jo. - Zresztą ona nie sprawia wrażenia pogrążonej w rozpaczony żony.

Samochód z tyłu zatrąbił. Światła zdążyły się zmienić.

- Zostaw to - poleciła Gina.

Jo miała możliwość skrócić w prawo, na południowy odcinek M6. Zawahała się przez chwilę, nacisnęła pedał gazu i ruszyła do centrum.

\*

Dotarła do drzwi Akademii o trzynastej trzydzieści.

Peter Bolton właśnie wychodził. Kiedy ją ujrzał, jego twarz się ściągnęła.

- Mogę z panem porozmawiać? - zapytała.

Naukowiec zaczął schodzić po schodach, nie czekając na nią. Szła u jego boku, gdy przeszedł przez bramę i skierował się na ulicę.

- Mam zajęcia - powiedział.

- Panie Bolton...

Zatrzymał się i popatrzył na dziewczynę.

- Skłamała pani mojej asystentce.

- Przepraszam.

- Nie dałem pani adresu pani Marshall.

- Nie.

Wyglądał na kompletnie wyczerpanego.

- Ma pani pojęcie, jakiego pani narobiła zamieszania?

- Przepraszam...

Bolton potrząsnął głową.

- Nie może pani lekceważyć uczuć ludzi.

- Niczego nie zlekceważyłam - zaprotestowała Jo. - Ta kobieta chyba nie ma pojęcia, co robi jej mąż. Wiedział pan o tym?

Naukowiec otworzył usta, żeby coś powiedzieć, po czym najwyraźniej się zastanowił nad słowami rozmówczyni.

- Celny strzał - stwierdził.

- Czy to jakaś tajemnica wagi państwowej?

- Tak.

- Naprawdę?

- Tak. - Uśmiechnął się blado.

- Czy wyprawa Douga Marshalla na Grenlandię budziła kontrowersje?

- Oczywiście, że nie.

- Pojechał tam nieprzygotowany?

- Nie.

- Czy chodzi o coś innego niż odnalezienie wykopalisk po Inuitach?

- Ależ nie!

- Więc to tylko sprawa niezakłócania spokoju pani Marshall?

- Tak.

Jo zmarszczyła brwi.

- Wcale nie byłam nieuprzejma - oznajmiła.

- Nie o to chodzi - powiedział Bolton. - Chodzi o to, że w ogóle się pani tam znalazła. Czy pani nie chroni swoich spraw prywatnych? Czy chciałaby pani, żeby nieznajomi zadawali nachalne pytania, gdy pani przeżywa dramat?

Rzecz w tym, że Alicja Marshall nie przeżywa dramatu. Jest spokojna i opanowana.

- Czy Douglas Marshall ma kłopoty małżeńskie? - odwzajemniła się Jo pytaniem. - Czy zniknął z powodu swojej żony?

Tym razem Peter Bolton roześmiał się głośno.

- Ależ skąd!

- Nie martwi się o swoje małżeństwo? - To nie dawało Jo spokoju. Miała dziwne przeczucie, że Douglas Marshall znalazł się w sytuacji zagrażającej życiu, bo niechętnie myślał o powrocie do domu.

Bolton przez chwilę wpatrywał się w swoje stopy, po czym westchnął.

- Cóż w tym małżeństwie tak panią niepokoi? - spytał. - Małżeństwo Marshalla nie różni się od innych. W żaden sposób nie wpływa na jego decyzje zawodowe, nikt się nim nie interesuje, i tak właśnie powinno być.

- Ale...

- Musi mi pani wybaczyć - przerwał. - Już jestem spóźniony.

Patrzyła za nim, gdy przechodził przez ulicę. Przez chwilę szła za nim, niezupełnie świadomie, dlatego tylko, że zmierzał w kierunku centrum handlowego. Po chwili zniknął w tłumie. Jo powlokła się dalej, zirytowana rejteradą Boltona i telefonem Alicji Marshall do Giny. Czuła się tak, jak gdyby skarciła ją dyrektorka szkoły. Właściwie Alicja przypominała Jo właśnie dyrektorkę szkoły - zapiętą pod szyję pannę w nieokreślonym wieku, która nigdy nie była modnie uczesana i chyba nigdy się nie uśmiechała.

Zatrzymując się przed pubem, Jo wyobraziła sobie Alicję, jej uśmiech, może nawet śmiech, gdy rozpościerając szeroko ramiona, wita męża. Na stole czeka na niego gorący posiłek, a w sypialni ciepłe łóżko. Nie, to bez sensu. Twarz Alicji Marshall była bardziej lodowata niż sama Grenlandia.

Jo wzruszyła ramionami. Nic nadzwyczajnego nie kryło się za tym wszystkim. Po prostu małżeństwo Douglasa i Alicji Marshallów było tak okropne, że Doug mógł bez żalu wyrwać się do krainy lodów. Z pewnością zresztą nie był typem mężczyzny, który siadłszy w śniegu, użalałby się nad sobą.

A jednak...

Kim był Franklin, człowiek, który według słów Boltona stał się pasją badacza? - zastanowiła się Jo.

Zerknęła na jadłospis, a po chwili weszła do pubu.

### 3

Niedźwiedzica uniosła głowę, usłyszawszy huk silników samolotu.

Stała na twardej krze. Powietrze było zadziwiająco przejrzyste. Nie było tu żadnej perspektywy, nie dałoby się zmierzyć żadnej odległości. Samotna niedźwiedzica znajdowała się na środku idealnie płaskiej powierzchni; horyzont mógł się znajdować piętnaście albo i

trzydzieści kilometrów dalej. Lodowe kryształki migotały w promieniach słońca.

Niedźwiedzica odwróciła się ku jednostajnemu warkotowi samolotu.

Dwusilnikowa „Wydra” leciała nisko. Otulony grubym kombinezonem Richard Sibley pochylił się, chcąc zrobić zdjęcia przez okienko drugiego pilota. Ostatni tydzień spędził w Resolute, gdzie błagał załogę bazy, żeby pozwoliła mu jeszcze zostać i odbywać te wszystkie loty, jakie był w stanie wyczarterować po opuszczeniu wyspy Beechey przez historyków.

Kiedy warunki były sprzyjające i dopisywało mu szczęście, mógł robić fotografie, dzięki którym utrzymywał się w czołówce. Był jednym z niewielu specjalistów od Arktyki. Trzeba mieć trochę źle w głowie, żeby zajmować się zarabianiem na chleb w temperaturze poniżej zera.

Ale warto było. W zeszłym roku zdjęcie byka i krowy wołu piżmowego, chroniących swoje roczniaki przed szaro-niebieską zamięcią - choć w rzeczywistości chroniły je przed fotografem - dostarczyło mu sporo gotówki na wiele tygodni. Nieruchome, połyskujące żółto-brunatno oko byka, niemal zakryte prehistoryczną grzywą, i czoło przysłonięte nasadą głęboko karbowanych rogów wypełniały prawie całą fotografię. Prawie, gdyż nie umykała uwadze źrenica, odbijająca niewyraźnie zarys lodowego grzbietu, gdzie stało zwierzę. To było jedno ze zdjęć, na których widok ludzie nieruchomieli, nie mogąc oderwać wzroku od spojrzenia dzikiego zwierzęcia.

Ale dziś piżmowoly się schowały. Po nabraniu paliwa na Wyspie Księcia Walii samolot skierował się z powrotem do bazy. Prześlizgiwał się nad wzgórzami, lecąc w stronę Rzeki Peela. Sibley widział już przed sobą brzeg wyspy. Rozpościerała się przed nim poszarpana linia lądu, przypominająca falisty piasek pozostawiony przez wody przyływu. Widok wręcz hipnotyzował patrzących - szara skarłowaciała roślinność, rzadkie porosty, wychylające się spod śniegu, którego konsystencja przypominała lukier lub drobną mąkę. Przy ziemi temperatura musiała wynosić poniżej trzydziestu stopni Celsjusza; szybkość wiatru dochodziła do piętnastu metrów na sekundę. W pobliżu cieśniny temperatura musiała osiągnąć minus sześćdziesiąt stopni albo i więcej.

Właśnie wtedy, gdy samolot przebył nieokreśloną granicę pomiędzy ziemią a skutym lodem oceanem, Sibley zobaczył ją.

Niedźwiedzica stała bez ruchu, choć samolot leciał wprost na nią. Gdy fotograf ze zdumieniem wpatrywał się w nią, zauważył przez celownik wielką bliznę w kształcie półksiężyca na pysku niedźwiedzicy. Jego serce zaczęło bić nierówno; niedźwiedzica zdawała się patrzeć przez niego, nawet nie zniżając łba w znajomym odruchu agresji, nie mówiąc już o tym, że warkot silnika nie wywarł na niej żadnego wrażenia.

Przelecieli nad nią dwukrotnie. Wyglądała jak wyrzeźbiona z kamienia, jej futro lśniło w padającym z ukosa świetle. Sibley odniósł niejasne wrażenie, że olbrzymia samica strzeże czegoś, choć wiedział, że nie doczekała się jeszcze potomstwa. Nie widać też było żadnego identyfikatora ani oznakowania na jej futrze.

Zupełnie jak gdyby nagle zmaterializowała się.

Gdy wykonywali trzeci, ostatni przelot, skończył mu się film. Klnąc, sięgnął po inny aparat, i dopiero wtedy zobaczył, że niedźwiedzica się odwróciła. Teraz stała przodem do cieśniny, patrząc na południe. Wtedy po raz ostatni widział, jak powoli kołysała głową, szukając zapachu, i znowu ją stracił z oczu w oślepiającym blasku lodu.

#### 4

Następnego ranka Jo była w „Kurierze” już o wpół do ósmej. Trzymając w rękach kubek kawy, poranne wydanie gazety i torbę, wpadła do biura Giny i usiadła na sofie w rogu. Z korytarza dobiegały rozmaite głosy, ale redakcja jeszcze się nie obudziła. Jo zdjęła buty, patrząc na sterty papieru na biurku Giny. Na ekranie komputera widniał wygaszacz, własnego pomysłu redaktorki, przedstawiający starego żółwia, usiłującego pokonać pięciopasmową autostradę.

Jo zaczęła wypakowywać zawartość torby. Kilka minut później sofa była zasypana. Leżały na niej nie tylko skserowane dokumenty dotyczące Douglasa Marshalla, które przesłała jej Gina, ale także kilka zniszczonych czasopism, dwa pliki wycinków prasowych i cztery kasety wideo. Jo złapała jedną z nich, podeszła do telewizora i wsunęła do magnetowidu.

Gdy taśma się przewijała, dziewczyna wyjrzała przez okno. Dzień był ciepły, spokojny i szary. Rzeka miała wysoki poziom, wdzierając się w głąb łądu. Na moście Tower już tworzyły się korki, niezmiennie jak sama rzeka. Na dole, w pomieszczeniach recepcji, wisiały mapy „Kuriera” ukazujące to samo miejsce na Tamizie od drugiego wieku do dnia dzisiejszego. Był tam też obraz przedstawiający Cezara wraz z jego legionami, stojącymi na zwężeniu rzeki nad pokładami żwiru w Southwark. Oddziały przygotowywały się do jej przejścia i pokonania Cassivellaunusa. Wisiał tu też obraz przedstawiający drewniany kościół, wzniesiony w siódmym wieku, jak również inne widoki Londynu.

Na czternastowiecznym obrazie drogi prowadzącej z mostu Londyńskiego w Southwark wiodły do osiemdziesięciu jeden kościołów w mieście; widoczny był też Tower i rzeka Fleet. Mapa średniowiecznego Londynu pierwsza ukazywała nabrzeża Tamizy; w

Londynie Tudorów na północnym jej brzegu zbudowano nabrzeża. W osiemnastym wieku Tamiza zniknęła niemal pod flotyllą masztów; była zatłoczona statkami z całego świata. Na brzegu powstały liczne składy kupieckie, a w londyńskich portach wyladowywano ze statków towary z importu: tytoń, cukier, jedwab, herbatę, porcelanę, medykamenty, liście indygowca, rum, kawę i ryż. Magazyny kompanii wschodnioindyjskich zapełniały się olejem palmowym, kością słoniową, winem i owocami; bałtyckie przechowywały drzewo, konopie i płótno. Pojawiły się także liczne składy z herbatą i tytoniem.

Taśma szczęknęła. Jo podeszła i wcisnęła guzik „start”. Po chwili ukazał się tytuł *Z przeszłości*. Była to seria audycji dokumentalnych, pokazywana ostatni raz w telewizji pięć lat wcześniej. Patrząc na ekran krytycznym okiem, Jo zmarszczyła brwi na widok amatorskich ujęć murów miasta i rysunków statków w przekroju. Gdy muzyka ucichła, zdumiało ją, że widzi to samo, co przed chwilą z okna: Tamizę w szary poranek, lekko wzburzone wody rzeki. Podniosła obwolutę kasety i sprawdziła napis. *Odcinek 4. Londyn żeglarzy, Douglas Marshall.*

Opadła na sofę. Na ekranie pojawił się Doug Marshall. W zimowy poranek stał na moście Londyńskim i patrzył na wschód. Jo nieświadomie przygryzła kciuk. Teraz przypomniała sobie szopę piaskowych włosów, wieńczącą wysoką sylwetkę tego człowieka. I jego uśmiech.

- Kiedy byłem dzieckiem - mówił Marshall - nie przepadałem za łodziami. - Jego uśmiech stał się szerszy. - Woląłem rower z siodełkiem wyścigowym, ale dostałem książkę o łodziach. - Odwrócił się i oparł o gzyms. - To nawet nie była nowa książka - ciągnął. - Nie wiem, skąd mama ją wytrzasnęła. Tytuł brzmiał *Ekspedycje arktyczne*.

Jo przyciągnęła kolana i objęła je rękami.

- Może zainteresowała ją okładka - kontynuował Marshall. - Przedstawiała mężczyznę z długimi wąsami, ubranego w futro. Trzymał w ręce masywną piłę, którą usiłował przepiłować grubą warstwę lodu, by dostać się do pływającej pod spodem fokii. - Marshall zaczął się śmiać. - Pewnie o to chodziło. O polowanie na fokii z piłą! - Wzruszył ramionami. - Dla dziesięcioletnich chłopców wszystko jest możliwe.

Jo uśmiechnęła się. Marshall machnął ręką, wskazując rzekę przed sobą.

- Teraz Tamiza jest pusta w porównaniu z tym, jaka była w czasach Franklina - powiedział. - Sir John Franklin, który wyruszył stąd w tysiąc osiemset czterdziestym piątym roku, znał miasto w obrębie miasta, gdzie mówiono wszystkimi językami świata i sprzedawano wszelakie dobra. Doki zachodnioindyjskie ciągnęły się na długości niemal kilometra, stało w nich sześćset statków, a otaczał je siedmiometrowy mur. To nie były

jedynie doki. Dalej znajdowała się przystań zaopatrzeniowa Admiralicji Królewskiej w Deptford. - Marshall znowu odwrócił się do kamery, patrząc prosto w obiektyw, teraz z poważniejszym wyrazem twarzy. - Zniknęły - powiedział. - Jak sam Franklin i najwięksi żeglarze na świecie.

Drzwi gabinetu otworzyły się. Gina znieruchomiała na moment, zanim weszła i zdjęła płaszcz.

- Czuj się jak u siebie, nie ma sprawy - powiedziała.

Jo uśmiechnęła się.

- Cześć - powiedziała. - Przepraszam. To nie potrwa długo.

Gina powiesiła płaszcz na wieszaku.

- Co robisz? - zapytała.

Jo pomachała pudełkiem od kasety.

- Dziś rano dostałam to od jednego faceta w BBC - wyjaśniła.

- Pewnie musi pracować na nocną zmianę - zauważyła Gina, otwierając polistyrenowy kubek z kawą.

- Owszem.

- Chcesz trochę?

- Nie, dziękuję.

- Bułkę z bekonem?

Jo wywróciła oczami. Gina położyła papierową torbę na stole, otworzyła ją, przełamała bułkę z gorącym bekonem i podała połówkę Jo. Usiadły, wpatrując się w ekran. Jo nacisnęła klawisz „pauza” i twarz Douga Marshalla znieruchomiała.

- Słyszałaś kiedyś o Franklinie? - spytała.

- Benjaminie?

- Johnie.

- Podpowiedz mi coś.

- Epoka królowej Wiktorii.

- Nie.

Jo skończyła śniadanie i wytarła palce w kawałek papieru. Następnie sięgnęła po plik dokumentów.

- Chciałaś, żebym znalazła coś o Marshallu - przypomniała. - Wiesz, co go fascynuje? Pewien wiktoriański badacz nazwiskiem Franklin.

- Słucham...? - przerwała Gina.

- Wiesz, kim był ten Franklin? - ciągnęła Jo. - Wyruszył w Arktykę, żeby znaleźć

Przejście Północno-Zachodnie. Popłynął w tysiąc osiemset czterdziestym piątym roku dwoma olbrzymimi statkami z prawie stutrzydziestoosobową załogą, i wszyscy zniknęli. Ot, tak po prostu. Rozpłynęli się.

- Jo, czy ty mnie w ogóle nie słuchałaś?

- O co chodzi? - spytała Jo.

- Czyżbyś przegapiła jeden dzień? - powiedziała Gina. - Ten, w którym ci mówiłam, żebyś przestała ścigać Marshalla? To skończone, Jo.

Jo uśmiechnęła się. Popchnęła papiery w kierunku Giny.

- Zerknij na to - poprosiła.

Gina spojrzała na wydruk z witryny internetowej.

- Franklin, sir John... - przeczytała. Dotknęła kartki palcem wskazującym. Potrząsnęła głową. - Urodzony w tysiąc siedemset osiemdziesiątym szóstym roku, badacz arktyczny... dowodził ekspedycją w tysiąc osiemset czterdziestym piątym... bla bla... przeszło czterdzieści wypraw wysłanych w poszukiwaniu śladów...

- Czterdzieści! - powtórzyła Jo. - Wiktoriańska Anglia stanęła na głowie, żeby go odnaleźć.

Gina przesłała jej pytające spojrzenie.

- I co?

Jo westchnęła.

- To interesujące. - Znowu włączyła taśmę. - Oto on.

Obraz na ekranie się zmienił. Teraz Douglas Marshall stał w centrum Londynu, nieopodal Łuku Admiralskiego, a jego palce dotykały wykonanej z brązu tablicy pamiątkowej, upamiętniającej załogę Franklina.

- Nie tylko ludzie żyjący w epoce wiktoriańskiej mieli obsesję znalezienia Przejścia Północno-Zachodniego - mówił. - Tej złudnej, jak niektórzy twierdzili, drogi wiodącej przez „szczyt świata”. John Cabot wyruszył w latach dziewięćdziesiątych piętnastego wieku, gdy stwierdził, że przez lód musi wieść droga na wschód. - Marshall ponownie spojrzał na tablicę. - Tęsknota za herbatą, jedwabiem i ciemnoskórymi dziewczycami wystarczyła, żeby każdy niecierpliwy podróżnik spakował bagaże.

Ruszył przed siebie. Za nim widać było korek na Waterloo.

- Cabot zapoczątkował arktyczną gorączkę - ciągnął. - Wyprawy arktyczne podejmowali: Martin Frobisher w tysiąc pięćset siedemdziesiątym szóstym roku, John Davis w tysiąc pięćset osiemdziesiątym piątym roku, a Henry Hudson, który wyruszył w roku tysiąc sześćset dziewiątym, był pierwszym człowiekiem, który spędził zimę w Arktyce, gdy wraz z



synem został tam wyrzucony w małej łodzi przez zbuntowaną załogę. Byli też Button... Baffin... Parry... Ross, który odnalazł północny biegun magnetyczny.

- Jo - przypomniała Gina. - To może dla ciebie nieważne, ale czasem tu pracuję.

- Słucham...? - Jo nie odrywała oczu od ekranu.

- To mój gabinet - oznajmiła Gina.

Jo wychyliła się, żeby lepiej słyszeć, co mówi Marshall.

- Wiktoriańscy Anglicy, ze swoją znajomością kosmosu i wszystkiego co nowe - także nie znanych wcześniej kontynentów - byli przekonani, że jeśli komuś pisane jest odkrycie tej drogi, to właśnie ich pokoleniu. Czymże w końcu jest przejście? To zaledwie kilka kilometrów lodu. Kto był najbardziej zachłannym narodem kolonizatorów? Jakie są najsilniejsze prądy morskie na tej planecie? Najznamienitsi znawcy morza rozprawiali o tej drodze, traktując ją jak popołudniowy spacer i nie biorąc pod uwagę tubylców, niedźwiedzi i tundry. Tak więc wysłali swoich najlepszych ludzi. Zebrali najznakomitszych znawców lodu, królewską flotę, sprytnych marynarzy, palaczy, kowali, kwatermistrzów, cieśli, lekarzy i inżynierów. Statkami Jej Królewskiej Mości dowodził sam sir John, mężczyzna w wieku lat pięćdziesięciu dziewięciu. *Erebus* i *Terror* wyruszyły z Greenhithe dziewiętnastego maja tysiąc osiemset czterdziestego piątego. To była najlepiej zaopatrzona ekspedycja polarna, jaka kiedykolwiek wyruszyła z tego kraju.

Teraz rozległa się muzyka, a na ekranie pojawił się dziób wspaniałej łodzi.

- Statki głęboko zanurzyły się w wodę - brzmiał dalej komentarz Marshalla. - Obciążono je sprzętem i fantastyczną wręcz ilością jedzenia. Było tam ponad piętnaście tysięcy kilogramów wołowiny, piętnaście tysięcy kilogramów wieprzowiny, prawie szesnaście tysięcy kilogramów konserw, szesnaście tysięcy trzysta litrów spirytualiów, dziewięćset litrów wina, trzy tysiące dwieście kilogramów tytoniu i tysiąc dwieście dwadzieścia kilogramów świec. Nie mówiąc już o katarynce, która wygrywała pięćdziesiąt melodii, stu egzemplarzach Biblii i psie imieniem Neptun.

Gina, która właśnie zaczęła segregować swoją pocztę elektroniczną, znieruchomiała z rękami nad klawiaturą. Chwilę później założyła okulary i oparłszy się o biurko, wpatrzyła się w telewizor.

- Niezłe wyposażenie - mruknęła.

Jo jednak nie usłyszała. Patrzyła na ekran.

- Choć były to statki żaglowe - ciągnął Marshall - w obu pod pokładem zainstalowano lokomotywy parowe, specjalnie przystosowane do tej podróży, bez przednich kół, ale i tak ważyły po piętnaście ton.

Uśmiechnął się, w zdumieniu potrząsając głową.

- Wyobraźcie sobie, ile musiały zajmować miejsca! Dlatego też zapasy rozmieszczono wszędzie, pod pokładem i na nim. Kadłuby statków pokryto żelazem, żeby je wzmocnić przeciwko olbrzymiej sile napierającego lodu.

Obraz na ekranie zasnuł się mgłą, muzyka narastała wraz z odgłosami gwałtownej wichury. Kropelki deszczu pokryły obiektyw, gdy dzioby statków zanurzyły się w silnym prądzie morskim. Jednostki wypłynęły z ujścia Tamizy na wody Morza Północnego.

- Czwartego lipca statki uzupełniły zapasy na Grenlandii - mówił Marshall. - Widziały je załogi statków wielorybicznych *Enterprise* i *Księżę Walii* dwudziestego ósmego lipca, gdy wpływały do Cieśniny Lancastera. Jednak później ani statków, ani nikogo z załóg nigdy już nie ujrzano.

Jo zatrzymała taśmę. Odwróciła się do Giny.

- Właśnie to go opętało - oznajmiła.

- Kogo?

- Douglasa Marshalla.

- Marshalla, aha - mruknęła Gina.

- Nie rozumiesz? - naciskała Jo. - Jest specjalistą od wyprawy Franklina. Szuka tych statków od lat. Znalazł walec z jednego z nich.

Pochyliła się i postukała palcem w plik kartek, który wcześniej podała Ginie.

- To jest gdzieś tutaj. Na obu statkach były małe miedziane walce czy puszkki, do których chowali papier z wiadomościami, a następnie pieczętowali je i wyrzucali za burtę. Miały znaczyć ich drogę. Znaleziono tylko jedną, na Grenlandii. Marshallowi udało się znaleźć drugą, cztery lata temu.

- Co w niej było? - zainteresowała się Gina.

- To jest w tych papierach - odparła Jo.

Gina miała ochotę zerknąć, ale się powstrzymała.

- Posłuchaj, Jo... - zaczęła.

- Myślisz, że pojechał tam szukać kolejnych wiadomości? - spytała Jo.

Gina skrzyżowała ramiona i popatrzyła na nią spokojnie.

- Widziałas tę informację? - spytała.

- Jaką informację?

- Dzisiejszą.

Gina wzięła poranny egzemplarz „Kuriera” i otworzyła go na trzeciej stronie, gdzie na dole znajdowała się wspomniana informacja. Nad nią widniała fotografia helikoptera

Marynarki Królewskiej.

*Śnieżne zamiecie zmuszają do odwrotu ekipy poszukiwawcze.*

*Wieczorne poszukiwania angielskiego naukowca Douglasa Marshalla i jego eskimoskiego przewodnika odwołano nad ranem ze względu na najgorsze od wielu lat warunki pogodowe w rejonie poszukiwań.*

*Marshall, lat 39, profesor archeologii w Blethyn College w Cambridge, zaginął cztery dni temu w fiordzie Ummanna w północno-zachodniej Grenlandii...*

Jo popatrzyła na przyjaciółkę.

- Nigdy go nie znajdą - stwierdziła Gina.

Jo nie odezwała się ani słowem. Przeczytała notkę, po czym zagłębiła się jeszcze raz w jej treści.

- Rozumiem - odezwała się Gina. Zaciśnęła dłoń i przyłożyła ją do blatu biurka. - Zaginiony badacz przeżywa to samo co jego bohater.

Ku swojemu zdumieniu zauważyła, że Jo się rumieni. Dziewczyna złożyła starannie gazetę. Następnie wstała i powoli podeszła do okna.

Patrząc na plecy Jo, Gina ściągnęła brwi. Chwilę później na jej twarzy pojawiło się zrozumienie, a następnie kompletne zaskoczenie.

Wstała, obeszła biurko i stanęła obok Jo.

- Chciałaś, żeby zamarzł, pamiętasz? - spytała. - W czasie weekendu mówiłaś o tym.

Wyraz twarzy Jo nie zdradzał żadnych emocji, nie drgnęła jej nawet powieka. Dziewczyna stała w oknie i patrzyła na rzekę.

\*

John Marshall wszedł do mieszkania swojego ojca na trzecim piętrze domu w Cambridge. Za drzwiami leżała poczta z ostatnich dwóch tygodni. John wahał się przez chwilę, zanim podniósł listy i położył je na pierwszej płaskiej powierzchni, jaką ujrzał.

Chociaż ojciec dał mu klucz, John nie lubił tu przychodzić. Klucz miał dla niego znaczenie wyłącznie symboliczne, był czymś, co podarował mu Doug, gdy się tutaj wprowadził. Ojciec jasno dał mu bowiem do zrozumienia, by używał klucza wyłącznie w nagłych wypadkach. Zastanawiał się, czy Doug uznałby tę sytuację za nagły wypadek. Niemal słyszał jego głos.

- Dlaczego uznałeś, że nie wrócę? - spytałby ze swoim skupionym, uśmiechniętym spojrzeniem. - Dlaczego, do cholery, tak pomyślałeś?!

John uśmiechnął się smętnie, gdy szedł przez korytarz do salonu. Och, nic się nie stało, jedynie kilka grobowych wiadomości w telewizji. Jedynie śmiertelnie blada twarz

Petera Boltona, którego John widział poprzedniego wieczoru na wykładzie.

- Są jakieś wiadomości? - spytał wówczas Bolton.

- Nie - odparł John. - Myślałem, że może ty coś wiesz.

Bolton objął go ramieniem i uśmiechnął się niepewnie.

- Nie powiem mu, że się martwiłeś, a w zamian ty nie powiesz, że ja się martwiłem - powiedział.

John przygryzł wargę, podszedł do okna i wyjrzał. Powietrze w mieszkaniu było zatechłe i jakby wilgotne. Douglas mieszkał w trzech pokojach od ulicy w wysokim, wiktoriańskim budynku, z widokiem na Parker's Piece. W rogu największego pomieszczenia stało wąskie łóżko przykryte czerwoną narzutą. Znajdowała się tam również kanapa, która przeżyła już swe najlepsze lata. W jedną ze ścian wmurowano gazowy kominek. W rogu naprzeciwko łóżka, za sięgającym od podłogi do sufitu oknem, znajdowała się kuchnia - dwa blaty, dwa palniki gazowe, kilka szafek.

Ojciec mieszkał tu od pięciu lat, choć Alicja nie przyznawała się do tego. Zawsze udawała, że Doug nadal mieszka w domu, we Franklin House. Jakby na dowód tego wciąż odkurzała jego gabinet, układała książki na biurku, wstawiała kwiaty. Otwierała okna, myła je i czyściła, obracała też fotel, żeby poduszki nie spłowiły w słońcu. Nawet ubrania męża trzymała po prawej stronie szafy w sypialni. Wciąż spała po jednej stronie łóżka. Na nocnej szafce leżały jego książki; oczywiście, nie tak, jak on by je ułożył, w niedbały stosik, który z pewnością spadłby na podłogę. Ułożyła je równo, po trzy. Leżał tam też zegarek ojca, stary rolex, który odziedziczył po swoim ojcu. Zawsze przyciągał wzrok Johna; jeszcze pięć lat wcześniej nie opuszczał on przegubu Douga, a teraz leżał porzucony. Ojciec zapomniał go ostatniego burzliwego ranka we Franklin House. Fakt, że po niego nie wrócił, nawet nie poprosił o jego przyniesienie Johna - chociaż i tak Alicja by na to nie pozwoliła - był bardziej przejmujący i znaczący niż cokolwiek innego. Nawet niż puste krzesło przy stole.

John poszedł do małej kuchni. Nie było tam wiele jedzenia. Zerknął do lodówki, wyjął z niej karton mleka, otworzył go i wylał zawartość do zlewu. Znalazł paczkę bekonu jeszcze nadającego się do spożycia, dwa jajka i spleśniały bochenek chleba. Wziął torbę reklamową, wrzucił do niej chleb i odłożył do wyniesienia.

Na zewnątrz słońce usiłowało przedrzeć się przez chmury. Blade promienie oświetlały pokój rozmytym światłem, dotykając biurka pod oknem: komputera, książek i telefonu bez automatycznej sekretarki. John usiadł w fotelu i odchylił się, dotykając palcami poręczy o zaokrąglonych krawędziach wielkości męskiej dłoni. Zacisnął na nich ręce.

- On wróci - oznajmił widokowi za oknem, kilku pieszym, biegającemu psu,

mężczyźnie na rowerze, który zatrzymał się raptownie.

John pojechał wczoraj do domu, ale dopiero wtedy, gdy okazało się, że tego nie uniknie. Zadzwoił do matki, usiłując znaleźć przekonującą wymówkę.

- Powinieneś tu być - oznajmiła jednak.

- Mam zajęcia.

- Nikt nie oczekuje cię na zajęciach.

W ciszy, która potem nastąpiła, słyszał tykanie zegara w holu domu rodzinnego.

- Powinieneś tu być - powtórzyła matka.

Więc pojechał autostopem.

Czekała na niego. Musiała widzieć, jak szedł po podjeździe, a jednak nie otworzyła drzwi, poczekała, aż sam przekręci klucz w zamku.

- Skarbie! - zawołała, rozpościerając ramiona.

Pocałował ją w policzek.

- Jesteś głodny?

- Nie przejmuj się.

- Zaraz coś przygotuję - odparła.

Zjedli w jadalni, nie w kuchni. Alicja zdążyła zmienić jej wystrój.

- Podoba ci się? To rosyjska czerwień.

- Bardzo rzuca się w oczy. - Uśmiechnął się.

Zakończyli posiłek w milczeniu. John przywykł do takiej atmosfery w domu.

Nie umiałby powiedzieć, kiedy rozpoczęła się wojna pomiędzy rodzicami. Być może zanim jeszcze w ogóle mógł coś pamiętać. Jego pierwsze wspomnienie matki pochodziło z okresu przed przeprowadzką na wieś. Pamiętał olbrzymie schody w domu podobnym do tego; wynajmowali mieszkanie na pierwszym piętrze - widział matkę, jak przechodzi obok niego, siedzącego na schodach, protestującego przeciwko czemuś, co powiedziała.

- A więc zostań tu przez całą noc - powiedziała.

Mieli zniszczoną kanapę krytą pluszem, czarno-biały telewizor i dywan pełen długich nitek, które John wrywał. Pamiętał, że matka wciąż się kręciła po domu i wciąż mówiła. Ojciec pojawiał się nieoczekiwanie. Miał zaczerwienione oczy i prawie wcale się nie odzywał. W nocy albo go nie było, albo przyjeżdżał bardzo późno, ciągnąc swoje walizki po tych długich, szerokich schodach.

- Tatuś jest w podróży - mawiała Alicja. Wciąż pamiętał czasy, gdy jej głos był ciepły i pełen dumy.

Od wczesnego dzieciństwa - od pierwszej logicznej myśli o związku walizek z

nieobecnością ojca - chciał z nim jeździć.

- Gdzie jest teraz? - spytał kiedyś, gdy miał sześć lat. - Ja też chcę tam pojechać.

Alicja wyjęła z regału mapę, rozwinęła ją i posadziła go przy biurku.

- Widzisz tę wyspę? Tu my jesteśmy, to Anglia - powiedziała. Jej palec zawędrował na morze, krążył po nieskończonym błękitnie. - Widzisz tę drugą wyspę? To Jamajka. Leży w Indiach Zachodnich. Widzisz?

Zwinęła z powrotem mapę i wepchnęła ją na półkę, do której nie mógł dosięgnąć.

- Tam właśnie jest tata - oznajmiła. Po czym nagle pochyliła się, żeby przytulić chłopca. - Mógłbyś zostawić mamusię? Całkiem samą?

Jego spojrzenie powędrowało do zwiniętej mapy.

- Co on tam robi? - zapytał.

Alicja puściła syna.

- Nurkuje - odparła.

- Po co?

- Żeby odnaleźć zatopione przedmioty.

Przez długi czas wyobrażał sobie, że ojciec nurkuje w ciepłych morzach dla zabawy. Dopiero później zrozumiał, że nurkowanie wymaga butli z powietrzem i wielu godzin żmudnej pracy. Podczas wyprawy na Jamajkę - gdzie Doug bawił cztery miesiące - John czekał ze straszliwą niecierpliwością na powrót ojca. Był przekonany, że tata przyjedzie obładowany skarbami piratów. Podskakiwał z niecierpliwości, gdy czekali w Gatwick, pewien, że w walizkach ojca znajdzie złote puchary i pierścienie, które będzie mógł trzymać w swym pokoju. Nawet posprzątał na regałach, żeby zrobić miejsce na skarby, którymi pochwali się przed przyjaciółmi.

Doug jednak wrócił z pustymi rękami.

- Nie można stamtąd niczego zabrać - wyjaśnił synowi. - Wszystko spisujemy, a poza tym to nie należy do mnie, nawet jeśli ja to znalazłem.

Dziesięć lat później zatrzymał sobie puszkę ze statku Franklina.

Oszust.

Alicja jeździła niekiedy z mężem na wyprawy w Wielkiej Brytanii, zabierając Johna. Byli w Portland, zatoce Lyme. Ile lat miał wtedy John? Siedem? Osiem? Na pewno nie więcej. Pamiętał smagany wiatrem hotel zbudowany na klifie, wybrzeże Cobb w Lyme, śliskie od morskiej wody, ciemne wodorosty na plaży, herbaciarnię na brzegu morza - wyglądał niecierpliwie przez jej zaparowane okna.

Pewnego dnia Doug zabrał syna do łodzi. To miał być prezent i sprawdzian zarazem.

Chłopiec przeczytał wszystkie książki o dziesiątkach wraków z Lyme, znał daty i pozycje zatopionych statków. Mógł je nazwać i wyrecytować, kiedy zatoneły. Pamiętał nawet, co przewoziły. Bardzo chciał pokazać ojcu, że jest godny poważnego traktowania. Obiecał, że pomoże sprawdzić sprzęt, będzie kontrolował czas przebywania taty pod wodą, zerknie na zbiornik z powietrzem. Zrobi nawet herbatę. Alicja pokazała mu w domu, jak ją zaparzyć i napęlnić termos. Przecwiczyl to. Bardzo chciał, żeby tata był z niego dumny.

Nie mogłoby pójść gorzej. Wymiotował przez pełne pięć godzin i wrócił do matki kompletnie wyczerpany. Nic nie wiedział o chorobie morskiej, kiedy wchodził na łódź, ale wiedział o niej wszystko, gdy tylko znaleźli się w pewnej odległości od brzegu. Z całej siły trzymał się relingu, podczas gdy fale coraz mocniej kołysały łodzią. Patrzył, jak ojciec zanurza się w szarzielony mrok, a na powierzchni wody pojawiają się bąbelki. Cierpiał z całej duszy, zwinięty w kłębek na pokładzie, czując, że świat się kończy albo że skurczył się do kilku metrów kwadratowych zalewanego wodą drewna, które nie wytrzyma wiatru o sile pięciu stopni.

Kiedy Doug zakończył już nurkowanie, wybuchnął śmiechem na widok syna.

- Musimy zrobić z ciebie marynarza - stwierdził, marszcząc czoło. - Jezu, ale ty wyglądasz. Śmierdzisz, mój mały.

Nienawidzę cię, pomyślał John.

- Nurkowałem z moim tatą - mówił dumnie dzieciom w szkole. Nie powiedział im jednak nigdy o przykrych przeżyciach i o tym, że w środku dnia został odesłany do matki.

Kiedy miał dziesięć lat, ojciec zaproponował, że zabierze go do Port Royal na Jamajce, ale Alicja nie zgodziła się. To zbyt długo, powiedziała. Dwa tygodnie w samym środku lata! Co miała robić samotnie przez ten czas, kiedy oni będą się opalali?

Pojechali więc do Królewskich Stoczni w Portsmouth.

- Na Jamajce też pada - powiedział Doug pierwszego ranka, usiłując pocieszyć Johna.

Stali w kolejce, żeby zobaczyć *Victory*. John był ogromnie rozczarowany: wspaniale pomalowana rufa i złote drzewce za bardzo przypominały statek piracki z Disneylandu. Chciał zobaczyć takie statki, na jakich pracował jego ojciec. Godzinami szukał fotografii, wiedząc, że jedyna interesująca rzecz to platforma ze starannie ponumerowanymi szczątkami.

Wrak królewskiego okrętu Henryka VIII wyglądał już lepiej.

- Znam kilku z tych, którzy go wydobyli - rzekł Doug, kiedy przeszli do *Mary Rose*.

W muzeum przyglądali się oznakowanym szczątkom: ubraniom z wełny, brązowym armatom ładowanym przez lufę, materacom, łopatkom do odmierzania prochu, prochownicom, strzałom i cisowym łukom.

Ojciec przez dłuższą chwilę stał zatopiony w myślach przed jednym z eksponatów. John chciał wziąć go za rękę. Bardzo się starał nie lubić ojca przez cały czas, kiedy nie było go w domu, jednak tego dnia w Portsmouth nie mógł opanować nadziei, że Doug obejmie go ramieniem albo uściśnie jego dłoń. Chciał tego, chciał poczuć dłoń ojca na własnej dłoni. Chciał sprowadzić Douga z miejsca, do którego odpłynął myślami.

Ale ojciec nigdy tak naprawdę nie powrócił do rodziny. Nawet kiedy był w domu, nawet kiedy John siedział obok niego w samochodzie albo oglądał telewizję, albo przy kolacji, gdy podnosił wzrok, widział znajomy wyraz twarzy ojca; był tu tylko ciałem. Jego myśli odbiegały daleko. Przebywał na wraku *Lord Western* w Kolumbii Brytyjskiej albo tkwił w mrocznej wodzie nad ładownią statku w zatoczce Sydney, albo nieopodal Nicei, na środku zatoki de Villfranche-sur-Mer, osiemnaście metrów pod wodą, obok pochylonego pod kątem czterdziestu pięciu stopni, zagrzebanego w piachu i mule statku, który zatonął podczas sztormu w tysiąc pięćset szesnastym roku z transportem artylerii. Albo też wszystkie myśli skupiał na zatoce Aboukir w Egipcie, na wraku *L'Orient*, który poszedł na dno w sierpniu tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego ósmego roku, ostrzelany przez Nelsona na plażach na zachód od Aleksandrii. Znajdował się zawsze za daleko, by można było do niego dotrzeć.

Kiedy John skończył szesnaście lat, nie chciał nigdzie jeździć z ojcem. Nie wierzył, że kiedykolwiek zdoła zwrócić na siebie jego uwagę. Pogodził się z myślą, że zawsze znajdować się będzie gdzieś na obrzeżach życia Douga, że pod względem ważności jest dla niego może drugi, może trzeci. A może piąty bądź szósty. Wiedział, że ważniejszy od syna jest dla Douga Franklin. Tajemnica zaginięcia statków Franklina wciąż zaprzętała myśli ojca, zwłaszcza po wyprawie na Grenlandię. Podejrzewał, że znaczy dla Douga mniej nawet niż Crozier, zastępca Franklina. Crozier, który najprawdopodobniej przeżył dowódcę wyprawy i żył na łodzi po zatonięciu statków. Bohaterski Crozier, usiłujący dowodzić setką ludzi umierających po tym, jak *Erebus* i *Terror* poszły na dno. John czuł dławienie w gardle na myśl o tych ludziach, którzy wciąż żyli w sercu jego ojca.

Ja żyję naprawdę, do cholery! - chciał zawołać. - Nie jestem martwym bohaterem. Żyję...! Przypuszczał, że właśnie dlatego przyszła mu do głowy myśl, by przyćmić ojca. Nosił ją w sobie od kilku lat. Narastała w jego głowie, aż zaczęło się wydawać, że zawsze tam była. Marzył, że uda mu się znaleźć to, czego nie mógł znaleźć ojciec: jakąś pozostałość po wyprawie Franklina, jakąś zdumiewającą wskazówkę albo nawet dziennik z wyprawy. Być może wtedy ojciec okaże mu wreszcie zainteresowanie.

Mimo że starał się nie popaść w zgorzknienie, za każdym razem, gdy Doug znajdował się w centrum powszechnej uwagi, jak teraz, w głowie Johna odzywał się niegodziwy cienki



głosik pełen nastoletniego żalu, który powodował furję.

Chłopak oparł głowę na rękach, by nie walić dłońmi w skórzaną tapicerkę fotela. Czasem czuł niewiarygodne pragnienie, żeby po prostu rąbnąć ojca w twarz. Tylko po to, aby zwrócić na siebie uwagę. Pomyślał, że warto by zaryzykować, gdyby się miało okazać, że ojciec go naprawdę dostrzega.

Westchnął ciężko, pocierając rękami głowę. Wstał i przeciągnął się. Przyjrzał się biblioteczce pełnej książek o podróżach. Jego spojrzenie wędrowało po okładkach, zawierających nazwy miejsc, w których prowadzono wykopaliska. Tego roku, gdy John skończył szesnaście lat, zorganizowano wyprawę do Turcji, do Serce Limani, gdzie tkwił wrak greckiego statku przewożącego wino, który zatonął w jedenastym wieku. Ta nazwa - ta sama nazwa, którą widział teraz przed oczyma, zapisana ręką Douga na jednym z notatników - miała dla nich obu olbrzymie znaczenie.

Doug załatwił wszystko tak, żeby John mógł pojechać z nim do Turcji. To miał być prezent urodzinowy.

- Nie chcę jechać - oświadczył John.

Ojciec był zdumiony. Kupił już bilety na samolot i trzymał je właśnie w wyciągniętej dłoni.

- Nie przejmuj się matką, już z nią rozmawiałem - powiedział Doug.

John wiedział o tym; słyszał kłótnię.

- Nie chcę jechać - powtórzył.

Doug wpatrywał się w bilety, a potem przeniósł wzrok na syna.

- To trzy tygodnie w Turcji, latem - powiedział zdumiony. - Wyruszamy z Gatwick...

- Ja nie.

Powoli i ostrożnie Doug położył bilety na dzielącym ich stole.

- Dlaczego? - zapytał.

- Musi być jakiś powód?

- Tak, John. Musi.

- Bo wydałeś pieniądze?

Doug zmarszczył brwi.

- Tak, wydałem pieniądze...

- Nie prosiłem cię o to.

- Nie - przyznał Doug. Teraz było jasne, że stara się nie podnosić głosu. - Ale to nie pieniądze się liczą, John. Chcę, żebyś ze mną nurkował. Chcę cię nauczyć nurkowania.

- Ale ja nie chcę nurkować.

- Nie chcesz?

John zerwał się z krzesła, zaczerwieniony od niewyobrażalnej wściekłości, która go ogarnęła. Od lat przecież marzył o wyjeździe z Dougiem.

- Latem jadę do Kornwalii - oznajmił. To fakt, zamierzał tam jechać, ale nic nie zostało jeszcze potwierdzone.

- Co będziesz robił?

- Surfował.

Zapadła długa cisza.

- Nie wiedziałem, że lubisz surfować - odezwał się w końcu Doug.

- No właśnie - odparł John. - Niewiele o mnie wiesz, do cholery, prawda?

John zaciskał teraz pięści, gdy wpatrywał się w notatnik, z trudem powstrzymując łzy.

Pojawiły się inne zaproszenia, John je przyjmował. Żadne jednak nie było niespodzianką, a on i ojciec nigdy nie wyjechali razem. Na zawsze stało między nimi Serce Limani.

Rozległo się brzęczenie dzwonka.

John ze zdumieniem obejrzał się przez ramię. Odetchnął głęboko, otrząsnął się ze wspomnień. Podeszedł do okna i wyjrzał. Na krawężniku stała dziewczyna. Niezbyt dokładnie ją widział. Otworzył okno. Cofnęła się, patrząc na trzymaną w dłoni kartkę.

- Tak...? - zawołał.

Spojrzała w górę.

- Usiłuję znaleźć Johna Marshalla - powiedziała.

Wpatrywał się w nią. Przez myśl przebiegło mu, że uniesiona ku niemu twarz nie należy do Angielki. Tak naprawdę nigdy dotąd nie widział podobnej.

- Poczekaj! - krzyknął.

Zbiegł na dół, przeskakując po dwa stopnie, a jego serce biło niecierpliwie. Otworzył drzwi. Dziewczyna uśmiechała się lekko, stojąc na schodku.

- Ty... - zaczął John.

- Przepraszam...?

- Już cię gdzieś widziałem.

Dziewczyna poprawiła torbę na ramieniu.

Uważnie się jej przypatrywał. Była wysoka, może nawet nieco wyższa od niego. Musiała mieć ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Czarne włosy ściągnęła do tyłu, tak że luźno opadały jej na ramię. John poczuł się nagle niewiarygodnie głupio. Nie mógł powiedzieć: „Jesteś kobietą z książek”. Nie wiedziałaby, o co chodzi. Nic nie wiedziała przecież o De

Longu, Kane'em, McClintocku czy którymkolwiek z nich. A jednak...

- Skąd się wzięłaś? - zapytał.

- Uczę się w King's - odparła. Wyciągnęła do niego rękę. - Nazywam się Catherine...

- John Marshall - odparł, ściskając jej dłoń.

Trzymał ją za długi; gdy zdał sobie z tego sprawę, puścił dłoń, zaczerwienił się po same uszy, co mu się nigdy wcześniej nie zdarzyło. A więc tak to jest, pomyślał, gdy stanie się oko w oko z własną fantazją. Oto miał bowiem przed sobą kobietę z dzienników McClintocka i Kane'a, Inuitkę z gładkimi, czarnymi włosami, spoglądającą na niego z takim samym, pełnym zrozumienia wyrazem twarzy, jaki widział na fotografiach z ubiegłego wieku. Fantastyczne. Niewiarygodne.

Zamknął oczy, podświadomie oczekując, że gdy ponownie je otworzy, dziewczyna zniknie.

- Przepraszam - powiedział. - Przypominasz mi kogoś. Nie tyle zresztą kogoś konkretnego, ile pewnych ludzi, ludzi, o których czytałem.

Przestań trajkotać! - polecił sobie w duchu. Przestań, na miłość boską, bo ona odwróci się i ucieknie!

Ale dziewczyna nie uciekła.

- Nazywam się Catherine Takkiruq - poinformowała. - Mogę z tobą porozmawiać o twoim ojcu?

\*

O jedenastej tego samego ranka Jo znalazła się w opactwie Westminster. Zamierzała iść do Izby Gmin, gdzie umówiła się na spotkanie z dziennikarzem jednego z brukowców. Obiecał jej informacje o pewnym deputowanym, z którym Jo zamierzała przeprowadzić wywiad w następnym tygodniu. Jednakże ostatecznie znalazła się przed wejściem do opactwa, w kolejce po bilety.

Westminster pełne było turystów. Przyglądając się ozdobnym drzwiom, Jo uświadomiła sobie, że chociaż już od czterech lat pracuje w Londynie, nigdy dotąd nie była w opactwie - ani też w katedrze Świętego Pawła, ani w Tower of London. Żaden ze znanych jej mieszkańców Londynu także nie zwiedził tych budowli.

Kolejka ruszyła naprzód, w mrok świątyni, a Jo spytała biletera, gdzie znajduje się tablica pamiątkowa Johna Franklina.

- Proszę skrócić w lewo, to pierwsza kaplica po tamtej stronie - usłyszała odpowiedź.

Jo poszła za tłumem, zwalniając, gdy on zwalniał, zdumiona panującą atmosferą. W kościele było zapewne ponad tysiąc osób, ale ginęły w przestronnym wnętrzu. Gdy podniosła

głowę, ujrzała połyskujące złoto wysokie sklepienie świątyni. Rozmiary budowli sprawiały, że głosy ludzi były stłumione. Po przejściu paru metrów Jo zatrzymała się i wyjęła z torby materiały dotyczące Franklina, które wydrukowała, korzystając z jednej ze stron internetowych. Przerzucała je teraz, szukając opisu tablicy. Wiele wydrukowała na wszelki wypadek, choć nie przypuszczała, by mogły się jej przydać. Na przykład lista załogi... Teraz szybko przebiegła ją wzrokiem.

Dane pochodziły z jednego z amerykańskich uniwersytetów; seminarium historyczne zostało tam najwyraźniej zdominowane przez wielbicieli Franklina. Zamieścili nazwiska wszystkich członków załóg *Erebusa* i *Terrora*. Pod każdym z nazwisk widniała krótka notka biograficzna, pochodząca, jak zaznaczono w Internecie, z *Morskiego słownika biograficznego* O'Byrneya, opublikowanego w tysiąc osiemset czterdziestym dziewiątym roku. Cztery lata po ich wypłynięciu, pomyślała Jo. Twarze, głosy i dokonania tych ludzi wciąż były świeże w ludzkiej pamięci, gdy pisano te notki.

*Porucznik Graham Gore, wstąpił do marynarki w 1820 roku.*

Jo przechyliła kartkę, żeby lepiej widzieć.

*Brał udział w wojnach chińskich... portret w Królewskim Muzeum Marynarki... znakomicie gra na flecie, rysuje czasem świetnie, czasem bardzo źle...*

Jo wykrzywiła usta. Sama bardzo źle rysowała. Nie potrafiła nawet naszkicować mapy.

*Porucznik James Walter Fairholme... uwięziony przez Maurów w kwietniu 1838 roku, gdy pełnił obowiązki zastępcy dowódcy na pojmanym statku niewolników... Harry Goodsir, drugi chirurg i biolog... Kapitan Francis Rawdon Moira Crozier, urodzony w County Down w 1796 roku, zastępca dowódcy, specjalista od magnetyzmu ziemskiego... James Reid, specjalista od lodu, kapitan statku wielorybniczego, szorstki, mówiący z północnym akcentem, ale o uczciwym sercu...*

Byli też chłopcy, po dwóch na każdym statku.

Jo zwinęła papiery i poszła przed siebie, spoglądając w lewo, gdzie powinna znajdować się niewielka kaplica. Kiedy ją ujrzała, dostrzegła, że nad wejściem góruje marmurowa rzeźba generała Wolfe'a. Przeczytała inskrypcję. *Zamordowany w chwili zwycięstwa...* Popatrzyła na Wolfe'a, przedstawionego na rękach swoich żołnierzy, pod powiewającą flagą. Czy jeszcze ktoś umiera w taki sposób? - zadumała się. Może podczas bitwy. Pomyślała o Bośni, o błotnistych okopach wzdłuż wzgórz. Czy istnieją jeszcze wielkie sprawy narodowe? Przeprowadziła wiele wywiadów z ludźmi, którzy postrzegali swój kraj jedynie w kategoriach osobistego sukcesu czy porażki. Już dawno nie słyszała, by ktoś,

ktokolwiek - nawet rządzący - mówili o chwale swego kraju. A przecież mężczyźni, których spis miała w torebce, właśnie za to umierali, za chwałę idei.

Weszła do kaplicy. Nie od razu dostrzegła tablicę poświęconą Franklinowi. Dopiero po chwili w połowie wysokości ściany ujrzała marmurowe popiersie komandora, w mundurze i w czymś, co wyglądało na futrzaną czapę. Pod popiersiem wyrzeźbiono w marmurze sylwetki *Erebusa* i *Terrora*. Olinowanie statków pokryte było lodem, podobnie jak pokłady. Kiedy przystanąła, minęli ją inni zwiedzający.

- Franklin - usłyszała głos z amerykańskim akcentem. - Ale nie nasz.

Jo przyjrzała się drobnym, starannie wykutym literom, składającym się na napis:

*Pamięci sir Johna Franklina.*

*Urodzony 16 kwietnia 1786 roku w Spilsby w hrabstwie Lincoln, zmarł 11 czerwca 1847 roku za Point Victory na zamrożonym oceanie. Ukochany dowódca dzielnej załogi, która zaginęła wraz, z nim podczas poszukiwania Przejścia Północno-Zachodniego.*

Jo przycisnęła się do ściany, chcąc zejść z drogi tłumom ludzi. U dołu tablicy wyryto jeszcze jeden napis, ukryty niemal przed wzrokiem widza.

*Ten monument wzniosła Jane, wdowa, która po długim oczekiwaniu i wysłaniu wielu ludzi na poszukiwania, sama odeszła, by odszukać męża w Królestwie Światłości, 18 lipca 1875 roku, w wieku 83 lat.*

Jo poczuła kulę w gardle. Jane Franklin, żona, która czekała przez trzydzieści lat.

Zmarszczyła brwi i raz jeszcze spojrzała na papiery, które trzymała w rękach. Nie znalazła żadnej wzmianki o śmierci Franklina. Skąd znali datę, skoro wraz ze statkami po prostu zaginął? A data była dokładna. Jedenastego czerwca tysiąc osiemset czterdziestego siódmego roku. Dwa lata po opuszczeniu Londynu. Umarł w odległej Arktyce, gdzieś wśród bezkresnych lodów, a ktoś znał datę jego śmierci?

- Zamrożony statek - powiedział dziecięcy głos tuż obok.

Mały chłopiec przejechał palcem wzdłuż obrazu przedstawiającego pokryty lodem kadłub.

- Chyba gdzieś ugrzązł - skomentował jego ojciec i obaj odeszli.

Jo popatrzyła na miejsce, w którym chwilę wcześniej znajdował się palec chłopca i niżej, tam, gdzie przymocowano następną tabliczkę.

*Pamięci admirała sir Leopolda McClintocka, odkrywcy losów Franklina.*

Przez jakiś czas przyglądała się z namysłem. *McClintock* - napisała na górze swej listy załogi.

Podniosła torbę z podłogi i weszła do głównej nawy opactwa, gdzie było więcej

miejsca. Stała nieco z boku i znowu zerknęła na wydruki.

Znajdowało się tam tyle nazwisk. Graham Gore... Harry Goodsir... Francis Crozier...

Jo spojrzała na rzeźbę przedstawiającą Wolfe'a przy wejściu do kaplicy. Pomyślała o tych wszystkich ludziach, którzy oddali życie dla Anglii. Poczuli się jak człowiek cierpiący na klaustrofobię zamknięty w ciasnym pomieszczeniu. Na litość boską! Po co oni zabrali też chłopców? Wiedzieli, jakie warunki panują na północy! Wiedzieli chyba, że żaden statek nie przejdzie się przez lód zalegający kulę ziemską na północ od Kanady i Alaski. Przez pół roku panowała tam ponadto noc polarna. Nie da się walczyć z tak potężnymi żywiołami, a już na pewno nie za pomocą dwóch statków. Nawet nieliczne rosyjskie lodołamacze, które tam docierały, miały napęd atomowy. A jednak w czasach wiktoriańskich Anglicy wsadzili na dwa statki swoich najlepszych ludzi, takich jak choćby Graham Gore, który nie potrafił malować.

- A po co mu była ta umiejętność, do cholery?! - mruknęła Jo. - Biedaczysko.

Odwróciła się i weszła w tłum.

## 5

W roku tysiąc osiemset czterdziestym piątym Augustus Peterman miał dwanaście lat. Stał na doku w Greenhithe i drżał. Nie dlatego, że marzł; ten majowy dzień był ciepły, znad kanału powiewał niemal letni wietrzyk. Jadąc tu z domu ciotki w Kent, Augustus miał kwitnące sady.

To widok statku wprowadził go w drżenie. *Terror* wznosił się wysoko nad nim, szeroki, z wystającą z wody kwadratową dziobnicą o szerokości przekraczającej pół metra. Był masywny, zapierający dech, piękny.

Augustus wcześniej już znał nazwę statku, jak każdy chłopiec w Anglii. Kiedy wszedł tego ranka do doku, podbiegł wprost do miejsca, w którym statek cumował, by dotknąć jedynej części rufy, której mógł dosięgnąć. Dziewięć lat wcześniej *Terror* popłynął na Antarktykę, na prawdziwy koniec świata, gdzie został wypchnięty z wody przez masy lodu, na którym leżał potem jak zepsuta zabawka, z połamanymi masztami, dopóki wola boża i zrzeczność załogi znów go nie uruchomiły.

Pochylił się ku *Terrorowi*, a jego serce mocno biło z emocji.

- Podoba ci się ten statek? - spytał go jakiś mężczyzna.

Augustus odskoczył do tyłu, zawstydzony.

- Tak, proszę pana - wyszeptał.

Nieznajomy był oficerem. Augustus nie ośmielił się przenieść spojrzenia z bryczesów mężczyzny na jego twarz, rozpoznał jednak irlandzki akcent.

- Widziałeś już dziób? - spytał mężczyzna.

- Nie, proszę pana.

Silna ręka opadła na ramię chłopca i lekko popchnęła go naprzód. Augustus kątem oka ujrzał pancierz, który sięgał niemal siedem metrów do tyłu od dziobnicy.

- Wiesz, co jest niżej?

- Nie, proszę pana.

- Osiem centymetrów dębu szypułkowego, a także dwie warstwy afrykańskiego dębu, ułożone po przekątnej - wyjaśnił oficer. - Na wierzchu znajduje się pięciocentymetrowa warstwa kanadyjskiego wiązu, również ułożona po przekątnej. Kadłub statku składa się z pięciu warstw drewna o łącznej grubości dwudziestu pięciu centymetrów. - Oficer klepnął Augustusa w plecy. - Oto *Terror*, prawdziwy angielski statek.

Augustusowi zrobiło się gorąco. Matka na pewno już go szuka i bardzo się złości. Jest okropnie nerwowa. Nie mógł jednak powiedzieć tego nieznajomemu. Żaden marynarz na pewno nie ma matki, która szuka syna po całym porcie. On też nie może okazać się maminsynkiem.

- Kim jesteś? - usłyszał pytanie.

Przedstawił się.

- Popatrz na mnie, chłopcze.

Augustus posłusznie spojrział. Zobaczył okrągłą, przystojną twarz, starannie ogoloną, niebieskie oczy i piaskowe włosy, a także złote frędzle na kurtce, podwójny rząd guzików i biały kołnierzyk.

- Jesteś synem Thomasa Petermana. Poleciał cię twój wuj i pan Reid, specjalista od lodu.

- Tak, proszę pana.

Mężczyzna skinął głową.

- Twój ojciec był świetnym marynarzem - powiedział. - Dzielnym człowiekiem.

Gus milczał. Jego ojciec nie żył od czterech lat, a on go nie pamiętał. Wiedział tylko, że ojciec zginął przy zatoce Home w Cieśninie Davisa. Harpunnik z sąsiedniej łodzi wymierzył cios, gdy wieloryb - załoga twierdziła, że ten sam, który kilkakrotnie przepłynął pod statkiem, wesoły jak szczygiełek - nagle wynurzył się spod wody. Jego olbrzymie ciało przewróciło łódź, a załoga znalazła się za burtą. Marynarze z innych łodzi zabili wieloryba, próbując też wydostać tonących ludzi. Martwego Petermana znaleziono z wiosłem

zaciśniętym w dłoni.

Oficer przykucnął. Popatrzył w oczy chłopca.

- Znałem go, Gus - powiedział. - Na wyspach Whalefish spotkaliśmy Eskimosów, którzy pewnego dnia wypłynęli wraz z twoim ojcem z Hull.

Gus spojrział w niebieskie oczy mężczyzny, który wyciągnął rękę.

- Jestem Francis Crozier - rzekł.

Gus popatrzył na jego rozpostartą dłoń. Wiedział, kim jest Francis Crozier, i ta świadomość sprawiła, że poczuł suchość w gardle. Nie mógł wykrztusić słowa. Zastępca dowódcy wyprawy, pierwszy oficer i kapitan *Terrora*. Jeśli *Terror* stanowił ucieleśnienie marzeń każdego chłopca o statku, to Crozier był ucieleśnieniem marzeń o odkrywcy. Tylko James Clark Ross był bardziej znany od niego, a Crozier przyjaźnił się z Rossem. Spędził dziesięć zim na zamrzniętych morzach. Żeglował wraz z Rossem i w trakcie tych podróży dotarł dalej na południe niż ktokolwiek inny. Przedtem towarzyszył w żegludze Williamowi Edwardowi Parry'emu i na północy dotarł dalej niż jakikolwiek inny człowiek. Przeżył zatonięcie *Fury*. Pływał po morzach, odkąd skończył trzynaście lat, czyli od lat trzydziestu sześciu. Pływał po Atlantyku, Pacyfiku, Oceanie Indyjskim, a także po Morzu Śródziemnym.

To niezwykle, że kapitan zauważył chłopca, a jeszcze bardziej - wprost niesłychane! - że podał mu dłoń. Gus wyciągnął w końcu rękę, która zniknęła w potężnej dłoni Croziera.

- Cieszę się Augustusie, że wyruszasz z nami na tę wyprawę - powiedział Irlandczyk.

Gus usiłował odpowiedzieć, ale wydobył z siebie tylko kilka pojedynczych sylab. Crozier odszedł, a on wciąż stał z otwartymi ustami.

Wreszcie znalazła go matka. Zorientował się, że przyszła, gdy poczuł uderzenie w głowę. Zaraz potem złapała go za rękę.

- Wszędzie cię szukałam! - warknęła.

Zaprowadziła go do długiego rzędu magazynów, gdzie spisano jego nazwisko. Dostał jakiś pakunek. Matka pochyliła się i cmoknęła go w policzek.

Gdy stał w doku, wciąż czując na policzku jej miękkie pocałunek i czekając na wejście na pokład, rozmyślał o białych niedźwiedziach. Mimo że zabrano go na dziewięć wypraw na wieloryby, nigdy jeszcze nie widział niedźwiedzia polarnego. Słyszał tylko o nich od swojego wuja. Drżał teraz na myśl o tych trudno wyobrażalnych bestiach, które mieszkają tam, gdzie nie potrafił żyć nikt inny. Mówiło się, że zwierzęta te potrafią przetrwać sztorm pod okrywą śniegu, że pływają wśród kry, że osiągają trzy metry w kłębie i ważą tyle, co ośmiu mężczyzn. Czy zobaczy niedźwiedzia w tej podróży?

Gus wiedział, że trudno zabić niedźwiedzia. Kula mogła przejść przez ciało zwierza, a



on wciąż żył. Polarne niedźwiedzie były duchami mórz, stworzeniami, które potrafiły nurkować i pozostawać pod wodą przez długi czas. Były cichymi, cierpliwymi zabójcami; godzinami polowały na foki, czyhając obok przerębla albo nasłuchując kwilenia młodych w lodowych legowiskach. Ojciec Gusa żadnego nie schwytał, ale wuj tak. Gus znał tę historię na pamięć.

Niedźwiedzica po krze podeszła do statku i zaczęła lizać drewniane burty. Złapali ją na arkan i związali liną przeprowadzoną przez kluzę na dziobnicy. Natrudzili się bardzo, przyciągając ją do łodzi. To była prawdziwa walka - dziesięciu mężczyzn zmagало się z niedźwiedzicą, podczas gdy ona rzucała się, miotając głową i usiłując zaczerpnąć powietrza. Jej olbrzymie pazury wbijały się w lód, w lódź, w burtę statku. Rozorały kil. Przywiązali ją w końcu do knagi pokładowej, ze skrępowanymi łapami i z pętlą na szyi.

Mężczyźni kłócili się, czy ją utrzymać przy życiu, czy zabić. Żywą mogliby zawieźć do Anglii i sprzedać albo zbierać pieniądze za jej pokazywanie, choć ten gatunek nie żył długo w niewoli. Mogli też ją zabić dla znakomitego mięsa, smaczniejszego niż dziczyzna i o wiele lepszego niż skóra wieloryba o kokosowym smaku czy nawet niż dziaśła wieloryba, które były przecież znakomite. Niedźwiedzie mięso było smaczniejsze nawet niż zielona masa z wnętrzości wieloryba, którą tubylcy nazywali *mariyalo*, no a już na pewno lepsze od gotowanej foki czy mięsa morsa, zawsze twardego i bez smaku.

Zdecydowali się ją zabić.

Pierwszy cios harpunem nie powalił jej. Przy drugim ciosie, który przeciął arterię, tak że trysnęła krew, niedźwiedzica odwróciła głowę i spojrzała przez reling na lód, który zostawiła za sobą. Kiedy się zachwiała, rzucili się na nią i szybko ją dobili.

Dopiero gdy kucharz rozpałił ognisko, zauważyli niedźwiadka.

Stał na lodzie niedaleko statku, drepcząc w miejscu, po czym, jakby z wahaniem, odbiegał. Załoga zebrała się przy burcie i patrzyła, zakładając się, czy malec ucieknie czy też zatrzyma się, by poczekać na matkę. Wujek Gusa opowiadał, że niedźwiadek stał tak godzinami, a oni rzucali mu chleb, którego jednak nie tknął. Co jakiś czas płakał, co brzmiało jak skomlenie głodnego psa. W końcu, zmęczeni tym hałasem, złapali go na arkan i wciągnęli na pokład.

Był mały i bez trudu przywiązali go do pokładu, gdzie wciąż znajdowała się skóra i krew jego matki. Kiedy udało się im uwolnić z lodu i popłynęli naprzód, kapitan rozkazał, by wyszorować pokład. Niedźwiadek szarpał łańcuchem, gdy podpłynęła pod niego woda.

Zmagał się z tym łańcuchem przez cały tydzień, jak twierdził wuj Gusa. Chodził w tę i z powrotem, gdy przez pięć dni szalał sztorm. Usiłowali go karmić, ale niczego nie jadł, tylko

wymiotował gęstym, oleistym mlekiem o zapachu zepsutych ryb. Ósmego dnia, gdy weszli na pokład, niedźwiadek nie żył.

Co za szkoda, jaki pech, mówił wuj. Ileż to pieniędzy można by dostać za niego w Hull...

\*

Był już późny ranek, gdy Gus został wprowadzony na dolny pokład *Terrora*. Znalazło się tam dopiero pół załogi, a już panował tłok.

Oficerowie mieli swoje kajuty - maleńkie, długie na niecałe dwa metry i szerokie na półtora, ledwie można w nich było się poruszać - ale marynarzy stłoczono razem. Ich kwatery znajdowała się na dziobie. W samym środku zadymionego, mrocznego pomieszczenia z kojami mieścił się kambuz, gdzie buchał ogniem piec. Nad głową Gusa kołysały się stoły, podwieszane na blokach i opuszczane tylko na czas posiłków. Z przodu pomieszczenia znajdował się szpitalik pokładowy. Kiedy Gus zszedł na dół, zobaczył, że zarówno podłoga pomieszczenia sypialnego, jak i szpitalika były zastawione pudłami zapasów.

Mężczyzna, który sprowadził go na dół, nazywał się Torrington.

- Nowy w marynarce - oznajmił, kiedy na chłopca spojrzeli marynarze.

Najbliżej stojący mężczyzna zlustrował ich wzrokiem.

- Więc będzie z was para, Torrington - powiedział.

Torrington uśmiechnął się do Augustusa.

- Pracowałem na paru kabotażowcach, parowcach, ale na żaglowcach nie.

- A ty, chłopcze? - spytał inny mężczyzna. - Co z tobą?

- Statki wielorybiczne - odparł Gus. - Z Hull.

- Byłeś w Cieśninie Lancastera?

- Nie, proszę pana. W Zatoce Frobishera.

Pytający podszedł do niego.

- Jesteś tym chłopcem, o którym mówił kapitan - powiedział. - On zna swoich ludzi.

- Tak, proszę pana.

- Sam cię wybrał.

- Tak, proszę pana.

Rozmówca pochylił się nad nim. Rozszedł się zapach pyłu węglowego. Gus widział czarny brud wżarty w szyję mężczyzny i pod paznokcie. Przysypane też było jego ubranie.

- Możesz do mnie mówić „panie Smith” - rzekł mężczyzna. Wskazał kciukiem Torringtona. - Wiesz, kto to palacz?

- Tak, proszę pana.

- Jestem palaczem. A ten tutaj - machnął ręką w kierunku Torringtona - też. Tak mówią. Jedyna różnica jest taka, że to główny palacz, a młodszy ode mnie, uważasz. O osiem lat. W dodatku nie przywykł do mrozów. I nie służył pod Crozierem. - Spojrzał z góry na Johna Torringtona. - Nie był z Crozierem przez cztery lata na lodzie, jak ja, ale jest głównym palaczem. A ja palaczem zwykłym.

Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, aż Smith splunął kącikiem ust i odwrócił się.

Torrington ścisnął ramię Gusa.

- Nie zwracaj uwagi na jego gadanie - szepnął i uśmiechnął się do chłopca. - Znajdź sobie koję.

Gus rozejrzał się, ale marynarze zaanektowali już wszystkie skrzynie z wiekami na zawiasach, żeby mieć gdzie złożyć swoje rzeczy. Mógł więc jedynie rozłożyć swoją matę w rogu pomieszczenia. Ulokował się obok stosu kartonów, z napisem: *Zupa i bulion - patentowane konserwy Goldnera - 137 Houdsditch, Londyn.*

- Puszki pojawiły się wczoraj - powiedział któryś z marynarzy. - Miały być przysłane miesiąc temu, ale pojawiły się dopiero wczoraj - powtórzył z niezadowoleniem. - Teraz nie da się ich ulokować gdzie indziej.

Gusowi to nie przeszkadzało. Wysokie pudła mogły chronić go od przeciągów, a gdyby zdołał się zwinąć w kłębek, mógłby nawet wygospodarować sobie odrobinę prywatności. Cieszyła go myśl, że znajduje się na prawdziwym statku i że zaledwie parę metrów dalej są prawdziwi oficerowie, oraz perspektywa, że statek nie będzie śmierdział tranem jak wszystkie, które dotąd znał. Miał w dodatku okazję poznać ludzi, którzy wiedzą coś o botanice, medycynie i handlu. Podróżowali już po półkuli południowej! Ten statek to królestwo wybrańców. Sam Franklin - którego Gus jeszcze nie widział - był gubernatorem australijskiej Tasmanii, był też, jak mówiono, wykształconym, religijnym człowiekiem, wszechstronnie utalentowanym i dżentelmenem. Taki mężczyzna nie wypłynąłby w morze kutrem wielorybniczym, przesiąkniętym odorem tranu. Taki mężczyzna na pewno nie zwraca się do swojej załogi tak jak wuj Gusa.

Kiedy Gus szorował pokład - co było jego codziennym zajęciem - myślał o różnicy między Crozierem i Franklinem, na którą zwrócił kiedyś jego uwagę Smith. Crozier był zwykłym marynarzem o prostym języku. Można było na nim polegać, znał Arktykę i jej mieszkańców, Eskimosów. Po tygodniu spędzonym na morzu Smith powiedział Gusowi, że Crozier jest myśliwym, który potrafi upolować karibu i tropić lisy. Crozier podobno również śpiewał czysto i jasno, tańczył z kobietami Eskimosów i grywał na flecie. Opowiadał ciekawe historie, wystawiał też sztuki teatralne. Był wesołym człowiekiem. Smith wszystkich tych

informacji udzielał w nocy, leżąc w hamaku nad Gusem, gdy statek kołysał się i przechylał. Tak, kapitan był wesołym człowiekiem, jeśli nie miał humoru pod psem, co zdarza się każdemu mężczyźnie pozbawionemu towarzystwa kobiet.

- Oczywiście - powiedział kiedyś Smith, gdy jedli przy stole w kambuzie - nigdy nie będzie dowodził ekspedycją, jak Franklin.

Gus łąpczywie połknął ostatni kawałek chleba.

- Dlaczego? - spytał.

- Nigdy jeszcze nie dowodził. Nie jest prawdziwym dżentelmenem.

- Przecież jest! - sprzeciwił się Gus.

Smith roześmiał się.

- Nie urodził się w bogatej angielskiej rodzinie - wyjaśnił. - Jest, tak jak my wszyscy, tylko balastem. Ale to najlepszy marynarz, jakiego kiedykolwiek znałem. Przeżył na statku sztormy, pożary, widział potwory; dotarł nawet na Wschód. Nie nadadzą mu jednak szlachectwa, jak Rossowi. Nie zaprowadzą go do Jej Wysokości. Nie jego.

Przy stole zapadła cisza.

- Nie jestem żadnym balastem - odezwał się w końcu Gus.

- Wszyscy nim jesteśmy, chłopcze - odparł Smith. - Myślisz, że spłynie na nas chwała, gdy wrócimy do Anglii? Tak myślisz? Myślisz, że znajdziesz się w towarzystwie wytwornych dam? Myślisz, że Parlament przyzna ci nagrodę? Że będzie parada na twoją cześć? - Smith zaczął się śmiać. - Nie będzie. Dla Croziera też nie.

Dwaj marynarze siedzący naprzeciwko skinęli potakująco głowami.

- Nie martw się, mały - dodał Smith, wycierając cynowy talerz rękawem. - Balast jest na statku potrzebny.

\*

Podróż przez Atlantyk była burzliwa.

*Erebus* szybko płynął po wzburzonym morzu, co jakiś czas niknąc z oczu załogi *Terrora*. Dwudziestego siódmego czerwca, gdy okrążali Grenlandię, pojawiła się gęsta mgła. Z pokładu *Terrora* nie dało się nic zobaczyć, nawet mocnego, małego *Baretto Juniora*, transportowca, który towarzyszył statkowi.

Gdy tego ranka Gus pojawił się na pokładzie, razem z nim przy relingu stanął Wildfinch, dziewiętnastolatek z Woolwich, który od początku rejsu cierpiał na chorobę morską i dopiero teraz, przy małej fali, po raz pierwszy wyszedł na pokład.

- Czy są tu Eskimosi, Gus? - spytał.

- Tak - odparł Gus. - Na brzegu. I Duńczycy.

- A gdzie wejdziemy do portu, w Disko?

- Tak.

Wildfinch odwrócił się. Miał szeroką, płaską twarz, rzadkie włosy i skórę pełną czerwonych plamek, jak gdyby pogryzły go pchły. Torrington powiedział, że Wildfinch pochodzi z Whitechapel, które Gus znał jedynie ze słyszenia. Chodziły plotki, że matka Wildfincha była zbieraczką nieczystości i nocami przemierzała ulice w poszukiwaniu odchodów zwierzęcych, które następnie sprzedawała garbami. Inni twierdzili, że to tylko żart, ale Gus i tak uważał, że lepsze już zbieranie nieczystości niż inne zajęcia mieszkańców Whitechapel. Przynajmniej matka Wildfincha nie była kobietą uliczną ani złodziejką.

Żał mu się zrobiło chłopaka, który, choć siedem lat starszy od niego i ze trzydzieści centymetrów wyższy, wydawał się całkiem zagubiony.

- Czy oni są dzicy? - spytał Wildfinch.

- Kto?

- Ci Eskimosi.

Gus uśmiechnął się.

- Nie tak dzicy jak niektórzy mieszkańcy Whitechapel - powiedział.

Wildfinch zaczerwienił się.

- To dobrzy myśliwi - dodał Gus. - Wkrótce się pokażą. Będą chcieli wymienić rzeczy. Możesz im coś dać, mydło, świece czy ubranie, a oni dadzą ci na przykład kapciuch na tytoń. Szyją piękne rzeczy ze skóry. Znakomicie wyprawiają też futra.

Wildfinch spojrzał na wschód, w kierunku wybrzeża, ukrytego w szarej mgle.

- Myśliwi... - powtórzył.

Następnego dnia, gdy mgła ustąpiła, załogi statków widziały się wzajemnie i z wielką pompą podpłynęły do wybrzeża Grenlandii. Marynarze ujrzeli pierwszy śnieg i pływające góry lodowe. Specjaliści od lodu na obu statkach pomagali w nawigacji; Crozier godzinami przebywał na pokładzie.

Trzydziestego czerwca minęli sześćdziesiąty szósty równoleżnik szerokości geograficznej północnej.

Z kajuty Croziera przyniesiono małą walizeczkę i wypakowano pierwszą puszkę. Gus widział, jak niewielki miedziany walec wpada do morza.

Czwartego lipca byli już w Disko. W porcie panowało zamieszanie. Wszystko z transportowców wyladowano i przeniesiono na *Erebusa* i *Terrora*. Dziesięć wołów przywiezionych ze Stromness wyprowadzono z *Baretto* i zarżnięto w doku. Gus zszedł wraz z wieloma innymi mężczyznami i pomógł sprawić mięso, które następnie włożono do ładowni.

Nie przeszkadzały mu wnętrzności ani krew. Przywykł do tego na statkach wielorybnych, gdzie rozbierano wieloryby na pokładzie i gdzie klęczał w ciepłym jeszcze tłuszczu, otoczony stosami mięsa. Nigdy nie przyszło mu do głowy, by stawiać sobie pytanie o konieczność zabijania innych stworzeń, więc trzymał sznury, na których uwiązane były woły i tłukł zwierzęta po łbach, gdy się szarpały. Nie było w tym nic złego. Mięso to przeżycie. I tylko to się liczyło.

Kiedy było już po wszystkim, statki głęboko zanurzyły się w wodzie, obciążone prowiantem i węglem. Rozpogodziło się; na niebie świeciło słońce. Chodziły słuchy, że lód nie skuwa drogi na zachód; było bardzo ciepło, na południu woda też będzie cieplejsza, a podróż łatwiejsza, niż się spodziewano. Góry pływające w Morzu Baffina miały o tym świadczyć. Przejście jakby czekało na nich, otwarte podczas arktycznego lata. Mówiono, że za niecałe osiem tygodni statki znajdą się u wybrzeży Alaski.

Odplynęli z Grenlandii dwunastego lipca.

Atmosfera na *Terrorze* była zupełnie inna niż ta, do której przywykł Gus podczas wypraw na wieloryby. Pewnej nocy na pokładzie odbyła się nawet uroczystość, były modły i śpiewy, a następnie tańce.

Marynarze czuli ostre powiewy lodowatego wiatru, smagającego ich ciała. Morze było przejrzyste, góry lodowe przepiękne, a żagle olśniewały bielą. Wszyscy czuli się tak, jak gdyby płynęli na jakimś niebiańskim statku w niebiańskim oceanie, z boskim błogosławieństwem. Byli najszczęśliwszymi z ludzi. Jedyne, co w tych dniach mąciło Gusowi radość z żeglowania, to Crozier.

Każdego dnia kapitan do późna stał na pokładzie, spoglądając na morze. W dniu, w którym weszli do Cieśniny Lancastera i powitali statek wielorybny *Enterprise*, Gus po raz pierwszy ujrzał dziwny wyraz twarzy Croziera. Gdy ten dostrzegł chłopca, starał się przybrać zwykły wyraz twarzy, nawet się uśmiechnął i skinął mu głową. Zszedł pod pokład, a Gus patrzył za nim, poważnie zmartwiony, zmartwiony bardziej niż kiedykolwiek dotąd w tym rejsie. A to dlatego, że w oczach kapitana nie było wiary w boską łaskę ani dumy ze statku, ani podniecenia z powodu odkryć, których mieli dokonać. W jego oczach widniał tylko strach.

## 6

Telefon zadzwonił tuż po północy.

Jo z trudem wyrwała się ze snu.

- Halo...?

- Jo, tu Gina.

- Boże, która godzina?

- Jeszcze nie ma pierwszej.

- Gdzie jesteś?

- W pracy. Słuchaj...

Jo przetarła twarz dłonią.

- Co ty, do cholery, robisz o tej porze w pracy?

- Uważasz, że jest późno? - spytała Gina. - Powinnaś popracować w prawdziwej gazecie. - Jo wykrzywiła się do słuchawki. - Słuchaj, znaleźli go!

- Kogo?

- A jak myślisz? Marshalla.

Oprzytomniała.

- Douga Marshalla?

- No jasne! Zamrożony niemal na kość, ale żywy.

Dzięki ci, Boże, pomyślała Jo, zaskoczona swym nagłym wzruszeniem.

- A przewodnik? - spytała.

- Marshall złamał nogę - mówiła Gina. - Znaleźli ich dzięki temu Inuitowi. To dopiero bohater! Zabrali Marshalla jakąś godzinę temu.

Jo przez nie dociągnięte zasłony zerknęła na niebo, ale nie dojrzała nic oprócz chmur, żółtawych od świateł miasta.

- Jesteś tam? - spytała Gina.

- Jestem. - Wysunęła nogi spod kołdry. - Kiedy ma się pojawić w Anglii?

Niemal widziała, jak Gina się uśmiecha.

- Jadę do domu - usłyszała tylko. - Sama zajmij się swoim tematem, dziewczyno.

\*

Noc była piękna. John pomyślał, że chyba nigdy jeszcze nie widział tak pięknej nocy, lecz gdy potknął się, dochodząc do rogu Trinity Lane, tuż za Bramami Gajusa, doszedł do wniosku, że pewnie jest pijany.

Oparł się o ścianę, a idąca przed nim Catherine zatrzymała się i spojrzała pytająco.

- Mam kamień w bucie - wyjaśnił.

Catherine Takkiruq roześmiała się cicho, nie dała się nabrać.

- Hej! - zawołał.

- Co?

- Podejdź tutaj.

Ledwie widział jej twarz w cieniu, ale dostrzegął niebieski połysk włosów dziewczyny w świetle rzucanym przez uliczne lampy.

- Idź prosto, spróbuj się nie zataczać - mruknęła, na wpół z rozbawieniem, na wpół z naganą.

Zrobił, co mu kazała, najlepiej jak potrafił.

W końcu dotarli do jego ulicy i zatrzymali się w drzwiach budynku, w którym mieszkał. John spojrział w niebo i ujrzał gwiazdy między chmurami.

- Idę do domu - oznajmiła Catherine. Wyciągnęła rękę.

- Idę - powtórzył. - Popatrzył na jej dłoń, potrząsnął nią z uczuciem własnej śmieszności. Miał ochotę całować tę dziewczynę, a nie ścisnąć jej rękę. - Nie możesz mnie zostawić - powiedział. - Miałem ci pokazać materiały na temat Franklina.

- Może innym razem...

Przełękł się, że nigdy już jej nie zobaczy.

- Nie zdążyłem ci podziękować - rzekł. - Ani za tę wiadomość, ani za wszystko inne.

Roześmiała się.

- Podziękowałeś mi ze dwadzieścia razy, Johnie - przypomniała. - I postawiłeś mi cztery drinki. Cały wieczór mi dziękowałeś, za każdym razem, gdy tylko ktoś ci stawiał. A teraz pójdę do domu, dobrze?

Kiedy się odwracała, złapał ją za rękę.

- Ja też tam pojedę - oświadczył nagle.

- Dokąd? - spytała.

- Tam, skąd pochodzisz. Na Wyspę Króla Williama.

Zsunęła jego dłoń ze swej ręki.

- Pochodzę z Arctic Bay - przypomniała mu. - Ale wyprowadziłam się stamtąd, kiedy miałam sześć lat, zapomniałeś już?

- Tam też pojedę - obiecał. - To mój sekret. Teraz go znasz i ty.

- Dziękuję, że mi się zwierzyłeś. - Oparła się o ścianę.

- Nie - odparł, usiłując wytrzeźwieć. - To ja ci dziękuję. Twojemu tacie i w ogóle. Że przysłał ci e-maila, zawiadamiając o uratowaniu taty, zanim ta informacja trafiła do prasy.

- To już dwudzieste pierwsze podziękowanie - zauważyła. Nie była jednak zniecierpliwiona. - François jest kuzynem taty.

- Dzielny człowiek. Uratował życie mojemu ojcu.

- Może - powiedziała. Wbiła wzrok w chodnik, uśmiechając się lekko.



John wyprostował się.

- Wejdz na górę - poprosił. - Chcę ci coś pokazać. Wiem wszystko o twoim kraju, znam te wszystkie miejsca. Mam mnóstwo materiałów. Tylko na minutę, naprawdę. Potem odprowadzę cię do domu. Obiecuję.

Zawahała się.

- Na minutę - ustąpiła w końcu.

Weszła za nim po schodach. Kiedy dotarli do jego drzwi, obejrzał się, czując w sercu lekkie ukłucie pożądania. Chwilę później grzebał przy zamku, ale drzwi otworzyły się od środka.

Stała w nich Amy. Popatrzyła najpierw na niego, potem na Catherine. Poczzerwieniła na widok dziewczyny, i cofnęła się.

- Wejdzcie - powiedziała. - Ja już wychodzę.

John rozłożył ręce.

- Amy, to Catherine Takkiruq - oznajmił. Widok poważnej twarzy Amy podziałał na niego jak kubek zimnej wody; nagle poczuł się zupełnie trzeźwy.

- Doprawdy? - spytała Amy. Przeszła przez pokój i wzięła swój plecak.

- Usłyszała o tacie i przyszła mi powiedzieć... - tłumaczył John.

- Doprawdy? - powtórzyła Amy. - To świetnie.

- Posłuchaj... - zaczął John.

Amy machnęła ręką, żeby go uciszyć.

- Pomyślałam, że wpadnę i zobaczę, jak on się czuje - poinformowała z kamienną twarzą, patrząc wprost na Catherine. - Chyba jednak mnie uprzedziłaś.

- Przykro mi - powiedziała Catherine.

- A nie powinno.

- Daj spokój - wtrącił się John. - Usiądź.

Amy oderwała wzrok od rywalki i spojrzała na niego.

- Siedziałam przez ostatnie trzy godziny - powiedziała. - Czekałam na ciebie.

- Dzisiaj nie pracowałem - mruknął. - Świętowałem.

Zapadła niezręczna cisza. Catherine wyglądała tak, jakby miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Powinnam cię uprzedzić - zwróciła się do niej Amy. - Dużo się naczekasz na niego, bo on zawsze jest tam. - Machnęła ręką w kierunku biurka i zgromadzonych na nim książek. - Czuj się mile widziana - dodała.

John ruszył w jej kierunku, ale Amy zdążyła mu umknąć i już zbiegała po schodach.

- Amy! - zawołał. - Amy!

Za odpowiedź musiało wystarczyć mu trzaśnięcie drzwiami wejściowymi, a także pełen dezaprobaty pomruk, dochodzący zza sąsiednich drzwi.

- Cholera! - mruknął John.

- Chyba już pójde - odezwała się Catherine.

- Nie! - zawołał. - Proszę, nie. Wejdz. To nie jest tak, jak ci się wydaje. Nie zapraszałem jej.

- Miała klucz - zauważyła Catherine.

- Tak, ale... - Zrozpaczony, wszedł z powrotem do pokoju. - Wejdz, zamknij drzwi. Przepraszam za to wszystko.

Catherine rozglądała się po pokoju. Biurko zasłane było papierami, niektóre pospadały na podłogę. Nad biurkiem wisiały hydrograficzne mapy wybrzeży Kanady. Kserokopię planu *Erebusa* przyczepiono taśmą do ściany nad łóżkiem.

John podążył wzrokiem za spojrzeniem dziewczyny.

- To był okręt wojenny, zanim wysłali go na Arktykę - powiedział.

- Wiem - mruknęła.

John przysiadł na łóżku. Dotąd żadna dziewczyna nie miała pojęcia, o czym mówił. Fakt, że Catherine Takkiruq dobrze wiedziała, czym był *Erebus*, głęboko go poruszył.

- Zraniłeś uczucia swojej przyjaciółki - stwierdziła Catherine.

Podeszła do biurka i wzięła do ręki pierwszą z brzegu książkę, otworzyła ją i przejrzała kilka stron.

- *Pustkowia Kanady* - przeczytała tytuł. Podniosła inną. - *Historia kanadyjskiego zachodu do roku 1871, czyli historia Ziemi Ruperta, Terytorium Zatoki Hudsona i Terytorium Północno-Zachodniego*.

- Kupuję je - poinformował John.

- To antykwaryczne książki.

- To moja specjalność.

Usiadła na brzegu biurka, patrząc w milczeniu na Johna.

- Mówiłem poważnie - powiedział. - Pewnego dnia pojedę tam. I odnajdę Franklina.

Catherine roześmiała się.

- Odnajdziesz Franklina? Jak zamierzasz tego dokonać?

- Może twój ojciec mi pomoże.

Jej twarz się zachmurzyła. Po dłuższym milczeniu dziewczyna odezwała się:

- A więc dlatego towarzyszysz mi przez cały wieczór - powiedziała w końcu. - Ale

Arctic Bay nie znajduje się w pobliżu Gjoa Haven. Gjoa Haven, w okolicach której zniknął Franklin, leży na Wyspie Króla Williama. Zmarnowałeś wieczór. Mój ojciec na nic ci się nie przyda.

Ruszyła ku drzwiom. John zerwał się na równe nogi.

- Nie, to nie dlatego! - zapewnił. - Nie usiłuję przez ciebie skontaktować się z twoim ojcem.

- Mój ojciec poluje na narwale - odparła. - Nie na Franklina. Mieszka setki kilometrów od miejsca, w którym zaginął twój bohater. Zmarnowałeś niepotrzebnie czas.

- Źle mnie zrozumiałaś. Zapomnij o tym. Niepotrzebna mi żadna pomoc. Sam dam sobie radę.

- Doprawdy? - spytała. - Niby jak?

- Jakoś.

Stała, patrząc na niego, z ręką na biodrze.

- Ludzie nie dokonują takich rzeczy sami - stwierdziła.

- Ja to zrobię.

- Teraz wiem, że jesteś po prostu szalony. - Potrząsnęła z dezaprobatą głową.

- No i co? - Wzruszył ramionami. - To jestem.

- Kiedy zamierzasz się tam wybrać? - dopytywała się. - W kwietniu, jak teraz? Śnieg jest za głęboki. Może w czerwcu? Odwilż. Wiesz, co to oznacza? Lód się rozpuszcza. Nie da się po nim przejść. Lipiec, sierpień? - Potrząsnęła głową. - Ja jeżdżę w sierpniu, tyle że trzeba nauczyć się znosić komary.

- Znajdę ich - powtórzył. - Zrobię coś, co nie udało się nikomu. To właśnie zrobię. Możesz się śmiać, jeśli chcesz. A ja i tak znajdę jakiś sposób.

- John - powiedziała Catherine. - Nikt ich nie znajdzie. Zniknęli. I statki Franklina, i cała załoga.

Jej spojrzenie powędrowało na moment do obrazka z *Erebusem*.

- Wiesz, czym jest Wyspa Króla Williama? - zapytała cicho. - To fragment ziemi na końcu świata. Całymi dniami trzeba wędrować z Gjoa Haven na zachodni brzeg. A potem co? Przejdziesz sam po lodzie? To idiotyzm.

- Może jestem idiotą - odparł, zraniony do żywego.

Powędrował z powrotem do łóżka i spojrzął na obrazek.

W panującej ciszy Catherine słyszała, jak ktoś przechodzi ulicą. Potem kroki ucichły.

- Od najmłodszych lat chciałem się tam dostać przed nim - powiedział John, nie patrząc na nią.

- Przed kim? - zapytała.

Nie odpowiedział.

- Przed kim? - nalegała.

Potrząsnął głową.

Catherine podeszła bliżej, dotknęła jego ramienia. Popatrzył na nią.

- John, czego ty tak naprawdę szukasz?

Zamiast odpowiedzieć, ujął jej rękę. Potem, bardzo łagodnie, przyciągnął dziewczynę do siebie i pocałował. Jego oczy były pełne łez.

- Jesteś śliczna - wyszeptał.

Uśmiechnęła się, poruszona widokiem łez, choć niezupełnie rozumiała ich przyczynę.

- Nieprawda - powiedziała.

- Oczywiście, że jesteś.

Spojrzała w dół na ich połączone ręce.

- Może jestem tylko egzotyczna - odparła. - Po prostu i n n a.

- Do kogo jesteś podobna? - spytał. - Do ojca czy matki?

Tego wieczoru opowiedziała mu nieco o swoim pochodzeniu. Jej ojciec był czystej krwi Inuitem, matka Amerykanką, pracującą w przedsiębiorstwie zajmującym się wydobyciem ropy naftowej. Byli małżeństwem przez kilka lat, a gdy się rozwiedli, Catherine z matką przyjechała do Londynu. Kiedy zaczęła studiować w Cambridge, matka wróciła do Waszyngtonu, gdzie dostała awans.

- Mój ojciec nie jest zbyt wysoki - mruknęła Catherine w odpowiedzi na pytanie Johna. - A matka tak. - Uśmiechnęła się. - To dziwna para.

- Czy się widują?

- Nie. Pewnie piszą do siebie dużo e-maili. Żeby się kłócić.

John odwzajemnił jej uśmiech.

- Zupełnie jak moi rodzice - powiedział.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Jesteś taki jak twój ojciec. - Ku jej zaskoczeniu, John spochmurniał. - Chyba masz takie same oczy. I uśmiech, bardzo ładny.

Komplement nie odniósł oczekiwanego skutku. John uciekł wzrokiem w bok.

- Jak jest teraz w Arctic Bay? - spytał. - Jasno?

- Tak - odparła, nieco zdumiona nagłą zmianą tematu.

- Czy kiedy wraca słońce, nie jest zimniej? - dopytywał się. - Czytałem o tym.

- Czasami.

- Czasem wydaje się, że słońce wychodzi wcześniej, jak na Nowej Ziemi, wydaje się, że to tylko złudzenie...

Catherine wysliznęła się z jego uścisku.

- Czy to prawda? - spytał.

- Skąd mam wiedzieć?

- Musisz wiedzieć. Wychowałeś się tam.

- Odkąd skończyłam sześć lat, mieszkam w tym kraju - odparła.

- Ale wracasz tam co roku. Sama mówiłaś.

- No tak...

- A więc wiesz - przerwał jej. - Wiesz więcej ode mnie. Czy dzieci nie chodzą wokół igloo, kiedy słońce pojawia się po zimie? Czy nie zdmuchują płomieni lamp i nie wyjmują starych knotów, żeby włożyć nowe?

Popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek.

- Skoro tak twierdzisz...

Zdumiało go to.

- A ty nie wiesz o tym? - spytał.

Znowu zapadła cisza.

- Chyba już pójdę - oznajmiła Catherine. Płynnie podeszła do drzwi.

- Poczekaj chwilę! Poczekaj - zawołał. Usiłował chwycić ją za łokieć. - Co ja takiego zrobiłem?

Widział doskonale, że jest zła; drżał jej mięsień w kąciku ust.

- Nie powinnam była wchodzić - rzekła w końcu. - Ani zostawać, kiedy zobaczyłam twoją dziewczynę. To było żenujące.

- Przepraszam - zaczął. - Ale to nie jest moja prawdziwa dziewczyna. To znaczy, nie wiedziałem, że tu będzie...

Zaczerwienił się, słysząc, jak to zabrzmiało.

- I jeszcze to, co mi powiedziała - dodała Catherine z zamyśleniem. - „On zawsze jest tam”. - Pokiwała głową. - Ona ma rację. Jestem tylko czymś w rodzaju przejścia, przez które chcesz się dostać tam, gdzie pragniesz być.

- Nie! - zaprzeczył. - Nie!

Otwierając drzwi, odwróciła się na pięcie.

- A może masz ochotę na miłą Eskimoskę? - spytała. - Taką jak te, które znał Crozier, znakomite do tańca?

John zaczął protestować.

- Załoga lubiła te dziewczęta, prawda? Nie miały takich zasad jak chrześcijanki - dokończyła Catherine.

Zdażyła otworzyć drzwi i wychodziła już na schody. John musiał ją obejść i stanąć stopień niżej, żeby zagrozić jej drogę.

- Mylisz się - powiedział, głęboko urażony jej słowami.

- Czyżby? - odparła. - To może wyrusz wreszcie w pogoń za swoją mrzonką, Johnie. Spróbuj rozwiązać tę zagadkę. Jedź samotnie polować, człowieku lodu.

- To nie tak... - zaczął.

- Nie? A jak? - spytała. - Mam ci opowiadać *irinaliutit*, śpiewane historie, żeby zrobić z ciebie Inuita?

- Nie...

- Nauczyć cię półśmiechu na powitanie słońca?

- Nie, ja...

- Mam amerykańskie obywatelstwo, Johnie - powiedziała. Zaczerwieniła się, aż po samą szyję. - Jasne, raz w roku jeżdżę odwiedzić ojca, który jest Inuitem, ale nie takim jak kiedyś, nie ma nic wspólnego z Eskimosami Franklina. Zapomniał nawet pewnych rzeczy, których uczył go jego ojciec. Należy do t e g o stulecia, Johnie. Nie jest częścią twojego marzenia. - Skinęła głową w kierunku pokoju Johna. - Zgoda, ma sanie i poluje, ale jest wegetarianinem. Wiesz dlaczego? Bo dziesięć lat temu miał problemy z alkoholem, a teraz ma problemy z wątrobą. Więc daj sobie z tym wszystkim spokój.

John zrobił krok naprzód i położył ręce na jej ramionach. Oddychała szybko ze złości.

- Wybacz mi - poprosił.

Odwróciła wzrok.

- Mam głowę nabitą tymi sprawami - powiedział. - Nie chcę cię do niczego wykorzystać. Nie chcę okazać braku szacunku twojemu ojcu ani też prosić go o pomoc.

Catherine na chwilę zamknęła oczy.

- Nie masz pojęcia, jaka jestem zmęczona - wyszeptała. - Tutejszymi facetami, którzy...

- Wiem - przerwał.

- Nie wiesz.

Ujął jej rękę i pocałował ją.

Miał zamiar ustąpić z drogi, ale dotyk skóry Catherine sprawił, że znieruchomiał. Poczul się tak, jak gdyby przeszył go prąd. Odsunął jej rękę od ust, nie mając odwagi spojrzeć w twarz dziewczyny, i odwróciwszy jej dłoń, delikatnie potarł kciukiem smukłe palce.

- Nie chciałbyś się znaleźć w takim zimnie, Johnie - wyszeptała. - Myślę, że zimno jest w tobie, i chcesz się go pozbyć. Zimno jest w twoim sercu. Twój ojciec... - przerwała, gdy spojrzał prosto w jej twarz.

- Mój ojciec nie ma serca - powiedział.

## 7

Niedźwiedzica zniknęła z Wyspy Księcia Leopolda, nieopodal przylądka Clarence.

Kiedy w tysiąc osiemset czterdziestym piątym roku statki minęły półwysep Borden, wypływając z Cieśniny Lancastera, Franklin z pewnością widział tysięcmetrowe góry, otaczające Arctic Bay. W sezonie było tu pełno narwali, orek, wielorybów, fok i morsów.

Dzień był przejrzysty i zimny - temperatura wynosiła minus trzydzieści stopni, ale w słońcu wydawało się cieplej. Kilometr za Pływaczką ciągnął samiec, dojrzały samiec o wadze ponad pół tony, który unikał jej, gdy nie była w rui. Zespół wyruszył, żeby ją oznakować.

Richard Sibley siedział w helikopterze za głównym biologiem, razem z jego asystentami. Chodziło o to, żeby przymocować radiowe obroże telemetryczne młodym samicom, które jeszcze nie miały potomstwa. Pływaczkę mieli uspić z powietrza, kiedy już minie otwarte wody. Nie chcieli, żeby niedźwiedzica skoczyła do wody pod wpływem środka odurzającego.

Kiedy przelatowali nad nią, niespodziewanie rzuciła się do biegu. Była szybsza niż skuter śnieżny; czuła się pewnie na zwałach śniegu, między którymi pojazd musiałby lawirować. Zastosowali lotkę kalibru 0.22. Strzelec musiał wychylić się przez otwarte drzwi maszyny.

Pływaczka przyspieszyła kroku. Jakby starając się uniknąć strzału, lekko skrzyła. Kiedy strzykawka ze środkiem usypiającym trafiła ją w bok, samica nie zaprzestała ucieczki. Utrzymywała to samo równe tempo, spod jej łap wzbijały się tumany śniegu. W pewnej chwili zwolniła. Tylne kończyny zaczęły zdradzać oznaki działania leku. Starła się kontynuować bieg, lecz w końcu poddała się, legła na lodzie i zapadła w głęboki sen.

Na oślepiającym, biało-niebieskim śniegu pobrali próbki jej krwi i sprawdzili grubość sadła, przepuszczając przez nie strumień prądu elektrycznego. Ustalili, że niedźwiedzica ma cztery punkty w skali Qeuteleta, przy średniej grubości tkanki tłuszczowej dochodzącej do piątki. Zwierzę najwidoczniej sprawnie polowało i dobrze się odżywiało. Zauważyli niezwykle rozrost części zadniej i barków niedźwiedzicy. Gdyby była człowiekiem, miałaby budowę atlety. Zarys jej mięśni był widoczny nawet wtedy, gdy leżała nieruchomo. W celu

oznakowania jej na stałe zrobili jej na wardze tatuaż, a na plecach namalowali numer.

Po zakończeniu pracy Richard Sibley odsunął się od zwierzęcia. Jak zwykle, miał kłopoty z robieniem zdjęć w niskiej temperaturze; od jego oddechu aparat pokrył się szronem i istniało niebezpieczeństwo, że na obiektywie osiadzie warstewka lodu. Wsunął na chwilę aparat pod pachę i przyglądał się obroży założonej niedźwiedzicy. Naukowcy przewrócili Pływaczkę na bok i teraz jej szyja rozciągała się na lodzie, a przednia łapa unosiła się w powietrzu. Piękno i siła tego zwierzęcia były imponujące.

Sibley zmrużył oczy, wpatrując się w śnieg. Starał się rozplanować ujęcie. Wykorzystał cały film, fotografując zbliżenia głowy, uszu i łap zwierzęcia, pazurów na śniegu, obroży na futrze, ludzkiej ręki na jej boku, strzelby, tatuażu. W końcu sfotografował z pewnej odległości niedźwiedzicę na tle bezkresnej białej przestrzeni.

Stracił czucie w stopach i rękach. Na twarzy czuł niepokojące drętwienie, rozchodzące się od ust. Wrócił do helikoptera, wciskając twarz w rękaw kurtki. Nagle poczuł pragnienie opuszczenia cieśniny. Chciałby już wrócić do Winnipeg. Nie potrafił wyjaśnić przyczyny ucisku w klatce piersiowej, dopóki nie wzbili się ponownie w powietrze i nie spojrział na ziemię, gdzie samica poruszała się już na śniegu.

Czuł się tak, jakby uczestniczył przed chwilą w sprawnie przeprowadzonym napadzie na to zwierzę. Odniósł raptem wrażenie, że jest ono lepsze od ludzi. Żyje w świecie, którego on nigdy nie pozna naprawdę; wydawało mu się, że niedźwiedzica zna jakąś odwieczną prawdę, nie znaną ludziom.

Otrząsnął się z tych irracjonalnych rozważań i kiedy przelatywali nad Cieśniną Barrowa, kierując się w stronę Resolute, zaczął w myślach przygotowywać się do napisania uaktualnionego tekstu do strony internetowej oraz do odpowiedzi, której udzieli chłopakowi o nazwisku John Marshall.

## 8

Morze wydawało się przejrzyste, ale Jo nie mogła na nie patrzeć. Był koniec tygodnia, a ona siedziała za pilotem w helikopterze „Dauphin”, wciśnięta między Johna Marshalla i sanitariusza. Większość czasu spędzała z zaciśniętymi kciukami, wpatrzona we fragment tablicy rozdzielczej widoczny między pilotem i nawigatorem.

W ten piękny dzień nad północnym Atlantykiem widoczność była nieograniczona. W dole przelewały się spienione fale, wiatr był łagodny, niebo bezchmurne. Od pewnego czasu na południu Grenlandii utrzymywała się rewelacyjna pogoda, dzięki czemu lot był



komfortowy.

- Macie szczęście - powiedział pilot, kiedy znaleźli się nad oceanem.

Jo skurczyła się w fotelu.

- Nie chcę nic widzieć - poinformowała go, ale jej słowa rozplynęły się w ryku silników, gdy „Dauphin” zanurkował.

Zerknęła na Johna Marshalla. Jeśli to w ogóle możliwe, wyglądał jeszcze gorzej niż ona; siedział z głową ukrytą między kolanami. Trąciła go w ramię.

- Lubisz latać? - zapytała.

Wzruszył ramionami. Przyjrzała mu się z boku. Był bardzo podobny do ojca: wysoki, szczupły, jasnowłosy. Zastanawiała się, czy Doug ma taki sam wyraz twarzy, pełen dystansu. Ojciec Johna wydawał się pełen wdzięku i humoru, ale może był to tylko jego publiczny wizerunek?

Kiedy tego ranka po raz pierwszy zobaczyła Johna, towarzyszyła mu jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie Jo w życiu widziała. Przedstawiona jej przez Johna, Jo nieświadomie obciągnęła na sobie niekształtny anorak i wyprostowała się jak struna. Niemal w tej samej chwili pomyślała, że nie ma to żadnego znaczenia. Niezależnie od tego, jakby się wyciągała, nie sięgnęłaby nawet do ramienia Catherine Takkiruq. Co gorsza, nie potrafiła poczuć niechęci do dziewczyny za jej olśniewający wygląd. Catherine była po prostu urocza.

Jo znowu trąciła Johna, podnosząc głos.

- Czy twoja dziewczyna jest Rosjanką? - zapytała.

- Co?

- Pochodzi z Syberii?

Uśmiechnął się i potrząsnął przecząco głową.

- Jest Kanadyjką. Inuitką - wyjaśnił.

Oczywiście! - pomyślała Jo. Jaką inną dziewczyną mógłby zainteresować się ktoś o nazwisku Marshall?

- Jest niesłychanie atrakcyjna - powiedziała.

Oczy Johna zdradzały, że myśli podobnie.

„Dauphin” był coraz głośniejszy, zanurzając się w nieskończonej błękitnej przestrzeni. Jo wyciągnęła z kieszeni zmiętą fotografię Douga i pokazała ją Johnowi.

- Spójrz - powiedziała. - Czy to ta puszka, którą twój ojciec znalazł?

John przez długi czas wpatrywał się w fotografię.

- Tak - potwierdził w końcu. Zamknął oczy i odwrócił głowę.

Jo popatrzyła na niego znad zdjęcia, zdumiona jego przedłużającym się milczeniem.

Wepchnęła do kieszeni fotografię, czując nieokreślony niepokój.

Przez kilka ostatnich dni dowiedziała się sporo o odkryciu dokonanym przez Douga Marshalla, odkryciu, które uczyniło go sławnym. Znalazła artykuł, który napisał do branżowego czasopisma. Przeczytała w nim, jak Marshall natknął się na puszkę podczas poprzedniej wyprawy na Grenlandię. O tym, że znaleziono jedynie dwie takie puszki ze statków Franklina - jedną w Egedesminde, na zachodnim wybrzeżu Grenlandii, w lipcu tysiąc osiemset czterdziestego dziewiątego roku. Drugą znalazł Doug Marshall, w Sarfannguag, w sierpniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku. Puszki, wyrzucane za burtę w regularnych odstępach, były czymś w rodzaju specjalnego oznakowania szlaku podróży. Znajdowały się w nich kartki z podanymi datami i pozycjami statku. To, że pojemniki zniknęły, przez wiele lat zdumiewało historyków, aż wreszcie Douglas Marshall znalazł jeden z nich, zawierający notatkę Croziera, zastępcy Franklina.

Właśnie o tym Jo chciała przede wszystkim porozmawiać z Marshalllem. O zagadkowej wiadomości Croziera, rzuconej z *Terroru* w lipcu tysiąc osiemset czterdziestego piątego roku. Statki znajdowały się wtedy w Cieśninie Lancastera, za północnym krańcem Wyspy Bylota, szybko zmierzając na zachód, wprost do piekła.

Jo zadrżała.

Ryk silników zagłuszał wszystko. Mimo wkładek do uszu jazgot wirników wdzierał się w jej rozdygotane ciało; drgania czuła nawet w kręgosłupie. Lot trwał już od pięćdziesięciu minut, a Jo niemal nieustannie patrzyła na zegarek. Sanitariusz przesłał jej wątyły uśmiech. W lodówce na podłodze wiózł hermetycznie zamknięty zapas krwi i co jakiś czas opierał nogę o tę lodówkę.

Jo marzyła, żeby było już po wszystkim. Obok niej John Marshall najwyraźniej zapadł w sen, wylękniony tą podniebną podróżą.

Jo pamiętała, że kiedyś także bała się latać. Miała wówczas osiemnaście lat, wracała wraz z wycieczką z Korfu. Złapała ich burza nad Adriatykiem. Samolot nurkował i skręcał, opadając gwałtownie w dół, a błyskawice rozświetlały niebo tuż obok okna, przy którym Jo siedziała.

Uniosła wzrok i ujrzała, że patrzy na nią pilot, ze wzniesionym kciukiem, wskazując zarazem morze. Podążyła wzrokiem za jego gestem i ujrzała daleko przed sobą smukłą sylwetkę *The Fox*, fregaty typu 23 Marynarki Jej Królewskiej Mości. Statek zmierzał na południowy wschód po spokojnej tafli wody. Serce mocniej zabiło jej w piersi. Dzięki Bogu. Nareszcie! „Dauphin” znów zanurkował, a żołądek Jo podjechał do gardła. Zaciśnęła pięści i zęby.

Kilka minut później zeszli na pokład, pod wciąż obracającymi się łopatom wirnika. Smagana wiatrem i usiłująca się wyprostować na lekko przechylonym pokładzie, Jo uściśniła wyciągniętą dłoń oficera, który przybył ich powitać.

- Dobry lot?

Udała zadowolenie.

- Świetny - skłamała.

W hangarze ściągnęła wełnianą czapkę.

Naczelny lekarz uśmiechnął się do niej.

- Anthony Hargreaves - przedstawił się.

- Jo Harper - odparła. Spojrzała na Johna. - A to syn Douga Marshalla, John.

Obaj mężczyźni uściśnęli sobie dłonie. John nie odezwał się.

- Doprowadziliśmy go dla was do porządku - powiedział Hargreaves.

- Wszystko z nim dobrze? - zapytała Jo.

- Wczoraj wieczorem nastawiliśmy mu nogę. - Hargreaves zawahał się przez moment, po czym zerknął na Johna. - Nieprzyjemne złamanie.

- Możemy go zobaczyć?

- W każdej chwili.

Jo popatrzyła na Johna.

- Idź pierwszy.

- Nie przeszkadzasz mi - stwierdził John.

Nastąpił niezręczny moment. Jo była przekonana, że syn Douga pierwszy powinien się z nim przywitać i czuła się zażenowana tym wyraźnym - miała nadzieję, że tylko udawanym - brakiem troski o chorego. Obawiała się, że John wolałby, aby nie towarzyszyła mu w tej podróży żadna wścibska dziennikarka. Ale to przecież właśnie ona poruszyła niebo i ziemię, żeby się tu znaleźli.

Skontaktowała się z Johnem w Cambridge dzień po odnalezieniu Douga. Jego głos po drugiej stronie linii był pełen rezerwy.

- Nie znasz mnie - zaczęła, gdy tylko się przedstawiła.

- Matka mówiła mi o tobie - odparł John.

Od początku nie ułatwiał jej sytuacji.

- Usiłuję załatwić lot na statek - oznajmiła. - Znam kogoś w ministerstwie. Jeśli ktoś miałby tam jeszcze lecieć, to chyba ty i twoja matka...

Żadnej odpowiedzi.

- Chciałabym tam być - powiedziała. - Chciałabym zrobić wywiad z twoim ojcem.

- Nie zabiorą nas tam - odparł beznamiętnie John.

- Prawda, to dosyć niezwykle, ale...

- Nie zabiorą nas - powtórzył.

- Mimo wszystko spróbuję - powiedziała Jo. - Chciałam tylko wiedzieć, czy polecisz ze mną.

Znowu milczenie.

- Mogę - odezwał się w końcu.

- I Alicja?

- Nie - odparł.

Jo odłożyła słuchawkę z przekonaniem, że John Marshall jej nienawidzi. Mimo to kilkanaście godzin później ponownie do niego zadzwoniła.

- Ktoś na pokładzie potrzebuje krwi - powiedziała. - AB Rh minus. Możemy się zabrać z sanitariuszem.

- Dobrze - odparł John.

Odłożywszy słuchawkę, pomyślała: jeśli twój ojciec jest równie rozmowny, to po mnie.

Teraz zeszli po drabince pod pokład, skierowali się ku rufie, a następnie skręcili do szpitala okrętowego. To była mała kajuta, w której ledwie mieściło się biurko, szafki i podwójna koba w niszy.

Wzrok Jo powędrował do tablicy na ścianie. Znajdowała się tam fotografia ośmio- czy dziewięcioletniej dziewczynki. Widząc spojrzenie dziennikarki, Hargreaves postukał palcem w zdjęcie.

- To córka jednego z marynarzy - powiedział. - Kiedy staliśmy w porcie, wszystkim przebadano krew.

- Po co? - spytała Jo.

- Potrzebny jest dawca szpiku kostnego. Mała ma białaczkę.

- Och - mruknęła Jo. - Tak mi przykro.

Hargreaves podeszedł do koi i odsunął zasłonę. Doug Marshall spał, z ręką na czole. Kiedy podeszli do łóżka, otworzył oczy.

Pierwsze, co uderzyło Jo, to fakt, że wyglądał inaczej niż na fotografii.

- Wygląda pan młodziej niż na zdjęciach - powiedziała z uśmiechem i wyciągnęła dłoń. - Jo Harper.

John zrobił krok naprzód i przelotnie dotknął ramienia ojca, po czym cofnął się w głąb pomieszczenia.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Bywało lepiej - odparł ojciec.

Jo z zakłopotaniem patrzyła na obydwoh.

Doug spojrzal na nia.

- Jak pańska noga? - spytała.

- Dobrze. Nie wiem, jak do tego doszło. Tam, gdzie upadłem, był całkiem płaski teren - powiedział. - Płaski jak deska.

- No więc...?

- Pośliznąłem się na najłatwiejszym szlaku na świecie i spadłem w pięćdziesięciometrową rozpadlinę.

Jo uśmiechnęła się do niego. Właściwie to podświadomie oczekiwała popisów w rodzaju: „Walczyłem z naprawdę trudną skałą, no i...”

- Upadł pan na śnieg? - zapytała.

- Śnieg, ale pokrywający skałę.

Jęknęła.

- Właściwie lądowanie było miękkie - stwierdził. - W przeciwieństwie do spadania.

Skinęła głową.

- To było tydzień temu?

- Osiem dni.

Już to wiedziała, oczywiście, ale kiedy tak rozmawiała, zastanawiała się nad dalszymi pytaniami.

- I leżał pan przez osiem dni w śniegu?

- Trochę chodziłem. Znaleźliśmy schronienie.

Kątem oka ujrzała, że John zdejmuje kurtkę. Usłyszała jego westchnienie. Odwróciła się, by na niego spojrzeć. Ciężko opadł na krzesło, nie patrząc na nikogo z obecnych. Znowu odwróciła się do Douga.

- Chodził pan ze złamaną nogą? - zapytała ze zdumieniem.

- Wyszedłem z wody - odparł. - To wszystko.

Jo zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Kiedy pan znalazł się w wodzie?

- Gdy usiłowałem zejść ze skały.

Wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym wybuchnęła śmiechem.

- Wtedy nie wydawało mi się to zabawne - rzekł Doug.

- Spadł pan z łatwego szlaku na skały o pięćdziesiąt metrów niżej, a potem stoczył się

pan do wody? - spytała.

Doug zaczął się śmiać. Nareszcie rozpoznała twarz znaną sobie z telewizji, z wachlarzykiem zmarszczek wokół oczu.

- Niech pani to jakoś upiększy w gazecie, dobrze? - poprosił. - Nie chcę, żeby wszyscy wiedzieli o tych szczegółach.

- Zrobię, co w mojej mocy - obiecała.

Hargreaves podszedł do drzwi, w które ktoś zapukał. Po chwili wrócił z tacą.

- Zobacz, czy dasz radę to przełknąć, Doug - powiedział, wyciągając filiżankę herbaty.

- Postaraj się nie zwrócić.

Jo zauważyła, że spojrzenie Douga wędruje do syna. Podchwyciła wzrok chłopaka i dostrzegła w nim niechęć. Zdała sobie sprawę, że przeszkadza. John miał teraz okazję porozmawiać z ojcem, a ona była intruzem.

- John - powiedziała. - Usiądź obok taty.

Chłopak się nie ruszył. Nadal spokojnie popijał herbatę.

- Tu mi dobrze - mruknął.

Tymczasem Doug pił powoli, a Hargreaves podtrzymywał mu głowę jak dziecku. Jo widziała, jaki to wysiłek dla badacza, i zauważyła też, że gdy skończył, ponownie spojrzał na syna.

Żeby przerwać milczenie, postanowiła powiedzieć cokolwiek, co tylko przyjdzie jej do głowy.

- Jak pan myśli, co ona oznacza? - zapytała. - Ta wiadomość w puszcze? Miedzianej puszcze.

Doug Marshall niepewnie oparł rękę z filiżanką na klatce piersiowej i popatrzył na Jo.

- W puszcze? - powtórzył.

- Czytałam pański artykuł „Odnaleźć Franklina”.

- Cóż - powiedział. - Dziękuję.

- Co oznacza wiadomość Croziera? - dopytywała się.

Doug skinął głową na Hargreavesa, żeby zabrał filiżankę.

- Proszę ze mną nie rozmawiać, jeśli źle się pan czuje - powiedziała. - Równie dobrze mogę wrócić później.

Lekko potrząsnął głową.

- Gnane wiatrem dobrym - mruknął.

Zapadło milczenie. Jo zerknęła na Hargreavesa, który poruszył się u boku Marshalla. Widząc to, Doug podniósł palec i pogroził mu.

- Jeśli znowu zrobisz mi ten cholerny zastrzyk, załatwię cię - mruknął.

Hargreaves odwrócił się do Jo.

- Za chwilę wracam - powiedział. - Widzi pani przycisk na ścianie? Proszę zadzwonić, jeśli zajdzie potrzeba.

Kiedy wyszedł, Doug uniósł brwi i spojrzał na Jo, zażenowany powstałym zamieszaniem.

- Gnane wiatrem dobrym - powtórzyła Jo. Zastanawiała się, czy nie za mocno naciska, ale na policzki mężczyzny powrócił rumieniec.

Uśmiechnął się.

- Interesuje panią Franklin? - zapytał.

- Tak - odparła.

- Nie wierzę - stwierdził.

- Dlaczego?

- Bo kobiety się tym nie interesują.

Jo poczuła się urażona.

- Powiedzmy, że mam obsesję - powiedziała.

- Na punkcie wiktoriańskiego badacza?

- Nie - odparła. - Na punkcie człowieka na Grenlandii.

Ich oczy się spotkały. Jo zerknęła na koc, pod którym znajdowała się konstrukcja osłaniająca złamaną kończynę. Hargreaves mówił Johnowi, że obrażenie jest poważne.

Oderwała spojrzenie od łóżka i popatrzyła na Marshalla.

- Notatka Croziera... - zaczęła.

- Biedny Francis - mruknął.

- Był żonaty? - spytała Jo.

- Crozier? Nie. Poślubił morze.

- Był zastępcą kapitana i...

- Nie uwierzyłyby pani! - przerwał. - Zabraliśmy puszkę do Instytutu Morskiego i tam ją otworzyliśmy. Trudno uwierzyć, że kawałek papieru może przetrwać wiele tygodni w morzu i ponad wiek w lodzie! - Przeciągnął ręką po czole. - Przetrwał. Nie zawilgotniał, nie stracił barwy. Pismo Croziera na admirałkiej papeterii wygląda jak napisane wczoraj.

- Niesamowite - zauważyła cicho Jo.

- Owszem. Wydawało się, że Crozier stoi tam z nami, chcąc, żebyśmy wszystko zrozumieli. - Doug przyłożył ręce do twarzy, po czym skrzyżował je na piersi. - Pierwszą zimę spędzili w miejscu zwanym wyspą Beechey - dodał cicho. Mówił trochę niewyraźnie. -

Wtedy zaczęło się sprawdzać.

Jo zmarszczyła brwi.

- Co zaczęło się sprawdzać?

- Prognozy Croziera. Martwe dni.

Jo wychyliła się na fotelu.

- Martwe dni?

- Spędzili zimę na wyspie Beechey...

Drzwi się otworzyły, to wrócił Hargreaves. Jo podeszła do niego. Zauważyła, że John nie ruszył się ze swojego miejsca u stóp łóżka. Siedział, wpatrując się w podłogę.

- Nie rozumiem, co Doug mówi - wyszeptła do Hargreavesa.

Do kajuty wszedł sanitariusz.

- Witaj, Douglas - powiedział. - Zmęczony?

- Trzech umarło - odrzekł Marshall.

- Nikt nie umarł - zapewnił go Hargreaves.

- Trzech umarło i pochowano ich.

Hargreaves popatrzył na Jo. Wzruszyła ramionami, jak gdyby chciała powiedzieć, że nic o tym nie wie.

Marshall westchnął z wysiłkiem.

- Usiłowali przepłynąć Cieśninę Lancastera i dotrzeć do Cieśniny Barrowa, ale tam był lód. Zawrócili więc. Lód znowu ich zatrzymał. Trzech umarło tej zimy...

Jo razem z Hargreavesem podeszła do łóżka chorego.

- Dałem mu morfinę - powiedział Hargreaves. - Wszystko w porządku.

- Gnane wiatrem dobrym - mruknął Doug. - To się sprawdziło. Umarli - dodał i zapadł w sen.

\*

Godzinę później Anthony Hargreaves odstąpił Jo swoją kajutę, żeby mogła napisać artykuł i wysłać go pocztą elektroniczną.

- Chodź ze mną - poprosiła Johna. - Może mi się przydasz.

Podążył za nią niechętnie, jak jej się wydawało, nadąsany jak dziecko. Jo zastanawiała się, czy to wina jej niezręczności, czy też postawa Johna to typowa reakcja nastolatka. Przecież on nie ma dwudziestu lat, pomyślała, zamykając drzwi do kajuty i patrząc, jak chłopak mości się na koi, niezgrabnie podwijając pod siebie nogi i obejmując rękami kolana. Dziewiętnastolatek to wciąż chłopiec.

- Jak myślisz, czy ojciec dobrze się czuje? - zapytała.



- Przeżyje - odparł. - Jak zawsze.

Właśnie uruchamiała laptopa, ale nagle znieruchomiła. Odwróciła się i popatrzyła na chłopaka.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Pewnie.

- Co cię gryzie, Johnie?

- Nic.

- Pewnie nieczęsto go widzisz - wyraziła przypuszczenie.

- Inni widują go znacznie częściej niż ja - odparł.

Spotkała wzrokiem jego spojrzenie. Tu cię boli! - pomyślała.

- Ty też studiujesz archeologię.

- Tak.

Popatrzyła na pusty ekran przed sobą.

- Od czego powinnam zacząć? - zapytała.

Nie było odpowiedzi.

- Myślisz, że twój ojciec utożsamia się z Franklinem? - drążyła.

Na twarzy Johna pojawiła się wreszcie iskierka zainteresowania.

- Z Franklinem? - powtórzył.

- Tak.

- Nie. - Uśmiechnął się.

- Ktoś, kogo znam, myślał, że może w tym rzecz - zauważyła Jo. - Co cię śmieszy?

- Bo chodzi o Croziera - powiedział John. - To jego chciałby znaleźć.

- Tego, który zostawił wiadomość w puszcze?

- Tak.

- To romantyczne...

John parsknął z lekceważeniem.

- A więc nie o to chodzi?

- O, tak - odparł John. - O to też, o te słowa, które napisał na dole strony: *gnane wiatrem dobrym*. Myślą, że to słowa skierowane do Sophii, siostrzenicy Franklina. Crozier się jej oświadczył, lecz go odrzuciła.

- Biedny człowiek - zauważyła Jo.

- Wiesz, o czym jest ten poemat? - spytał John. - Ten, z którego pochodzi cytat?

- Nie. Kto go napisał?

Chłopak uniósł brwi.

- Jesteś dziennikarką, a nie znasz Tennysona?

Jo uniosła ręce.

- No cóż, wygląda na to, że jestem ignorantką - oznajmiła.

John uśmiechnął się.

- Umiesz to na pamięć? - spytała.

John oparł się o drewnianą przegrodę. Statek się kołysał; na zewnątrz zapadał mrok. Słyszeli typowe dla życia na statku hałasy - tupot nóg, podniesione głosy. Do biurka Hargreavesa przyklejone było taśmą zdjęcie kobiety w średnim wieku. Przez krótką chwilę Jo zastanawiała się, jak to jest spędzać tyle czasu na morzu. Jak wiele człowieka omija, ile spraw trzeba odłożyć na bok - życie żon, dzieci, biegnące gdzieś w oddali przez całe miesiące i lata.

John zaczął recytować cichym głosem:

*Gnane wiatrem dobrym - do przystani*

*Cichej w cieniu wzgórza - łodzie biegną.*

*Lecz tamto ręki znikłej dotknięcie,*

*Głosu dźwięk zamilkłego!*

*Na tych zimnych, tych szarych kamieniach*

*Niech się miota fala, nich się łamie!*

*Miłowana dnia dawnego piękność*

*Już nie zaświta dla mnie\**

Spojrzała na recytującego chłopca i dojrzała w jego oczach to, co usiłował ukryć - odrzucenie.

- Kogo straciłeś, John? - zapytała.

Zawahał się. Przez chwilę myślała, że zdobędzie się na szczerość. Nagle jednak, ku jej zaskoczeniu, wstał, niemal uderzając głową o niski sufit. Szarpnął klamkę.

- John... - powiedziała.

Wyszedł z kajuty, nie oglądając się za siebie.

Jo odwróciła się do ekranu komputera i uderzyła kciukiem w klawisz spacji.

## 9

W październiku księżyc prezentował się wyjątkowo pięknie. Osiągnął szczytową deklinację północną i przesuwiał się po niebie, rozjaśniając polarny mrok. Augustus stawał

---

\* Przekład z ang. Ryszard Kubiak

niekiedy na pokładzie *Terrora* i wpatrywał się w księżyc. Przypominał mu się wówczas wózek z mlekiem, jeżdżący po ulicach Hull; koła miał oblepione trawą, lecz skrzynia była wypucowana do białości, a blaszane bańki błyszcząły jak lustra. Kiedy mleczarz podnosił ciężką pokrywę, spienione mleko przybierało barwę taką jak światło księżyca.

Dziwnie było myśleć, że znaleźli się tak daleko na północy kuli ziemskiej, że księżyc nigdy tu nie zachodzi, a tylko toczy się po niebie. Śnieg, woda i brzegi wyspy Beechey rozjaśniała ta sama wspiana poświata, w której statki stojące w swoich zimowych przystaniach sprawiały wrażenie wyciętych z papieru. Gdy światło dnia słabło i na niebie wyraźniej było widać księżyc niż słońce, Augustus zastanawiał się, dlaczego nie czuje lęku. Zawsze dotąd bał się zasypiać w ciemnościach i budzić się w mroku. Potrzebował świateł, nawet kiedy po raz pierwszy wyruszył na morze. Te zadawnione lęki teraz znikły. Chwała Bogu! Przecież będzie musiał żyć w mroku; w nadchodzących tygodniach czekały go długie dni i noce ciemności, rozpraszanych nieco przez światło księżyca.

Wszyscy członkowie załogi mieli dobre humory, nawet w obliczu nadchodzącej zimy. Zabezpieczono już starannie statki przed niebezpieczeństwami tej pory roku. Miejsce cumowania zadaszono. Odpowiednie instalacje grzewcze i wentylacyjne zapewniały obu statkom temperaturę pozwalającą na życie w cieple. Nawet na przykrytym pokładzie temperatura nie spadała poniżej zera.

Augustus był oczarowany północnym latem. Od lipca pokonali drogę wzdłuż Cieśniny Lancastera i wpłynęli do Kanału Wellingtona; pierwszy raz w życiu chłopiec znalazł się tak daleko na północy. Kiedy płynęli w pobliżu wyspy Devon, obserwowali nagie skały wznoszące się jak opustoszałe fortyfikacje.

Komandor Fitzjames chciał - tak samo jak sir John - płynąć w szybkim tempie, wierzył bowiem, że Kanał Wellingtona to droga na zachód. Wśród członków załogi pojawiły się plotki, że według Fitzjamesa niebawem trafią na Przejście i znajdą się w miejscu przeznaczenia w czasie krótszym niż trzy tygodnie.

Wiatr gwizdał w takielunku, dmuchał w żagle i szarpał napiętymi linami, powodując przenikliwe dźwięki. Stojący na pokładzie człowiek miał wrażenie, że znajduje się tuż obok prymitywnej orkiestry, złożonej z instrumentów perkusyjnych, lub wewnątrz bębna.

Pierwszego morsa ujrzeli ósmego sierpnia. Wtedy też zobaczyli góry lodowe.

Augustus znajdował się pod pokładem wraz z Johnem Torringtonem, kiedy John Bailey zszedł do nich.

- Będzie burza - oznajmił.

Torrington uśmiechnął się kpiąco.

- Dzięki temu dalej dotrzemy - rzekł.

Augustus niepokoił się o Torringtona. Zauważył, że od przeszło dwóch tygodni John nie wygląda dobrze. Przez cztery ostatnie dni nie mógł pracować. Gus uważał, że Torrington wygląda bardzo mizernie, chociaż był on mężczyzną z natury szczupłym. To widok twarzy Torringtona, podświetlonej przez wieczorne światło, zwrócił jego uwagę. Działo się to podczas niedzielnej modlitwy. Torrington nie wstał ani nie ukląkł. Siedział sztywno wyprostowany, z pochyloną głową, lekko zwróconą w kierunku Croziera, który odczytywał długi fragment Księgi Izajasza. Gdy pochylił głowę podczas modlitwy, uwidoczniły się jego kości policzkowe i białe półkole pod oczami.

- Idźcie obejrzeć morsa - powiedział teraz John.

- Już je widywałem - odparł Gus.

Torrington uśmiechnął się i trącił go łokciem.

- Idź, Gus - nie ustępował. - Będę tu, kiedy wrócisz. Nie ucieknę, żeby się ożenić.

Miał dziwne poczucie humoru. Wspomnił kiedyś, że jego ojciec często tak mawiał: „Nie ucieknę, żeby się ożenić”. Wygłosił to zdanie swoim akcentem manchesterskim, z lekkim zaśpiewem.

Gus pobiegł na pokład. W odległości kilku metrów od statku znajdowała się spora grupa morsów, potrząsających głowami i odpychających się kłami.

- Trzymają się blisko łądu z powodu złej pogody - skomentował jeden z obserwujących zwierzęta marynarzy i wskazał ręką niebo za rufą, gdzie na południowym horyzoncie gromadziły się niskie chmury. - Idzie burza - dodał.

Gus nie zwrócił więc uwagi na morsy. Wpatrywał się w morze. Zanim zszedł pod pokład, gdzieś tam pokrywała je drobna kora, a teraz - po upływie zaledwie dwóch godzin - pojawiły się duże kawały lodu. Na horyzoncie było widać wysokie góry, które wyraźnie się przybliżały.

Po zejściu pod pokład Gus nie powiedział Johnowi, że Bailey miał rację. Torrington leżał już w hamaku zawieszonym za kambuzem, w izbie chorych o powierzchni wynoszącej niecałe półtora metra kwadratowego. Leżąc, musiał przyciskać kolana do klatki piersiowej. Gus słyszał jego świszczący oddech.

Wkrótce nadciągnęła wichura.

Usłyszał ją, kiedy już spał, obudził go hałas. Leżał na małym łóżku, które sam zbudował ze skrzynek. Spostrzegł, że lampki wypełnione tłuszczem wielorybim kołyszą się - trzeba je będzie wkrótce zgasić. Marynarze wybiegli na pokład. Wszyscy oficerowie byli na nogach. Statek chwiało się, kołysany prądem morskim, co wyglądało tak, jakby sterem

szarpały niewidzialne ręce. Zarówno kierunek wiatru, jak i prądu uległ zmianie, a *Terror* robił to, czego nie powinny robić żadne statki - trzął się, jakby ożył, unosił się i opadał, unosił i opadał. Gus leżał w ciemnościach i myślał o tym, co się dzieje. W narastającym ryku wichury i przy coraz silniej chłoszczących burty falach doszedł do wniosku, że *Terror* ma konstrukcję niepodobną do innych statków, dlatego jego zachowanie wydaje się odmienne niż innych jednostek.

O godzinie trzeciej nad ranem wiatr przerodził się w sztorm, przez cieśninę przewalały się zwały lodu. Nie było mowy o śnie. Morze oszalało. Załoga *Terrora* utraciła kontakt wzrokowy z *Erebusem*, który znikł wśród zielonkawosinych gór lodowych. Można było odnieść wrażenie, że cała podróż wzdłuż Kanału Wellingtona to tylko piękny sen, mający spokojem i ciszą, lecz w rzeczywistości wabiący naiwnych podróżników w szpony okrutnej przyrody.

Nie istniała możliwość przybicia do jednej z ogromnych gór lodowych, które mogłyby udzielić statkowi schronienia. Kapitan był zdania, że przy takiej wichurze zerwie się nawet siedmiocentymetrowa lina z manili. Załoga wciągnęła na pokład odbojniki i bloki cumownicze, aby statek stawiał jak najmniejszy opór falom. Sztormowali rufą na zrefowanych żaglach, zwinięto marsel i fok.

Była ósma rano, kiedy *Erebus* ponownie pojawił się w polu widzenia, nieruchomy pomiędzy ogromnymi górami lodowymi. Augustus szeptem odmawiał modlitwę, z nadzieją, że Bóg nie pozwoli, aby załogi zginęły, zanim cokolwiek udało się im osiągnąć. Kiedy jednak wymawiał imię Chrystusa, krew pulsowała w nim gwałtownym rytmem. To było prawdziwe życie, nawet jeśli miało się skończyć w trakcie tej burzy. To było życie!

Na wybrzeżu z chrzęstem ścierały się tafle lodu. Statek bezradnie prześlizgiwał się wzdłuż kry, podczas gdy lód przemieszczał się niepokojąco szybko, a ocierając się o statek, pozostawiał na jego pokładzie kolejne warstwy marznącej wody. Kołyszący się w przodzie *Erebus* tkwił między dwiema ogromnymi górami; wszyscy się obawiali, że lada moment zostanie zmiażdżony, góry bowiem zbliżały się do siebie niepokojąco szybko.

Obydwie jednostki uratowały się wyłącznie dzięki niespodziewanemu odkryciu się pasa wolnej od kry wody. *Terror* przycumował do niskiej góry lodowej, która spełniła rolę tarczy ochronnej; pociągnęła ich ponadto naprzód niczym koń wyścigowy. Woda przelewała się nad górą i nad statkiem, które mknęły kanałem rwącej wody. Augustus przypomniał sobie wówczas zabawę, w którą bawił się w wąskim, stromym przesmyku między domami. Kiedy miał pięć czy sześć lat, ojciec jednego z kolegów skleił drewniany wózek na kółkach, a chłopcy zaprzęgli do pojazdu psa i ciągnięci przez niego zjeżdżali z góry, niebezpiecznie

kołysząc się na boki, podskakując na bruku i odbijając się od murów w wąskiej uliczce. Często lądowali w błocie, chodzili więc poobijani od upadków i podrapani przez przerażonego psa, lecz, niezrażeni przeciwnościami, wciąż ponawiali tę jazdę.

Kiedy majestatyczny *Terror* ulegał sile prądu morskiego, Augustus myślał o tym biednym, zdezorientowanym psie, który gnał szaleńczo przed siebie, poganiany przez dzieci kijkami. Statek podskakiwał teraz na grzbietach fal tak samo, jak Gus setki razy podskakiwał w dzieciństwie na ulicznym bruku.

Jeszcze nigdy nie widział tak szybko mknących mas lodu. Zaledwie poprzedniego dnia cieszyli się, że jeszcze tylko trzy tygodnie i ujrzą zachodni brzeg Kanady. Teraz jednak stało się jasne, że zdani są na łaskę nadchodzącej zimy. Znajdowali się w obcej okolicy, w zupełnie innym świecie. Niemal w samo południe podziurawiona i pożółkła góra lodowa o wierzchołku wznoszącym się na wysokość dziesięciu metrów wcisnęła się pod statek pod kątem ostrym. *Terror* uniósł się, wepchnięty naporem fal na lodową półkę, jakby zajmował miejsce w suchym doku. Załoga z trudem utrzymała się na nogach, gdy statek mocno się przechylił. Ostatecznie jednak góra zniknęła wśród fal. Statek wyprostował się, ale było to ciężkich pięć minut.

Augustus spojrział na stojącego obok mężczyznę, który sprawiał wrażenie, jakby nie stało się nic ważnego.

- Łódź powraca do swego pierwotnego położenia - oznajmił tamten i wzruszył ramionami. - Odchyła się i wraca, odchyła i wraca. I tyle.

Gus wpatrywał się w piętrzącą się przed nimi górę, przypominającą pobrużdżoną twarz starca. Dyskretnie złożył dłonie i przyciskając je do klatki piersiowej, dziękował Bogu za ratunek. Dziękował też za wysłuchanie wszystkich wcześniejszych modlitw, dzięki którym stał się marynarzem, a nie tylko wielorybnikiem. Był wdzięczny również za to, że uczestniczy w tej wyprawie i nie musi pełnić roli pomocnika na skąpanym we krwi pokładzie, nie musi oddzielać sadła od kości, brodząc po kolana w tłuszczu i morskiej wodzie.

Zapadła decyzja o powrocie na wyspę Beechey, gdzie zamierzali spędzić zimę w małej, bezpiecznej zatoce. Chłopiec nie wiedział, jakie sir John i Fitzjames wyciągnęli wnioski ze zmiany warunków na morzu. Być może podeszli do tego faktu ze stoickim spokojem, jak przystoi mężczyznom. Tak czy owak, nie mówiono już o dotarciu na Pacyfik w przeciągu trzech tygodni. Załoga pogodziła się z myślą o spędzeniu najbliższych miesięcy w północnej zatoce.

\*

Kiedy po raz pierwszy dobili do jej nabrzeża, linia brzegowa pozostawała widoczna.

Było to szare miejsce, plażę pokrywały drobiny wapienia wyglądającego jak srebrzysty żwir. Beechey i jej większa siostra Devon były jedynymi widocznymi wzniesieniami w zasięgu wzroku. Znaleźli się na prawdziwej krawędzi świata, gdzie znikał stały ląd i przez setki kilometrów rozciągała się morska woda. Niektórzy członkowie załogi twierdzili, że podobny krajobraz widział Adam, kiedy Bóg wypędził go z raju. Żadnych barw ani skrawka ziemi - nie rosły żadne kwiatki, nie kołysały się liście i nie falowały trawy. Otaczało go ciche pustkowie, w którym nie miał na czym zawiesić wzroku ani o czym myśleć; mógł rozmyślać jedynie o własnej hańbie.

Gus zastanawiał się, czy Adam rzeczywiście czuł się osamotniony poza granicami raju. Rozmyślał, czy pierwszy człowiek czuł to samo, co on teraz - że ta bezkresna płaszczyzna stwarza różne możliwości. Nie podzielił się z nikim swoimi przemyśleniami, w obawie, że nie są zgodne z zasadami chrześcijańskimi i że gdyby sir John poznał je, poczułby się urażony.

W świetle słonecznym przykuwała uwagę pustka pod niebieskim niebem. Ląd Beechey łączył się poprzez mierzęję z sąsiednią kanciastą bryłą wyspy Devon. Kilkaset metrów od brzegu górowały nad zatoką klify wysokie na niemal sto pięćdziesiąt metrów. Były wystrzępione przez mroźne sztormy, które szalały tutaj przez większą część roku.

Załogi ochoczo przystąpiły do pracy. Wkrótce zbudowały na wybrzeżu obserwatorium, warsztat stolarski, kuźnię, umywalnię i duży magazyn, wszystko w pobliżu statków. W magazynie umieszczono zapasy zgromadzone podczas postoju na wyspach Whalefish, a sir John wyraził zgodę na budowę strzelnicy na wschodnim brzegu Beechey, gdzie mężczyźni zamierzali doskonalić swoje umiejętności strzeleckie. Sprawne posługiwanie się bronią było koniecznością i Augustus również chciał opanować tę sztukę. Miał nadzieję, że ktoś go nauczy strzelać. Istotnie, pierwszej niedzieli po zbudowaniu strzelnicy Torrington, który podjął się tego zadania, poszedł z nim na lekcję i opierając się na ramieniu chłopca, stwierdził, że jeszcze będą z nich obu świetni strzelcy, i że w maju przyszłego roku udadzą się zapolować na niedźwiedzie.

Dwa dni później jednak Torrington musiał położyć się do łóżka. Nikt nie powiedział, co mu jest, a Gus nie odważył się zapytać, kiedy zasiedli do posiłku. Temperatura na zewnątrz spadła i zimno zaczęło przenikać przez kadłub statku. W drobnych pęknięciach drewna widać było lód. Wokół panowała nienaturalna cisza, bo statki przestały się unosić i opadać na falach.

Wkrótce znaleźli się w okowach lodu, uwięzieni na kilka miesięcy.

*Malowane statki na malowanym oceanie* - Gus starał się przypomnieć sobie, gdzie

usłyszał to sformułowanie. To było na pewno w szkole, lecz dotyczyło statków żeglujących w tropikach; nie miał co do tego wątpliwości. Chodziło o statki, których żagle nie wypełniały się wiatrem, gdyż panowała martwa cisza morska. Tutejsza cisza również była martwa - na wyspie nie dało się zauważyć niczego poza ponurymi szarymi wzniesieniami oraz równie nieruchomymi statkami pozbawionymi bramsteng i steng, na których osiadałby niebezpiecznie ciężki lód.

Gus nie potrafił zdobyć się na zapytanie kowala, któremu pomagał przy budowie kuźni, o powód nieobecności Torringtona. Chorobę palacza okrywała zmowa milczenia. Gusowi przypominało to zachowanie dzieci, które w obawie przed ciemnością zamykają oczy, wyobrażając sobie przyjemne rzeczy.

Słyszał przebywającego w izolatce Torringtona, który odmawiał spożywania przynoszonych mu posiłków i odzywał się podniesionym głosem, co przerażało Gusa najbardziej, ponieważ głos ten wydawał mu się obcy.

Któregoś wieczora, niemal tydzień po tym, jak Torrington trafił do łóżka, Gus stał na brzegu zatoki, kiedy pojawił się pan Macdonald.

- Proszę pana... - zaryzykował chłopiec.

Macdonald spojrzał na niego.

- Czy pan Torrington już wyzdrowiał? - spytał Gus nieśmiało.

Macdonald zawahał się. Augustus odważył się spojrzeć mu prosto w oczy. Odważył się w ogóle przemówić do niego tylko dlatego, że Macdonald, podobnie jak on sam, pływał kiedyś po morzach Arktyki na statku wielorybniczym. Miał nadzieję, że ten nieokreślony rodzaj braterstwa upoważnia go do zwrócenia się do oficera.

- Nie - odpowiedział w końcu Macdonald. - Nie wyzdrowiał.

Gdy wrócili na statek, oficer przywołał kucharza i wydał mu po cichu jakieś polecenie. Kucharz wyszedł, a po chwili wrócił z kilkoma lutowanymi ołowiem puszkami Goldnera, przechowywanymi w magazynie. Macdonald wybrał dwie czy trzy puszki.

- Mięso - usłyszał Gus. - Dopilnuj, żeby zjadł.

Lęk o przyjaciela dodał chłopcu odwagi. Postąpił krok naprzód i zatrzymał odchodzącego już Macdonalda.

Stojący wokół marynarze zamilkli.

Macdonald odwrócił się i spojrzał pytająco.

- Nasz sąsiad miał suchoty - oznajmił Gus.

Oficer przebiegł wzrokiem po zgromadzonych, a potem ze zmarszczonymi brwiami spojrzał na Augustusa. Chłopak wiedział, że okazał niesubordynację, a przynajmniej tak



mógłby potraktować jego zachowanie Macdonald, lecz za wszelką cenę pragnął poznać prawdę. Przyszło mu do głowy coś tak strasznego, że aż poczuł mdłości. Przypomniał sobie zaciągnięte w środku dnia zasłony, czarny wózek pod sąsiednim domem i zmęczonego kucyka okrytego krepą.

Macdonald spojrział na chłopca przeciągle, lecz nie powiedział ani słowa. Kiedy opuścił pokład, Gus zwrócił się do stojącego najbliżej marynarza.

- Czy to suchoty? - spytał, czując, że lęk ściska mu serce. - Tak czy nie?

Odpowiedź wyczytał w twarzach mężczyzn.

\*

Dwa tygodnie po przybyciu na Beechey Gus pomagał przy budowie drogi do *Erebusa*, stojącego w odległości niecałych stu metrów od *Terrora*.

Dotychczasową drogę wyznaczały kamienie, lecz trzeba je było usunąć i wbić w lód paliki, aby nikt przechodzący z jednego statku na drugi nie miał trudności z trafieniem do celu, nawet podczas zamieci. Z jednej strony drogi paliki połączono sznurem, a z drugiej pozostawiono kamienie wapienne. Gus patrzył, jak wzdłuż drogi spacerują oficerowie i poczuł dumę, że przez wiele godzin ociosywał paliki i przytrzymywał je, podczas gdy rośli marynarze wbijali je młotami kowalskimi w gruby lód. Po ukończeniu tej pracy wyrąbali przeręble - była to ciężka robota, od której długo potem bolały go plecy. Należało teraz stale dbać o to, aby otwory nie zamarzły. Dostęp do wody był niezbędny na wypadek pożaru. Nie wolno było zatem dopuścić do zamarznięcia przerębli.

Słońce powoli ciemniało, zakrywane chmurami. Zaczął padać śnieg. Gus widział już wiele zamieci, lecz nigdy nie przebywał na lądzie na tyle długo, aby przekonać się o sile padającego śniegu. Jeszcze w domu obserwował niekiedy, jak śnieg przykrywa port rybacki; szybko jednak topniał lub wymiatano go spod drzwi domów. Tutaj wykorzystywali śnieg w charakterze izolacji termicznej statków - ubijali go na pokładach i posypywali piaskiem, aby ułatwić chodzenie po nim. Śnieg, który czasem przysypywał ich bezgłośnie nocą, tworzył zaspę sięgające relingu i przykrywające mars. Podczas burz śnieg padał niemal poziomo, ograniczając widoczność niemal do zera. Najbardziej niebezpieczne okazały się ciche, podstępne zamiecie nocne, podczas których wszystko wokół pokrywało się grubymi warstwami śniegu. Gus wkrótce zaczął odczuwać zmęczenie, kiedy podczas wykonywania swoich zajęć musiał wędrować ze statku na wyspę. Kiedyś spędził wprawdzie sporo czasu na bieganiu w tę i z powrotem i na lepieniu śnieżek, wkrótce jednak traktował śnieg tylko jako wielkie utrudnienie życia.

Z *Erebusa* sprowadzono lekarzy, którzy zbadali Johna Torringtona. Zdecydowali oni,

że młody palacz powinien cztery razy dziennie spacerować po pokładzie statku, co miało usprawnić krążenie krwi, tym bardziej że w malutkiej kajucie panował wieczny zaduch. Gus natychmiast zgłosił się do pomocy choremu i z przyjemnością spostrzegł, że Torrington uśmiecha się do niego, kiedy powoli pokonywali kolejne stopnie wiodące na pokład.

Torrington oparł się o reling i wpatrywał w odległe skały nabrzeżne, które wyglądały teraz jak białe duchy majaczące w mroku.

- Jesteśmy na końcu świata - powiedział.

Gus starał się wymyślić odpowiedź, która rozbawiłaby chorego, lecz nic nie przychodziło mu do głowy. Chciał zapytać, czy John przejdzie się z nim kiedyś na strzelnicę, lecz od razu uzmysłowił sobie, że młody marynarz nie zdołałby nawet zejść ze statku.

John odwrócił się i spojrzał na chłopca.

- Nie boisz się mnie, Gus? - zapytał.

- Nie - odparł chłopiec. - Dlaczego miałbym się bać?

Torrington westchnął.

- Nie obawiasz się stać tak blisko?

- Nie.

Torrington skinął głową. Gusowi wydało się, że w jego oczach widzi łzy, lecz w panującym mroku trudno było się zorientować, czy wzrok go nie myli.

- Nie będę na ciebie chuchał - obiecał cicho John.

\*

Nadeszło Boże Narodzenie. Przez ostatni tydzień przed świętami Augustus zajmował się przenoszeniem zapasów z magazynu na statki, lecz dwudziestego pierwszego grudnia kapitan polecił mu iść ze sobą. Nie padło między nimi ani słowo, kiedy przemierzali lodową drogę wiodącą do obserwatorium linii brzegowej; nie odzywali się, wchodząc do budynku. Crozier po prostu wskazał piec, w którym dogasały płomienie, a Gus zajął się dosypywaniem węgla.

Chociaż zbliżało się południe, światła było ledwie tyle, aby cokolwiek dało się zobaczyć. Ubrany w spodnie i kurtkę z foczej skóry oraz w czapkę z psiego futra Crozier usiadł na skrzyni i przygotował się do spisania wyników pomiarów. Termometr wskazywał dziesięć stopni poniżej zera.

- Ciepło tu, Augustusie - rzekł kapitan.

- Tak, panie kapitanie - odpowiedział chłopiec, przyglądając się odczytowi.

Magnetometr umieszczono na podłożu z zamrożonego żwiru; z urządzenia sterczał teleskop. Co sześć minut Crozier sprawdzał wielkość łuku i notował odczyt w swoich

dokumentach. W pewnej chwili oderwał wzrok od papierów.

- Musisz się trochę poruszać - zwrócił się do chłopca. - Nie stój tak na baczność, bo przymarzniesz do podłogi.

Gus zaczął posłusznie dreptać w miejscu.

- Spisałem odczyty temperatur - powiedział kapitan, błędząc myślami gdzie indziej. Przełożył rękawicę z lisiego futra z jednej ręki do drugiej i uniósł przyrząd. - Pomiędzy miejscem w pobliżu pieca i podłogą może być różnica prawie trzydziestu stopni. Nawet nasza obecność zniekształca odczyty termometru, do którego dociera ciepło wydzielane przez nasze ciała.

Zerknął na palenisko.

- W domu ludzie siedzą w kościołach albo przy ogniu - szepnął. Spojrzał na chłopca. - Co matka zrobi bez ciebie?

Gus nie zastanawiał się długo.

- Brat jej pomaga - odparł. - Ma sześć lat.

Crozier uśmiechnął się.

- Myślisz, że będzie jej brakowało tylko twojej pomocy? - spytał.

Gus zamyślił się. Mówiąc szczerze, nie sądził, żeby matka za nim tęskniła. Urodziła ośmioro dzieci - Gus miał czterech braci i trzy siostry. Dwaj starsi bracia pracowali na morzu, podobnie jak on. Siostry, kiedy nie uczyły się w szkole, zbierały szmaty i segregowały je, a następnie sprzedawały. Od śmierci ojca święta Bożego Narodzenia były bardzo przykre; ledwie było co do garnka włożyć, aż do chwili, kiedy bracia powracali do domu z zarobionymi pieniędzmi. W takich uroczystych momentach na stole pojawiała się wołowina, a matka piła mnóstwo jasnego piwa i porter. Zazwyczaj wszyscy sypiali przy ogniu, gdzie było znacznie cieplej niż w łózkach, poza tym popiół był czystszy niż koce. Nie grasowały też w nim wszy.

Na wspomnienie domu rodzinnego Gus zaczerwienił się.

- Będą o nas pamiętać - stwierdził. Być może rzeczywiście tak się stanie. Mężczyźni w piwiarni zapytają może matkę, jak się miewa syn pływający na statkach dowodzonych przez Franklina.

- Jesteś szczęśliwy, że tu przybyłeś? - spytał Crozier.

Gus nie spodziewał się takiego pytania. Mężczyźni nie rozmawiali nigdy o tym, czy są szczęśliwi na pokładzie statku, który był po prostu ich miejscem pracy. Wielu z nich uskarżało się na brak światła dziennego, na skromne racje oleju, który szybko się wypalał i należało wówczas przygotowywać lampki z kawałków korka i bawełny, pływających w

spodkach, narzekali na zaduch, na szczury, które atakowały śpiących. Dokuczał im mróz, w którym zamarzała nawet whisky; trudno im było przyzwyczać się do przekopywania się przez głęboki śnieg.

Kiedy jednak mieli dobre humory, śpiewali; w zeszłym tygodniu śpiewali nawet kolędy. Gdy Crozier wyrażał zgodę, urządzali wyścigi wokół statku, z nagrodami dla zwycięzców. Pomagali też sobie w najtrudniejszych pracach. Nigdy jednak nie pytali się nawzajem, czy są szczęśliwi.

Gus spostrzegł w oczach Croziera pustkę. Przez chwilę ujrzał wszystkie ponure miesiące, które spędził na statku. Trwało to jednak tylko sekundę.

- Tak jest, panie kapitanie - odparł w końcu. - Jestem bardzo szczęśliwy.

\*

John Torrington odszedł w noc sylwestrową.

Gus spędził wieczór z umierającym. Torrington całkiem nieźle się miewał do późnego popołudnia; zagrał w szachy - choć właściwie rozegrał tylko połowę partii - z panem Macdonaldem, a potem poprosił o Biblię. Słyszeli, jak usiłuje zaśpiewać kilka taktów, a potem szeptał coś. Gus przez cały dzień błagał o pozwolenie na widzenie się z chorym, aż w końcu otrzymał je - wpuszczono go do kajuty o ósmej wieczorem.

Torrington leżał rozciągnięty na łóżku przygotowanym specjalnie dla niego. Było to wielkie wyróżnienie, ponieważ prawdziwe łóżka były przywilejem oficerów. Obok paliły się dwie lampki olejowe. Na klatce piersiowej chorego spoczywała Biblia.

- Kto to? - spytał, słysząc kroki.

- To ja - odparł Gus. - Przyszedłem powitać z tobą Nowy Rok, Johnie.

Torrington gładził dłonią Biblię.

- Nadchodzi rok tysiąc osiemset czterdziesty szósty - odezwał się po chwili. - Skończę więc dwadzieścia jeden lat.

Gus usiłował powiedzieć coś miłego.

- I pewnie uciekniesz, żeby się ożenić - wyraził przypuszczenie.

Leżący odwrócił głowę w kierunku chłopca. Gus poczuł ukłucie w sercu, kiedy zobaczył, jak bardzo wychudzony i zmęczony jest Torrington.

- A ty masz dziewczynę, z którą chciałbyś się ożenić? - zapytał John.

- Nie.

- I nie miałeś?

- Nigdy.

Torrington uśmiechnął się słabo.

- Nigdy nie całowałaś się z dziewczyną?

Gus zaczerwienił się jak burak.

- Nie.

Torrington skinął głową i poruszył ustami.

- Ja też nie - wyszeptał.

W stojącej bliżej niego lampce płomień zadrżał, co oznaczało, że tłuszcz za chwilę się wypali.

Torrington z trudem usiłował się unieść.

- Pada śnieg? - spytał.

- Nie - odpowiedział Gus. - Na dworze jest spokojnie.

- Pojawiły się niedźwiedzie?

- Jeszcze nie.

Chory usiłował znaleźć ręką dłoń chłopca. Miał długie, smukłe palce. Jego ręka wyglądała arystokratycznie, tym bardziej że ktoś zadał sobie trud starannego zmycia ze skóry palacza pyłu węglowego. Pierwsze trzy palce dłoni miały prawie jednakową długość. Pod koszulą w niebieskie paski Gus widział zarys kości przyjaciela. Kostki palców, pozbawionych niemal ciała, wydawały się nienaturalnie duże i niezgrabne. Skóra chorego przypominała pergamin, jakby w tym człowieku nie krążyła krew.

- Zajrzyj pod łóżko - nakazał John.

Gus pochylił się posłusznie i wyciągnął spod pryczy małe cynowe pudełko.

- Otwórz je.

W środku leżał list, klucz, tomik wierszy i skórzana portmonetka.

- Weź to wszystko - odezwał się Torrington. - Weź to, Gus, i oddaj mojej matce.

Gus nie wiedział, jak zareagować. Ten młody człowiek był dla niego dobry jak nikt inny, no, może poza kapitanem. Rozmawiał z nim jak równy z równym, a nie jak z najmłodszym członkiem załogi. W innych okolicznościach mógłby być jego nauczycielem, swoimi delikatnymi dłońmi wertowałby z nim książki. Miał w sobie coś takiego, co wyróżniało go spośród innych marynarzy. Zaslugiwał na coś znacznie lepszego niż wyczerpująca praca przy obsłudze kotłów i przebywanie w chmurach pyłu węglowego głęboko pod pokładem. Gus widział to w jego oczach: w innych okolicznościach Torrington zajmowałby się czymś znacznie odpowiedniejszym dla siebie.

Wybuchnął płaczem. Nie chciał tego, ale łzy same płynęły mu z oczu. Po chwili uciszył się i położył głowę na łóżku przyjaciela.

Minęło kilka sekund, gdy zdał sobie sprawę, że poza jego łkaniem w kajucie słychać

inny dźwięk. Ogarnięty przerażeniem, uniósł głowę i ujrzał nieruchomy wzrok Johna, którego usta pokryte były krwawą pianą. Zerwał się na równe nogi.

- Panie Macdonald! - wykrzyknął. - Panie Macdonald!

\*

Cieśle pokładowi, Thomas Honey i Alexander Wilson, przez dwa dni zbijali trumnę z desek mahoniowych, o grubości dwóch centymetrów i szerokości trzydziestu. Zarówno wiko, jak i dno składały się z trzech elementów - długiej części środkowej i dwóch przymocowanych kołkami, modelowanych segmentów bocznych. Gus wyszedł na zadaszoną część pokładu i przyglądał się, jak Wilson nacina drewno, żeby je potem wygiąć bez łamania. Mężczyźni pracowali w ciszy. Na końcu zbili wszystkie elementy grubymi gwoździami.

W południe drugiego stycznia ciało Torringtona wyniesiono na pokład. Umyto je i ubrano w świeżo wypraną odzież. Wyciągnięte ręce zmarłego przywiązano do ciała, obwiązując je powyżej łokci pasem bawełnianej tkaniny. Krótszymi paskami związane palce u nóg, kostki i łydki. Leżał na słodko pachnących trocinach, którymi wypełniono trumnę. Głowa znalazła się na kopczyku, który pełnił rolę poduszeczki. Niebiesko-biała chustka posłużyła do podwiązania szczęki, a węzeł dyskretnie ukryto z tyłu głowy. Gus z konsternacją spostrzegł, że na ustach Torringtona zastygł grymas, który wykrzywił jego twarz w chwili zgonu, a oczy pozostały otwarte.

Przybito wiko, obwiązano trumnę ciemnoniebieskim wełnianym kocem, a na wierzch narzucono flagę. Spod pokładu przyniesiono metalową tabliczkę, którą Gus pomógł sporządzić. Miała kształt kropli, na której białymi literami napisano:

*John Torrington*

*zmarły*

*1 stycznia 1846 roku*

*w wieku*

*20 lat*

Trumnę spuszczone na lód, a następnie w stronę brzegu wyruszył kondukt, oświetlając sobie drogę pochodniami.

W połowie drogi żałobnicy zatrzymali się w oczekiwaniu na drugą kolumnę pochodni, rozświetlających południowy mrok. Sir John Franklin, owinięty szalem, w płaszczu i czapce, pochylał głowę, chroniąc oczy przed drobnym śniegiem, który właśnie zaczynał prószyć.

U boku Franklina kroczył kapitan Crozier, komandor Fitzjames i dwóch lekarzy. Za nimi podążali mężczyźni, których wyznaczono do zasypania grobu. Jeden z nich niósł tablicę nagrobną. Ceremonia trwała krótko; utrudniał ją przenikliwy wiatr i coraz gęściej padający

śnieg, który szybko przykrył trumnę, uniemożliwiając odczytanie inskrypcji. Po odmówieniu modlitwy zasypano grób kawałkami wapienia. Przyglądając się tej pracy, Gus nie mógł się opędzić od natrętnie powracającej myśli, że jeden z mosiężnych uchwytów trumny pozostał uniesiony, a przecież mógł go ułożyć we właściwej pozycji.

Przez następny tydzień na statku panowała osobliwa atmosfera. Oficerowie krążyli między *Erebusem* i *Terrorem*; w kwaterach oficerskich i mesie wiele się rozmawiało, lecz szeregowi członkowie załogi nie zostali wtajemniczeni w treść tych dysput. Narady przeciągały się do późnej nocy.

Ku zaskoczeniu wszystkich, piątego dnia po pogrzebie Torringtona Franklin zarządził zdjęcie kłódek z magazynu i wydobyć trzech skrzyń z konserwami. Gus nie wiedział, co się stało później, lecz na statku krążyły pogłoski, że kilka osób z *Erebusa* otrzymało rozkaz przeniesienia skrzyń na północno-wschodnie zbocze wyspy, a następnie otworzenia wszystkich puszek. Podobno sir John nakazał je opróżnić i ułożyć w rzędach. Puszek było w sumie ponad siedemset. Wyjęte mięso przeniesiono jeszcze dalej i ukryto pod śniegiem.

Gus nie miał pojęcia, o co chodzi. Sam jadł żywność z puszek, podobnie jak wszyscy pozostali. Oficerowie, jak się nietrudno domyślić, otrzymywali większe porcje. Torrington również; jadł wyłącznie żywność z puszek, nie mogąc odżywiać się sucharami. Ogromne ilości prowiantu przechowywano w puszkach pomalowanych na czerwono i opatrzonych napisem *Patent Goldnera*.

Dlaczego dowódca podjął tak dziwną decyzję? Gusowi nie przychodziło do głowy żadne wytłumaczenie. Wszystkie puszki solidnie zalutowano ołowiem. Przechowywana w taki sposób żywność nie psuła się, a w każdym razie wyglądała bez zarzutu, kiedy otrzymał swój bożonarodzeniowy przydział. Gdy zapytał o zdanie jednego z marynarzy, ten wrzucił tylko ramionami.

- Pewnie trafili na zepsutą puszkę - wyraził przypuszczenie.

- Ale dlaczego otworzyli je właśnie teraz? - dopytywał się Gus.

- Skąd mam to wiedzieć?

- Może John zatrzał się zepsutą konserwą?

Mężczyzna roześmiał się mu w twarz.

- Umarł po zjedzeniu konserwy? - spytał z niedowierzaniem. - Torrington zmarł na suchoty. Już wcześniej chorował. Nie wiedziałeś o tym? Zaciągnął się na statek, żeby odbyć rejs, który miał mu przywrócić zdrowie. Wiem o tym. - Zbliżył swoje szeroko uśmiechnięte, brudne oblicze do twarzy Gusa. Miał nieprzyjemny oddech. - Myślisz, że żyłbym, gdyby puszki nie były w porządku? - Wysunął palec w kierunku chłopca. - Myślisz, że ty byś uszedł

z życiem?

Gus odwrócił się i zszedł pod pokład. Wziął do ręki Biblię, którą zostawił mu Torrington. W ciągu godziny zapomniał o odrażającej twarzy, wyciągniętym palcu i drwiącym tonie marynarza.

Nie potrafił jednak wymazać z pamięci siedmiuset wyrzuconych konserw.

Zepsuta konserwa, pomyślał później. Jedna zepsuta konserwa...

## 10

Minęły trzy tygodnie, zanim Jo ponownie ujrzała Douga Marshalla. Przez ten czas zdążył już nadejść maj i dwa kasztanowce w pobliżu domu Jo zakwitły, żagwin zaś, pnący się po ścianie obok kuchennego okna, rozkwitł wręcz nieprawdopodobnym fioletem. Pewnego dnia Jo przyłapała się na tym, że trzymając filiżankę z kawą, wpatruje się w pnące, zastanawiając się, jak też wygląda wiosna w Cambridge.

Podeszła do telefonu. Bardzo długo nikt nie podnosił słuchawki.

- Cześć, mówi Jo Harper.

- Cześć, Jo.

- Twój głos brzmi tak, jakby brakowało ci tchu.

Zapadła cisza, po czym Doug wybuchnął śmiechem.

- Leżę na podłodze.

- Naprawdę? Upadłeś?

- Nie - odparł. - Czołgałem się, tak jest szybciej.

- Żartujesz.

Usłyszała westchnienie.

- No dobrze, siedzę w fotelu - rzekł. - Widzę, że sprzedawałeś ten artykuł.

- Wszędzie - zapewniła go. - Na całym świecie.

- Gratuluję - powiedział.

- Zastanawiałam się, czy... - Przygryzła wargę. Boże, czemu to takie trudne? Czula się jak nieśmiała szesnastolatka. Nie mogła wykrztusić słowa. - Jestem ci winna co najmniej lunch - oznajmiła wreszcie.

- Za co?

- Za tę historię.

- Nic mi nie jesteś winna. Wykonałaś po prostu swą pracę.

- Niech ci będzie. A więc za to, że jesteś narodowym skarbem. Wszyscy cię kochają.



Roześmiał się.

- Popędzę im kota - zapowiedział.

- Może podjadę jutro?

- Zapraszam.

Ustalili godzinę; podał jej adres. Kiedy odłożyła słuchawkę, uśmiechnęła się, patrząc na żagwin, lśniący w ciemnym zakątku. Odwracając się, zerknęła w lustro wiszące w przedpokoju.

- To tylko lunch - powiedziała do swojego odbicia.

\*

Wczesnym rankiem pojechała prosto do Akademii.

W recepcji nie było pani Cropp; studentka, która ją zastępowała i starała się być kompetentna, połączyła Jo z Peterem Boltonem. Jo czekała dwadzieścia minut, nim naukowiec zszedł na dół. Kiedy się w końcu pojawił, podeszła do niego i wyciągnęła rękę.

- Jest pani bardzo uparta - powiedział.

- Czy moglibyśmy zacząć od początku? - zapytała. - Przysięgam, że nie będę niepokoila Alicji.

Bolton uśmiechnął się niewyraźnie.

- Nie jestem pewien, czy ją pani zaniepokoiła - stwierdził.

- No to obiecuję, że nie znajdę się nawet w zasięgu jej wzroku. Będę się trzymała na odległość sześciu kilometrów.

Bolton uśmiechnął się pogodnie. Skinął głową, wskazując egzemplarz „Kuriera”, który miała przy sobie.

- Dobra robota - orzekł.

- Widział pan już? Na wszelki wypadek przyniosłam ten numer.

- Widziałem. Dziękuję za reklamę.

- Proszę posłuchać.... - Zerknęła przez ramię na gabloty wystawowe. - Kiedy ostatnio tu byłam, chyba mieliście jakieś rzeczy Franklina?

- Owszem.

- Ma pan odrobinę czasu? Pięć minut?

- A o co chodzi?

- Opowie mi pan o nich?

- Pisze pani kolejny artykuł? - spytał.

Jo zaczerwieniła się.

- Może, ja...

- Złapała pani bakcyła.
- Chciałabym po prostu wiedzieć nieco więcej.
- Podobnie jak my. - Rozłożył bezradnie ręce. - Tędy, proszę.

Gablota zawierała to, co Jo zapamiętała: fotografie w kolorze sepii, srebrną łyżeczkę zdobioną miedzią, kawałek czerwonego metalu.

- Wiem, co się stało podczas pierwszego roku wyprawy - powiedziała Jo, ostrożnie kładąc rękę na szkle nad eksponatami, tak starannie zachowanymi i ułożonymi na zielonym rypsie. - Spędzili tę zimę w Cieśninie Lancastera?

- Zimowali na wyspie Beechey na przełomie tysiąc osiemset czterdziestego piątego i czterdziestego szóstego roku - odparł Bolton. - Odpłynęli w ogromnym pośpiechu, zostawiając setki znalezisk.

- Dlaczego?
- To znaczy, skąd ten pośpiech?
- Tak.

Bolton wzruszył ramionami.

- Najpopularniejsza teoria głosi, że lód niespodziewanie pękł i mieli sprzyjający prąd. Tak to było z tymi polarnymi statkami; trzeba było codziennie prowadzić uważne obserwacje, czy to w czasie zimowania, czy pływania, i oczekiwać na zmianę. Jeśli się tego nie robiło, można było w najlepszym wypadku stracić okazję. A w najgorszym - życie.

- Co takiego zostawili na Beechey? - zapytała.

- Trofea z wypraw, które odbyli tej pierwszej zimy, na północ od Zatoki Erebusa i Terrora, i w miejsce zwane Wieżą Caswella, rumowisko skalne odległe o kilka kilometrów.

- Po co tam poszli?

- Przede wszystkim po to, żeby sporządzić mapy - odparł Bolton. - Chcieli też przyjrzeć się migracjom zwierzyny i prądom morskim, zbadać głębokość lodu, temperaturę...

- Czy to, co znajduje się w gablocie, stamtąd właśnie pochodzi?

- Nie. Większość znalezisk na wyspie lub w jej pobliżu to kamienie, które przytrzymały namioty, puszki po mięsie i zupach, butelki, kości ptaków, które złowili. I dwie kartki papieru.

- Co na nich było? - dopytywała się Jo.

- Skrawki informacji. Na jednym widniało nazwisko pana Macdonalda, zastępcy lekarza z *Terrora*. Tylko tyle. Nazwisko. A na drugim napisano: *Zawiadomić...*

- Ale jakim cudem papier przetrwał nienaruszony w takich warunkach? - spytała Jo.

- W Arktyce panują specyficzne warunki - wyjaśniał Bolton. - Coś, co się tam zostawi,

nawet papier, byle odpowiednio zabezpieczony, może przetrwać setki lat. Badano szkielety zwierząt, kości Eskimosów i przekonano się, że mają setki, a niekiedy tysiące lat. Nic ich nie zniszczyło. Zakonserwowały się w wiecznym mrozie. Jak Torrington.

Jo słuchała ze zdumieniem.

- Torrington...? - powtórzyła.

- Podoficer John Torrington, główny palacz na *Terrorze*. Jego grób wciąż znajduje się na wyspie, podobnie jak i dwóch innych członków ekspedycji: Johna Hartnella - starszego marynarza z *Erebusa*, zmarł trzy dni po Torringtonie, i Williama Braine'a, który odszedł trzy miesiące później.

Jo przypomniała sobie słowa Douga. „Trzech zginęło”.

- I groby wciąż tam są - mruknęła.

- Tak. Ciała ekshumował i badał zespół kierowany przez antropologa Owena Beattiego.

- Torringtona i tych dwóch? - zapytała zaskoczona Jo.

- Zgadza się.

- Nie nastąpił rozkład zwłok?

- Były doskonale zachowane - zapewnił Bolton. - Groby i ciała dostarczyły bardzo interesujących informacji nie tylko na temat wyprawy, ale i poziomu medycyny w połowie dziewiętnastego wieku.

- Na przykład...?

Bolton wzruszył ramionami.

- Przeprowadzono sekcję zwłok Hartnella. Wcześniej nie było dowodów, że to zrobiono.

- Zajęli się tym oficerowie medyczni ze statku?

- Tak - odparł Bolton. - Najprawdopodobniej Harry Goodsir. Specjalizował się w anatomii. Był drugim lekarzem na *Erebusie*. *Erebus* to statek Hartnella. Torrington był z *Terrora*.

- Goodsir... - powtórzyła Jo z namysłem.

Przypomniała sobie, że to nazwisko znajdowało się na wydruku z Internetu. Goodsir studiował w Edynburgu; był młodszym bratem profesora Johna Goodsira, anatoma i morfologa. Praktykował wraz ze swym ojcem w mieście Anstruther. Wybrano go na członka załogi nie ze względu na jego umiejętności lekarskie, ale dlatego, że był utalentowanym przyrodnikiem. Na liście członków załogi, tuż obok jego nazwiska, widniała informacja, że komandor Fitzjames nazwał go *bardzo dobrze poinformowanym człowiekiem, a także*

*przyjemnym kompanem.* Przypomniała też sobie fotografię Goodsira. Był to młody człowiek o bardzo wyrazistym spojrzeniu.

- Czy przeprowadzono także sekcję zwłok Torringtona? - zapytała.

- Nie. Tylko Hartnella.

- Czy to oznacza, że śmierć Hartnella nastąpiła nagle?

- Najprawdopodobniej.

- Trzy dni po zgonie Torringtona - powiedziała.

- Niech pani pamięta, że sporo ludzi chorowało wówczas na gruźlicę - zauważył Bolton. - Nazwaną suchotami.

- Czy to nie wystraszyło załogi? - dopytywała się. - W takiej małej społeczności kolejna śmierć młodego człowieka?

- Mogłaby wybuchnąć panika, gdyby nie podjęto stosownych kroków. - Bolton pokiwał głową. - Może Goodsir chciał jak najszybciej wskazać przyczynę tego nagłego zgonu?

- Powiedział pan, że sekcja zwłok dostarczyła bardzo interesujących informacji...

- Zgadza się. Na przykład tak zwane cięcie igrek poprowadzono odwrotnie. Obecnie prowadzi się je od ramion, a linia prosta przebiega wzdłuż klatki piersiowej. Goodsir zrobił to odwrotnie, zaczynając od bioder, a linia prosta biegła aż do gardła.

- Czyżby interesował go żołądek Hartnella?

- Nie - odparł Bolton. - Choć kształt cięcia to sugerował. Jednakże gdy Roger Amy i Beattie, którzy wydobyli ciała, przeprowadzili po latach drugą sekcję, odkryli, że Goodsir musiał wierzyć, iż przyczyna śmierci Hartnella kryje się w płucach albo sercu, gdyż organy te usunięto, zapewne po to, by poddać je szczegółowemu badaniu.

- Goodsir odkrył gruźlicę? - Jo zmarszczyła brwi.

- Z pewnością - rzekł Bolton.

- I wtedy powiedział Franklinowi...

- Tak. - Bolton skinął głową. - Powiedział Franklinowi i kapitanom, że trzeba jak najszybciej pochować Hartnella. Jo zadrżała. Jej babcia miała na to specjalne powiedzenie: „Ktoś przeszedł po twoim grobie”.

- Proszę mi opowiedzieć o Torringtonie - powiedziała, usiłując uwolnić się od nieprzyjemnego gniecienia w żołądku. - Mówił pan, że jego zwłoki zachowały się w lepszym stanie niż zwłoki Hartnella?

- Owszem - odparł Bolton. - Kiedy wydobyto go z grobu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku, sprawiał wrażenie nieprzytomnego człowieka. Rozkład

nawet się nie zaczął.

Jo wpatrywała się w rozmówcę z niedowierzaniem.

- O mój Boże... - wyszeptała.

- Ekshumacji dokonano z najwyższą uwagą - zapewnił Bolton. - Beattiemu i jego załodze naprawdę zależało na tych ludziach. Zachowywali się godnie.

- Z pewnością - rzekła Jo. Mimo to nie mogła opanować drżenia.

- Torrington zmarł na gruźlicę, lecz w konsekwencji wywiązania się zapalenia płuc - powiedział Bolton. - Miał zaledwie dwadzieścia lat. Zarówno zwłoki, jak i grób sprawiały takie wrażenie, jakby pogrzeb odbył się przed kilkoma godzinami. Na trumnie leżała nawet warstewka śniegu. Pewnie zaczęło padać, kiedy go chowali.

- Naprawdę nie było żadnych oznak rozkładu?

- Zwłoki były nienaruszone. Lekko uchylone powieki, skóra, paznokcie, włosy, ciało... ubranie... wszystko w doskonałym stanie. Hartnell, który zmarł wkrótce potem, zachował się w niemal równie idealnym stanie.

- Czy on także zmarł na gruźlicę?

- Hmm... - mruknął Bolton. - Tu sprawa robi się naprawdę interesująca.

Jo patrzyła na niego nieufnie. Wcale nie była pewna, co miał na myśli, mówiąc „interesująca”.

- Weźmy Williama Braine'a - ciągnął Bolton, który dosiadł swego konika. - To był twardy facet, marynarz Jej Królewskiej Mości. Brał udział w licznych bitwach, zahartował się w boju. Miał bliznę na czole, zęby w kiepskim stanie. Tak kiepskim, że w jednym z siekaczy miazga znajdowała się na wierzchu. Złamał ząb, nie leczył go; musiał cierpieć męki. To był człowiek nawykły do niewygód, do ciężkiego życia, warunków panujących na morzu. Przeżył wiele. A jednak ważył jedynie czterdzieści kilo. Był niemal zagłodzony.

- Umarł w kwietniu, prawda?

- Prawda.

- Niecały rok po rozpoczęciu wyprawy?

- Tak.

- Mieli przecież zapasy. Wystarczyłyby na całe lata...

- Zgadza się.

- Tysiące puszek...

- Tak.

Jo wbiła wzrok w naukowca.

- Jak więc mógł umrzeć z głodu?

W głębi korytarza rozległ się dzwonek. Studentka siedząca w recepcji wyszła zza biurka i spojrzała na zegarek. Była dziesiąta; drzwi Akademii otwierały się dla wszystkich.

Jo spojrzała na eksponaty w gablocie. Tak niewiele pozostało z tych olbrzymich statków. Trzy groby, a gdzie ciała pozostałych stu dwudziestu dziewięciu mężczyzn?

- Dlaczego? - szepnęła. - Czego się obawiali?

- Że tak szybko go pochowali?

- Tak.

Bolton także popatrzył na nieliczne szczątki pod szkłem.

- Obaj, Braine i Hartnell, mieli gruźlicę, jak Torrington - powiedział cicho. - Zapewne obaj również zapadli na zapalenie płuc, co jednak tylko przyspieszyło ich śmierć. Najprawdopodobniej wszyscy byli wcześniej osłabieni.

Jo zmarszczyła brwi.

- Dlaczego? - zapytała.

- Trucizna - odparł Bolton.

\*

Jo wyszła na ulicę i oddychała głęboko, idąc wzdłuż Midsummer Common. Poranek był piękny, powietrze przejrzyste, a odgłosy miasta wyciszone, jak gdyby świat zatrzymał się na chwilę, by podziwiać ten dzień.

Nie mogła uwolnić się od myśli o nacięciu w kształcie litery igrek, o sekcji przeprowadzanej w świetle świeczki, o strachu załóg. Odmówiła w duchu krótką modlitwę, by podziękować Bogu za to, że urodziła się w wieku dwudziestym, że jest kobietą - za wszystko, dzięki czemu nie musiała przyjść na świat u zarania dziewiętnastego stulecia i pełnić służby na statku takim jak *Terror*.

Zatrzymała się przed kwaciarnią i kupiła ogromny bukiet goździków. Nie miała pojęcia, jak Doug Marshall zareaguje na kwiaty, ale nic jej to nie obchodziło. Wtuliła na chwilę twarz w kolorowy pęk, jakby zapach mógł jej pomóc zapomnieć o Torringtonie i Hartnellu.

Doug natychmiast zareagował na dzwonek.

- Wchodź - powiedział do domofonu. - Drzwi są otwarte. Trzecie piętro.

Siedział na kanapie, z nogą umieszczoną na stołku.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała Jo.

- I dobrze się czuję - odparł.

- Pracujesz.

- Próbuję.

Przestępowała z nogi na nogę, dopóki nie uświadomiła sobie, że wciąż trzyma kwiaty w rękach.

- To dla ciebie - oznajmiła.
- Dziękuję.
- Wstawię je do wody.
- Możesz przy okazji zrobić herbatę? - spytał.
- Jasne.

Kiedy czekała, aż zagotuje się woda w czajniku, rozejrzała się po pomieszczeniu. Było oczywiste, że Doug sypia na tej samej kanapie, na której teraz siedział; obok leżała sterta pościeli.

- Musi być ci trudno radzić sobie samemu - wyraziła przypuszczenie.
- Przychodzą przyjaciele. Zlitowała się też nade mną jedna z sekretarek. Robi zakupy.
- I gotuje?
- Potrafię sam gotować. Dania błyskawiczne.

Jo zawahała się.

- Byłam zdumiona, kiedy podałeś mi ten adres - powiedziała w końcu. - Myślałam, że mieszkasz we Franklin House.

- Franklin House to nie mój dom - odparł. - Tam mieszka moja żona.

Odwróciła się, żeby nalać herbatę. Czuła się niezręcznie. Kiedy napełniała kubki i stawiała je na tacy, Doug dodał:

- Od pięciu lat jesteśmy w separacji.
- Przykro mi - rzekła. Taktownie nie dodała, że zdążyła się tego domyślić.

Kiedy zerknęła w kierunku Douga, zauważyła na jego twarzy wyraz bólu. Potrząsnął głową, jak gdyby chciał odpędzić przykre wspomnienia.

Jo postawiła tacę.

- Przychodzi do ciebie pielęgniarka? - zapytała.
- Tak, okręgowa.
- Może potrzebujesz jakiegoś lekarstwa? - spytała.

Milczał przez chwilę, po czym bezradnie rozłożył ręce.

- Cholera, myślałem, że zdołam cię oszukać - powiedział. - Górna szuflada. Tutaj, obok kanapy.

Wyjęła fiolkę i podała mu ją. Podeszła do zlewu i napełniła szklanek wodą. Doug połknął tabletkę. Kiedy oddawał dziewczynie szklanek, dotknął przelotnie jej dłoni. Jo poczuła, że się rumieni. Do diabła! - pomyślała. O co chodzi? Nie rumieniłam się, odkąd

skończyłam dwanaście lat.

Wyplukła szklankę i odłożyła na miejsce lekarstwo. Miała nadzieję, że nie zauważył jej rumieńca.

- Powinieneś być w szpitalu albo w sanatorium - rzuciła przez ramię.

Położył głowę na oparciu kanapy.

- Posłuchaj, Jo - odezwał się. - Jeśli mamy się dogadać, nie rób zamieszania.

Nie odpowiedziała. Usiadła naprzeciwko niego i piła herbatę, uśmiechając się lekko.

Nie poczuła się urażona. Jej ojciec był podobnym człowiekiem. Starszy od matki o dwadzieścia dwa lata, miał pięćdziesiątkę, gdy urodziła się Jo. Niewiele mówił i łatwo się denerwował, często jednym celnym zdaniem sprowadzał ludzi na ziemię. Miał jednak miękkie serce, a łzy pojawiały się w jego oczach w najmniej oczekiwanych chwilach: gdy oglądał telewizyjne wiadomości albo czytał artykuł w gazecie. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, był mocno zbudowany i nosił trzyczęściowy garnitur, zawsze posypany popiołem z nieodłącznego cygara. Mogła przywołać w pamięci jego sylwetkę, gdy siedział w pierwszym rzędzie na szkolnym przedstawieniu gwiazdkowym, wyglądając jak mąż stanu i osuszając oczy chusteczką.

- Dlaczego się uśmiechasz? - spytał Doug.

Porzuciła wspomnienia.

- Tak sobie.

- Rozbawiłem cię?

- Nie. Mój ojciec.

- To miło, że przypominam ci ojca.

Uśmiechnęła się. Odstawiła kubek i podniosła książkę, która spadła z kanapy i leżała ze zgiętymi kartkami. Popatrzyła na tytuł - *Antropologia terenowa*.

- Ostatnio słyszałam o pewnym antropologu - powiedziała. - O Owenie Beattie'em.

- Hmm... - mruknął Doug. - Wspaniały facet. Wyspa Beechey.

- I o ołowiu - dodała. - O ołowiu na puszkach od Goldnera.

- Skąd to wiesz?

- Od Petera Boltona. Właśnie wracam z Akademii.

- Po co tam poszłaś?

- Porozmawiać z Peterem Boltonem...

- Do artykułu?

- Nie - odparła. - Po prostu jestem ciekawa.

- Nigdy nie spotkałem kobiety, która interesowałaby się Franklinem.



- Mówiłeś to już na statku.

- Naprawdę?

- Tak - odparła. - Mówiłeś, że twoja żona powiedziała ci, że Franklin może zanutzić każdą kobietę na śmierć.

- Naprawdę? - powtórzył.

- Mówiłam ci wówczas, że poznałam Alicję, ale wyrzuciła mnie z waszej posiadłości.

Doug pokiwał głową.

- Przykro mi, Jo - westchnął. - Niewiele pamiętam z tej rozmowy.

- Rzeczywiście plotłeś trochę, nawet następnego dnia - przypomniała. - Ale nie rozmawialiśmy wtedy o Alicji. Tylko o Grenlandii, o Crozierze. - Pochyliła się. - Nie powiedziałeś mi jednak o zatruciu ołowiem.

Doug znów pokiwał głową. Oparł się o kanapę, wsunął rękę pod plecy i skrzywił się.

- Dobry stary Stephan Goldner - mruknął. - Żniwiarz śmierci.

Jo pokiwała głową.

- To przypomina tytuł kryminału - stwierdziła. - Czy to właśnie on dostarczył konserwy na statki?

- Co do jednej.

- Ale przecież już wcześniej zaopatrywał statki Admiralicji!

- Tak, wiele z nich - przyznał Doug. - Zawsze było tak samo. Zapasy dostarczano w ostatniej chwili, niewłaściwie poporcjowane. Dlatego tak późno, żeby nikt nie zdążył sprawdzić ich stanu. Kiedy Goldner został zatrudniony przez Franklina, cieszył się dobrą reputacją, ale w miarę upływu czasu robiło się coraz gorzej.

- Wciąż jednak korzystali z jego usług.

- Bo potrafił wywiązywać się z olbrzymich kontraktów. I wykazywał się opatentowanym systemem konserwowania żywności. My nazwalibyśmy to raczej patentem na śmierć... - Doug potrząsnął głową.

- Wszystkie puszkę były skażone? Ty też tak myślisz?

- Ja tak nie myślę. Ja to w i e m. I wciąż utwierdzam się w tym przekonaniu. Im dłużej leżały przed otwarciem, tym więcej ich zawartość zawierała ołowiu. Beattie znalazł ołów w kościach i włosach Torringtona.

- Tak, Peter mi mówił.

- Olbrzymią ilość ołowiu - dodał Doug. - Od czterystu trzynastu do sześciuset pięćdziesięciu siedmiu części na milion. W cywilizacji nie znającej ołowiu - jak wtedy Inuici w tamtym rejonie - można wykryć mniej więcej trzydzieści części na milion.

- Jezu... - westchnęła Jo.

- A Hartnell miał niemal trzysta trzynaście na milion.

- A Braine?

- Dwieście osiemdziesiąt.

- I to wszystko przez puszki?

Doug poruszył się na kanapie.

- Cóż, w porównaniu z dzisiejszymi czasami wiktoriańskie społeczeństwo było nasączone ołowiem - stwierdził. - Pakowali na przykład herbatę w folię ołowianą. Jedli z cynowych talerzy i naczyń powlekanych ołowiem. To wszystko musiało zatruwać ich organizmy. Poziom ołowiu u Johna Torringtona był tak wysoki zapewne również z powodu ołowiu zawartego w pyłe węglowym. A może całymi tygodniami karmili go żywnością z puszek, żeby go wzmocnić? - Doug uderzył dłonią w kanapę. - Te cholerne konserwy Goldnera załatwiły ich wszystkich!

- Myślisz, że ludzie Franklina otworzyli konserwy i uznali, że są zepsute? - spytała Jo.

- W niektórych przypadkach na pewno. W innych mięso wyglądało dobrze, ale musiało być zanieczyszczone nie tylko ołowiem, którym lutowali puszki, lecz i różnymi substancjami toksycznymi, choćby jadem kiełbasianym. Wiktoriańska technologia konserwowania mięsa pozostawiała wiele do życzenia. Nic się nie działo, jeśli mięso spożywało się szybko, porządnie je przedtem wygotowawszy. Ale Goldner najpierw je puszkował, a dopiero potem gotował, nie mając żadnych dowodów na to, że mięso wewnątrz istotnie poddane jest obróbce termicznej. Tak więc...

- Tak więc to, co było w mięsie niedogotowane...

- ...gniło i zatruwało całą zawartość puszki. - Skrzywił się. - Wyobraź sobie, że oni jedli to przez dwa lata!

- Mój Boże... - jęknęła Jo.

Uśmiechnął się niewyraźnie. Jego spojrzenie prześliznęło się po Jo, jak gdyby ujrzał ją w zupełnie nowym świetle. Zauważyła w jego oczach iskierkę zainteresowania i poczuła nagły skurcz w żołądku. Skrzyżowała ramiona w odruchu samoobrony. Przed sobą? Przed nim? No i co? - pomyślała. Wbiła paznokcie w zgięcie łokci, ale i tak na jej policzkach pojawił się rumieniec. Przyszło jej do głowy pewne sformułowanie Giny, coś, co powiedziała pewnego wieczoru, kiedy wypili po kilka butelek beksa, po czym wspólnie zaczęły naprawiać świat i własne życie.

- Nigdy nie zdobędziesz mężczyzny, jeśli będziesz trzymać się na boku - stwierdziła wtedy Gina.

- O czym ty mówisz?

- Jeśli będziesz się chować za szybą.

- Wcale się nie chowam! - zaprotestowała Jo.

Gina usiadła wygodniej, a z jej twarzy nie zniknął uśmiech.

- Czyżby? - zapytała. - No to wymień choć jednego mężczyznę. Kogoś, przy kim naprawdę dobrze się czułaś.

- Cóż, ja...

- Tylko jednego.

- Simon.

Gina parsknęła drwiąco.

- Wymień choć jednego w ciągu ostatnich dwóch lat. To miałam na myśli.

- Jakoś sobie radzę.

- O, tak! - mruknęła Gina. Dotknęła ramienia Jo. - Dziecko, martwię się o ciebie. Naprawdę się martwię.

- Niepotrzebnie.

- Zgadza się - przytaknęła Gina. - Niepotrzebnie. Ale w końcu się zakochasz, dziewczyno, a kiedy tak się stanie... Kiedy tak się stanie, zakochasz się już na zawsze. Poczekaj tylko. Znam się na tym.

Wtedy Jo niewiele o tym myślała. Zawsze była pewna, że jeśli zechce mężczyzny, to go sobie znajdzie. Jak na razie - nie chciała. Będzie jeszcze mnóstwo czasu i sposobności. A kiedy to się wreszcie stanie, wszystko odbędzie się na jej warunkach...

Popatrzyła znowu na Douga. Cholera! - pomyślała.

Nagle pochyliła się ku niemu.

- Możesz mi powiedzieć, ile masz lat? - zapytała.

- W zeszłym tygodniu skończyłem czterdzieści - odparł. - Czemu pytasz? A ty?

- Dwadzieścia siedem.

Doug skinął głową z nikłym uśmiechem.

- Więc...

- Nic - powiedziała. Rumieniec znów wypełził na jej policzki. - Nic.

Postanowiła powrócić do bezpieczniejszego tematu.

- Wygląda na to, że od samego początku ta podróż zapowiadała się kiepsko.

- Masz rację.

- Zwłaszcza te problemy z ołowiem!

- Zgadza się. Kiedy zbadali ciało Williama Braine'a, okazało się, że są tam

beztlenowce - powiedział Doug. - Właściwie to je wyhodowali.

Jo zareagowała z opóźnieniem.

- To żyje? Bakterie w jelicie?

- Tak.

- Bakterie sprzed stu sześćdziesięciu lat?

- Tak.

- Niewiarygodne!

- Zgadza się.

- Co to właściwie są beztlenowce?

Doug zmienił nieco układ nogi.

- Można je znaleźć w ziemi - odparł. - To one odpowiadają za rozkład substancji organicznych. To właśnie one odpowiadają za tężec i za gangrenę.

- To znaczy, że znajdują się właściwie wszędzie - zauważyła Jo. - Czy oni nie mieli ze sobą żywego bydła?

- Przez krótki czas.

- Higiena też pozostawiała wówczas sporo do życzenia...

- Skażenie mogło pochodzić z wielu źródeł - rzekł Doug. - Ale podstawową przyczyną zatrucia były tysiące konserw mięsnych. A laseczki jadu kielbasianego rozwijają się w źle przetworzonej, puszkowanej żywności.

Jo popatrzyła uważnie na Douga.

- Co chciałbyś zjeść na lunch? - zapytała.

Jego śmiech przerwał dzwonek do drzwi. Kilka sekund później usłyszeli, że któryś z lokatorów schodzi po schodach, potem doszły ich stłumione głosy, a następnie inne kroki - lżejsze - zmierzające do mieszkania Douga.

- Oczekujesz kogoś? - spytała Jo.

- Nie - odparł.

W progu pojawiła się Alicja. Jo odniosła wrażenie, że pani Marshall jest jeszcze bardziej opanowana, jeszcze bardziej lodowata niż przed miesiącem. Najwyraźniej zadbała również o swój wygląd. Jej włosy były ton jaśniejsze niż zapamiętane przez Jo i miękko opadały na ramiona. Makijaż prezentował się bez zarzutu, podobnie jak płócienny kostium. Przydźwigała ze sobą skórzaną aktówkę, a z jej ramienia zwisał niewielki wiklinowy koszyk, którego zawartość starannie przykryto serwetką. Przesunęła wzrokiem po pokoju, po czym spojrzała na Jo.

- Dzień dobry - powiedziała dziewczyna.

Alicja nie odpowiedziała. Podeszła do Douga, pochyliła się i pocałowała go w policzek.

- To Jo Harper - przedstawił swego gościa Doug.

- Wiem - odparła Alicja. Usadowiła się w rogu kanapy. - Jak się czujesz? - spytała.

- Dobrze. Alicjo, to Jo Harper.

- Nie wyglądasz dobrze - stwierdziła. - Właściwie to wyglądasz okropnie.

Jo zaczęła wiercić się na krześle. Doug wcale nie wyglądał okropnie. Może po prostu był zmęczony bólem. Ale to wszystko.

- Czuję się dobrze - powtórzył.

Alicja zerknęła na nieporządnie ułożoną pościel.

- Czyżbyś tu rozłożył biwak? - spytała. - Całkiem niepotrzebnie, skarbie.

Jo widziała, jak mrugnął ze zdumieniem, słysząc to „skarbie”.

- Co ty tu właściwie robisz? - chciał się dowiedzieć.

Alicja uśmiechnęła się z wysiłkiem. Jo pomyślała, że jeśli coś tu jest okropne, to widok tych zaciśniętych, twardych ust. Pani Marshall odwróciła głowę w kierunku dziennikarki.

- Istotniejsze jest chyba, co p a n i tu robi - odezwała się.

Doug zeszywniał.

- Alicjo...

- Czytałam pani artykuł - powiedziała Alicja.

- Doprawdy? I co pani o nim myśli?

- To po prostu szukanie sensacji - stwierdziła pani Marshall.

- Doprawdy? To dobrze.

- Dobrze? - powtórzyła ze zdziwieniem Alicja.

- Dobrze, że w ogóle mnie to nie obchodzi - dodała Jo. - Idziemy właśnie na lunch.

Dołączy pani do nas?

- Na lunch? On nie da rady zejść ze schodów.

- Dam - stwierdził Doug.

- A ja mu pomogę - dodała Jo.

Alicja wstała.

- To kiepski pomysł - oznajmiła. - Przyniosłam lunch.

- Wychodzę! - sprzeciwił się Doug.

- Nie - oświadczyła małżonka. - Chyba że chcesz wrócić do domu...

- Bzdura! - powiedział Doug.

Jo wstała i wzięła torebkę.

- Myślę, że lepiej będzie, gdy zostawię państwa samych.

- Nie! - sprzeciwił się Doug, wyciągając rękę.

- Do widzenia - odezwała się Alicja.

- Do widzenia, Doug - powiedziała Jo. - Miło się rozmawiało.

- Na litość boską! Przyjechała z Londynu - warknął Doug do żony. - Mogłabyś zachowywać się kulturalnie. Zaprosiłem ją, nie ciebie.

- Umiała przyjechać, to chyba potrafi wrócić do Londynu?

- Nigdzie nie pojedzie! - wrzasnął Doug. - Idę z nią na lunch.

- Zobaczymy się kiedy indziej - powiedziała Jo.

- Nie zobaczymy się kiedy indziej! - zaprotestował Doug. Usiłował wstać, macając wokół siebie w poszukiwaniu laski.

- Nie zachowuj się idiotycznie - powiedziała chłodno Alicja.

- Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?! - zawołał Doug. - Jo...

- A jak ma pani zamiar sprowadzić go na dół? - zapytała Alicja. - Zdaje pani sobie sprawę z tego, że od powrotu w ogóle nie wychodził z tego pokoju?

Jo popatrzyła na Douga.

- Nie - odparła. - Nie powiedział mi.

- Widzisz? - odezwała się Alicja do męża.

- Chyba jednak powinien czasem opuszczać mieszkanie - zauważyła Jo.

- No pewnie - potwierdził Doug.

Jo zrobiła krok do przodu. Położyła rękę na ramieniu Douga. Popatrzył na nią żałośnie, niczym pies zostawiany w domu, podczas gdy wszyscy inni udają się na przechadzkę. Przez chwilę miała wrażenie, że Doug poprosi: „Nie opuszczaj mnie”.

- Przyjadę jeszcze kiedyś - obiecała. - Naprawdę...

- Odprowadzę panią - zaproponowała Alicja.

- Dziękuję - odparła Jo. - Sama trafię.

Płynęli na południe. Trwało arktyczne lato - sierpień tysiąc osiemset czterdziestego szóstego roku, a Gus chorował. Nie zdawał sobie sprawy, kiedy to się zaczęło, wiedział jednak, że nastąpiła jakaś zmiana, zwłaszcza w jego snach; snach, które pojawiały się na jawie. Zauważył także, że bardzo schudł. Unikał spoglądania na swoje dłonie. Kiedy tylko się

dało, chował je pod mankietami. Miał bowiem wrażenie, że ręce nie należą do niego. Przypominały dłonie Johna tuż przed jego zgonem.

Jak jednak mógłby powiedzieć kolegom, że jego ręce nie są jego rękami? Oszołomiony umysł chłopca dopuszczał możliwość, że to dziwne uczucie obcości dłoni jest skutkiem jakiegoś okrutnego żartu. Może poprzedniego wieczoru ktoś szepnął, że to są ręce Torringtona, i ta myśl krążyła po jego umyśle tak długo, aż uznał ją za własną? Teraz nie potrafił się od niej uwolnić. Jego palce znajdowały się w trumnie, pozostawionej na Beechey. Żółto-białe zaś dłonie Torringtona stały się częścią jego własnego organizmu.

Czuł przy tym ogromne zmęczenie, tak wielkie, że nie zdawał sobie sprawy, gdzie statek się znajduje. Pamiętał tylko, że pewnego lipcowego ranka w pośpiechu opuścili Beechey, pozostawiając porozrzucane przedmioty, w tym sterty puszek, starannie poukładanych rzędami - niektórzy marynarze zamierzali wykorzystać je do ćwiczeń strzeleckich. Jeden z nich zostawił na wyspie parę swoich najlepszych rękawic, które obciążył kamieniami, aby się nie odkształciły podczas suszenia. Mnóstwo innych przedmiotów również zostało porzuconych tam, skąd pośpiesznie uciekli, między innymi worki po węglu i łatane przez marynarzy płachty płótna żaglowego, których nie należało przecież zostawiać.

Najgorsze jednak, ku zgrozie i rozpaczycy Gusa, okazało się coś, co zdarzyło się, gdy biegnąc wybrzeżem w kierunku statku, usłyszał cichy brzęk metalu upadającego na kamień. Odwrócił się, lecz nie spostrzegł żadnej zguby. Dopiero kiedy wszedł już na statek, zorientował się, że nie ma klucza od małego pudełka. Był to ten klucz, który Gus zobowiązał się przekazać matce umierającego Torringtona wraz z innymi przedmiotami. Nie miał możliwości znalezienia zguby; statek był już daleko od brzegu. Speszony swoją niezręcznością, Gus wpatrywał się w niknącą Beechey i trzy osamotnione groby z drewnianymi krzyżami.

Gus nie miał sił ani ochoty do pracy, chociaż wcześniej odczuwał przecież ogromną dumę ze wszystkiego, co robił na statku. Niekiedy czuł się całkiem nieźle; dokuczala mu tylko niepojęta obsesja na punkcie dłoni Torringtona. Czasem jednak ogarniało go uczucie kompletnego wyczerpania. Któregoś dnia poczuł silne skurcze żołądka, kiedy stał w kolejce, aby wspiąć się na takielunek. Zwolniono go wówczas z obowiązku pracy, choć dostał po głowie. Ukrył się wtedy przed marynarzami, starając się pozbyć z ust dziwnego, metalicznego smaku, i marząc o czymś, co tak dobrze znał z domu rodzinnego - o mleku, zwykłym mleku, z którego zebrano śmietanę. Oddałby wszystko za kubek mleka lub innego napoju, który usunąłby ów obrzydliwy, metaliczny, a zarazem słonawy posmak z przełyku.

Zastanawiał się, czy to możliwe, by szkodziła mu sól. Nie ośmielił się podzielić z

kimkolwiek tą myślą. Jak to zresztą możliwe, aby marynarzowi szkodziła sól? Zauważył jednak, że czuje się nieco lepiej, kiedy nie je racjonowanej solonej wieprzowiny, lecz ptaki, które udało się im ustrzelić na Beechey. Pomyślał, że ustąpiłyby przykre dolegliwości, gdyby mógł jadać świeże mięso. Przyszło mu nawet do głowy, że zamiast opuszczać wyspę, wolałby tam pozostać i przyglądać się niebu, po którym szybowałyby stada ptaków przylatujących z południa. Najbardziej podobały mu się alczyki - nieduże, lecz mocno zbudowane, z czarnymi łebkami i białymi podbrzusiami.

\*

Stojąc nieruchomo na brzegu Beechey, wyczuwał wokół zmiany. Zdawało mu się, że ocean tętni życiem, a niebo porusza się od wiatru. Beechey i Devon wydawały się tylko martwymi fragmentami krajobrazu. Życie było natomiast w morzu, w postaci ławic ryb, wielorybów, narwali i morsów. Gdy spoglądał na statki - tak imponujące w dokach Greenhithe - myślał, że w rzeczywistości to tylko drobinki, nie liczące się w ogóle wobec ogromu świata.

Lód zaczął pękać ostatniego lipca. Usłyszeli wybuch na morzu - właśnie wybuch, co sprawiało wrażenie, jakby Stwórca spowodował gigantyczną eksplozję, niweczącą ten biały świat. Oficerowie przystąpili do pośpiesznego przesyłania sygnałów między statkami, podczas gdy marynarze zaczęli wybiegać na pokład.

- Lód pęka! - usłyszał Gus głos Croziera.

Wpłynęli do Cieśniny Barrowa, w to samo miejsce, w które rok wcześniej zepchnął ich lód. Wiatr się wzmaczał, a *Erebus* i *Terror* ruszyły przed siebie, nabierając prędkości ścigających się jachtów. Tego dnia słońce świeciło oślepiająco. Odgłos fal uderzających o burty i świst wiatru w żaglach napawał marynarzy radością. Ruch! Wreszcie ruch! Opłynęli północne wybrzeże wyspy Somerset i dotarli do Cieśniny Peela, przekonani, że ten przesmyk prowadzi prosto na południe.

- Teraz pójdzie szybko - mówili mężczyźni. - Płyniemy na Pacyfik.

Jak okiem sięgnąć, nigdzie nie było widać gór lodowych. Otaczało ich czyste, piękne morze, lśniące całą gamą barw. Ulga, jaką się odczuwało, obserwując inne kolory niż szarość i biel panujące na Beechey, działała jak narkotyk. Widzieli morsy i wieloryby - pojawiły się tak licznie, że nawet Gus westchnął ze zdumienia na widok ich mnogości. Wielorybów było tak wiele, że ich olej wystarczyłby chyba do oświetlenia całego świata. Mieli wrażenie, że przemierzają pałac o komnatach wypełnionych skarbami.

Drugiego dnia po wpłynięciu do Cieśniny Peela z *Erebusa* nadeszła wiadomość.

- Co się stało? - spytał Gus stojącego najbliżej marynarza.



- Mamy płynąć dalej.

- A dlaczego mielibyśmy nie płynąć dalej? - zdumiał się chłopiec.

- Crozier chciał, żebyśmy się zatrzymali i wzniesli kopce - usłyszał wyjaśnienie. - Gdybyśmy je usypali na brzegu lądu, statki, które przyplwałyby tu, wiedziałyby, jaką obraliśmy trasę.

Gus wzruszył ramionami. Wydało mu się niedorzecznością cumowanie w chwili, gdy tak błyskawicznie pokonywali trasę. Kiedy dotrą na wody Oceanu Spokojnego będzie aż nadto czasu, aby powiadomić świat, którędy płynęli i kiedy.

Zebrani w mesie narzekali na otrzymany rozkaz, ale nie trwało to jednak długo. Tak naprawdę żaden z marynarzy nie chciał opóźnić imponującego tempa rejsu.

Minął niespełna tydzień od wypłynięcia z Beechey, kiedy znów ujrzeli góry lodowe. Pojawiły się początkowo daleko na południu. Thomas Blanky, specjalista od lodu, stale przebywał na pokładzie, wypatrując bezpiecznej drogi między lodowymi masami. Słyszał rozmaite odgłosy, dobiegające z przesuwających się obok statku gór - szelesty, zgrzyt taflí rozbijanych dziobem statku i odgłosy pękającej kry. Na bocianich gniazdach wystawiono warty.

- Lód! - rozległ się trzeciego dnia okrzyk obserwatora.

W tej samej chwili ogromne kry uderzyły o kadłub, wywołując silne drgania całego statku.

- Spójrzcie tam - powiedział Blanky. - Ta kra ma swoje lata.

Stare kry były znacznie groźniejsze dla statku niż świeży lód. Bywały niekiedy wielkości sporego budynku, na ich szczycie spoczywała gruba warstwa śniegu, a wokół widniały ślady po przyplwach i odpływach. Znaczyło to, że bryły przetrwały niejedną zimę, a wyostały się spod pokładów mocno zbitego lodu, gdzie tkwiły przez wiele lat, a uwolniło je dopiero niezwykle ciepło ostatnich tygodni.

Pomimo przeszkód, utrzymując szybkie tempo, *Erebus* i *Terror* pokonały prawie dwieście pięćdziesiąt mil morskich, gdy z bocianiego gniazda rozległ się okrzyk:

- Ziemia!

Załoga pobiegła na burtę, by spojrzeć w kierunku wskazanym przez wyciągnięte ramię wachtowego. Na horyzoncie widać było ciemny zarys linii brzegowej.

- Co to za miejsce? - spytał Gus.

- Ziemia Króla Williama - padła odpowiedź. - Ziemia Króla Williama!

Gus spojrział na Blanky'ego, a następnie na Croziera, stojących na mostku. Zauważył, że Blanky nie patrzy na południe, tylko na północny zachód, w kierunku otwartego morza,

strzeżonego przez wyspę Gateshead, którą zostawili za sobą dwie doby wcześniej.

Gdy Gus podążył za spojrzeniem Blanky'ego, spostrzegł biel na morzu.

Znowu zostaniemy odcięci! - przebiegło mu przez głowę. Będziemy uwięzieni. Odrzucił jednak tę myśl. Nieważne było, że droga przebyta zamarza, skoro przed statkiem widać żeglowne morze. Ziemia Króla Williama leżała nieopodal kanału znanego jako Cieśnina Simpsona. Gdyby minęli Ziemię Króla Williama, znaleźliby się na wodach cieśniny znajdującej się bliżej Pacyfiku niż Atlantyku. Ziemia Króla Williama oznaczała więc dla nich wybawienie. Lepiej nie patrzeć za siebie.

O szóstej po południu statki stanęły. Na horyzoncie gromadziły się chmury, lecz morze było spokojne. Crozier wyszedł na pokład, a za nim porucznicy Little i Hodgson oraz steward kapitana, Jopson. Ten ostatni schwycił Gusa za ramię i pociągnął go w stronę relingu.

Gus skurczył się pod spojrzeniem Croziera. Kapitan wydawał się drobniejszy niż rok wcześniej w Greenhithe, a jego wzrok stał się bardziej surowy, na twarzy rzadziej pojawiał się uśmiech.

- Augustusie - oznajmił kapitan. - Pójdiesz ze mną. Zobacysz się z panem Goodsirem.

Jopson trącił zdumionego chłopca.

- Tak jest, panie kapitanie - odparł Gus.

Crozier wpatrywał się w niego surowo.

- Zuch chłopak - mruknął po chwili.

\*

Trudno było się domyślić, że *Erebus* był o trzynaście lat młodszy niż *Terror*. Miał wyporność o trzysta siedemdziesiąt dwie tony większą, jego długość wynosiła trzydzieści dwa metry, a szerokość dziesięć metrów. Był jednak bardziej zniszczony.

Wchodzenie na statek na morzu zawsze okazywało się skomplikowaną operacją - należało pokonać sześćdziesięciocentymetrową drewnianą półkę, zamocowaną w górnej części burty i zabezpieczającą pokład przed falami i lodem.

Kiedy zbliżali się do *Erebusa*, Gus przyglądał się jego opływowemu kształtom. Przypominał ogromny dok pływający, sunący przez ocean niczym bokser wagi ciężkiej po udeptanej ziemi, z rękami zwieszonymi po bokach i oczami utkwionymi w przeciwniku. Gus nie potrafiłby sobie wcześniej wyobrazić, że lód zdoła uwięzić równie potężny statek. Wydawało się, że *Erebus* zdolny jest kruszyć wszelkie przeszkody stojące na jego drodze. Sprawiał wrażenie wojownika gotowego do walki.

Przeszli przez luk, w którym niemal pionowo stała dwumetrowa drabina, prowadząca

na niższy pokład, jedyny, który ogrzewano. Gus wciąż czuł smolisty zapach zimy; chociaż wszystko starannie oczyszczono, drewno nadal było ciemne i nieco tłustawe w dotyku. Gdy szli wąskim i słabo oświetlonym korytarzem, Gus uświadomił sobie, dokąd zmierzają. Pomieszczenia na *Erebusie* rozplanowano bowiem niemal tak samo jak na *Terrorze*. Dotarli do oficerskiej mesy. Jopson otworzył drzwi i cofnął się, puszczając przodem Croziera, Little'a, Hodgsona i Blanky'ego.

- Zostań tu - polecił Crozier. - Zaczekaj, aż pan Goodsir do ciebie przyjdzie.

Gus zajrzał przez szparę w drzwiach. Iluminatory wynalezione przez Prestona wpuszczały do kajuty ostre światło słoneczne, rozpraszając jego migoczące promienie po całym pomieszczeniu. Pod jednym z iluminatorów siedział Franklin. Gus nigdy wcześniej nie widział z tak bliska tego wielkiego człowieka. Wpatrywał się więc teraz w legendarnego żeglarza, owiniętego płaszczem. Franklin przyglądał się mapom rozpostartym na stole. Gus zauważył fałdy skóry na jego szyi i worki pod oczami. Dowódca wyglądał na znacznie więcej niż swoje sześćdziesiąt lat.

Oficerowie rozmawiali z ożywieniem, ale przerwał im Franklin.

- Nie mamy wyboru - stwierdził. Wymawiał słowa wolno i zadziwiająco niepewnie. - Zatoka Poctes mogłaby nam z powodzeniem posłużyć za zimowe schronienie, lecz przecież nie wypłynęliśmy na poszukiwanie zimowiska.

Oficerowie pochylili się nad mapą.

Franklin wskazywał palcem jakiś punkt na mapie, którą otrzymał tuż przed wyruszeniem w podróż, przedstawiającej tereny wokół bieguna północnego. Ziemia Króla Williama znajdowała się wyraźnie w pobliżu, lecz jej południowe wybrzeże pozostawało nie zbadane. Z mapy dawało się z całą pewnością odczytać to tylko, że po obydwu stronach Ziemi Króla Williama leżały cieśniny - na wschodzie Cieśnina Jamesa Rossa, a na zachodzie Wiktorii.

Crozier usiadł obok Franklina. Przez chwilę wpatrywał się uważnie w mapę, badając wzrokiem zatokę Poctes, obrysowaną kropkowaną linią, biegnącą ze wschodu na zachód. Na jej podstawie można było przyjąć, że Ziemia Króla Williama stanowi element półwyspu Boothia, a tym samym część kontynentu amerykańskiego.

- Nie uda się nam wydostać z Cieśniny Rossa - skonstatował Franklin.

Crozier uniósł głowę.

- Jestem o tym przekonany - dodał Franklin, zauważając wyraz twarzy Croziera.

- A ja nie - mruknął Crozier. - Przykro mi.

Były to pierwsze słowa, które wypowiedział od momentu wejścia do pomieszczenia.

Pośród oficerów rozległy się szepty.

- Czyżby pan się nie zgadzał? - spytał Fitzjames.

- Nie mam żadnej pewności.

- Nikt nie jest niczego pewien, dopóki nie przekona się na własne oczy. Po tym kanale już jednak żeglowali nasi poprzednicy - rzekł Fitzjames. - Można jednak sądzić...

- Ja nie mam zwyczaju opierać się na domniemaniach - oznajmił Crozier, spoglądając na Blanky'ego, swego specjalistę od lodu.

Franklin odchylił się na krześle. Światło odbijające się od fal morskich zamigotało na jego splecionych dłoniach.

- Mógłby pan rozwinąć swoją teorię? - zapytał.

Crozier przysunął do siebie mapę nr 261.

- Zakładamy, że w tym miejscu, na najbardziej wysuniętym na południe skrawku lądu, znajduje się przesmyk pomiędzy Ziemią Króla Williama i Boothią - mówił spokojnie. - Dease, Simpson i Ross również zakładali istnienie tego przejścia.

- Założenie okazało się na tyle wiarygodne, że znalazło odbicie na mapach - uzupełnił Franklin.

- Niemniej jednak wciąż jest to wyłącznie założenie - odparł Crozier.

Franklin machnął ręką.

- A panu się wydaje, że nie ma żadnego przesmyku. Pańskim zdaniem Ziemia Króla Williama to wyspa?

- Zgadza się. Istnieje taka możliwość.

- A co to ma wspólnego z tematem naszej rozmowy? - zapytał Franklin.

- Jeśli udamy się na wschód, dotrzemy do celu równie szybko, jakbyśmy skierowali się na zachód - wyjaśnił Crozier. - Prawdopodobnie jednak nie natkniemy się na aż tak niebezpieczny lód.

Zapadła cisza. Franklin przez chwilę rozważał słowa Croziera.

- Jeśli popłyniemy na zachód, nie napotkamy na żadne nieznane niebezpieczeństwa - odezwał się w końcu. - Nie można jednak powiedzieć tego o drodze na wschód. Jeśli natrafimy na oznaczony na mapach przesmyk, znajdziemy się w zatoce.

- Podróż na zachód także wiąże się z zagrożeniem - stwierdził Crozier.

- Proszę je podać - zażądał Franklin.

Kapitan *Terrora* spojrział na Blanky'ego.

Blanky poruszył się niespokojnie. Płynął przecież swego czasu z Rossem, którego imieniem nazwano cieśninę.

- Nie wiem nic więcej ponad to, co wszyscy tu zebrani - zaczęli. - Nie mam pojęcia, czy droga na wschód dokądś prowadzi, czy też jest ślepa. Mimo to... - Niepewnie powiódł wzrokiem po twarzach oficerów. - Z całym szacunkiem, sir John, znam dobrze lód. Płynie od Wiktorii w takich ilościach, że nie uda nam się przez niego przebić. Jeśli jednak wyruszymy w przeciwną stronę, być może nie napotkamy go w takiej masie.

- Skąd pan wie, że lodu w drodze na zachód nie da się pokonać? - spytał z powątpiewaniem Franklin.

- Takie jest moje zdanie.

- Na czym się pan opiera?

- Na wyglądzie gór lodowych, które mijamy - odparł Blanky.

- Damy sobie z nimi radę.

- Ale nie przebijemy się przez aż tak grubą taflę lodu - rzekł Blanky.

- Zapomniał pan, że pod pokładem mamy silnik lokomotywy - zauważył Franklin.

- Nawet lokomotywa nie przebije lodu, w którego stronę zamierza pan popłynąć. - Blanky nie miał żadnych wątpliwości.

Zapadła cisza. Z twarzy Franklina nie można było niczego wyczytać. Fitzjames westchnął lekko i unosząc brwi, usiadł naprzeciw dowódcy.

Ten ostatni odwrócił się w stronę Jamesa Reida. Specjalista od lodu z *Erebusa* wbiął wzrok w mapę nr 261.

- Co pan na to, panie Reid? - spytał Franklin.

Reid się speszył. Unikał odzywiania się publicznie, bo zdawał sobie sprawę ze swojego północnego akcentu. Czuł się skrępowany, a uczucie to nie opuściło go teraz, gdy powodzenie ekspedycji zależało od umiejętności zarówno Blanky'ego, jak i jego samego.

- Za nami gromadzi się stary lód - odważył się w końcu wypowiedzieć własne zdanie. - Mimo to Wiktorii jest najkrótszą i najprostszą drogą.

Franklin uśmiechnął się.

- Właśnie - rzekł. - Nie mógłbym tego lepiej ująć. Możemy wygrać wyścig z zimą. Zdamy przepłynąć, zanim lód się na dobre zestali.

Crozier zbladł. Blanky uciekł wzrokiem w bok.

- Nasze statki dysponują najpotężniejszymi urządzeniami do przebijania się nawet przez grubą krę - przypomniał Franklin. - Mamy odpowiedni pancierz; nie istnieją statki lepiej przystosowane do podróży podbiegunowych. Musimy wykorzystać szansę. Być może za jakieś dwa tygodnie przewidywania pana Blanky'ego się spełnią, niemniej obecnie mam prawo twierdzić, że sytuacja opisana przez niego jeszcze nie zaistniała. Skoro jednak może się

tak stać, rzeczywiście musimy wyruszyć natychmiast. Popłyniemy prędko, obierając najkrótszą drogę.

Wokół rozległ się szmer aprobaty. Wyjątek stanowił Crozier.

- Kapitanie - odezwał się. - Silniki parowe nie ułatwią nam przebicia się przez Cieśninę Wiktorii.

Oblicze Franklina stężało.

- Mam wrażenie, że wszyscy dobrze znamy pańską opinię o silnikach parowych - odparł.

- Gdyby dowodzenie tą wyprawą spoczywało w moich rękach, odmówiłbym pływania z wykorzystaniem pary - oznajmił Crozier. - Jeśli żywi pan nadzieję, że dzięki parze przedostaniemy się przez Cieśninę Wiktorii, to jest pan w błędzie. Płynąc tamtędy, pozbawiamy się wszelkiej możliwości znalezienia bezpiecznej przystani. Utkniemy w lodzie, zanim zdążymy minąć Ziemię Króla Williama, zanim zobaczymy Cieśninę Simpsona. Dużo wcześniej.

To już była jawna niesubordynacja. Oficerowie zamarli, jakby najłżejszy ich ruch mógł obrazić dowódcę. Crozier mówił głośniejszym niż zwykle, a jego irlandzki akcent stał się niezwykle wyraźny. Gus zauważył mocne rumieńce na policzkach Franklina.

Dowódca pochylił się do przodu.

- Jednakże to nie w pana rękach spoczywa odpowiedzialność za tę wyprawę - oświadczył.

Crozier również poczerwieniał.

- Nie utkniemy w Cieśninie Wiktorii - wycedził Franklin. - Nie popłyniemy na wschód, aby zostać w zatoce Poctes bez możliwości ratunku. Skierujemy się przez Cieśninę Wiktorii i dotrzemy do Cieśniny Simpsona przed końcem tygodnia, a jeśli zajdzie taka konieczność, przebijemy się przez lód. Z Bożą pomocą ujrzymy Ocean Spokojny przed nadejściem zimy.

Crozier spuścił wzrok.

- Takie jest moje ostatnie słowo w tej sprawie, panie Crozier - zakończył Franklin, wstając z miejsca.

Był piątkowy wieczór.

Jo zasnęła na kanapie, a kasetka wideo z komedią, którą przyniosła z wypożyczalni,

wciąż kręciła się w magnetowidzie, nie bawiąc nikogo. Jo leżała na boku, nieobecna dla świata, kiedy nagle rozległ się dzwonek do drzwi.

Z trudem wyrwała się z głębokiego snu. Zerknęła na zegarek. Wpół do dziesiątej. Przetarła oczy, zastanawiając się, czy to Gina; telefonowała wcześniej, żeby zaprosić Jo na urodziny swojego chrześniaka.

- Nie mogę - powiedziała Jo - Maluję mieszkanie.

- Nie wierzę.

- Naprawdę - upierała się Jo. - Mam farbę i wszystko, co potrzeba.

- Na jaki kolor?

- Żółty.

- Całość?

- Całość - odparła stanowczo Jo. - Ma być jasno.

- Ale dlaczego robisz to sama?

- Z nudów - wyjaśniła.

- Raczej ze wstydu.

- Opróżniłam też wszystkie pudła - roześmiała się Jo.

- Naprawdę? Gdzie to wszystko poustawiałaś?

- Na podłodze.

- Hmm. Nieźle - powiedziała Gina. - Jesteś pewna, że nie dasz rady wpaść?

- A będzie galaretki i lody?

- Bez ograniczeń.

- Ponętne perspektywy - stwierdziła Jo. - Jeśli uda mi się skończyć...

- A jeśli nie?

- Przyjdź rano i przynieś coś dobrego.

Gina znowu się roześmiała.

- Do zobaczenia.

Dzwonek zabrzączał ponownie. Jo wstała.

- Już idę! - krzyknęła.

Popatrzyła na siebie. Dżinsy miała ochlapane farbą, podobnie jak włosy. Zaczęła malowanie, używając wałka, a kiedy zorientowała się, że więcej farby marnuje, niż kładzie na ściany, po południu przerzuciła się na pędzel. Szło wolniej, ale skuteczniej. Teraz duży pokój po prostu lśnił, nawet w ciemnościach.

- Jestem, jestem - mruknęła, a osoba po drugiej stronie drzwi zaczęła stukać. Jo wyłączyła telewizor.

- Kto tam? - zawołała.

- Doug - padła odpowiedź.

Zatrzymała się na moment i ze zdumieniem wbiła wzrok w drzwi. Szybko otworzyła zamki i zdjęła łańcuch.

Opierał się o ścianę. Nawet w słabym świetle latarni wyglądał szaro.

- Mój Boże - powiedziała. - Co ty tu robisz, na litość boską?

- Uprawiam bieg maratoński - odparł.

- Co...?

- Żartuję.

- Myślałam, że to Gina - powiedziała.

- No i widzisz...

- Cóż...

- Jo - odezwał się. - Jeśli mnie nie wpuścisz, zaraz się przewrócę.

- Jezu, przepraszam! - Drgnęła. - Po prostu mnie zaskoczyłeś. Zaraz ci pomogę.

Szurając i potykając się co chwila, dotarli w końcu do kanapy. Wcześniej Jo zamknęła drzwi jednym celnym kopnięciem, podczas gdy Doug opierał się na jej ramieniu.

- Dzięki Bogu - mruknął, opadając na kanapę.

- Wyglądasz strasznie - powiedziała. - Co ci przyszło do głowy?

- Szaleństwo - odparł. Rozejrzył się. - Chyba ci przeszkadzam.

Dopiero teraz zorientowała się, że zapach farby jest bardzo intensywny.

- Pomalowałaś pokój na żółto? - dodał.

- A co złego jest w tym kolorze?

- Nic. Ale powstały zacieki.

- Nieprawda! - Znieruchomiała z ręką na biodrze. - Gdzie widzisz zacieki?

- Nad stołem.

- To nie stół, tylko pudło.

Doug uśmiechnął się.

- A ja się obawiałem, że uznasz moje mieszkanie za niegustowne.

- Bardzo cię przepraszam - warknęła. - Żółty nie jest niegustowny. To porządny kolor.

- Uważnie spojrzała na niego. - Naprawdę wyglądasz strasznie. Chcesz drinka?

- Nie wolno mi. Biorę lekarstwa. A co masz?

- Odrobinę brandy. Mam też herbatę.

- Przekonałaś mnie - stwierdził.

Jo poszła do kuchni i znalazła butelkę brandy, wciśniętą w kąt szafki.



- Ile można trzymać brandy? - zawołała. - Dostałam ją na gwiazdkę.

- W którym roku?

Potrząsnęła buntowniczo głową, wzięła tacę, postawiła na niej drinki i duży imbryk z herbatą. Pogrzebała w puszcze, gdzie znalazła dwa wilgotne herbatniki.

- To okropne! - powiedziała, stawiając tacę na dywanie. - Chyba wyjdę i kupię coś do herbaty.

- Usiądź na chwilę - poprosił. Wypił brandy. Rumieniec z wolna powracał na jego policzki.

- Jak się tu dostałeś? - zapytała.

- Przyjaciel podwiózł mnie na Charing Cross. Wynająłem pokój w hotelu. Stamtąd przyjechałem taksówką.

- Tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć?

- Tylko po to, żeby się z tobą zobaczyć - przytaknął.

- Ale dlaczego?

- Żeby cię przeprosić.

- Doug - powiedziała. - Mogłeś mnie nie zastać.

- Spróbowałbym jeszcze raz rano.

- Mogłam wyjechać na cały weekend.

- No to spróbowałbym w poniedziałek.

- Daj spokój.

- Mam spotkanie w Instytucie Morskim.

- Aha.

- Ale nie dlatego przyjechałem, Jo. - Pochylił się ku niej. - Specjalnie wybrałem się wcześniej, żeby zobaczyć się z tobą.

- Właściwie to za co chcesz mnie przeprosić?

- Za Alicję.

- Aha - odparła Jo. Zastanowiła się przez chwilę. - Cóż, myślę, że to raczej ona powinna mnie przeprosić.

- Powinna. Ale ja powinienem był wtedy wyrzucić ją, nie ciebie.

- Nie wyrzuciłeś mnie - przypomniała. - Sama wyszłam.

Zacisnął palce na nóżce kieliszka.

- Ona jest jak walec parowy.

- Daj spokój, Doug.

Westchnął.

- Przyleciałaś na statek, przyjechałaś do Cambridge, żeby ze mną porozmawiać.

- Nie prosiłaś ani o jedno, ani o drugie.

- Nie, ale cieszę się, że to zrobiłaś.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Mogłem przynajmniej...

- Nie mogłeś wyrzucić własnej żony - przerwała mu. - Tym bardziej że jej zdaniem jestem natrętnym intruzem.

- Jeśli już ktoś jest intruzem, to właśnie ona - odparł. Jo widziała, że trafiła w czuły punkt. - Alicja nie przyjmuje do wiadomości niczyich racji. To mnie doprowadza do szału. Usiłowałem rozmawiać, usiłowałem krzyczeć, nawet rzucać meblami.

- Naprawdę?

- Rok czy dwa lata temu.

- Ona cię kocha - zauważyła Jo.

- Nie kocha mnie - odparł. - Wczepiła się we mnie. Jak kleszcz.

- Wciąż jesteś jej mężem.

- Już niedługo. Dwa miesiące temu wystąpiłem o rozwód.

Jo powoli piła swoją brandy.

- Może właśnie o to chodzi - zauważyła. - Widzi, że cię traci. Tym mocniej się w ciebie wpija.

- Nawet nie chcę ci mówić, jak wyglądało nasze ostatnie pięć lat.

Jo milczała, wodząc palcami po brzegu tacy. Głupio się czuła, obgadując Alicję za jej plecami, jeśli nawet nie potrafiła wykrzesać z siebie żadnych pozytywnych uczuć w stosunku do tej kobiety. Zjadła jeden z herbatników, usiłując się przy tym nie krzywić.

- Jak się poznaliście? - zapytała.

Uśmiechnął się.

- Na studiach.

- W Cambridge?

- Nie. W Lancaster.

- Znam to miasto - odparła.

- Naprawdę?

- Jedna z moich szkolnych przyjaciółek tam mieszka. Odwiedziłam ją... Boże, trzy lata temu? To niedaleko morza.

- Na wybrzeżu - potwierdził. - Alicja studiowała ekonomię i nauki polityczne.

- Przeróżające.

- Zawsze taka była.

- I...?

- Alicja zdecydowała, że się pobierzemy - ciągnął. - Była bardzo zorganizowaną dziewczyną. Lubiła mieć wszystko załatwione. Bardzo różniła się od rówieśników. Wyprzedzała inne dziewczyny o całe lata świetlne. Miała dokładny plan swojego życia.

Odstawił kieliszek i wpatrywał się w niego.

- Z góry wiedziała, co osiągnie do trzydziestego roku życia, do czterdziestego, do pięćdziesiątego. Planowała i dla mnie studia podyplomowe. Uważała, że mam przed sobą wielką przyszłość. - Zmarszczył brwi. - Ja byłem innego zdania, ale ona... Przeprowadziliśmy się na południe, Alicja podjęła pracę, utrzymywała mnie na studiach.

- I wzięliście ślub.

- Dopiero po pewnym czasie. Kiedy John był w drodze.

- Rozumiem.

Doug zauważył wyraz jej twarzy.

- Tak - stwierdził. - Jestem samolubnym człowiekiem.

- Czy ja wiem? - Zawahała się. - Mnóstwo ludzi znajduje się w sytuacji, w której...

- Wykorzystałem ją - przerwał. - Ale ona nad wszystkim panowała. Szła do przodu jak burza. Chyba nawet zaplanowała tę ciążę, chociaż teraz temu zaprzecza.

- Nigdy o tym nie rozmawialiście?

Zawahał się.

- Miałem kogoś innego - wyznał.

Jo popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Zerwaliście?

- Nie - odparł. - Byliśmy razem już od dwóch lat, gdy poznałem pewną dziewczynę. Zamierzałem powiedzieć o tym Alicji, zerwać z nią...

- Żeby zostać z tą drugą?

- Tak.

- I wtedy Alicja powiedziała ci, że jest w ciąży?

- Tak. - Popatrzył bezradnie na Jo. - Wiem. Nie mogłem jej jednak zostawić. Wybaczyła mi.

- Wybaczyła ci, że pokochałeś inną dziewczynę? - zapytała Jo. - To bardzo miło z jej strony. - Nie mogła ukryć cynicznej nuty, która zabrzmiała w jej głosie. Na widok jego reakcji wzruszyła ramionami. - Przepraszam. Ta ciąża Alicji przypomina szantaż. Co na to powiedziała ta druga?

- Była... - Przerwał. - Nie istnieje właściwie słowo, którym można by to oddać. Była wstrząśnięta. Naprawdę wstrząśnięta. A ja czułem się tak rozdarty, że nie wiedziałem, co zrobić.

- Kochałeś ją?

Ku jej zdumieniu, zarumienił się mocno.

- Bardzo.

- Bardziej niż Alicję... - To nie było pytanie.

- Nie mogłem Alicji zostawić - odparł.

- Więc postąpiłeś jak przystało na człowieka honoru.

- Urodził się John - ciągnął. - Oboje ciężko pracowaliśmy. Ta dziewczyna wyszła za kogoś innego.

- Utrzymujesz z nią kontakt?

- Nie. Wyjechała.

- Ale gdy John pojawił się na świecie, musiało się poprawić między tobą a Alicją?

Uniósł wzrok, wbity dotąd w podłogę.

- Nic się nie poprawiło. Wtedy już wiedziałem, że nie kocham kobiety, którą poślubiłem. Wiedziałem, że nie podziela moich zainteresowań. Pracowałem i ona pracowała, a przede wszystkim wychowywała Johna, za co jestem jej wdzięczny, bo tak często wyjeżdżałem... Wykorzystałem ją po prostu. Chciała żyć według swego planu. Nie pragnęła więcej dzieci. Nigdy nie wtrącała się w to, co chciałem robić. Jakoś to więc ciągnęliśmy. - W zamyśleniu podrapał się po czole. - Jak w wypadku wielu przypadkowych małżeństw, to niezbyt atrakcyjna historia.

Jo poruszyła się niespokojnie. Siedziała na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Kiedy przejechała dłonią po włosach, poczuła stwardniałe grudki farby. Doug popatrzył na nią.

- Jo - powiedział. - Nie zamierzałem opowiadać ci historii swojego życia. Chciałem tylko, byś wiedziała, że mi przykro. - Pochylił się.

- Co robisz? - zapytała.

- Powinienem już iść.

- Nie - odparła. - Za chwilę przyniosę coś do zjedzenia.

- Jesteś zmęczona.

- Nie jestem.

Uśmiechnął się smutno.

- Słusznie - stwierdził. - Zapomniałem. Masz dwadzieścia siedem lat, nie męczysz się

łatwo.

Jo odwzajemniła uśmiech.

- Męcę się jak każdy inny człowiek - wyjaśniła.

- A więc... - Rozejrzał się w poszukiwaniu laski, którą ze sobą przyniósł.

- Ale nie dzisiaj! - zapewniła.

Znieruchomiał i popatrzył na nią uważnie.

- Dzisiaj nie jestem zmęczona - oznajmiła.

Na jego twarzy pojawiło się zdumienie.

Jo uklękła przed nim i, starannie omijając chorą nogę, pochyliła się, by go pocałować.

Myślała dotąd, że przestała marzyć o księciu z bajki, że pozbyła się tego marzenia, tak samo, jak pozbyła się kiedyś zabawek i stanęła twardo na nogach. Poradziła sobie w prawdziwym świecie, pełnym realnych spraw. Rozmawiała codziennie z prawdziwymi ludźmi - z egoistami, głupcami, z ludźmi ambitnymi czy też tymi, którym się zwyczajnie powiodło. I przez cały ten czas nie miała pojęcia, że gdzieś czeka na nią rycerz, będący ucieleśnieniem młodzieńczych marzeń. Nie wiedziała nawet, że w jej sercu wciąż kryje się bezbronne miejsce, podatne na takie uczucie, którego doznała teraz.

Spojrzała na Douga i ujrzała na jego twarzy odbicie myśli, które właśnie przebiegły przez jej głowę. Mój Boże, pomyślała. A jednak cuda się zdarzają...

Doug wyciągnął rękę i przytulił Jo do siebie, przyciskając twarz do jej ramienia. Czowała, jak unosi się jego klatka piersiowa, jak Doug obejmuje ją uściskiem.

- Nie wiedziałem - mruknął. - Nie wiedziałem...

Odchyliła się nieco i popatrzyła mu w oczy.

- Ja też nie - powiedziała. - Ale teraz już wiem.

## 13

Pomimo szalejącej burzy niedźwiedzica spała spokojnie. Temperatura gwałtownie spadła, zmuszając do zaszcucia się w kryjówkach nawet Inuitów zamieszkujących Bylot, Borden i Brodeur. Kiedy rozszalała się wichura, wszystkie żywe istoty zaczęły poszukiwać schronienia. Zwierzęta, które przywędrowały nad fiordy, zbiły się w stada i odwróciły tyłem do kierunku wiatru. Wielkie samce karibu, w oczekiwaniu na powrót samic z potomstwem, stłoczyły się za wysoką zaspą. Zaledwie dwa tygodnie wcześniej pokonały lodową drogę z wyspy Bylot, a teraz z trudem opierały się huraganowym podmuchom. Chude i z sierścią potarganą wiatrem właśnie traciły zimową okrywę.

Przypłynęły już narwale, które spędziły zimę za kołem podbiegunowym. Niedźwiedzica słyszała niekiedy rozmaite hałasy, gdy zanurzała się w oceanie. Nerpy, na które polowała, czekały i piszczały jak psy. Morsy porozumiewały się niskimi pomrukami, narwale i białuchy wydawały osobliwe odgłosy, od których aż huczało w wodzie. Niedźwiedzica nie zwracała jednak uwagi na dochodzące do niej teraz dźwięki. Podwinęła potężną przednią łapę i przykryła nią pysk, zasłaniając w ten sposób jedyną część ciała, którą uciekało ciepło. Nie zagrażał jej chłód. Była doskonale przystosowana do życia w niskich temperaturach. Gdy nasilił się wiatr, przewróciła się powoli na bok, nie zwracając uwagi na przysypujący ją śnieg. Spożyte foki zapewniły jej grubą warstwę tłuszczu; teraz chciała tylko spać.

Jej partner ułożył się trzy metry od niej. Przez kilka ostatnich dni wędrował za nią krok w krok, zauroczony wonią rui. Kiedy ją wyczuł po raz pierwszy, rywalizowały z nim jeszcze trzy inne samce. Dwa z nich okazały się o wiele za młode, aby stanąć z nim w szranki; mogły jedynie przysiąść w bezpiecznej odległości i z szacunkiem przyglądać się groźnemu rywalowi. Był jednak jeszcze ośmioletni niedźwiedź, ważący niemal pół tony, który zaledwie kilka godzin wcześniej natknął się na trop rywala. Zbliżył się, lekko unosząc głowę, a następnie uniósł na tylnych nogach, aby obejrzeć wroga i przyjrzeć się samicy. Gdy opadł na cztery łapy, mruknął z niezadowoleniem, bo poczuł ból w zastarzałej ranie.

Samce zbliżyły się do siebie i nastąpiło starcie. Cięższy samiec był większy, lecz także starszy i powolniejszy, a w dodatku głodny. Dał wyraz swojemu fatalnemu samopoczuciu, zamasyście tłukąc przeciwnika łapami; udało mu się przeorać pazurami grzbiet młodszego. Nie ulegało wątpliwości, że w tym boju mogą się poważnie poranić, a nawet pozabijać. Po kilku minutach jednak starsze zwierzę wycofało się, potrząsając głową na dźwięk triumfalnego ryku zwycięzcy. Na innym kontynencie, w innym klimacie, podobne dźwięki wydawał lew - był to głęboki, odbijający się echem ryk.

Tego samego dnia zwycięzca odbył gody z samicą. Wiele razy konsumowali swój związek. Długi arktyczny dzień był dla nich miły. Para spacerowała po krze, od czasu do czasu zatrzymując się i wpatrując w wodę. Pod wieczór trafiła się im foka wąsata.

Ten gatunek był najlepszym prezentem samca dla samicy. Foki wąsate są bowiem większe od nerp, dorosłe ważą do dwustu, trzystu kilogramów i stanowią prawdziwe magazyny żywności. Pochłaniają skorupiaki, które sprawnie wydłubują z muszli. W przerwach między nurkowaniem leżą na krze z wypchanymi żołądkami, zapadając w sen na tych dryfujących lodowych platformach.

Samiec zanurzył się bezgłośnie w morzu, jego potężne ciało zniknęło pod taflą wody.

Od czasu do czasu wynurzał łeb, by dojrzeć miejsce odpoczynku ciemnoszarej fokki. Samica przywarła do lodu i przyglądała się polowaniu. Niedźwiedź pokonywał podwodne kanały, a gdy na chwilę wystawiał nos i oczy, spojrzenie utkwione miał w jednym punkcie - w focę, która wprawdzie odwróciła głowę, lecz nie dostrzegła zagrożenia. Opadła znów na lód z głośnym klaśnięciem zwałów tłuszczu.

Pokonawszy kolejnych pięćdziesiąt metrów, samiec zniknął. Przez chwilę toń była gładka, po czym niedźwiedź wynurzył się, schwycił fokę za głowę, a siłę potężnych pazurów spotęgował zabójczym uderzeniem pyska. W niczym nie przypominał powolnego, ogromnego zwierzęcia - śmigał jak pantera, niewiarygodnie wprost, jak na swą masę, szybki i morderczo precyzyjny. Ofiara padła. Udane łowy.

W swoim dotychczasowym życiu niedźwiedź jadał wszystkie dostępne rodzaje pożywienia: fokki, woły pizmowe, wieloryby, narwale, morsy, gęsi, padlinę, wodorosty, jagody, ptasie jaja. Musiał spożywać ogromne ilości jedzenia, aby nie stracić na wadze i zachować odpowiednią warstwę sadła. Przez większość czasu spędzanego na lodzie śledziły go z bezpiecznej odległości lisy polarne, których przetrwanie zależało od owocnych polowań kolosa.

Inuici otaczali niedźwiedzie szczególnym kultem. Były dla nich stworzeniami mitycznymi. W pierwszych miesiącach roku pojawiała się gwiazda Aldebaran w gwiazdozbiórce Byka. To ciało niebieskie, które późnym popołudniem pojawiała się na niebie, przebiegając z północnego wschodu na północny zachód, było w znanej wielorybnikom cieśninie Cumberland określane mianem *nanurjuk*, czyli „duch niedźwiedzia polarnego”. W zatoce Repulse, leżącej na południowym krańcu zatoki Boothia, ta sama gwiazda nosiła miano *kajurjuk*, co oznaczało kolor czerwony. W zatoce Coronation, rozciągającej się na zachód, nad Wielkim Jeziorem Niedźwiedzim, gwiazdę tę określano słowem *agleoryuit*, czyli „ścigający”.

Aldebaran był według tubylców niedźwiedziem trzymanym na dystans przez psy myśliwskie Inuitów, dającą słabe światło dużą, białą gwiazdą, znajdującą się w pobliżu gromady gwiazd, zwanej Hiadami. Trzy gwiazdy pasa Oriona były z kolei myśliwymi, podążającymi za swoimi psami. Niedźwiedź zawisł na zawsze na nocnym niebie, stając się ośrodkiem wiecznego spektaklu gwiazdowego.

Burza śnieżna trwała aż do rana, aby ucichnąć równie niespodziewanie, jak się rozpetała. Przez chwilę nic nie zakłócało monotonnego krajobrazu, gdzie świeży śnieg przykrył niedawno wyrosłą trawę i skalnicę. Nagle niedźwiedzica się poruszyła. Powoli stanęła i otrząsnęła się ze śniegu. Uniosła głowę i zaczęła węszyć. Słońce świeciło jaskrawym

blaskiem na białoniebieskim niebie. W ciągu kilku kolejnych godzin pokazały się kolory arktycznej wiosny: na niskich, wygładzonych skałach, na których leżała niedźwiedzica, pojawiły się jasnopomarańczowe porosty. Wszystko przybrało wygląd taki jak przed kilku godzinami.

Jednakże Pływaczka, która właśnie ruszyła przed siebie, wyczuła jakąś zmianę. Gdy spała, coś się wydarzyło. Świat się nagle odmienił.

Nie obejrzała się na pogrążonego we śnie partnera, pokrytego warstwą śniegu. Syty zwierz spał przez następną godzinę. Kiedy się przebudził, niedźwiedzica była już daleko.

## 14

Alicja siedziała w ciepłarni Franklin House z listem w ręku. Zmarszczyła brwi.

- No i co o tym myślisz? - spytał John.

On i Catherine siedzieli naprzeciwko matki; rozdzielał ich niski stolik, na którym stała taca z herbatą. Zaczęło padać i krople deszczu miękko uderzały o dach.

- Naprawdę nie wiem, co o tym myśleć - rzekła Alicja.

John pochylił się ku niej.

- To dobry fotograf - zapewnił. - Ma świetną reputację.

Alicja odłożyła list.

- Nie wątpię.

- No i...?

Alicja zdjęła okulary. Przez chwilę zatrzymała wzrok na Catherine.

- Pozwól, że wszystko sobie jakoś ułożę - mruknęła. - Na letnie wakacje chcesz jechać do Kanady, żeby pracować dla tego człowieka.

- zaproponował mi tę pracę.

Uśmiechnęła się.

- Właściwie to nie zaproponował ci żadnej pracy - odparła. - To stanowisko jest bezpłatne.

John zerknął na Catherine.

- Niech ci będzie - przystał. - zaproponował mi stanowisko. Na sześć tygodni.

- Nie rozumiem, dlaczego z tym wystąpił.

Zapadła cisza; dało się słyszeć, jak John bierze głęboki oddech.

- Bo napisałem do niego.

Catherine położyła dłoń na ramieniu chłopaka.



- Bo męczyłeś go dniem i nocą - uzupełniła z uśmiechem.

Odwzajemnił uśmiech i niepewnie spojrział na matkę.

Alicja znów pochyliła głowę nad listem, po czym ponownie popatrzyła na Catherine.

- Pochodzi pani z tamtej części świata? - zapytała.

- Nie, pani Marshall. Mój ojciec mieszka w Arctic Bay.

- A więc tam.

- To daleko od Churchill. Churchill leży w Zatoce Hudsona.

Alicja zacisnęła usta.

- Mamo - odezwał się John. - To całkiem nowe doświadczenie.

- Czemu właśnie tam?

- Bo w tej okolicy zbiera się wielka liczba niedźwiedzi.

Alicja zerwała się od stolika. Jej sztywno napięte ramiona świadczyły o wielkim napięciu. Wpatrzyła się w ogród za oknami.

- W zeszłym tygodniu otrzymałeś propozycję spędzenia wakacji przy wykopaliskach w Spitfields - powiedziała.

- Och, tam wszyscy byli.

- Załatwiłam ci to miejsce. - Popatrzyła na niego. - Żeby ci pomóc na studiach.

- Wiem - odparł. - Ale ja cię o to nie prosiłem, prawda?

- John... - szepnęła ostrzegawczo Catherine.

- Może i nie prosiłeś, ale ja to z a ł a t w i ł a m. Mógłbyś mi podziękować.

- Chcę jechać do Churchill - z uporem powiedział John podniesionym głosem. - Ostatnie wakacje spędziłem na cholernych wykopaliskach. Ile jeszcze trafi mi się takich okazji jak ta? Żadna.

- Przecież twoje studia nie mają nic wspólnego z cywilizacją Arktyki.

John także wstał.

- Nie chodzi o studia - odparł.

Alicja popatrzyła na niego z kamiennym wyrazem twarzy.

- Doskonale wiem, o co chodzi - oznajmiła. - Chcesz udać się na bezsensowną krucjatę, zupełnie jak twój ojciec. I przyszedłeś mnie prosić, żebym ją sfinansowała.

Catherine podeszła do Johna.

- To daleko od okolic, w których zaginął Franklin z załogą - powiedziała.

Twarz Alicji zrobiła się jeszcze bardziej odpychająca.

- Mogłaby pani przestać udzielać mi lekcji geografii? - zapytała. - John zapalił się do wyjazdu wyłącznie dlatego, że ten fotograf ściga niedźwiedzia, który być może przebywał w

tamtych okolicach. - Skrzyżowała ramiona w triumfalnym geście. - Chyba nie rozumiesz. Może uważasz, że nie potrafię zajrzeć na stronę internetową, kiedy już znam nazwisko człowieka? Doskonale wiem, kim jest Richard Sibley, wiem o jego opętaniu Franklinem i obsesji na punkcie tego niedźwiedzia. Moim zdaniem to zawracanie głowy.

- Nikt cię o nic nie pyta! - parsknął John. Złapał list i wepchnął go do kieszeni. - Wiedziałem, że nie zrozumiesz.

- Myślałby kto, że mogłabym nie słyszeć o Franklinie - powiedziała Alicja.

Zrobiła krok w kierunku syna, jakby ustępliwie, a jednocześnie groźnie. Spoglądając na nią, Catherine poczuła, że dreszcz przebiega jej po krzyżu. Ciężko było patrzeć na Alicję, która usiłowała w pełni podporządkować sobie syna. Zaciśnęła teraz dłoń na ramieniu chłopca.

- Co twój ojciec osiągnął dzięki tym poszukiwaniom? - zapytała Alicja cicho. - Znalazł jedną miedzianą puszkę. Chcesz z nim rywalizować?

- Nie rywalizuję z nim, do cholery! - odparł John, zaczerwieniwszy się nagle, i wyrwał się z uścisku matki.

Alicja wciąż wpatrywała się w niego.

Chłopak obrócił się na pięcie i wypadł z pokoju.

Obie kobiety popatrzyły na siebie.

- Lepiej niech pani idzie za nim - powiedziała Alicja.

- To nie ja go zachęcałam do tej wyprawy, pani Marshall - odezwała się cicho Catherine.

- Czyżby? - mruknęła Alicja.

Podeszła do drzwi ciepłarni i otworzyła je szeroko. Do pomieszczenia napłynął zapach ogrodu.

Catherine popatrzyła na starannie przystrzyżone trawniki, ale wiedziała, że nie jest to miejsce, w którym można by położyć się na słońcu czy pospacerować. Służyło jedynie do podziwiania.

Podniosła plecak i poszła za Johnem.

\*

Stał w holu i dzwonił po taksówkę.

- Nie zostawiaj jej tak - odezwała się Catherine.

- Prosiłem tylko o pieniądze na samolot - powiedział.

- Nie chce cię stracić.

Zgłosiła się firma taksówkarska. John podał adres i odłożył słuchawkę.

- Ten cholerny, duszny dom! - mruknął.

- Jesteś jej całym życiem - stwierdziła Catherine.

Zastanawiała się, czy Alicja przypadkiem nie ma racji.

John mógł przedstawiać propozycję Sibleya jako nowe wyzwanie, ale w rzeczywistości było to bardzo dawne wyzwanie, dawna obsesja. W jednym punkcie Alicja miała niewątpliwie rację. Catherine wiedziała, jak bardzo John pragnie prześcignąć ojca.

- Spytaj tylko ojca - mruknął John, powtarzając to, co Alicja powiedziała na początku, zanim rozpoczęli dyskusję nad listem.

- Mógłbyś przynajmniej spróbować zwrócić się do niego.

- Na pewno chętnie mnie wysłucha - roześmiał się John. - I da mi pieniądze, ot, tak sobie.

- Jestem pewna, że cię wysłucha.

John poczuł się wyczerpany.

- Czy kiedykolwiek zależało mu na mnie? - spytał. - Myślisz, że istnieje choć cień szansy, że zrobi to teraz, gdy opętała go ta kobieta?

- Masz na myśli Jo Harper? - Catherine popatrzyła na niego z rezerwą.

- A niby kogo?

Catherine przygryzła wargę i milczała przez chwilę.

- Jeśli o tym mowa, to uważam, że jest miła - powiedziała w końcu. - Dzięki niej twój ojciec czuje się szczęśliwy.

- O, tak! - potwierdził szyderczo John. - Jest mu po prostu bosko.

Otworzył drzwi i wyszedł na podjazd. Deszcz wciąż padał na magnolie, które zwiesiły kwiaty ku ziemi.

Catherine zabiegła mu drogę.

- Jesteś zazdrosny - powiedziała z niedowierzaniem.

Nie odpowiedział. Ominął ją i szedł ku bramie. Pobiegnęła za nim.

- Chyba nie jesteś zazdrosny o szczęście własnego ojca? - zapytała.

John przystanął i wbił spojrzenie w ziemię.

- Za kogo ty mnie uważasz? - spytał. - Jest szczęśliwy, w porządku. Ale co mnie to obchodzi?

Patrzyła na niego z napięciem. Deszcz moczył jej włosy, twarz; zbierał się też dużymi kroplami na skórzanej kurtce Johna.

- Myślę, że obchodzi cię, i to bardzo - odparła.

- Czyżbyś odkryła w sobie zadatki na psychoterapeutę? - mruknął. - W dodatku tak

kiepskiego?

- Chyba mam rację - powiedziała. - Wmawiasz sobie, że chodzi ci o Franklina, o martwą załogę, zaginione statki, teraz o fotografa, o niedźwiedzia. A przecież to tylko preteksty. Wcale nie chcesz jechać do Cieśniny Peela ani na wyspę Beechey. Chcesz dotrzeć do niego. Tu tkwi jądro całej sprawy.

Wciąż unikał jej wzroku. Kiedy w końcu odpowiedział, brzmiało to cicho, jakby głos dobywał się z głębi trzewi.

- Wiesz wszystko lepiej - odezwał się. - Czy nie możesz po prostu przyjąć do wiadomości, że chcę skorzystać z cholernie dobrej propozycji i pojechać do Kanady na sześć tygodni? To zbyt proste twoim zdaniem, prawda? A może za wszelką cenę chcę się wydostać z tego przyprawiającego o klaustrofobię miejsca? - Oskarżycielsko wycelował w nią palec. - Ty jedziesz do Arctic Bay, prawda?

- Jeżdżę tam każdego lata - odrzekła, marszcząc brwi.

- Dlaczego?

Potrząsnęła głową.

- Dlaczego? - powtórzyła zdziwiona. - Żeby spotkać się z ojcem. Robię to corocznie od dziesięciu lat.

- Ale nie zabrałabyś mnie ze sobą, prawda?

Patrzyła na niego ze zdumieniem.

- John, nigdy mnie o to nie prosiłeś.

- Ale zabrałabyś mnie? - nalegał.

- Nie wiem...

Ruszył przed siebie.

- Więc nie ma o czym mówić.

- John! - zawołała. Usiłowała złapać go za ramię. - Nigdy mnie nie prosiłeś.

Zatrzymał się na chwilę.

- Posłuchaj, nie ma sprawy. Jedź się spotkać z ojcem. To już tradycja, rozumiem. Zdaję sobie sprawę, że w moim towarzystwie czułabyś się niezręcznie, ale... - Ścisnął skronie dłońmi. - Ale kiedy jadę do Kanady, nie mów mi, jakie cholerne motywy mną powodują. Nie bądź taka jak ona. - Wycelował palec w dom.

- To dlatego, że obie cię kochamy - odparła wprost. - Tak jak twój ojciec kocha Jo Harper. Tak jak ty kochasz jego.

Wbił w nią nieprzyjazne spojrzenie.

Zapadła cisza, bardzo długa cisza, a zielony krajobraz wciąż płakał. Potem John

odszedł w kierunku bramy i odjechał taksówką.

## 15

Panika wybuchła, gdy wpłynęli do cieśniny. Najpierw Franklin rozkazał uruchomić silniki pod pokładem, co pozwoliło statkom przedrzeć się przez gęstniejący lód. Słońce stało wysoko, wiał ostry wiatr. Statki wciąż posuwały się naprzód. Światło słoneczne stało się nagle tak jasne, jakby brało skądś dodatkową moc.

Gus stał z otwartymi ze zdziwienia ustami, potrącany przez marynarzy, którzy przeciskali się obok niego, usiłując dojrzeć, skąd pochodzi ta jasność.

*Terror* płynął po kilwaterze *Erebusa*; ledwie *Erebus* zdołał przepłynąć dany odcinek, formował się za nim lód. Płynęli jednak z nadzieją w sercu. „Tylko te kilka kilometrów. Tylko przez cieśninę. Po drugiej stronie jest żeglowna woda”.

Kruszony kadłubami statków lód wydawał przerażające dźwięki, co sprawiało wrażenie, że statki przemieszczają się po jakichś żywych istotach.

Gdy minęło południe, Gus zorientował się wreszcie, skąd pochodzi dodatkowe światło: to promienie słońca odbijały się od lodu. Woda była zimnobłękita, pływała w niej gęsta kra, ale dalej cały świat wydawał się biały. Pokład też sprawiał wrażenie wyszorowanego do białości. *Terror* dygotał jak człowiek w gorączce i kołysał się, jak gdyby popychany na boki olbrzymimi dłońmi. Im bardziej się kolebał, tym więcej potrzeba było pary, aż w końcu kłęby dymu z obydwu jednostek wypełniły powietrze czarnymi smugami.

O pierwszej po południu Augustusa posłano na dół, do pomocy przy utrzymaniu ognia. Zwinny i mały, mógł ładować węgiel szybciej. W kotłowni było jak w piekle. Palacze pracowali rozebrani do pasa, a po ich nagich torsach spływał pot czarny od pyłu węglowego. Gus biegał tak szybko, jak mu kazano, choć krztusił się kłębami pyłu.

Mężczyzna obok niego nie przestawał kląć. Przeklinał upał, lód, statek, kapitana.

- Nigdy nie chciałem oglądać Pacyfiku! - oznajmiał co chwila, machając łopata. - Nigdy już nie chcę oglądać żadnego oceanu. Nigdy więcej żadnego oceanu! - Powtarzał te słowa w kółko, co sprawiało wrażenie, że śpiewa jakąś monotonną pieśń. Pracowali bez wytchnienia, aż pot zaczął zalewać im oczy. Musieli ich zastąpić inni, gdyż oni nie byli już w stanie oddychać w tej gorejącej czeluści.

Gdy Gus powlókł się na zewnątrz, poczuł szarpnięcie statku.

- Matko Boska! - jęknął ze zgrozą jeden z ludzi. - Zaraz się przewrócimy.

*Terror* wspiął się na fale. Nagle w kadłub uderzyła olbrzymia bryła lodu. Statek przez

chwile ślizgał się wzdłuż lodowej powierzchni, podczas gdy marynarze wstrzymali oddech. Czekali na katastrofę. W pewnej chwili jednak *Terror* z powrotem opadł na wodę. Uderzenie lodu było niczym grom z Olimpu: silne, nieprzejednane.

- Boże, nie pozwól, żebyśmy zginęli - wyszeptał Gus.

Dwunastu mężczyzn wysłano w łodziach, przed statki.

Przez dwie godziny wyrąbywali drogę wśród lodu. To było bardzo niebezpieczne zajęcie. Marynarze wiele ryzykowali - nie wiadomo było, czy tafle lodu, na których stoją, mają grubość paru centymetrów czy pół metra, to zresztą wciąż się zmieniało. Mężczyźni ślizgali się i potykali, machając siekierami przed dziobami statków.

Podczas gdy *Terror* kolebał się na boki, Gusa ogarnęły czarne myśli. Utkwią tu. Spędzą tu kolejną zimę. Z pewnością umrą z głodu.

Słyszał, jak mówiono, że jeśli lód znów zamknie się wokół statków, ograniczone zostaną racje żywnościowe. Nie ustrzelili aż tyle zwierzyny na Beechey, by żywności wystarczyło na kolejne dwanaście miesięcy. Z pewnością zabraknie też węgla. Racje dla czterech trzeba będzie rozdzielić na sześciu. Innymi słowy, przetrwanie nadchodzącej zimy wiązać się będzie z ogromnymi kłopotami. Będą zdani na małe porcje konserw, sucharów i solonej wieprzowiny.

Gus nienawidził konserw. Nigdy nie dostawali mięsa, jedynie zupy jarzynowe, a on nie lubił warzyw i musiał wstrzymywać oddech, żeby je przełknąć. Znienawidził w końcu nazwisko Goldnera. Marzył o tym, żeby spotkać dostawcę, którego nazwisko widniało na każdej puszcze, i wepchnąć mu w gardło niesmaczne, mdłe pożywienie. Perspektywa, że będzie musiał teraz jeść uszczuplone posiłki na zimno, wywoływała w nim odruch wymiotny.

Najgorzej bowiem przedstawiała się sytuacja z węglem. Pracując w kotłowni, Gus widział, że niewiele już go zostało. Taranowanie lodu pochłaniało olbrzymie ilości węgla; tylko dzisiaj zużyli ponad trzy tony. A przecież węgiel był potrzebny również do ogrzania dolnego pokładu - bez tego załoga zamarzlaby w kojach. Potrzebny był do podgrzewania żywności i topienia lodu, by uzyskać wodę. Jeśli przedarcie się przez lód nadal wymagać będzie takich ilości węgla, niebawem całkiem go zużyją, a to równoznaczne było z wyrokiem śmierci. Przerażony tą myślą, Gus ukrył głowę w dłoniach. Znowu pogrąży się w ciemności.

Usiłował przywołać w pamięci barwy łądu. Chciał zobaczyć oczami wyobraźni, jak wyglądał Londyn w dniu, w którym on zaokrętował się na statek. Ujrzał czerwono-zielone markizy nad sklepami, drzewa okryte wiosenną zielenią, kilometry kwitnących jabłoni w Kent, gdzie spędził z matką trzy dni u ciotki, zanim pojechali do Greenhithe. Bardzo plastycznie widział setki kwitnących drzew o gałęziach falujących jak koronkowa bielizna.

Rozmyślał o kolorach ubrań - nie spodni z foczej skóry, futra czy moleskinu, lecz miękkich, łądowych strojów: kremowych bryczesów, beżowych marynarek, niebieskich płaszczy. Ujrzał w myśli oszalamiającą czerwień sukienki pewnej kobiety, która wysiadała z powozu. To była droga, delikatna tkanina; miękko opadała na ziemię. Widział wypolerowany mosiądz gałek u drzwi domów, przyozdobiony cytrynowymi motywami roślinnymi muślin w oknach małego domku ciotki, blask słońca w jasnej kuchni.

- Franklin... - usłyszał głos obok siebie.

Otworzył oczy.

- Jest na pokładzie? - zapytał.

- Możesz nawet usłyszeć, jak wrzeszczy.

Gus wspiął się po długiej drabinie. Pobiegł na sterburtę, gdzie zobaczył oficerów, a wśród nich Blanky'ego, który dzielił się z nim kiedyś swą wiedzą na temat lodu. *Erebus* znajdował się niebezpiecznie blisko. Tak blisko, że pół tuzina ludzi stojących na rozstawionych nogach i trzymających się za ręce mogłoby połączyć obydwie jednostki. Lód zgrzytał.

Franklin stał na pokładzie *Erebusa* i krzychał dzikim, wysokim głosem. Gus zamarł; Franklin znany był z tego, że nigdy nie podnosił głosu, nie okazywał oznak zdenerwowania. Teraz chłopiec usłyszał człowieka wyzywającego żywioły, mierzącego się z niemożliwym do pokonania przeciwnikiem. Taki głos mógł wydać tylko człowiek znajdujący się w skrajnej rozpacz. Gusowi ścisnęło się serce.

Nagle na *Terrorze* pojawiły się oznaki ożywienia.

- Załamał się! - zawołał Blanky.

Kto się załamał?! Kto się załamał?!

Kadłub *Terrora* zanurzył się głęboko, a spomiędzy statków trysnęła wielka, biała fontanna lodu, który zaraz spadł na pokład, przysypując głowę i ramiona Gusa. Znajdowali się tak blisko *Erebusa*, że chłopiec słyszał trzeszczenie jego napiętych lin, widział płyty farby obłazące z kila. I wtedy zaczęło się najgorsze. Gdy Gus wsłuchiwał się w podniesione głosy, dobiegające z sąsiedniego statku, dotarł do niego okrzyk wydany tuż za jego plecami.

- Matko Boska i wszyscy aniołowie!

Odwrócił się, żeby spojrzeć w kierunku głosu, jak wszyscy zresztą.

Jakieś pół kilometra za rufą zobaczyli łamiącą się masę lodu. Nagle zapadła się, uniosła i znów zwała. Przy każdym jej ruchu ogromne kawały kry spadały pod górę lodową, wypiętrzając ją coraz wyżej. Wypychała ją jakaś niesamowita siła. Było tak, jak gdyby sam Bóg wpłynął do Cieśniny Wiktorii na niewidzialnych statkach i za pomocą energii, która

stworzyła góry, morza i lądy, tworzył teraz nowe morze, składające się z nieogarnionej wzrokiem płaszczyzny lodu. To był widok jak ilustracja do Księgi Rodzaju, opisującej stworzenie świata.

Te straszliwe masy lodowe przesuwały się teraz w kierunku statków.

- Ojciec nasz, któryś jest w niebie... - mamrotał Gus.

Stwórca nie był jednak w niebie. Był tutaj, mroząc swe oceany, które pierwotnie falowały błękitem wód. Wysoka jak gmach, ważąca tysiące ton góra lodowa parła do przodu, wprost na kruche łupiny statków, które za chwilę znikną bezpowrotnie, zmiecione tą straszną siłą.

Góra znajdowała się dwieście metrów od statku, sto metrów...

- Przyjdź Królestwo Twoje, bądź...

Gus przerwał. Czy taka była Jego wola, czy mieli zginąć? Czy on sam miał się o to modlić - o koniec? W jego umyśle uformowała się jasna myśl: nie chcę utonąć. Nie chciał wpaść do morza. Nie chciał poczuć boskiej stopy na karku.

Zamknął oczy.

- Ale nas zbaw ode złego - wyszeptał.

Oddał się w końcu swojemu Stwórcy, licząc na szybką śmierć. Czekał.

- Słodki Jezu - jęknął ktoś obok niego.

Gus otworzył oczy. Trzaski dobiegające od nadciągającej góry lodowej nagle się urwały. Zapadła jakaś nieziemski cisza. Lód wyrósł nagle pomiędzy *Erebus* i *Terrorem* i oba statki ślizgały się na jego powierzchni, każdy przechylony w inną stronę. Góra, mierząca trzydzieści metrów wysokości, znieruchomiała w odległości pięćdziesięciu metrów od statków.

- Panie kapitanie!

Marynarze odzyskali głos. Ogarnęło ich poczucie ogromnej ulgi. Żyli!

- Kapitanie Crozier!

Crozier stał już przy relingu.

Pierwszy oficer *Erebusa* znajdował się zaledwie sześć metrów dalej.

- O co chodzi? - krzyknął Crozier.

- Pan Franklin! Sir John, kapitanie! - bełkotał mężczyzna.

- Co się stało? - spytał Crozier.

Nie było odpowiedzi. Gus wciąż słyszał spod pokładu ryk silników parowych. Crozier odwrócił się.

- Wyłączcie silniki, na litość boską! - krzyknął.



Następne chwile były niesamowite. Zwały lodu zawisły nad statkami, z których nie dochodził żaden dźwięk.

- Boże, ocal nasze dusze - szepnął ktoś.
  - O co chodzi? - powtórzył znów Crozier.
  - Zabrano sir Johna - padła dość niezrozumiała odpowiedź.
- Czekali na pokładzie *Terrora* przez jakieś pół godziny.
- Nie żyje - przebąkiwali marynarze. - Już po nas.

\*

Była szósta wieczorem, kiedy Crozier wreszcie zwołał załogę. Wiatr nieco się wzmógł, ale góra lodowa nadal tkwiła nieruchomo. Statki poruszały się wolno, w nieregularnym tempie.

- Sir John miał atak apopleksji - powiedział Crozier, podnosząc głos, by przekrzyczeć wiatr. - Już mu lepiej. Nie ma powodu do zmartwienia.

Marynarze popatrzyli na siebie, a potem na swojego kapitana, który przewidział ten dzień; przewidział, że napotkają góry lodowe w cieśninie i nie zdołają się przez nie przedrzeć. Dowódca wiedział, że zabraknie im sił, by wyrwać się ze śmiertelnych okowów marznącego morza na dłużej niż kilka godzin, gdy martwe silniki będą tkwiły beczynnym pod ich stopami.

Crozier stał przed nimi jeszcze przez jakiś czas, ale nie wygłosił mowy, której oczekiwali. Nie powiedział, że jutro ponownie spróbują przedrzeć się przez lód. Nie powiedział, że niebawem osiągną cel. Nie powiedział też, że spędzą tu kolejny rok, ani że kiedy znów przyjdzie lato, nie powstrzyma ich już żaden lód. Nie powiedział, że jest tak, jak się obawiał, że to on miał rację, a Franklin się mylił.

Rozkazał tylko wydać podwójne racje rumu i tytoniu, po czym zszedł do swojej kabiny.

## 16

W Cambridge padał śnieg. Zaczęło się w nocy, a kiedy Jo obudziła się o siódmej, śnieg pokrywał już ulice i dachy. Wyrzała przez okno i zobaczyła inny krajobraz niż ten, który oglądała jeszcze wieczorem. Śnieg tłumił wszelkie dźwięki, tak że odniosła wrażenie, iż świat pogrążył się w ciszy.

Idąc do łazienki, dostrzegła, że małe okienko w dachu było niemal całkiem pokryte śniegiem. Przez niewielki prześwit widać było tylko kilka bezlistnych topoli, których gałęzie rysowały się na tle nieba. Wychyliła się nieco i dotknęła pochyłej szybki pokrytej śniegiem.

Potem, owinąwszy się szczelniej kocem, wróciła do sypialni.

Weszła do łóżka i przytuliła się do mężczyzny, wtulając twarz w ciepłe wgłębienie między jego łopatkami i obejmując go. Doug mruknął przez sen i poklepał ją po ręce.

Minęło już pół roku, odkąd zamieszkała z Dougiem. Pół roku...

Za dwa dni gwiazdka. Trudno uwierzyć, że w ciągu minionych miesięcy tak wiele się zmieniło. Pół roku wcześniej siedziała samotnie w mieszkaniu w Fulham, które teraz stało puste, stanowiąc oznakę jej niezdecydowania. Nie wiedziała, czy powinna je sprzedać, czy też zrezygnować z tej myśli; ledwie wierzyła w to, co się jej przytrafiło. Czasem obawiała się, że jej całe życie z Dougiem to tylko sen, który nagle zniknie, tak jak dziś zniknęło miasto pod śniegiem. Obudzi się sama.

Otrząsnęła się z tych myśli i przewróciła na plecy, krzyżując palce, by odegnać zły urok. Popatrzyła na sufit. Dom był wąskim, czteropiętrowym budynkiem z początku dziewiętnastego wieku, z piwnicą, ciasną służbówką, luksusowo wielkim pokojem gościnnym na pierwszym piętrze i sypialnią na samej górze, tuż pod dachem. Doug przyprowadził ją tu w zeszłym miesiącu.

- Podoba ci się? - spytał, kiedy przed nim stanęli. Chodnik był tak wąski, że ledwie mijaly się na nim dwie osoby. Furgonetka pocztowa tarasowała wąskie wejście, ustawiona między dwoma pomalowanymi na żółto krawężnikami.

Jo spojrzała na fronton domu, jakby wciśnięty między chaotyczny, nierówny rząd innych budynków. Widać było na nim ciemne drewno i biały gips, a także czerwoną cegłę. Przyjrzawszy się dokładnie, Jo zauważyła, że małe, witrażowe szybki górnych okien odbijały rozmaite odcienie nieba i lśniły na biało i niebiesko.

- Do kogo należy? - zapytała.

- Chciałabyś tu mieszkać?

Odwróciła się ku Dougowi i spojrzała pytająco.

- A to możliwe?

- Chcę go kupić - powiedział. - Dla nas.

- Nie możesz ty go kupić! - sprzeciwiła się.

- Dlaczego?

- Dlatego, że jeśli gdzieś zamieszkamy razem, jeśli coś kupimy, chcę zapłacić połowę.

- Daj spokój. - Roześmiał się.

- Mówię poważnie - upierała się. - Nie chcę, byś mnie utrzymywał. Tylko tak będzie sprawiedliwie.

Doug westchnął ciężko.

- Nawet nie wystawiłaś na sprzedaż swojego mieszkania w Fulham - przypomniał. -  
Dlaczego nie miałbym cię utrzymywać? Chcesz cię utrzymywać.

- Bardzo dziękuję, ale nie zamierzam zostać utrzymanką.

Patrzył na nią z autentycznym zakłopotaniem.

- Kim?

- Nie chcę, żebyś kupował mi rzeczy. - Machnęła ręką. - Nie chcę być utrzymanką.

- Utrzymanką? - powtórzył. - Który mamy rok, tysiąc dziewięćsetny?

- Przestań już.

Potrząsnął głową.

- Posłuchaj - powiedział. - To tylko miejsce, w którym można żyć, lepsze niż moje dotychczasowe mieszkanie. Widziałem zdjęcie w agencji nieruchomości, pomyślałem, że może ci się to spodobać. Takie domy zazwyczaj nie trafiają na sprzedaż. Nie podoba ci się? Popatrz tylko na niego. Prawie gotyk.

- Bardzo mi się podoba - stwierdziła.

- Z tyłu jest ogród, otoczony murem, Jo.

- Wspaniale.

- A więc...?

Skrzywiła się, przestąpiła z nogi na nogę.

- Niczego nie zmieniamy - zaproponowała.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Nie przeprowadzamy się? - zapytał.

- Nie.

Furgonetka pocztowa ruszyła. Kierowca uśmiechnął się przepaszająco, gdy obydwójce musieli uskoczyć, by uniknąć przejechania.

- Podaj mi choć jeden powód tej decyzji - zażądał Doug.

- Nie ma takich powodów. - Jo wzruszyła ramionami. - Po prostu nie chcę się przeprowadzać. I tyle.

- Świat się nie zawali, jeśli przewieziemy nasze rzeczy cztery ulice dalej.

Popatrzyła na niego.

- I nie chcę, żebyś mi cokolwiek kupował - przypomniała.

- Nie kupuję tego dla ciebie, głuptasie - odparł uprzejmie. - Mam dosyć mieszkania w trzech pokojach i potykania się o twoje buty, a poza tym chcę mieć wreszcie gabinet. Jest też coś jeszcze. Potrzeba nam więcej przestrzeni.

Jo uśmiechnęła się.

- Tak, coś jeszcze - mruknęła.

Doug z uwagą popatrzył w jej twarz.

- Nasz związek się nie rozpadnie - zapowiedział.

Czyżby? - pomyślała. Zakochałam się w tobie, a ty we mnie, i twierdzisz, że to już na zawsze? Nie prowokujmy losu, nie przeprowadzajmy się.

Jednakże tak zrobili. Doug wpłacił pierwszą ratę i dom został zapisany na nich oboje. Jo z trudem powstrzymała się od zmiany decyzji u notariusza, gdy poczuła nagle dreszcz. Jak gdyby z oddali dobiegło ją jakieś wołanie.

Jej dłoń zawisła nad umową. Doug pochylił się i wyszeptał jej w ucho:

- Podpisz. Jeśli ma ci poprawić samopoczucie brak pieniędzy, to obiecuję, że kiedy sprzedasz mieszkanie w Fulham, zabiorę ci wszystko co do grosza.

Od czasu tej pierwszej majowej nocy, spędzonej w jej mieszkaniu, rzadko się rozstawali. Jo nie potrafiła już przypomnieć sobie, jak to jest bez Douga. Przez pierwszy miesiąc mieszkali w Fulham, kiedy ze względu na złamaną nogę Doug nie chodził do pracy. Gdy noga się zrosła, wrócił do Cambridge, a Jo pojechała z nim. Niemal w ogóle nie rozmawiali na ten temat. Jo pracowała równie wydajnie jak w Londynie, dwa razy w tygodniu jeździła pociągiem, żeby spotkać się z Giną lub innymi współpracownikami. Polubiła wieczorne powroty do Cambridge, kiedy Londyn zniknął i z wolna zastępowały go pola i wzgórza, a w końcu otwarte przestrzenie.

Doug niczego od niej nie żądał, nie twierdził, że powinna zmienić swój tryb życia. Nie nalegał też, żeby stale była przy nim. Potrafił zadbać o dom i nie robił z tego wielkiej sprawy. Nie komentował nawet bałaganiarstwa Jo, które ciągnęło się za nią jak tren ślubnej sukni. Mimo to zgadywała, że często musiał ugryźć się w język.

W życiu codziennym bardzo się różnili. Pełne porozumienie osiągnęli na jakimś głębszym poziomie; wydawali się stworzeni z tego samego materiału. Oboje mieli tendencję do łamania zasad. Dzielili ich różnica wieku i wydawali się zupełnie odmienni, jakby zamieszkiwali inne światy. A jednak byli niemal tacy sami.

Jo uśmiechnęła się na myśl o swoich przesądach związanych z przeprowadzką do tego domu. Delikatnie przesunęła dłonią po plecach Douga. Obudził się.

- Jesteś zimna - wymamrotał.

- Pada śnieg - poinformowała.

Przetoczył się na bok i otworzył oczy.

- Naprawdę? Dużo?

- Miasto wygląda jak na świątecznej pocztówce - odparła. - Założę się, że na łopacie w

ogrodzie siedzi teraz rudzik. Nie mówię już o ludziach w wiktoriańskich ubraniach, usadowionych w dylizansach, o kasztanach pieczonych w ogniskach, o Maleńkim Timie i tak dalej.

- Maleńki Tim pieczony na ogniu - mruknął. - To jakiś pomysł.

- To jakiś pomysł - zgodziła się.

Uśmiechnął się.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Dobrze.

Doug westchnął i przetarł oczy. Zerknął na stolik obok łóżka.

- Która godzina?

- Dochodzi ósma.

Objęli się. Doug przeciągnął kciukiem po jej przegubie i narysował kółko we wnętrzu jej dłoni.

- Nikt z nich nie przyjedzie, przecież sypie śnieg - powiedział.

- Nie znasz Giny - odparła Jo. - Ona osobiście odśnieży drogę do autostrady. John też przyjdzie. Catherine go zmusi.

Uśmiechnęli się, ale nastrój Douga raptem się pogorszył.

- Myślę, że powinniśmy powiedzieć Alicji - stwierdził. - Mam złe przeczucia.

Od maja tylko dwa razy widział swoją byłą żonę. W czerwcu, kilka dni po tym, jak Jo przeniosła się do jego mieszkania w Cambridge, pewnego ranka pojechał do Franklin House, nie mówiąc Jo, dokąd się udaje. Dowiedziała się dopiero wtedy, gdy wrócił na lunch, zaczerwieniony na twarzy, sprawiając wrażenie chorego.

- Co się stało? - zapytała.

- Widziałem się z Alicją - odparł. Wyciągnął list i podał go Jo. - To przyszło dzisiaj.

To było orzeczenie sądu. Jeszcze sześć tygodni i małżeństwo Douga miało się zakończyć.

- Wiedziałem, że ona też to dzisiaj otrzyma - ciągnął. - Pomyślałem... - Skrzywił się, zmarszczył brwi. - Pomyślałem, że nie przyjmie listu, więc...

Usiedli na kanapie. Do pokoju wpadało słońce. Wszędzie czuć było zapach kwiatów, które Jo kupiła poprzedniego dnia: angielskich róż, pyszniących się na stoliku pod oknem.

- Co powiedziała? - zapytała Jo.

- Te same bzdury, co zwykle - odrzekł. W roztargnieniu przejechał dłonią po włosach.

- Niech zgadnę - mruknęła. - Obwinia o wszystko mnie.

- Wystąpiłem o rozwód, zanim cię spotkałem - przypomniał. - Od pięciu lat byliśmy w

separacji. To nie ma z tobą nic wspólnego.

- Ona cię nigdy nie puści od siebie.

- Będzie musiała - stwierdził. - Chcę, żebyśmy się pobrali.

Na chwilę zapadła cisza, podczas której Jo wpatrywała się w jego dłoń.

- Chciałbyś się ożenić zaraz po rozwodzie? - szepnęła.

- Chciałbym - odrzekł. - Tylko tego pragnę. Wyjdź za mnie, kiedy stanie się to możliwe.

- Nie! - sprzeciwiła się. - Za każdym rogiem spodziewałabym się Alicji z siekierą.

- Wyjdź za mnie w przyszłym miesiącu.

- Nie.

- No to na gwiazdkę.

Uśmiechnęła się.

- Chcesz sobie wziąć na kark drugą żonę - spytała. - Drugą żonę, o kilkanaście lat młodszą od siebie?

- Na gwiazdkę - powtórzył.

- Należę do pokolenia twój syna, który mnie nienawidzi.

- Nonsens - powiedział. - Jemu tylko wszystko się płacze.

Jo zmrużyła oczy.

- Jest zazdrosny - stwierdziła. - O ciebie i twój czas. A teraz zwalisz na niego jeszcze i to?

Doug na chwilę oderwał od niej spojrzenie i lekko potrząsnął głową.

- Zmarnowałem lata spędzone z nim - powiedział. - Nie zamierzam marnować ich w twoim towarzystwie.

- Doug...

- Odzyskam go - przerwał. - Obiecuję ci to, Jo. Zrobię wszystko, żeby mu wynagrodzić to, co straciliśmy obaj. Ale ciebie nie chcę stracić. Wyjdź za mnie. Obiecaj. Powiedz, że to zrobisz na gwiazdkę.

Zapach róż wypełniał pokój. To zapamiętała przede wszystkim.

\*

Była jedenasta rano, kiedy dotarli do Preston Arms, pubu znajdującego się najbliżej ratusza; tutaj właśnie mieli spotkać się z Giną, Johnem i Catherine, tuż przed uroczystością. Musieli przejść na piechotę z Lincoln Street, chowając twarze przed padającym śniegiem, teraz drobnym, ziarnistym, przypominającym raczej mżawkę, osiadającym na drogach. Samochody jechały przez Cambridge w zwolnionym tempie. Niebo wydawało się niskie,

szare i złowieszcze.

Zabrakło im tchu, gdy wreszcie dotarli na miejsce i stanęli w drzwiach, otrzepując mokry śnieg z płaszczy. Gdy podnieśli wzrok, ujrzeli, że zmierza ku nim Gina z wyciągniętymi ramionami.

- Mój Boże! - wykrzyknęła Jo, ściskając przyjaciółkę. - Jak ci się udało tu dostać?

- Piekielna pogoda - powiedziała Gina. Obejrzała dokładnie Jo. - Ładna sukienka. Bardzo odpowiednia na ślub.

- Co miałam zrobić? - roześmiała się Jo.

- No tak... - Gina wywróciła oczyma. Następnie skierowała uwagę na Douga, zamykając go w takim samym silnym uścisku, aż wykrzywił się do Jo nad ramieniem Giny. W końcu oderwali się od siebie.

- Tylko mi nie mów, że przyjechałaś dzisiaj - powiedział.

Gina poprawiła włosy i uśmiechnęła się. Wyglądała nienagannie w czerwonym kostiumie i czerwonych butach na wysokich obcasach.

- Wczoraj po południu przeczytałam prognozę pogody i wyruszyłam w drogę późnym wieczorem. Przyjechałam około północy. Dopiero zaczynało padać.

- Mogłaś do nas zadzwonić - zauważyła Jo.

- O północy? No skąd! - odparła Gina. - Chodźcie, napijemy się szampana.

Weszli do sąsiedniej sali. Na stoliku już stało wiaderko z szampanem i pięć kieliszków.

- Pomyślałam najpierw, żeby poczekać z szampanem, aż uroczystość się skończy - powiedziała Gina, zajmując miejsce. - A potem pomyślałam, że możemy napić się i teraz, i potem.

Doug zerknął na kieliszki.

- Czekamy na Johna? - spytał.

Jo spojrzała na zegarek.

- Ile mamy czasu? - spytał Doug.

- Do ratusza jest stąd jakieś pięć minut drogi. Ceremonia rozpoczyna się o wpół do dwunastej... - Przeniosła na niego spojrzenie. - John powinien pojawić się lada chwila. Możesz otworzyć butelkę.

Zawahał się.

- Może poczekajmy, aż przyjdzie - zaproponował.

Jo popatrzyła na niego ze współczuciem. Wiedziała, że nie chciał, aby John ujrzął, jak popijają szampana, nie poczekawszy na niego. Doug starał się, żeby wszystko wypadło, jak

należy: nie chciał zranić syna.

Odkąd powiedzieli Johnowi, że się pobierają, syn Douga zachowywał się dziwnie. Bardzo sztywno i formalnie. Rozmawiając z nim, odnosili wrażenie, że mają do czynienia z kimś zupełnie obcym.

- Przez niego czuję się jak jakiś rzadki gatunek zwierzęcia - zwierzyła się Jo Dougowi.  
- Zachowuje się jak... jak gdyby pisał o nas reportaż czy coś w tym rodzaju. To bardzo dziwne.

Doug potrząsnął głową.

- Nie rozumiem z tego ani trochę więcej niż ty - odparł.

Wzięła go za rękę.

- Obaj musicie się z tym uporać - powiedziała. - Nie chodzi mi o nas, o ten ślub, ale o to, że ty i John musicie znaleźć jakiś rozwiązanie. Dalej tak być nie może. Samo patrzanie na was jest nieznośne, Doug. Bolesne.

- Wiem - odrzekł. - On mnie po prostu odpycha.

- Nie pozwól mu.

- Próbowałem.

- Myślisz, że to przez Alicję?

- To by było za proste.

- Więc postaraj się trochę bardziej, Doug.

Uśmiechnął się krzywo. Najzwyczajniej w świecie nie wiedział, od czego zacząć. A John nie zamierzał mu niczego ułatwiać. Gdy patrzył na ojca - gdy patrzył na nich oboje - wyraz jego twarzy był nieprzenikniony.

- Cóż - odezwała się Gina. - Dobrze wyglądacie. Oboje.

- Bo dobrze się czujemy - odparła Jo.

- Za godzinę będziecie małżeństwem.

- Tak - potwierdziła Jo.

- Aha! - Gina się uśmiechnęła. - Straciłaś wreszcie swój stoicki spokój.

- Fakt - przyznała Jo. - Denerwuję się.

- Czym? - spytał Doug.

- Och... - Wzruszyła ramionami. - Sama nie wiem.

Gina pochyliła się i dotknęła kolana Jo.

- Mówiliście Johnowi? - zapytała.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły. Wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku. W progu stali John i Catherine - ona olśniewająca w białej kurtce z owczej skóry, John w



dzinsach i kurtce sprawiał mniej odświętne wrażenie.

Doug podszedł do nich z wyciągniętą dłonią. Pocałował Catherine w policzek.

- Siadajcie. Otwieram szampana.

- Świetnie - powiedziała Catherine. Zerknęła ostrzegawczo na Johna, po czym ucałowała Jo.

- Poznajcie się - powiedziała Jo - Catherine, to Gina, redaktorka w „Kurierze”. Gino, to przyjaciółka Johna, Catherine.

Obie kobiety uściśniły sobie dłonie.

- Witaj, Gino - odezwała się Catherine. - Piękna pogoda na ślub.

John podszedł do stolika. Nie pocałował Jo. Patrzył, jak Doug zdziera sreberko z butelki.

- Coś się stało? - spytał obojętnym tonem.

Spojrzenie Douga przelotnie powędrowało w stronę Giny.

Następnie otworzył bollingera i napełnił kieliszki.

- Za powodzenie - wznosił toast.

- Za szczęście - dodała Gina.

John wpatrywał się w swój kieliszek, gdy wszyscy pili.

- Zaczynamy coś zupełnie nowego - oznajmił Doug. - Pod każdym względem.

Jo z napięciem wpatrywała się w Johna. Na chwilę zapadła cisza.

- Przygotowuję kolejne odcinki *Z przeszłości* - dodał Doug.

John popatrzył na niego pytająco.

- Nie kręć kolejnych odcinków. Sam mi to mówiłeś - przypomniał.

Doug uśmiechnął się.

- Istotnie tak mówili w zeszłym roku - odparł. - Ale odcinek z Grenlandii... wciąż leży w Akademii....

- Zaproponowali ci kolejne odcinki przez wzgląd na klapę na Grenlandii?

Doug mrugnął nerwowo, słysząc te słowa.

- W pewnym skrócie można chyba tak to ująć.

- Razem to zrobimy - wtrąciła Jo. - Zatrudnił mnie do noszenia walizek.

Nikogo nie rozśmieszyła ta próba rozładowania sytuacji.

- Rozumiem - odparł John. - To dobry powód. - Odstawił kieliszek. - Reporterka, która dorwała swego mężczyznę dzięki Grenlandii, przyleciawszy tam, by go poznać.

- Niepotrzebnie narobili wokół tego tyle szumu - wtrąciła pośpiesznie Jo. - Nigdy nie mówiłam, że poruszę niebo i ziemię, żeby go poznać. To gazeta tak napisała. Powiedziałam

tylko, że to był rodzinny lot, a ja zabrałam się przy okazji.

- Ale przecież to nieprawda! - rzekł John. - Przecież naprawdę poruszyłaś niebo i ziemię, żeby go poznać. To ja zabrałem się przy okazji.

- To nie ma znaczenia - powiedział Doug.

- Chyba powinniście wiedzieć, że jest piętnaście po jedenastej - mruknęła Gina. Catherine wstała.

- A więc wybieracie się w podróż? - spytał John.

- Tak - potwierdził jego ojciec.

- Dokąd? - spytał John. - Na Grenlandię?

- Na Grenlandię...

- I do Cieśniny Wiktorii?

Twarz Douga drgnęła, jak gdyby John trafił w czuły punkt.

- Ścigasz Franklina - dodał syn.

- Tego jeszcze nikt nie robił - odparł Doug. - Nikt nie udał się tropem Franklina.

- Masz rację - zgodził się John. - Jeszcze nie.

- Posłuchaj, John - wtrąciła Jo. - Chcielibyśmy, żebyś wybrał się z nami. Wiemy, że ta sprawa cię frapuje.

Spojrzenie Johna powędrowało w jej kierunku.

- Frapuje - powtórzył.

- Tak więc....

John zacisnął wargi i napiął ramiona.

- Zawsze jest ktoś inny - powiedział powoli do ojca. - Zawsze ktoś inny z tobą jedzie.

- John... - przerwał Doug.

- Nieważne - ciągnął jego syn. - W porządku. Ja ci jeszcze pokażę. - Podniósł się i wyszedł z sali.

Jo patrzyła za nim z przerażeniem.

- John! - zawołała Catherine.

- Doug, idź za nim - powiedziała Jo.

- Nie pójdę - odparł Doug.

Jo pociągnęła go za rękę.

- Idź za nim natychmiast - zażądała.

- I co mam mu powiedzieć? - spytał Doug.

- Sprowadź go.

- Po co?

- Jak to: po co?

- Dobrze, już dobrze...

- Sprowadź go tu, Doug. Szybko. - Zerknęła na Ginę. - Wiedziała - zwróciła się do niej. - Wiedziała, że nie wytrzyma.

- John marzył o takiej wyprawie - powiedziała Catherine.

Jo popatrzyła na nią.

- Wiem. Oboje o tym wiedzieliśmy. Doug powiedział ludziom z telewizji, że chce, aby był z nim John. Od samego początku. Dopilnowaliśmy tego. Jego nazwisko jest wśród twórców programu.

Catherine zmarszczyła brwi.

- Może... - zawiesiła głos.

- Może co? - ponaglił Doug.

Catherine potrząsnęła głową.

- Może on chce to zrobić sam.

- Jak można samemu szukać Franklina? - zdumiał się Doug. - Trzeba całej załogi...

- Tak, to... - Catherine umilkła. - To wielka przeszkoda - dokończyła po chwili.

- Może to zrobić ze mną - powiedział Doug.

Catherine nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Wpatrywała się w podłogę.

- On nie chce tego zrobić ze mną - stwierdził Doug. - O to chodzi? Chce mnie pod jakimś względem prześcignąć.

Jo wstała i podeszła do niego. Położyła mu rękę na ramieniu, po czym dotknęła palcami jego twarzy.

- Doug, idź go znaleźć - poprosiła. - Musimy to wyjaśnić, teraz. Proszę.

Doug oderwał spojrzenie od twarzy Catherine. Wyglądał tak, jak gdyby został zraniony. Poklepał Jo po ramieniu, niemal z roztargnieniem.

- Idziemy do ratusza - ponaglił.

- Doug, idź za nim - upierała się Jo.

- Nie - odparł. Mówił innym tonem. Pewnym. - Skoro nawet takiego ranka nie może w sobie zdusić tej cholernejszej zazdrości, to jego kłopot.

Wziął płaszcz i włożył go na siebie.

- Pobieramy się. To jest ważniejsze.

Jo przybrała surowy wyraz twarzy. Patrząc na nią, Gina pomyślała, że tysiące razy widziała tę zdecydowaną minę Jo. Wyglądała tak wtedy, gdy trafiła już na swój temat, a ktoś zbywał ją pod byle pretekstem.

Doug wyciągnął rękę, żeby dotknąć dłoni Jo, ale ona cofnęła się.

- Nie weźmiemy ślubu bez twojego syna jako świadka - zapowiedziała stanowczo. -

Tak zaplanowaliśmy, i tak będzie.

Doug wpatrywał się w nią.

- Chyba żartujesz...

- Nie żartuję.

- Chcesz, żebym pobiegł za nim?

- Tak - odparła.

- Spóźnimy się! - zaprotestował, wyrzucając ręce w górę. - Spóźnimy się na cholerny ślub!

- No właśnie - powiedziała. - Więc lepiej się pośpiesz.

Otworzył usta, żeby zaprotestować i popatrzył na Ginę.

Uniosła brwi. Znowu spojrzał na Jo. Pocałowała go, powoli i delikatnie, w usta.

- Boże, jesteś najbardziej kłopotliwą kobietą na tej planecie - westchnął.

- Czas ucieka - przypomniała.

Wyszedł z pubu, rzuciwszy Jo pożegnalne spojrzenie.

Wszystkie trzy ruszyły za nim na zaśnieżoną ulicę. Nigdzie nie było widać Johna. Doug dobiegł do końca chodnika, ślizgając się na rozmokłym śniegu. Dotarł do skrzyżowania i spojrzał na Castle Street i Huntington Road. Światła się zmieniły i sznur samochodów właśnie ruszał.

- Nie widzę go - zawołał Doug.

Ruszyły w jego kierunku.

- Może poszedł na Castle Mound - podpowiedziała Jo.

Popatrzyli w tamtą stronę, ale nie dało się nic zobaczyć. Na Castle Mound można było dotrzeć jedynie przez wąskie przejście pomiędzy domami.

- Niech to szlag! - zawołała Jo. Popatrzyła na Catherine. - Przepraszam. Ale wiesz, to bardzo ważne dla Douga.

- Dla Johna również - odparła Catherine.

- Wiem - westchnęła Jo. - Ja...

- Jest! - zawołała Gina.

Doug zdążył już dostrzec syna po drugiej stronie ulicy. Wyglądało na to, że chłopak zaczął iść w kierunku Chesterton Lane, a potem się rozmyślił, gdyż wzniesienie było zbyt śliskie. Doug przebiegł przez jezdnię, ledwie unikając wpadnięcia pod furgonetkę, która właśnie zaczęła nabierać szybkości. Rozległ się dźwięk klaksonów. Kobiety zobaczyły, że

Doug dotarł do syna.

Rozmawiali przez chwilę. Doug złapał Johna za ramię. Ten patrzył gniewnie na ojca, słuchał przez chwilę, a potem się wyszarpnął. Doug odwrócił się, łapiąc go za rękaw. Słyszały podniesione głosy, choć nie docierały do nich słowa. Nagle John powiedział coś, co dotknęło chyba ojca. Na ułamek obaj zamarli, patrząc sobie prosto w oczy, i wtedy, ku przerażeniu Jo, Doug wznosił pięść.

- Nie! - krzyknęła.

John się cofnął; Doug zrobił krok do przodu, spojrzał na swoją wyciągniętą rękę i opuścił ją. John zawrócił i przeszedł przez chodnik wprost na jezdnię.

- John... - szepnęła Catherine.

Doug usiłował złapać syna za rękę. Źle zinterpretowawszy ten gest, John się wyrwał, najwyraźniej nieświadom faktu, że stoi na środku jezdni. Doug mówił coś pośpiesznie, krzyczał. John uniósł dłonie, a wtedy palce Douga ześliznęły się z ramion syna, gdy próbował wciągnąć go z powrotem na chodnik.

- Doug! - krzyknęła Jo.

Doug odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

Ciężarówka zjeżdżała ze wzgórza niemal bezdźwięcznie; kierowcy prawie nie było widać przez pokrytą śniegiem szybę. Przez moment Jo patrzyła na olbrzymie opony sunące po lodzie. Pojazd obrócił się i przesuwiał bokiem po jezdni. Z drugiej strony dał się słyszeć pisk hamulców - kierowcy innych pojazdów ujrzeni przed sobą przeszkodę - czternastotonowy kontener, odbijający się od krawężnika. Przewożony ładunek trząsał się jak płótno na wietrze. Ciężarówka wjechała na chodnik i uderzyła w słupek ze światłami, wyrrywając go z ziemi.

Przez chwilę nie można było przewidzieć, w którą stronę pójdzie uderzenie.

Nie w nich, pomyślała Jo. To wiedziała. Jakiś głos w jej głowie podpowiadał, że obaj Marshallowie stoją dość daleko od ciężarówki. Powierzchnia jezdni tam, gdzie się znajdowali, nie była zbyt śliska. Inne samochody zatrzymały się bez trudu. Obaj mieli i czas, i miejsce, żeby wrócić na chodnik.

Ciężarówka stała niemal pod kątem czterdziestu pięciu stopni do drogi. Chwiała się tam przez krótką, przerażającą chwilę. Kobiety widziały panikę na twarzy kierowcy.

Doug nagle ruszył, pociągając Johna za sobą w kierunku chodnika, na którym stały Jo, Gina i Catherine. Na jego twarzy malowała się ulga.

Żadne z nich nie zauważyło samochodu osobowego.

Jechał za szybko. Mknął po Chesterton Road pełnym gazem. Prowadził go młody człowiek, który dostał prawo jazdy zaledwie pięć miesięcy wcześniej. Nigdy dotąd nie jechał

po śniegu i był już godzinę spóźniony ze swoją przesyłką. Nie umiał trafnie ocenić sytuacji na drodze.

Przyśpieszył, żeby ominąć samochód na środku drogi. Dopiero gdy go mijał, dostrzegł ciężarówkę z rozbitą skrzynią.

Zauważył dwóch mężczyzn dopiero wówczas, kiedy było już za późno na hamowanie.

## 17

Gina stała przy oknie i patrzyła na szarzejące światło wczesnego zmierzchu. Była trzecia po południu. Śnieg przestał padać, temperatura spadła poniżej zera. Dziwnie się czuła, przyglądając się niemal monochromatycznemu krajobrazowi, gdy tak stała na przegrzonym korytarzu szpitalnym. Przez okno widać było zapalające się uliczne światła, których jasny fiolet stanowił jedyny kolorowy akcent w powszechnej szarości. Zamknęła oczy. Łza spłynęła jej po policzku, więc wytarła ją wierzchem dłoni.

- Chryste Panie... - mruknęła.

Słyszac za sobą odgłos otwieranych drzwi, odwróciła się. Ujrzała bardzo bladą Jo.

- Są gotowi? - zapytała.

- Tak - odparła Gina. Ujęła przyjaciółkę pod ramię.

Musiały przejść tylko kilka metrów, ale drzwi do kaplicy wydawały się bardzo odległe. Podłoga lśniła; ściany były zimnoniebieskie.

- Czy tu jest chłodno? - spytała Jo.

- Tak - skłamała Gina.

Czekał na nie lekarz; obok niego stała pielęgniarka. Gina lekko popchnęła przed siebie z trudem poruszającą się przyjaciółkę. Nadeszła ta straszna chwila, gdy trzeba było przekroczyć próg.

W kaplicy Jo zatrzymała się po kilku krokach. Ciało Douga leżało na nakrytym białym prześcieradłem wózku w pobliżu ołtarza. Nawet z miejsca, w którym stała, Gina mogła zobaczyć, że na twarzy zmarłego nie ma żadnych obrażeń. Po jego obu stronach leżały bukiety kwiatów; Gina zastanawiała się, czy pozostały tu po jakimś innym nieszczęśniku. Zobaczyła, że Jo intensywnie wpatruje się w te morelowe róże.

- Nie mogę - odezwała się Jo.

John siedział razem z Catherine w drugim rzędzie. Na dźwięk głosu Jo wstał.

Siniak nad jego prawym okiem już czerniał, zachodził aż na powiekę. Głębokie zadrapanie biegło od czoła do szyi; skóra była upstrzona czarnymi odpryskami asfaltu. Siła

uderzenia zarzuciła go na ojca, którego ramienia się trzymała. W ostatnim momencie Doug wypchnął go spod kół nadjeżdżającego samochodu. John był nieprzytomny przez kilka minut, ocknął się dopiero na dźwięk syren pogotowia, ujrzał Jo, klęczącą na środku jezdni nad ojcem. Jo patrzyła teraz na chłopaka przed sobą i na Catherine, bladą, z zaczerwienionymi oczyma i rękami skrzyżowanymi na piersi. Jo ruszyła w ich kierunku. Widziała Douga w twarzy jego syna. W wykroju ust. W kolorze oczu. Zawahała się.

- Przykro mi - powiedział John.

Czuła, że róże wypadają jej z rąk. Zamknęła oczy i zobaczyła słońce, pokój Douga, otwarte okno i spłwiałą wzór górskich kwiatów na dywanie.

Otworzyła oczy.

- Zabiłeś go - powiedziała.

John cofnął się.

- Zabiłeś go, zabrałeś mi go - dodała.

- Jo... - odezwał się kobiecy głos.

- Nigdy ci nie wybaczę - ciągnęła. - Rozumiesz? Nigdy ci nie wybaczę.

- Jo... - powtórzył głos.

John, cofając się, omal nie wpadł na ciało ojca. Zatrzymał się, czując za plecami przeszkodę. Blady rumieniec, który wcześniej widniał na jego twarzy, teraz całkiem z niej zniknął. John popatrzył na zwłoki ojca.

- Właśnie - odezwała się Jo. - Patrz na niego. To twoje dzieło. To ty go zabiłeś swoją zazdrością.

Gina złapała ją za ręce. Szarpnęła Jo, przytuliła do siebie.

John odwrócił się i szedł ku wyjściu wzdłuż potęgającej dźwięk kroków nawy. Catherine pobiegła za nim. Kiedy dotarli do drzwi, schwyciła go za rękę.

- Zostaw mnie w spokoju! - powiedział.

- Pozwól mi iść ze sobą - poprosiła. - Nie powinieneś być sam.

Wpatrywał się w nią. W jego oczach pojawiły się łzy; gdy tak stali, twarzą w twarz, pierwsze krople spłynęły na policzki.

- Nikogo nie potrzebuję - odezwał się John.

- John...

- Ona ma rację! - krzyknął.

Catherine stała nieruchomo, sparaliżowana lękiem.

- John, ona tak nie myśli naprawdę.

Wyrwał się jej.

- Ale jak tak myślę - wyszeptał. - Trzymaj się ode mnie z daleka!

Otworzył drzwi i słysząc było tylko jego kroki: pośpieszne, choć niepewne.

Jo zadrżała w uścisku Giny. Przerazona Catherine odwróciła się i popatrzyła na obydwie kobiety. Jo dała się pociągnąć przyjaciółce w kierunku krzeseł. Gdy zajęły miejsca, Gina zaczęła przeszukiwać kieszenie, by znaleźć chusteczkę. Ujrzała jednak, że suche oczy Jo wpatrzone są w Douga.

- Wszystko w porządku - powiedziała Gina. - Wszystko dobrze.

Jo spojrzała na nią.

- Nic nie jest w porządku - szepnęła.

- Nie - odparła Gina. - Chciałam powiedzieć... Boże, Jo. Nie wiem, co chciałam powiedzieć. - Zrozpaczona, potrząsnęła głową. - Przepraszam.

Spojrzenie Jo pobiegło w bok, ponad kwiatami, w kierunku śniegu za oknem.

- Jest coś jeszcze - powiedziała cicho. Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

- Co? - zapytała Gina.

- Tak mówiliśmy - odparła Jo żalnym głosem.

Obok niej stanęła Catherine, biała jak papier.

Jo wstała i podeszła do katafalku. Położyła rękę na piersi Douga i pogładziła jego ramię. Ku konsternacji pozostałych kobiet, pchnęła go lekko, jak gdyby chciała go obudzić.

- Wracaj i usiądź na chwilę - wyszeptała Gina.

Jo odwróciła się i spojrzała na obie kobiety.

- Nic nie jest w porządku - oświadczyła. - Urodzę jego dziecko.



## CZEŚĆ II

*Dwa lata później*

Niedźwiedzica długo szukała odpowiedniego miejsca. Musiało być pokryte drobnym, mocno ubitym śniegiem, takim samym, jakiego Inuici używają do budowy igloo. Ona chciała go wykorzystać w podobnym celu. Kiedy wreszcie znalazła to, czego poszukiwała, przystąpiła do kopania, szybko przebijając się przez zaspę dzięki potężnym pazurom, przypominającym grabie. Sprawnie wykonała wąski otwór wejściowy, a śnieg, który odpychała za siebie tylnymi łapami, coraz skuteczniej maskował wejście. Samica przekopywała się teraz ku górze, aż wreszcie udało się jej wygrzebać zaokrąglone pomieszczenie o wymiarach dwa i pół na dwa metry.

Zamierzała tu spędzić zimę i wydać na świat potomka. W suficie wydłubała niewielki otwór, zapewniający dopływ powietrza, lecz z zewnątrz nie sposób było stwierdzić, że pod śniegiem kryje się żywe stworzenie. Ślady łap niedźwiedzicy wkrótce zniknęły w szalejącej zamieci. Temperatura wewnątrz kryjówki dawała jej poczucie komfortu - było tam przecież kilkadziesiąt stopni cieplej niż na zewnątrz. Samica zryła jeszcze śnieg pazurami, a gdy uznała, że leże gotowe, ułożyła się wygodnie i zasnęła.

Niezawodne ciało zwierzęcia funkcjonowało tydzień po tygodniu, choć zwolniło się znacznie tempo funkcji życiowych. Organizm czerpał energię z sadła, które ulegało procesowi metabolizmu. W pogrążonym we śnie ciele niedźwiedzicy rósł potomek.

Maleńki i bezbronny samczyk urodził się na początku roku. Jako dorosły niedźwiedź polarny, miał w przyszłości osiągnąć wagę od 450 do 560 kilogramów i stać się największym drapieżnikiem na Ziemi. Kiedy jednak przyszedł na świat w niebieskawym półmroku kryjówki, ważył zaledwie pół kilograma. Był w dodatku ślepy i głuchy, a jego ciało chroniło tylko cienkie futro. Kierując się instynktem, niedźwiadek ssał niezwykle pożywne mleko matki, w trzydziestu jeden procentach złożone z tłuszczu i w dwunastu z białka.

Na zewnątrz schronienia niebo migotało od świateł zorzy polarnej. Matka i dziecko nie mieli jednak okazji ujrzeć ani tego spektaklu świetlnego, ani błyszczącej mgły, która zasnęła niebo. Niedźwiedzica przygarnęła do siebie maleństwo i zasnęła. Dopiero po upływie czterech miesięcy podźwignęła się i przystąpiła do kopania tunelu na zewnątrz. Lżejsza o sto pięćdziesiąt kilogramów wydostała się z kryjówki w marcu. Przez kilka miesięcy maluch urósł do rozmiarów niewielkiego psa; był bardzo ruchliwy. Zrobiło mu się za ciasno w zimowej kryjówce, dlatego energicznie podążał za wychodzącą na dwór matką.

Burze śnieżne skończyły się. Przebijające zza chmur słońce przypominało płaski szary

krążek. Niedźwiadka oślepiło światło. Zatrzymał się przy wyjściu z kryjówki i niepewnie rozglądał wokół. W tym czasie jego matka, ciągle jeszcze senna, ospale zdrapywała śnieg z ziemi. Kiedy natrafiała na zamrożony mech, łakomie zjadała go wraz ze śniegiem.

Zdobywanie pożywniejszego pokarmu jeszcze nie było dla niej najważniejsze. Trzymała się blisko schronienia i uważnie obserwowała, jak maluch niepewnie odkrywa nowy świat. Wkrótce położyła się na plecach u wejścia do kryjówki, a niedźwiadek bawił się tuż obok. Od czasu do czasu nieruchomiał i wpatrywał się przed siebie, jakby kontemplując ogrom swojego królestwa. W końcu powrócił do matki. Tylko ona mogła mu zapewnić bezpieczeństwo w tym lodowym świecie.

## 19

Słońce wpadało do sypialni Jo. Obudziła się i spojrzała na smugi światła padające na przeciwległą ścianę. Jeśli nawet to jakiś sen tak szybko popchnął ją w kierunku dnia, nie mogła go sobie przypomnieć.

Spojrzała na zegarek. Szósta. Potem przeniosła wzrok na stolik obok łóżka. Fotografie zrobiono w dniu, w którym wprowadzili się do tego domu. Doug stał na progu, lekko zwrócony ku niej, i śmiał się. Jak zwykle, wpatrywała się w zdjęcie przez jakiś czas.

Przez dłuższą chwilę siedziała na brzegu łóżka, czekając, aż zniknie uczucie dojmującego żalu. Następnie przejechała rękami po włosach, wstała i otuliła się szlafrokiem. Poszła do pokoju, który niegdyś był rupieciarnią, a teraz należał do jej syna. Chłopiec spał, pościel była rozkopana, a jego twarz głęboko zanurzona w poduszkę. Jo wyciągnęła rękę i delikatnie pogłaskała malca po czole i włosach. Mały posapywał we śnie, ściskając w piastce nogę niebieskiego misia.

Po chwili Jo zeszła do kuchni, gdzie zaparzyła sobie herbatę. Z gorącą filiżanką w dłoniach otworzyła drzwi i wyszła do ogrodu, a jej białe nogi stąpały po zniszczonej terakocie dróżki. Jak zwykle, w tych pierwszych cichych chwilach dnia, stała nieruchomo, z zamkniętymi oczyma, pozwalając sobie na chwilę wspomnień.

Kiedy ona i Doug się tutaj sprowadzili, ogród był ponurym kwadratem nie strzyżonej szarej trawy. W grudniu zniknął pod śniegiem, który przykrywał Anglię przez ponad sześć tygodni. Pamiętała jednak dobrze pierwszy dzień, w którym wyszła do ogrodu, w marcowy poranek. Do tamtej pory ani razu nie otworzyła tych drzwi; wszyscy wchodzili i wychodzili przez drzwi frontowe od strony małej, wąskiej uliczki. Zerkając czasem na ogród z okna sypialni, dochodziła do wniosku, że wygląda jak podwórze więzienne, i zaraz odwracała

twarz.

W ów marcowy poranek ujrzała jednak ogródek w innym świetle. Śnieg zniknął i pokazała się trawa. Jo spostrzegła, że mizerny krzew w rogu to bez, a krzywe gałęzie widoczne na tle muru to powojnik, który trzeba koniecznie przyciąć przed nadejściem cieplejszych dni. Wzdłuż płyt chodnikowych rosły barwne chelidonie. Wyglądały jak małe słoneczka przy ścieżce.

Jo budziła się do życia wraz z ogrodem, ale była to długa, powolna podróż.

Kiedy w czerwcu urodził się Sam, po powrocie ze szpitala zabrała go na trawnik i usiadła z nim w cieniu bzu. Do tego czasu powojnik zdążył już zakwitnąć i okryć się zielonymi liśćmi; zajął niemal całą górną część muru. Lewa strona ogrodu w kwietniu rozkwitła dzwonicami. Jo w porę skosiła trawę - ciężko dysząc, jako że była w ósmym miesiącu ciąży - więc teraz trawnik stał się zielony i sprężysty, wyglądał zdrowo jak wiejska darń.

Tuż przed narodzinami Sama Jo kupiła krzew miniaturowych róż w morelowym kolorze. Wtedy mogła już znieść zapach tych kwiatów.

Siedziała z Samem w ramionach, nieświadoma zamieszania, jakie robiła Gina, przestawiając krzesła i rozkładając parasol słoneczny, po czym wtuliła twarz w ciało synka. Wdychała jego świeży zapach, czując na szyi i palcach promienie słońca. Nagle pomyślała, że istnieje jakaś wspólna nić, która wysnuwa się z nich obojga, matki i dziecka, na świat zewnętrzny. Czuliła niemal jej dotyk. Uniosła głowę i na chwilę otworzyła oczy. Było tak, jak gdyby czyjaś ręka dotykała jej włosów, jak gdyby ktoś szeptał jej imię. Popatrzyła na Sama i zobaczyła, że jej syn wpatruje się w jakiś punkt poza nią, jak gdyby też to usłyszał.

Kiedy później wróciła myślą do tego ulotnego wrażenia, uznała, że niezależnie od tego, co to było, nie miało nic wspólnego ze sprawami nadprzyrodzonymi. Nie było żadnego dotyku, żadnego szeptu. Niczego oprócz liści bzu, poruszających się w popołudniowym wietrze. Poza tym już wiele miesięcy wcześniej postanowiła nie wierzyć w zjawiska nadprzyrodzone.

Prawdziwy był tylko Sam. Bardzo prawdziwy, zwłaszcza w bezsenne noce. Prawdziwe było jego ciekawskie spojrzenie, które niemal czuła na sobie. Był prawdziwy w jej objęciach, gdy jego nagie ciało wtulało się w jej pierś. Prawdziwy, gdy płakał. Prawdziwy, gdy pochylała się nad jego łóżeczkiem, żeby sprawdzić, czy oddycha. Ale nic poza tym nie było prawdziwe, a zwłaszcza sny.

Skończyła herbatę i weszła do domu. Powędrowała na górę, żeby odsunąć zasłony w pokoju gościnnym.

Słońce dokładnie oświetlało pomieszczenie. Doug zdziwiłby się, widząc nieskazitelną schludność, w jakiej Jo żyła obecnie. Nie tylko stała się zorganizowana - zdumiałby go widok jej biurka, starannie posprzątanego - ale była teraz dokładna, jak gdyby przejęła zamiłowanie zmarłego do porządku.

Rozejrzała się wokół, zadowolona z wyglądu pokoju. Wydawał się pełen światła i przestrzeni. Także tego dokonała przed narodzinami Sama: zdjęła dawne zasłony z czerwonego brokatu, odziedziczone po poprzednim właścicielu, zwinęła dywan, żeby odsłonić starą, dębową podłogę. Kupiła używaną kanapę, która zajmowała miejsce pod jedną ze ścian; jej jasne, podniszczone obicie z płótna pasowało do żółtych poduszek. Ścianę naprzeciwko kanapy zajmowały regały z książkami. Element dekoracyjny stanowiła misa pełna kwiatów na niskim stoliku koło okna.

Usłyszała hałas z sypialni Sama, więc poszła do niego. Już nie spał. Rzadko płakał, gdy się budził; wydawało jej się, że dziecko odbiega gdzieś myślami. Dopiero kiedy zobaczył matkę, rozbudził się.

Jo uklękła obok łóżeczka.

- Cześć, żołnierzu - mruknęła i pogłaskała go po buzi. - Musimy zorganizować przyjęcie. Wstawaj.

Uśmiech rozświetlił jego twarz. Miał urodziny kilka dni wcześniej, ale przyjęcie odbywało się dzisiaj, w niedzielę. Wyciągając ręce, żeby go podnieść, Jo poczuła, że kłęczy na czymś twardym. To był zgnieciony klocek Lego.

Sam wyjął go z ręki matki.

- Napraw - poprosił.

Popatrzyła na kawałek zielonego plastiku.

- Nie da się naprawić - stwierdziła. - Zgniotłeś go.

- Napraw.

- Jest całkiem zgnieciony. Coś ty z nim zrobił, włożyłeś go pod traktor, mały wandalu?

Oczy Sama rozbłysły.

- Traktor! - powtórzył.

- Traktor stoi w szopie, Samie.

- Traktor, już! - Pociągnął ją mocno za ramię.

- Nie, synku - sprzeciwiła się łagodnie. - Teraz śniadanie, traktor później.

Chłopiec skrzywił się i z powrotem opadł na łóżko.

- Chodź - powiedziała, wyciągając ręce. - Wskakuj. Pociągnęła do góry koszulkę, by

ściągnąć ją z syna, lecz nagle znieruchomiała.

- Ej... - mruknęła. - Co to jest?

Siniak u podstawy kręgosłupa chłopca był duży.

- Co się stało? - zapytała. Szybko przejechała dłonią wzdłuż jego klatki piersiowej i po nogach.

- Napraw! - burknął z uporem Sam.

Nie wiedziała, czy chodzi mu o klocek, czy o siniak.

- Boli cię? - spytała.

Wyślinął się z jej objęć.

Wciąż marszcząc brwi, zdołała go złapać i przytuliła go do siebie. Przycisnęła usta do jego szyi i mocno cmoknęła. Pisnął z zadowoleniem, odrzucił głowę i popatrzył na matkę. Miał uśmiech Douga. Oczy Douga.

- Głodny? - spytała.

- Tak.

Uśmiechnęła się, opierając jego ciężar na biodrze.

- Nic ci nie jest, prawda? - upewniała się.

\*

O jedenastej wciąż tkwiła w kuchni, zastawionej patelniami, garnkami i miskami. Gdy rozległ się dzwonek do drzwi, przebiegła przez korytarz, zlizując z palców czekoladę.

Na progu stała Catherine.

- Przyszłaś! - powiedziała Jo i uściśnęła ją. - Dziękuję. Catherine weszła i zamknęła za sobą drzwi.

- Kryzys? - zapytała.

- Tylko dwa tuziny galaretek, które nie chcą się ścinać - uśmiechnęła się Jo.

- Doskonale - zauważyła Catherine. - Rzadka galaretka lepiej nadaje się do rzucania.

Jest wprost wymarzona na dziecięce przyjęcia.

Kiedy Catherine zdejmowała płaszcz, Jo naląła jej kawy.

- Gdzie Sam? - spytała Catherine.

- Śpi - odparła Jo. - Padł na kanapę jakieś piętnaście minut temu.

Usiadła naprzeciwko gościa i uśmiechnęła się znad krawędzi filiżanki.

Po śmierci Douga Jo przez pół roku nie widziała dziewczyny jego syna. Pierwsze dwa miesiące spędziła z Giną w Londynie. Bała się wrócić do domu, bała się wrócić na Lincoln Street po pogrzebie. Spędziła dwa dni w samotności, po czym spakowała torbę i pojawiła się na progu domu Giny, drżąc z przerażenia.

Rzuciła się w wir pracy z gwałtownością, która martwiła przyjaciółkę; Gina wciąż prosiła ją, żeby zwolniła tempo. Doskonale wiedziała, że Jo niemal przestała sypiać, więc nawet się nie zdziwiła, gdy w miesiąc po śmierci Douga, obudziwszy się pewnego ranka, znalazła Jo skuloną na podłodze obok kanapy i łkającą bezradnie. Przez cały ten czas Jo nie poddawała się żalowi, ale w końcu musiała się poddać.

Nadeszły ciężkie dni rozpaczy. Gina wzięła wolne i zajęła się przyjaciółką. Jo przestała prawie jeść, spała natomiast bez przerwy po dziesięć, dwanaście, czternaście godzin na dobę. Pod koniec dziesiątego dnia wyglądała jak gdyby wróciła z pola bitwy - blada, krucha i boleśnie chuda. Ale odzyskała rozsądek.

Właśnie wtedy, na początku roku, Jo usiłowała skontaktować się zarówno z Johnem, jak i z Catherine. W obu wypadkach poniosła klęskę. John - jak powiedział obcy głos w słuchawce - wyprowadził się ze swojego mieszkania, nie zostawiwszy adresu. Catherine z kolei opuściła akademik. Jo napisała w końcu do Johna pod adresem Franklin House. Prześladowała ją myśl, że odepchnęła tego chłopca, jak niegdyś, zdaniem Douga, on sam. Ale list wrócił.

Nastał luty, najbardziej ponury miesiąc roku - krótkie dni, długie noce - kiedy Jo wróciła do Cambridge. Dopiero w maju spotkała Catherine Takkiruq.

Jo spędziła rano na poszukiwaniu materiałów do artykułu dotyczącego polityki. Następnego dnia miała wyjechać do Manchesteru i rozmyślała o tej podróży, gdy wspinała się po schodach księgarni w centrum handlowym. Następnie udała się do kawiarni i gdy z filiżanką kawy w dłoni rozglądała się w poszukiwaniu wolnego miejsca, ujrzała Catherine.

Zamarła. Pomyślała, że Catherine jest śliczna jak zawsze; gęste włosy upięła niedbale w kok, z którego wymykały się kosmyki. Na jej kolanach leżała otwarta książka, stosik innych znajdował się obok jej stóp. Kiedy Catherine uniosła wzrok i rozpoznała Jo, ta zobaczyła coś dziwnego w jej twarzy. Na obliczu Catherine malował się smutek dobrze widoczny dla kogoś, komu nieobce było to uczucie.

- Cześć - powiedziała Jo.

- Cześć - odparła Catherine.

Wpatrywały się w siebie. Przez chwilę Jo myślała, że Catherine odwróci od niej wzrok i zajmie się lekturą. Spojrzenie dziewczyny powędrowało jednak na talię Jo.

- Potrzebujesz pomocy? - zapytała Catherine.

- Nie, dziękuję. Nic mi nie jest - odparła Jo. - Przeszkadzam ci?

Catherine potrząsnęła głową i wykonała zapraszający gest.

- Masz sesję - stwierdziła Jo, zajmując miejsce.

- Tak. Przychodzę tutaj, żeby się od tego wszystkiego oderwać. Szukam odrobiny spokoju.

Jo z zakłopotaniem mieszała kawę. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- Usiłowałam się z tobą skontaktować - odezwała się w końcu. - Ale powiedziano mi, że się wyprowadziłaś.

- Wynajęłam pokój razem z przyjaciółką; to wychodzi taniej - wyjaśniła Catherine. - Dzwoniłam do ciebie, lecz ktoś powiedział, że wyjechałaś do Londynu.

- Wyjechałam - potwierdziła Jo. - Na jakiś czas.

Wpatrywały się w siebie, myśląc o minionych miesiącach. Przez cały czas Jo zastanawiała się, jak sformułować pytanie, które musiała zadać.

- Wiesz, gdzie jest John? - odezwała się w końcu.

Najwyraźniej trafiła w czuły punkt. Oczy Catherine wypełniły się łzami.

- Przepraszam - powiedziała Jo. - Naprawdę bardzo przepraszam. Usiłowałam się z nim skontaktować.

Catherine machnęła ręką, jak gdyby chcąc powstrzymać słowa Jo. Przymknęła oczy.

- To nie twoja wina - powiedziała w końcu, patrząc na nią.

- Gdzie on jest? - spytała Jo. - W domu? Alicja odesłała mój list.

- Nie ma go tutaj - odparła Catherine.

- Nie mieszka z Alicją?

- Nie ma go w Cambridge. Zniknął.

Jo wpatrywała się w nią z przerażeniem.

- Zamieszkał z matką po pogrzebie - dodała Catherine. - Ale w Nowy Rok wyjechał.

Jo odchyliła się na krześle.

- Mój Boże - jęknęła. - To przeze mnie. Przez to, co mu powiedziałam!

Catherine ujęła ją za rękę.

- Nie - orzekła stanowczo. - Ja tak nie myślę, Jo. Alicja... - Urwała.

Jo wpatrywała się w dziewczynę.

- Alicja tak uważa - szepnęła. - Obwinia mnie za wszystko.

- Alicja jest bardzo rozgoryczona - tłumaczyła Catherine. - Nie ma co udawać, że jest inaczej. To taki człowiek... Sama wiesz, prawda? Szuka kogoś, na kogo może złożyć winę.

- I znalazła mnie - stwierdziła Jo. - Nie tylko z powodu Johna. Także ze względu na śmierć Douga, bo ze mną miał się ożenić.

Catherine przygryzła wargę.

- John nie chciał rozmawiać - ciągnęła powoli. - Alicja jednak mówiła bez przerwy. -



Potrząsnęła głową. - Czasem myślę, że to przez nią wyjechał. Ale chyba nie tylko... Nie chodzi też o to, co ty powiedziałaś....

Jo zmarszczyła brwi.

- No to o co? - zapytała.

Catherine potrząsnęła głową.

- On po prostu jest zagubiony - powiedziała.

- Pisał do ciebie? - dopytywała się Jo.

- Nie - odrzekła Catherine. - Nie miałam od niego żadnych wiadomości.

Przez jakiś czas siedziały w milczeniu.

- Przykro mi - powiedziała Jo.

Catherine podniosła głowę.

- Myślałam, że wciąż jesteś w Londynie. Nie wolałabyś mieszkać z Giną?

- Mieszkałam z nią - wyjaśniła Jo. - Chciałam jednak tu wrócić. Chciałam, żeby dziecko Douga urodziło się w miejscu, które on wybrał. Żeby wychowało się tam, gdzie on pragnął.

Catherine ze zrozumieniem pokiwała głową.

- A więc mimo wszystko los się do ciebie uśmiechnął, Jo.

Jo spojrzała na swój brzuch i przygryzła wargę.

- Nie wiem, jaką będę matką - wyznała, wypowiadając na głos to, co ją trapiło. - Czasem wydaje mi się, że dobrą. Kiedy indziej... Cóż, niewiele wiem o dzieciach.

Zauważyła, że Catherine patrzy na nią wzrokiem, w którym dopiero później nauczyła się rozpoznawać bezgraniczną cierpliwość, oznakę prawdziwej życzliwości.

- Ja też niewiele wiem o dzieciach - powiedziała Catherine. - Ale chętnie ci pomogę, Jo. Jeśli tylko zechcesz.

- Nie mogę cię tym obciążać - odparła Jo. - Będziesz miała pracę...

Catherine potrząsnęła głową.

- Przyjęto mnie na stanowisko badacza - poinformowała. - Na dwa lata, tutaj, w Cambridge.

- Może więc czasem będziesz mogła zaopiekować się dzieckiem? - spytała nieśmiało Jo.

Catherine przyłożyła dłoń do brzucha Jo.

- Chętnie ci pomogę - rzekła. - Ze względu na Douga.

W taki właśnie sposób narodziło się ich przymierze.

Przyjęcie zaczynało się o trzeciej, jednak Gina przyjechała dużo wcześniej. Już w drzwiach wyciągnęła ręce do Jo i uściskała ją.

- Wyglądasz fantastycznie - oceniła ją Jo.

- A ty jakoś mizernie - odparowała Gina. - O co chodzi, dziecko? Nie karmią cię tutaj?

- Sam podjada mi kiełbaski - odparła Jo.

Gina odwróciła się w kierunku męża, Mike'a, który stał na chodniku przed domem.

Na widok Mike'a Jo zawsze miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Przy wzroście przekraczającym dwa metry i wadze ponad sto kilogramów, Mike wyglądał jak typowy zawodnik rugby, którym zresztą był, tyle że cztery lata wcześniej przestał być wyczynowcem i został korespondentem sportowym „Kuriera”, gdzie poznał Ginę. Tak naprawdę Gina, która umiała zadbać o swoją przyszłość, wymogła na naczelnym to stanowisko dla Mike'a.

- Zobaczyłam jego zdjęcie i pomyślałam: „Tak!” - wyznała Jo przed rokiem.

- Po prostu „tak”? - spytała Jo.

- Po prostu „taaaaak”! - roześmiała się Gina.

Minęło jednak kilka miesięcy, zanim cała sprawa się wyjaśniła. Pewnego niedzielnego popołudnia Gina przyjechała do Cambridge z dość głupią miną.

- Dlaczego tak wyglądasz? - zapytała Jo.

- Jak?

- Jak gdybyś się wstydziła.

- Nie wstydzę się - odparła Gina. Umilkła. - Chodzi o to, że... że...

- Czy to ma jakiś związek z moją sytuacją? - spytała Jo.

- W pewnym sensie.

Jo usiadła obok przyjaciółki i ujęła jej dłonie.

- Posłuchaj - powiedziała. - Czy uważasz, że po tym, co przeszłam, przykro mi będzie, gdy komuś ułoży się życie?

- Nie...

- Ale wolisz trzymać mnie od swego życia z daleka.

- To nieprawda!

- Znasz tego mężczyznę, jak on się tam nazywa, od pół roku i nie powiedziałaś mi ani słowa na jego temat.

- Nie wiedziałam, jak zareagujesz - wyznała Gina.

- Myślisz, że będę ci zazdrościła szczęścia? - zapytała Jo. - Na litość boską!

- Nie o to chodzi - odparła Gina. - Chodzi o to, że nie mogę patrzeć, jaka jesteś nieszczęśliwa.

Jo potrząsnęła głową.

- Powiedz, jak on się nazywa - zażądała.

- Mike Shorecroft.

- Chyba nie ten gracz w rugby?

- Ten.

- Grał w reprezentacji!

- Znasz go?

Jo wzniosła oczy do nieba.

- Naprawdę sprawiam wrażenie zupełnie oderwanej od aktualnych spraw? Mike Shorecroft!

Gina oblała się rumieńcem.

- Kochasz go - stwierdziła raczej, niż spytała Jo.

- We wrześniu bierzemy ślub - poinformowała Gina.

I wzięli. To była wspaniała, radosna ceremonia, podczas której panna młoda uśmiechała się dumnie, a pan młody jękał się i uronił nawet kilka łez. Jo została otoczona przez tuziny krewnych Giny, którzy najwyraźniej zamierzali przycisnąć do serca cały świat.

Kiedy Jo wróciła wieczorem do domu, odkryła, że trochę szczęścia Giny udzieliło się i jej. Położyła się spać pogodzona z życiem. Cieszyła się szczęściem przyjaciółki.

Patrzyła teraz na Mike'a, przechodzącego przez próg. Niemal całkiem wypełnił sobą wąski korytarzyk. Pocałował Jo w policzek.

- Jak się masz? - spytał.

- Dobrze. - Zamilkła nagle. - Na litość boską, co to takiego?!

Gość chował za sobą olbrzymie pudło opakowane w jaskrawożółty papier.

Zanim Mike zdążył odpowiedzieć, w drzwiach pojawił się Sam.

- Sam! - zawołała Gina. - Chodź tu coś rozpakować!

Porwała chłopca w ramiona i całowała go. Postawiła go na podłodze dopiero wtedy, gdy się wykrzywił.

- Zabierz to do ogrodu - zaproponowała Jo.

Mike i Sam wyszli. Catherine i Jo spędziły mnóstwo czasu na nadmuchiowaniu balonów i wieszaniu ich w ogrodzie. Było to dość męczące zajęcie.

- Jezu! - westchnęła Gina, przyjmując od Jo kieliszek wina. - Nie mów mi, że nie ma tam ze trzech tysięcy balonów.

- Nie ma. Jest tylko dwieście dwadzieścia sześć - odparła Jo.

- Co się stało? Płuca ci wysiadły?

- Zepsuła się pompka. Weź ryżowe ciasteczko - zaproponowała.

Gina połknęła je i wyszły znów do ogrodu.

Sam zdążył już uporać się z opakowaniem prezentu, czyli przyczepy do jego ukochanego traktora, z olbrzymim obrotowym ramieniem.

- Mike, to wspaniałe! - wykrzyknęła Jo.

Sam zajął się wkładaniem zabawek do przyczepy.

- Może to za duża zabawka dla tak małego chłopca? - zastanawiał się Mike.

- On szybko rośnie - pocieszyła go Jo. - Bardzo dziękujemy.

Rozległ się dźwięk dzwonka.

- Ja otworzę - powiedziała Catherine.

Ogród powoli wypełniał się gośćmi. Jo zaprosiła na przyjęcie młode matki, które przebywały w szpitalu w tym samym czasie co ona, i które chodziły z nią do szkoły rodzenia. Przyszła nawet pielęgniarka środowiskowa, Eve; odwiedzała Jo pod koniec ciąży i pomagała jej w pierwszych dniach po powrocie z Samem do domu. Wkrótce trawnik pokrył się porozrzucanymi zabawkami. Dzieci bawiły się, a matki, zasiadłszy w cieniu, dojadły kawałki ciasta czekoladowego, pozostawionego przez swoje pociechy.

- Jak ci się wiedzie? - spytała Gina w jakiejś spokojniejszej chwili. Oparłszy się o ścianę domu, obydwie obserwowały, jak Sam układa klocki na siedzeniu traktora.

- Nie mogę narzekać - odparła Jo.

W ten sposób rozmawiały na temat pieniędzy. Gina martwiła się, że Jo cierpi na brak pieniędzy, a Jo zapewniała ją, że ma przecież mnóstwo pracy. Oczywiście Gina wiedziała, że Jo intensywnie pracuje, układając swe zajęcia zgodnie z godzinami pracy żłobka i dostosowując się do opiekunki Sama. Nie miało sensu jednak przypominanie Jo, że znalazłaby się w o wiele lepszej sytuacji finansowej, gdyby Alicja nie położyła łapy na majątku Douga. To był wyjątkowo drażliwy temat, od którego krew wrzała w żyłach Giny. Jo jednak twierdziła, że woli unikać tego tematu.

Po śmierci Douga okazało się, że w jego sprawach finansowych panuje kompletny chaos. W zamieszaniu związanym z kupnem domu i przeprowadzką zaledwie sześć tygodni przed wypadkiem prawnik wspomniał Jo, że radził Dougowi sporządzić nowy testament. W dotychczasowym, spisany przed dziesięciu laty, Doug zostawiał wszystko Alicji. Doug obiecał to zrobić - nawet napisał w domu wstępny szkic, który znaleziono między listami. Jasno wynikało z niego, że to Jo jest spadkobierczynią; nie został jednak podpisany, nie było też świadków, że to oficjalna wola zmarłego.

Jo przypadła więc jedynie zapisana na nią w akcie kupna połowa domu na Lincoln

Street oraz mieszkanie w Londynie.

Alicja zażądała drugiej połowy domu - zapisanej na Douga - i wszystkich oszczędności męża, w wysokości około piętnastu tysięcy, oraz akcji pozostawionych Dougowi przez ojca. Jo ze zdumieniem odkryła, że ich wartość wynosiła niemal czterdzieści tysięcy funtów.

To było mnóstwo pieniędzy, a w każdym razie na tyle dużo, by pobudzić Alicję do działania. Niespełna dwa tygodnie po pogrzebie Jo otrzymała list określający prawa Alicji w świetle starego testamentu. Eks-zona wymierzyła cios, licząc zapewne, że Jo nie zniesie go. Jo jednak, oszołomiona śmiercią Douga, nie przejęła się treścią listu. To Gina postanowiła zająć się tym w jej imieniu i wynajęła firmę adwokacką, która pracowała również dla „Kuriera”.

- To prawdziwe czołgi - wyjaśniła. - Zgniotą Alicję.

Alicja jednak nie zamierzała się poddać. Wygłosiła podniosłą mowę o pierwszeństwie Johna przed jakimkolwiek potomstwem, które Jo urodzi czy też nie urodzi.

To zdanie omal nie doprowadziło Giny do szału.

- Urodzi czy też nie! - wrzasnęła do swojej matki. - Czy ona myśli, że Jo zmyśliła tę ciążę? Liczy na to, że poroni? - Zaciśnęła pięści w geście bezsilnej wściekłości. - Ma taką nadzieję to podłe babsko, załóżę się. Niech ją piekło pochłonie!

Alicja jednak żyła i walczyła o swoje. Starania jej zostały uwieńczone sukcesem. Pod koniec lata łaskawie stała się właścicielką Franklin House i czterdziestu tysięcy w akcjach oraz pieniędzy z kont bankowych Douga. Jo zatrzymała dom przy Lincoln Street.

Gina popatrzyła teraz na przyjaciółkę, która opierała głowę o ścianę, obracając w palcach nóżkę kieliszka. Stała tyłem do trawnika, mrużąc oczy w słońcu i przysłuchując się z nieobecny wyrazem twarzy rozmowie Catherine i Mike'a.

Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk.

Jo upuściła kieliszek. Rozbił się u jej stóp na kamiennej ścieżce, ale nawet tego nie zauważyła. Sam spadł z przyczepy.

- O Boże - wyszeptała zmartwiała Jo. - Sam!

Rzuciła się przez trawę w kierunku dziecka. Leżało z jedną nogą na traktorze, drugą na ziemi. Popatrzył na matkę z wyrazem zdumienia na twarzy; potem zaczął płakać.

Jedna z matek także podbiegła.

- To był moment - powiedziała. - Pilnowałam go przecież.

Ja n i e, pomyślała z głębokim poczuciem winy Jo.

- Uderzył głową o traktor - dodała kobieta.

- Sam! - wołała Jo. Ukłękła obok syna i podniosła go. - Nic się nie stało - wyszeptała.  
- Już dobrze.

Odgarnęła włosy z jego czoła i zobaczyła niewielką ranę nad brwią chłopca. Przeraziła się. Podniosła wzrok i zobaczyła, że u jej boku stoi Eve.

- Zanieś go do domu - poleciła pielęgniarka.

Catherine, Eve, Gina i Mike pośpieszyli za nią. Usiedli na kanapie, a Catherine przyniosła chusteczki aseptyczne. Jo wyciągnęła jedną i przetarła czoło Sama.

Tymczasem Eve dokładnie oglądała chłopca.

- Nie ma chyba złamań - powiedziała.

- To wyglądało groźnie - mruknęła Catherine.

Gina zerknęła na Mike'a, jak gdyby przyszło jej do głowy, że to wszystko przez przyczepę, prezent od nich. Eve spokojnie masowała nogę Sama.

- Nic mu nie jest - powiedziała. - Ale niech poleży przez chwilę, trochę się uspokoi.

Gina przyniosła kubek z sokiem pomarańczowym. Świadom, że wszyscy na niego patrzą, Sam grymasił przez chwilę, aż Jo udała, że odstawia kubek. Wtedy przytrzymał jej rękę i chciwie wypił sok.

- Niech trochę pobędzie w spokoju - powiedziała Eve. - Przez kilka minut. - Popatrzyła znacząco na zgromadzonych w pokoju.

Gina pojęła w lot.

- Zrobię kawę - oznajmiła. Wstała i pociągnęła Mike'a za sobą.

Kiedy drzwi się zamknęły, Jo usiadła z Samem na kolanach. Wiercił się trochę, zarzuciwszy ramiona na głowę. Potem, znudzony bezczynnością, przewrócił się na brzuch i ześliznął na podłogę. Catherine siedziała naprzeciwko dziecka, wpatrując się w nie uważnie. Potem przeniosła wzrok na Jo, która wyczytała w jej oczach poczucie winy. Może uważała, że to ona powinna była uważać na chłopca. Jo jednak ledwie dostrzegalnie potrząsnęła głową. Tymczasem Sam przesunął się do okna, wstał i zaczął wyglądać przez nie.

Uspokojona Jo odwróciła się z uśmiechem do Eve, jednak na widok jej miny spoważniała. - Jo... - odezwała się cicho pielęgniarka. - Od kiedy Sam ma te siniaki?

## 20

Minęły niemal dwa lata od chwili, w której statki opuściły wyspę Beechey. Po tak długim czasie nikt już nawet nie wspominał, że jednostki te uważano niegdyś za chlubę Marynarki Jej Królewskiej Wysokości; Gus już w ogóle nie myślał o nich jako o statkach.

Przestali je uważać za olbrzymy, które wyruszyły z Greenhithe w tysiąc osiemset czterdziestym piątym roku. Nie płynęły jak na wyścigach ani też nie zanurzały się efektownie w bryzach wzburzonej morskiej wody. Takielunek nie pobrzękiwał - zdjęto go czternaście miesięcy wcześniej i nie założono z powrotem. Statki nigdy już nie miały żeglować. Stały się po prostu elementem bezkresnego śnieżnego krajobrazu. *Erebus* i *Terror*.

Gus spytał kiedyś jednego z marynarzy, co właściwie oznacza nazwa *Erebus*. Daly zdziwił się, że chłopiec nie wie, co oznacza nazwa siostrzanego statku *Terrora*. Wydawało mu się, że chodzi o imię jakiegoś boga - rzymskiego lub greckiego. Tak to przynajmniej brzmiało w jego uchu. Słowo *Erebus* pasowało do jakiegoś anioła czy innej istoty, która potrafiła latać. Tak więc nazwa kojarzyła się z lotem. Statek był przecież szybki, a żagle stanowiły coś na kształt skrzydeł.

- Cóż, nazwa pasuje do okoliczności, w jakich się znaleźliśmy - rzekł Daly. - Pasuje jak ulał.

- Czy oznacza coś dobrego? - nalegał Gus.

- Dobrego? - Daly pokręcił głową. - Nie, chłopcze. *Erebus* znaczy ciemność.

Gus pomyślał więc, że połowa załogi skazana jest na terror, a połowa na ciemność.

Nastał marzec tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku. Tego roku Augustus Peterman miał skończyć piętnaście lat. Wyrósł ze swoich ubrań i musiał teraz nosić spodnie, które specjalnie dla niego uszył jeden z marynarzy. Okazały się za długie i za szerokie, przez co uczestnicy wyprawy często dworowali sobie z niego, lecz on nie zwracał na to uwagi. Ścisnął się w talii pasem, a nogawki wpuszczał w buty. Chociaż niedopasowane, spodnie okazały się bardzo ciepłe. Gus odczuwał wdzięczność do marynarza, który je uszył. Martwiła go teraz kurtka, z rękawów której wystawały ręce nieproporcjonalnie długie w stosunku do reszty ciała. W miarę jak rósł, odnosił wrażenie, że ręce stają się tak długie jak u nikogo ze znanych mu osób. Niekiedy z kolei, po zapadnięciu ciemności, w jego umyśle nadal odżywała myśl, że w miejsce własnych rąk ma delikatne dłonie Torringtona. Czasami czuł się monstrualnie wielki - tak ogromny, że bał się, iż nie przecisnie się przez luki i na zawsze utkwi pod pokładem. Takie wrażenie pojawiała się w jego mózgu i znikowało, pojawiała i znikowało, niczym fale uderzające o brzeg. Palce chłopca stawały się szerokie i płaskie, kolana bolały i wyglądały na opuchnięte, stopy rozpląszczały się, przypominając rakiety śnieżne, które zabierał ze sobą na wyprawy poza statek. Niekiedy nie potrafił wyczuć krawędzi przedmiotów - stołów, ołówków, mosiężnego rogu wiszącej lampy, krawędzi talerza. Czasami nie czuł nawet dotykem futra, którym obszyto jego kurtkę. Było to szczególnie przykre, ukradkiem bowiem lubił je gładzić, co sprawiało mu wielką przyjemność.

Na unieruchomionym statku powstały jednak znacznie poważniejsze kłopoty. Słysząc było narzekania, bo niektórzy marynarze zaczęli odczuwać pierwsze objawy szkorbutu - wybroczyny podskórne, krwawiące dziąsła. Większość podchodziła do tych dolegliwości beztrąsko; na skutek choroby kilku marynarzy straciło zęby już podczas poprzednich wypraw. Inni jednak odczuwali duszności, choć na ich ciele nie pojawiła się jeszcze opuchlizna ani siniaki. Zdradzający objawy choroby otrzymywali od lekarza polecenie spożycia pięćdziesięciu gramów soku z cytryny z cukrem, rozpuszczonego w wodzie. Na *Terrorze* Crozier nalegał, aby wszyscy chorzy pili sok w obecności kapitana, który w ten sposób upewniał się, że lekarstwo zostało zażyte.

Kilku uczestników wyprawy cierpiało najbardziej w związku z panującą wokół ciemnością i niską temperaturą. Gus był wstrząśnięty faktem, że perspektywa spędzenia kolejnej zimy wśród lodów wywołała depresję niektórych mężczyzn. Nie potrafił tego zrozumieć. Marynarzy dobrano przecież nadzwyczaj starannie; każdy z nich był przyzwyczajony do długotrwałego braku światła, szumu wiatru i do długich tygodni mroku. Mimo to na przełomie listopada i grudnia tysiąc osiemset czterdziestego szóstego roku dwóch marynarzy zbiegło z *Terrora* podczas sztormu. Nikt nie wiedział, o której godzinie spuścili się po burcie statku i znikli w szalejącej śnieżycy. Gus był przerażony. Ucieczka podczas zamieci oznaczała pewną śmierć, nawet w odległości stu metrów od statku. Temperatura spadła do minus trzydziestu stopni, a zbiegowie nie założyli na siebie niczego ponad to, co mieli na sobie podczas codziennej pracy. Najgorsze jednak było to, że ich ucieczki nie dało się przewidzieć. Żaden z nich nie zdradzał wcześniej buntowniczych zamiarów, nie sprzeciwiał się woli dowódców. Obydwaj byli spokojnymi ludźmi, zaciągnęli się na statek w Woolwich, nie znali się wcześniej i nie dałoby się określić ich mianem przyjaciół. Uznano, że obydwaj ulegli nagłemu atakowi szaleństwa.

- W Ameryce nazywają to gorączką zimową - oznajmił jeden z oficerów. - Kiedy nadchodzi zima, ludzie rzadko opuszczają forty, a wtedy chaty z bali stają się za małą przestrzenią dla uwięzionych w nich mieszkańców.

- „Jestem przytłoczony, zamknięty, osaczony” - mruknął doktor Helpmann, pełniący funkcję kierownika administracyjnego. Nie wyjaśnił jednak, skąd cytowane słowa pochodzą.

- Nigdy nie słyszałem o takiej chorobie - rzekł Wilks.

Podobnie zareagowali Hammond i Aitken, którzy wraz z nim zaokrętowali się w Woolwich.

- To jakaś gorączka umysłu - zdecydował oficer.

Tak było w rzeczywistości. Gorączka umysłu.



Uciekinierów znaleziono dwa dni później. Leżeli obok siebie w odległości niecałego kilometra od statku. Kierowali się w stronę Ziemi Króla Williama. Jeden zamarł zwinięty w kłębek, osłaniając twarz ręką. Drugi leżał na plecach z rękami wzniesionymi w górę i podciągniętymi kolanami.

Obydwaj zeszywnieli na kamień. Ciała marynarzy spuszczone do specjalnie wyciętego, dużego otworu w lodzie i już nigdy o nich nie rozmawiano.

W maju poprzedniego roku sir John zarządził wyprawę na Ziemię Króla Williama. Na dowódców wyznaczył porucznika Gore'a i pana des Voeux z *Erebusa*. Członkowie ekipy mieli pozostawić w zabezpieczonych kopcach wiadomości, lecz głównym ich zadaniem było dotarcie trzydziści kilometrów na południe w poszukiwaniu cieńszych warstw lodu, przez które mogły się przebić statki. Zbliżało się przesilenie letnie, dlatego na niebie widoczne było światło słoneczne. Dowódca wyprawy, porucznik Gore, miał znaleźć drogę do domu.

Do domu.

Wszyscy marynarze wiele oczekiwali po tej wyprawie. Zadaniem Gore'a było odnalezienie choćby niewielkiego kanału. Gdzieś daleko, w bezkresnej monotonii bieli, miał wyszukać pasmo żeglownej wody. Tylko tego wszyscy pragnęli - pasma wody, maleńkiego prądu morskiego, który byłby szansą na ocalenie.

Marzyli o otwartym morzu. Żywili nadzieję, że wydostaną się z pułapki. Uwięzieni, odizolowani od świata, przekonani, że nikt już o nich nie pamięta, za wszelką cenę chcieli się wyrwać z okowów lodu. Śnili na jawie, że lato spełniło ich życzenia. Jeśli nawet słoneczne promienie nie uwolnią statków z zimowej kry, przyniesie lepsze samopoczucie, zapach soli, ciepły wiatr. Da im możliwość jakiegoś działania. Pan Gore miał im przywieźć na saniach szansę na wolność.

Gus często wracał myślami do przeszłości, bo przecież nie byli jedynymi ludźmi na świecie. Gdzieś daleko życie toczyło się dawnym trybem. Istniały miasta, istniały pola, drzewa. Po czarnej ziemi biegły drogi i tory kolejowe, wznosiły się domy kościoły i farmy. Coraz trudniej jednak było mu przypomnieć sobie wygląd stałego lądu. Gusowi zdawało się nieraz, że załogi są rozbitkami, których statki zatonęły. Ogarniał go lęk, że są w ogóle jedynymi żywymi istotami na ziemi. Lęk ten bywał niekiedy rozwiewany przez widok niedźwiedzi, a nawet, choć bardzo rzadko, ludzi. Niewyraźne sylwetki tubylców majaczyły gdzieś daleko na wschodzie; słychać też było szczekanie psów, dobiegające z oddali. Niekiedy marynarze widywali zające lub lisy polarne; kilka z nich udało się złapać. Raz ujrzeni szybujące sokoły, raz też jelenia. Jeden jedyny raz.

Wyprawa wyruszyła w poniedziałek dwudziestego czwartego maja tysiąc osiemset

czterdziestego siódmego roku. W jej skład wchodził: porucznik Gore, pan des Voeux i sześciu innych marynarzy z *Erebusa*.

Gus, obserwując ich wymarsz, czuł złość, że członkowie ekspedycji pochodzą ze statku sir Johna; nikomu z *Terrora* nie dano takiej możliwości. Chciałby również uczestniczyć w wyprawie, towarzyszyć tym starannie dobranym mężczyznom, którzy zabrali ze sobą dwie pary sań załadowanych do pełna prowiantem. Tubylcy mieli do dyspozycji psy pociągowe, lecz na statkach nie trzymano tych zwierząt i żeglarze sami musieli wieźć zapasy żywności.

Sir John wybrał najsilniejszych i najodporniejszych członków załogi. Gus musiał przełknąć gorycz rozczarowania. Miał wprawdzie metr siedemdziesiąt dwa centymetry wzrostu - więcej niż niektórzy marynarze - lecz był za chudy. Zdawał sobie z tego sprawę. Zbyt chudy i słaby, aby długo ciągnąć sanie. Za chudy i za słaby do pokonywania długich dystansów. Mógł tylko bezsilnie zacisnąć pięści i przyglądać się, jak oddalają się towarzysze. Sylwetki mężczyzn zdawały się jeszcze potężniejsze niż zwykle z powodu dodatkowych warstw ubrań - spodni, wełnianych koszul, kurtek i płaszczy. Podróżnicy mieli na nogach buty podkute żabkami oraz rybackie kalosze z impregnowanego płótna.

Płozy sań wypolerowano na gładko, aby stawiały jak najmniejszy opór. Wieziono namioty z perkalu, słupki, śpiwory wykonane z koców, żywność, puszki z paliwem spirytusowym, rum, przybory kuchenne, siekiery, strzelby, proch i kule. Nie zabrakło też puszek Goldnera. Uczestnikom wypraw przyznawano znacznie większe racje żywnościowe niż pozostającym na statkach. Musieli się lepiej odżywiać. Marszruta w tak trudnych warunkach osłabiała organizm, wychładzała go i wyczerpywała siły. Piechurzy musieli nie tylko maszerować, ale także wspinać się na śliskie nierówności, przedzierać przez zwały lodu o wysokości dochodzącej do dziesięciu metrów.

Nie minęło dziesięć minut od opuszczenia przez nich pokładu, a załoga *Terrora* ujrzała, jak ich koledzy z trudem pokonują pierwsze wzniesienie. Obserwatorom wydawało się, że ta wspinaczka trwa bez końca. Śmiałkowie znikli po drugiej stronie białego wzniesienia dopiero po przeszło godzinie.

- Nie zrobią więcej niż trzy kilometry dziennie - mówili pozostali na statkach. - Jeśli będą mieli szczęście...

Gus policzył na palcach, że to oznacza, iż nie będzie ich przez dwadzieścia dni. Może nawet trzydzieści, czyli cały miesiąc.

A niebawem już zacznie się czerwiec; z pewnością pojawią się oznaki pęknięcia lodu. Wróci Gore, może oznajmi, że dalej na południe jest większa szczelina w lodzie. Może tylko

półtora kilometra od miejsca, w którym się teraz znajdowali? Może trzy. Przy odrobinie szczęścia może uda im się przedrzeć przez zwały lodu.

To był stały motyw rozmyślań Gusa. Co za ironia losu, że tkwili tu w lodowych okowach, podczas gdy kilka kilometrów dalej jest być może woda!

Crozier, rozmawiając pewnego wieczoru z załogą, uśmiechnął się, gdy po raz kolejny usłyszał pytanie o miejsce, gdzie lód ustępuje.

- Żaden człowiek nie zna na to odpowiedzi - odpowiedział pogodnie. - Ale wiecie jedno, chłopcy: dotąd nie słyszano tu o lodzie. Nigdy go tu nie było, tak przynajmniej utrzymują tubylcy.

- Nie widzieliśmy żadnych tubylców - odezwał się jeden z ludzi. - Nie sądzi pan, że to dziwne, kapitanie?

Crozier pokiwał głową.

- To jest dziwne tylko z pozoru - odparł. - Jeśli bowiem nie da się tu łowić ryb, bo lód za gruby, nie ma także fok, które odżywiają się rybami. Tubylcy więc nie mają tu czego szukać.

- Ale słyszeliśmy, jak przeprawiali się przez cieśninę. Słyszeliśmy szczekanie psów.

- Owszem - zgodził się Crozier. - I to powinno nas pocieszyć. Musieli kierować się na tereny łowieckie, do których można dojść. Chodzi zapewne o tereny, do których my jeszcze nie dotarliśmy w naszych wyprawach na północ i południe - dodał, mając na myśli pośpieszne ekspedycje przeprowadzane ze statków w zeszłym roku, zakończone niepowodzeniem. - Ale to kwestia czasu.

- Dlaczego jednak nie przyszli do nas tak, jak przychodzą do statków wielorybnych? - zapytał inny mężczyzna.

Crozier potrząsnął głową.

- Nie przywykli do widoku statków w tych okolicach - odparł.

- Myślą, że to martwe statki - mruknął inny, tak cicho, że Crozier nie usłyszał. - Nie ośmielą się przyjść, bo się boją.

Zapadła cisza.

Wszyscy zastanawiali się nad siłą życiową Eskimosów. Jakim cudem umieli przetrwać w takim miejscu? Wydawali się mieszkańcami innej cywilizacji. Gdy ktokolwiek z załogi schodził ze statku, wysiłek związany z wędrówką wyczerpywał go doszczętnie, zwał do słownie z nóg. Wiatr przewiewał do szpiku kości, a śnieg oślepił. Nawet w słońcu mróz rozrywał niemal płuca przy oddechu. Rozstawianie obozowiska wydawało się pracą ponad ludzkie możliwości. Jak więc Eskimosi dawali sobie radę? Jak żyli ci myśliwi przyodziani w

skóry i futra, ci ludzie o tatuowanych twarzach? Jak mogli przetrwać, skoro Anglicy, znani z odwagi i umiejętności przystosowania się do trudnych warunków, nie byli w stanie tego dokonać?

Po uwadze rzuconej przez jednego z marynarzy Gus zastanawiał się często, co pomyśleli Eskimosi na widok tkwiących wśród lodu statków. Dlaczego nie zbliżyli się? Z pewnością musieli wiedzieć, że skoro są tu statki, to muszą być i ludzie. Zwijając się w kłębek w swoim płóciennym śpiworze pomyślał, że może Eskimosi nie uwierzyli własnym oczom. Jeżeli jego kusiło, by myśleć o Eskimosach jak o duchach, to może oni z kolei uważali załogi za upiory, które przybyły, żeby ich prześladować?

Starał się unikać takich myśli, skupiając uwagę na wyprawie porucznika Gore'a. Wyobrażał go sobie na lodowych przestrzeniach i mimo woli poganiał go w myślach do szybszego marszu.

Ósmego czerwca z *Erebusa* nadeszła wiadomość, że Franklin źle się czuje. Załogi niezbyt się tym przejęły, gdyż od ataku, który nastąpił, gdy tylko utknęli w cieśninie, Franklin rzadko wychodził na pokład. Pojawiał się niemal tylko na mszach, okutany w swoje wielkie futro, w asyście stewardów i oficerów. Nie był to już ten sam człowiek co półtora roku wcześniej. Gus odniósł wrażenie, że dowódca jakoś się skurczył. Jego jedna ręka czasem drżała mocno.

Stewardowie dbali o jego wygody jak najlepsze pokojówki. Nigdy przy tym nie narzekali. Podawali dowódcy czterodaniowe posiłki dwa razy dziennie; rozkładali obrusy i czyścili sztućce, podsuwali mu gorącą wodę i mydło, zajmowali się jego ubraniami i ogrzewali kajutę.

Kiedy zachorował, wszyscy myśleli, że to zwykłe przeziębienie. Gdyby jednak ktoś z załogi wiedział, co dzieje się naprawdę w kajucie Franklina, odczułby poważny niepokój.

Siódmego czerwca kapitan jak zwykle zjadł kolację: zupę, marynaty, mięso z warzywami, rodzynki i odrobinę sera. Oczywiście, mięso było bardzo słone, a ziemniaki mdłe, warzywa zgrzytały w zębach - niektórzy oficerowie uważali, że nie zostały dokładnie umyte przed zakonserwowaniem - ser zaś twardy i bez smaku, niemniej jednak był to pełnowartościowy posiłek. Franklin zjadł wszystko, wypił szklankę szkockiego piwa i położył się do łóżka.

Wczesnym rankiem wezwał lekarzy. Powiedział Stephenowi Stanleyowi i Harry'emu Goodsrowi, że ma skurcze, więc zalecili mu krople dereniowe. Pół godziny później napił się brandy i dolegliwości ustały. Jednakże wieczorem nie jadł kolacji. Uskarżał się Stanleyowi, że nie ma czucia po jednej stronie twarzy. Dostał opium, które miało ułatwić zaśnięcie, po

czym zjadł trochę zupy Goldnera i tapioki z puszki.

Panika wybuchła około trzeciej nad ranem. Najpierw z *Terrora* wezwano na *Erebusa* Croziera, porucznika Little'a, porucznika Hodgsona i Johna Peddiego. Zapalono pochodnie, by ułatwić im przebycie lodowej powierzchni. Na niebie migotały opalizujące zielono srebrzyste smugi świetlne.

O czwartej posłano po pana Macdonalda i Johna Diggle'a, kucharza. Diggle szedł na *Erebusa* z twarzą bielszą od śniegu, nie rozumiejąc celu tego wezwania. Na spotkanie wyszło mu na *Erebusie* kilku zdenerwowanych mężczyzn.

Mówiono, że pan Stanley przepisał choremu kalomel, krople z lobelii, sól Seignette'a oraz peruwiańskie wino z koki, którą niektórzy nazywali kokainą. Nic jednak nie odniosło skutku.

O piątej nad ranem sir John wyprężył się na koi, z ręką przyciśniętą do klatki piersiowej. I tak zmarł, bez jęków, bez słowa skargi. Wszystko rozegrało się w ciągu kilku sekund. Jego steward Edmund Hoar padł na kolana i zaczął szlochać, więc trzeba go było wyprowadzić.

Powstało spore zamieszanie. Żaden wyższy rangą oficer nie zmarł jeszcze podczas arktycznej wyprawy. Nikt się nie spodziewał śmierci dowódcy, tym bardziej że życie oficerów bardzo różniło się od życia pozostałych członków załogi - nie byli, jak ci ostatni, narażeni na silne zmiany temperatury ani nie musieli spożywać tego co zwykli członkowie załóg. Choć, oczywiście, oficer mógł zachorować, nie był narażony na infekcje czy też taki wysiłek jak jego ludzie. Śmierć Torringtona i innych, mimo że stanowiła niewątpliwy kłopot, nie była żadnym szokiem. Dla oficerów Torringtonowie tego świata, choć uznawani za dobrych i uczciwych ludzi, byli po prostu trybikami w maszynie. Pochodzili z zupełnie innego świata, żyli na własny sposób, nie przejmując się przestrzeganiem higieny; niektórzy z nich nie wiedzieli nawet, jak to jest zażywać kąpiel. Czasami trzeba było nowych marynarzy uczyć golenia się i obcinania paznokci. Pochodzili z miast, w których fale tyfusu i cholery zmiatały z powierzchni ziemi tysiące ludzi, i gdzie nieczystości stale płynęły rynsztokami; żyli stłoczeni w cuchnących klitkach, które w żaden sposób nie zasługiwały na miano mieszkań. Tam też zazwyczaj umierali.

Fakt, że statki straciły dotąd tylko trzech ludzi z powodu choroby, świadczył o tym, że zarówno *Erebusa* jak i *Terrora* utrzymywano w czystości i dbano o regularne odżywianie marynarzy. Nawet w ciasnych, zadymionych i przesyconych wonią smoły kajutach większość członków załogi miała o wiele lepsze warunki niż na lądzie.

Jednakże z oficerami sprawa przedstawiała się odmiennie. Ci ludzie wyrosli na ogół w

komforcie, z dala od środowiska, z którego wywodzili się szeregowi marynarze. Podobnie było zresztą na statkach. Tylko nieliczni członkowie załogi mieli wstęp do kajut oficerskich. Oficerów widywali tylko na pokładzie albo na mostku. To, że Augustus rozmawiał niekiedy z oficerami - z Macdonaldem czy Crozierem - poczytywano za wielki zaszczyt, który zresztą nie był mile widziany ani przez oficerów, ani marynarzy.

Gdy Franklin zmarł, na statkach zamarło życie. Nikt nie wiedział, gdzie złożyć ciało. Było jasne tylko, że nie można go umieścić pod pokładem, jak niegdyś zwłok Braine'a. Dobrałyby się do niego szczury. Lekarze, nie znając przyczyny śmierci dowódcy, obawiali się zostawić zwłoki w kajucie. W końcu postanowiono pochować sir Johna jeszcze tego samego dnia.

Oficerowie czuli się zobowiązani do poznania przyczyny śmierci Franklina, ponieważ wiadomo już było, że nie umarł on śmiercią naturalną.

Gdy zebrali się w mesie *Erebusa*, której ściany pokrywały szafki z książkami, rozpoczęła się dyskusja.

- To nie puszk! - powtarzał porucznik Fairholme. - Konserwy Goldnera jadamy od wielu miesięcy i wciąż żyjemy.

- To musi być coś w puszkach - odparł cicho Crozier.

- Wyciągnęliśmy dwie skrzynie na Beechey - zauważył Fitzjames. - Ale oprócz kilku zup, które zgniły, reszta wydawała się w porządku. Zmarnowaliśmy niepotrzebnie cały zapas, wyrzucając, zgodnie z pańską sugestią, zawartość tych konserw.

- Z puszkami jest coś nie tak - powtórzył z uporem Crozier.

- Ale co?!

Crozier siedział ze spuszczoną głową, wpatrując się w swoje stopy. Był boleśnie świadom obecności ciała Franklina, przygotowanego do pochówku, tuż za cienkim przepierzeniem.

- Sir John zmarł zapewne na niewydolność serca - ciągnął Fitzjames. Popatrzył na Stephena Stanleya.

Stanley, starszy chirurg na *Erebusie*, był londyńczykiem z urodzenia i wychowania. Znał wszystkie choroby trapiące mieszkańców tego wielkiego miasta. Uczył się w Królewskiej Szkole Chirurgów, gdzie otrzymał dyplom w tysiąc osiemset trzydziestym ósmym roku. Wiele widział, zarówno w prymitywnych szpitalach miejskich, jak i na statkach. W czasie wojny chińskiej służył na *HMS Cornwallis*. Specjalizował się w rzadkich przypadkach uszkodzenia kręgosłupa, związanych z przemieszczeniem piątego i szóstego kręgu.

Nigdy jednak nie miał do czynienia z przypadkami przypominającymi śmierć sir Johna, choć objawy, jakie widział u niego, z czymś mu się kojarzyły.

- Sir John zmarł na niewydolność serca - zgodził się powoli. - Ze względu na zator, który pojawił się przy ataku w zeszłym roku...

- Ale..? - spytał Crozier, słysząc wahanie w głosie mówiącego.

- Ale skurcze jelit, które wystąpiły wcześniej - ciągnął Stanley - i paraliż...

- To objawy botulizmu - dokończył Goodsir.

Być może nikt nie zwróciłby uwagi na te słowa, gdyby Stanley nie pokiwał twierdząco głową.

- Botulizm? A cóż to takiego? - zdumiał się Crozier.

- Zatrucie. Nie znamy jego przyczyny - odparł Stanley. - Trucizna działa jednak szybko, a pochodzi podobno z konserwowanego mięsa.

Przez chwilę myśli zebranych poszybowały do kambuza. Do garnków i naczyń, noży, talerzy, choć wzrok mieli utkwiony w kieliszkach porto stojących na stole.

- Nikt nie wie, jak temu zapobiec - dodał Stanley.

- Ale przecież żywność jest gotowana - zauważył Fitzjames.

Crozier pochylił się ku mężczyznom.

- Co sir John jadł ostatnio? - zapytał.

Sprowadzono oficera kucharza, Richarda Walla, który do tej pory siedział w ponurej zadumie na korytarzu, świadom, że zdaniem Stanleya jedzenie jest winne śmierci dowódcy. Wyszeptał te swoje obawy Johnowi Diggle z *Terrora*. Kiedy go zawołano, miał wrażenie, że zaraz stanie przed obliczem surowych sędziów.

- Wszystko starannie myłem - oświadczył w odpowiedzi na pytanie. - Moje piece są czyste, naczynia również. Może je pan obejrzeć, kapitanie. Proszę je obejrzeć. Nie ma mowy o brudzie.

- Co sir John jadł przedwczoraj na kolację? - pytał Crozier.

- Oficerowie jedli pieczeń wołową.

- Z puszek?

- Tak, kapitanie, ale sir John jadł wieprzowinę.

Crozier zerknął na Fitzjamesa.

- Jadł inne mięso niż wszyscy pozostali? - spytał.

- Tak, panie kapitanie. Wolał wieprzowinę.

- To prawda - wtrącił Fitzjames. - Przypominam sobie.

- Czy wieprzowina była gotowana tak samo jak wołowina? - dociekał Crozier.

- Tak, panie kapitanie...

Crozier zmarszczył brwi.

- Ale...?

Oblicze Walla przybrało kolor purpurowy.

- Włożyłem wieprzowinę na samym końcu - wyznał. - Ale też się gotowała.

- Tak samo długo?

- Tak, panie kapitanie.

- W porządku, Wall - powiedział Crozier.

Kucharz był wolny. Opuścił mesę.

Crozier wyciągnął się na krześle i przetarł oczy ręką.

- Jak pan uważa, panie Stanley - zaczął - czy ta choroba może kryć się w puszkach z wieprzowiną? Może to coś, co wprowadzono przy puszkowaniu mięsa. Może wszystkie puszki, które mamy, są niebezpieczne dla życia?

Stanley nie chciał wdawać się w zwadę z wysokim rangą oficerem.

- Nie wiem, panie kapitanie - powiedział w końcu. - Jeśli mam być szczery, nie wiem.

- Jadaliśmy już przecież wieprzowinę - zauważył Goodsir.

- Owszem - zgodził się Crozier. - Jadaliśmy.

Nagle poderwał się z miejsca.

Wszyscy patrzyli na tego Irlandczyka, który zdobył własną pracą swą pozycję, który nie miał tak dobrego pochodzenia jak Fitzjames, lecz teraz przewodził im wszystkim. Gdy został zastępcą kapitana, nikt nie uwierzyłby, że zajdzie tak wysoko. Fitzjames uważał jednak, że Crozier źle sobie radzi ze spoczywającą na nim od niedawna odpowiedzialnością. Miał zaczerwienione oczy, szlochał - Fitzjames widział, jak kapitan płacze przy łożu Franklina. Fitzjames nie pochwalał takiego zachowania, ale nie komentował tego. Po prostu oderwał wzrok od twarzy Croziera.

- Nikt nie może jeść wieprzowiny, dopóki wszystkie puszki nie zostaną przebadane. Sprawdzimy, czy nie przeciekają, czy mięso nie jest zepsute - oznajmił Crozier. - Będziemy jedli tylko wołowinę.

Owinął się szczelniej płaszczem. Oficerowie zaczęli opuszczać mesę.

Crozier przyglądał się, jak odchodzą; gdy został sam, podszedł do szafek. Nie mógł się pozbyć pewnej myśli, myśli tak strasznej, że mówienie o niej - jak to już zrobił na Beechey, w rozmowie z sir Johnem - wzbudziłoby jeszcze większą panikę. Nie mógł jednak pozbyć się wrażenia, że z puszkami jest coś nie w porządku. Kiedy patrzył na swą załogę, zwłaszcza na chłopców takich jak Augustus Peterman, widział, że wyglądają znacznie gorzej,



niż należałoby oczekiwać. Uwzględniając nawet ciężkie warunki, mróz, zmniejszenie racji żywnościowych i szkorbut, coś było bardzo nie w porządku. Marynarze byli bladzi, nieustannie zirytowani, zbyt łatwo się męczyli.

Najbardziej prześladowała go jednak świadomość, że kiedy któryś z marynarzy był chory, jak na przykład Torrington, otrzymywał oficerskie racje z puszek Goldnera. Jedząc pożywniejsze posiłki, chory powinien odzyskiwać zdrowie, przynajmniej czasowo. Tak się jednak nie działo.

Zauważył też coś innego. Ludzie tacy jak on sam, którzy nie przepadali za mięsem, woleli marynowane ryby i warzywa czy choćby kandyzowane owoce, wydawali się w o wiele lepszej kondycji fizycznej i psychicznej od swoich kolegów. Ludzie, którzy - przygryzł wargę i uśmiechnął się drwiąco - lubili wypić, jak i on, również wydawali się zdrowsi. Zastanawiał się, dlaczego tak jest. To nie miało sensu. Jeśli chodzi o coś, co znajduje się w puszkach, coś poza tym przekłętym botulizmem, to czy nie dałoby się odczuć do tego czasu? Dwukrotnie sprawdzili puszki na Beechey. Teraz znów będą je sprawdzali, w poszukiwaniu dziur czy śladów zepsucia. Ugotują porządnie tę żywność. Ale jeśli to coś innego...?

Zmarszczył brwi, głęboko zatroskany. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że czyha na nich niewidzialny wróg, który jest coraz bliżej. Nie miał jednak pojęcia, co to takiego.

Jego palec powędrował wzdłuż rzędu książek. *Wikary z Wakefield. Sonety Szekspira. Faerie Queene* Spensera. Tennyson i Wordsworth. Przez cały dzień myślał o Sophii. *Gnane wiatrem dobrym*. Co go opętało? To nie był ładny wiersz; był pełen rozpacz. Crozier zaś nie czuł rozpacz tego ranka, gdy to pisał. Czuł to samo, co i wcześniej... Żal z powodu utraty tej kobiety i konsternację, że Franklin tak bardzo uzależniony był od konwencji. Nie miał jednak zranionego serca... A jeśli nawet, to serce zdążyło się już zagoić.

Może jednak dobrze, że napisał te słowa? Jeśli puszka zostanie wyłowiona i trafi do lady Jane Franklin, a jej siostrzenica przeczyta ten wers, wtedy się domyśli. Domyśli się, że miał na myśli ją. Użył już kiedyś tych słów w rozmowie z nią - wtedy gdy odrzuciła jego oświadczenia.

- Cóż - powiedział wtedy - Gnane wiatrem dobrym do przystani łódzie biegną, Sophio. Będę samotnym żeglarzem.

Popatrzyła na niego ze smutkiem.

Może za bardzo nalegał? Zmusił ją w ten sposób do stanowczej reakcji. Gdyby poczekał, choćby jeszcze rok, być może przyjąłaby go, wbrew stanowisku Franklina i jego żony?

Nie powinien był pisać tego wersu! Będzie się na niego gniewała, gdy powróci do

Anglii. Gdy trzymał jeszcze w ręce tomik wierszy Tennysona, pogrążony we wspomnieniach, rozległo się pukanie do drzwi. Zaskoczony, odwrócił się w tamtym kierunku. Wszedł Stanley.

- O co chodzi? - spytał Crozier.

Stanley zamknął za sobą drzwi.

- Myślałem o poruczniku Gore - powiedział.

- Gore? - powtórzył Crozier. - A cóż z nim?

Oblicze Stanleya było ponure.

- Jakie puszki Goldnera porucznik zabrał ze sobą? - spytał.

\*

Dwudziestego drugiego czerwca Gore i jego ludzie wrócili. Załoga widziała ich idących przez lód, a Crozier wyszedł im na spotkanie.

Gore dotarł ze swymi ludźmi do wybrzeża Ziemi Króla Williama, sześć kilometrów od statków. Zajęło mu to cztery dni. Dwudziestego ósmego maja sporządzoną na statku notatkę włożył do pojemnika, a następnie zalutował go i ukrył w kamiennym kopcu. W notatce napisał:

*...po spędzeniu zimy 1846-47 na wyspie Beechey, 74°43'28" szerokości geograficznej północnej, 91°39'15" długości geograficznej zachodniej, po przebyciu Kanału Wellingtona do 77° szerokości geograficznej i powrocie od zachodniej strony Wyspy Cornwallisa.*

*Ekspedycją dowodził sir John Franklin.*

*Wszyscy zdrowi.*

*Grupa złożona z dwóch oficerów i sześciu ludzi opuściła statki 24 maja 1847 roku.*

*G. Gore, porucznik,*

*Chase. F. desVoeux. Oficer pokładowy.*

Nikt nie zauważył, że pomyłono datę pobytu na Beechey. Po zostawieniu notatki w kopcu, Gore przeszedł dziewiętnaście kilometrów na południe i dotarł do południowej strony zatoki Back, gdzie wznosił kolejny kopiec, i pozostawił duplikat wiadomości. On i jego ludzie ujrzeli, że Cieśnina Wiktorii rzeczywiście rozciąga się na zachód, jak utrzymywał Franklin, i że jeśli lód się rozpuści, powstanie szeroki tor dla statków.

Jedenastego czerwca, w dniu śmierci Franklina, spełniwszy swe zadanie, postanowili wracać, żeby uczcić sukces, ugotowali sobie posiłek, wykorzystując w tym celu konserwy Goldnera.

Porucznik Gore zmarł trzy dni później, czternastego czerwca.

Kiedy Crozier wyszedł powracającym na spotkanie, ujrzął, że ci, którzy przeżyli, ciągną na saniach ciało Gore'a i dwóch innych marynarzy.

Był wczesny wtorkowy poranek, kiedy Jo rozmawiała z lekarzem. Przyszła tu dzień wcześniej, głównie ze względu na Eve, która nalegała, by Samowi zbadano krew.

- To na pewno nic poważnego - powiedziała Eve. - Po prostu na wszelki wypadek powinnaś go poddać badaniu.

Przez cały ubiegły wieczór, gdy Jo myła syna i kładła go spać, powtarzała sobie te słowa, mimo że późnym popołudniem recepcjonistka poinformowała ją telefonicznie, że ma przyjść za piętnaście dziewięta następnego ranka. Eve się nie przejmuje... - to była ostatnia myśl Jo przed zapadnięciem w sen.

- Czy są już wyniki badania krwi? - zapytała recepcjonistkę przez telefon. - Dlatego mam przyjść?

Rozległ się szelest papierów.

- Chyba tak - brzmiała odpowiedź.

- Jak wypadły?

- Lekarz chciałby o tym z panią porozmawiać.

Teraz wjechała na parking, omal nie zderzając się z innym pojazdem, który się wycofywał. Kierowca był oburzony, ale ona ledwie dostrzegła jego minę. Za nią cicho popłakiwał Sam. Zdążył już zrzucić swoje zabawki - trzymane w torbie za siedzeniem kierowcy - na podłogę samochodu.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała.

Wysiadła z auta, podniosła Listonosza Pata i podała go synkowi, po czym rozpięła pasy jego fotelika. Oparła chłopca na swym biodrze.

- Bądź grzeczny - wyszeptwała. - Pokaż doktorowi Jowettowi, że jesteś grzecznym chłopczykiem.

Już na nią czekali. Zerknąwszy przez ramię na oczekujących pacjentów, zrozumiała, że lekarz wyznaczył jej spotkanie przed rozpoczęciem przyjęć. Uporczywy skurcz w żołądku pogłębił się.

Doktor Jowett wstał, gdy Jo weszła do gabinetu, i wyszedł zza biurka.

- Witaj, Sam - powiedział.

Dziecko ukryło twarz w ramieniu matki.

- Jest w kiepskim nastroju - wyjaśniła. - Nie chciałam wysiąść z samochodu na jednokierunkowej drodze, żeby podnieść Listonosza Pata z podłogi.

Jowett uśmiechnął się i wskazał krzesło po drugiej stronie biurka. Jo usiadła z Samem na kolanach.

- Jak on się rozwija? - spytał doktor.

- Dobrze - odparła Jo.

To była automatyczna odpowiedź, obrona. Sama nie wiedziała, przed czym się broni. Zmitygowała się.

- Przeszedł tylko rozmaite choroby wieku dziecięcego - uzupełniła poprzednią swą wypowiedź.

Jowett zerknął do swoich notatek.

- Dwa miesiące temu mieliśmy przeziębienie - przypomniał. - Oraz kłopoty z uchem.

- Zwykle choroby wieku dziecięcego - powtórzyła. - Była zima. Mnóstwo dzieci ma uporczywe nawroty jakichś infekcji.

- Tak - zgodził się. - No i te afty...

- Już dawno żadnej nie miał. To było wtedy, kiedy odstawiłam go od piersi. Po prostu alergia.

- Zorientowała się pani, na co jest uczulony?

- Na produkty mleczne - odparła. - Niektóre jogurty, desery...

- Rozumiem - mruknął.

- Trochę też wymiotował.

- Rozumiem - powtórzył.

Jo wpatrywała się w twarz lekarza. Nagle zauważyła żyłę pulsującą na jego szyi. Boi się, pomyślała. Boi się mi powiedzieć!

- O co chodzi? - zapytała.

Lekarz spojrział na nią.

- Jo - powiedział. - Obawiam się, że Sam jest chory.

W tej chwili mogła myśleć jedynie o tym, że miała rację.

Jowett się boi. Właśnie to powiedział.

- Czy chodzi o to badanie krwi? - spytała.

- Tak.

- Co wykazało?

Lekarz przełożył kartki na biurku, zanim zdobył się na odpowiedź.

- Ma zbyt małą liczbę płytek krwi, a także czerwonych ciałek - wyjaśnił.

Przycisnęła synka do siebie. Nie spodobało mu się to, odwrócił ku niej buzię z gniewnym grymasem.

- Co to znaczy? - zapytała.

- Cóż, wiele chorób powoduje zmniejszenie liczby czerwonych ciałek we krwi. To oznaka, że organizm z czymś walczy, może z jakąś infekcją wirusową...

- Na przykład z przeziębieniem?

- To może być infekcja wirusowa - ciągnął, jak gdyby Jo w ogóle się nie odezwała. - Może zaburzenia systemu odpornościowego czy skutek podanych wcześniej leków, ale to nic pewnego. Kiedy mamy do czynienia z poważną chorobą, nasze ciało próbuje z nią walczyć, produkując odpowiedni rodzaj krwi. Krew Sama tego nie robi. Stara się, próbuje, ale nic z tego nie wychodzi.

- I to spowodowało siniaki? - zapytała.

- Być może.

- Ale... - zawahała się. - Czy to nie objaw zapalenia opon mózgowych? Te siniaki, które nie znikają? To się chyba nazywa posocznica, prawda?

- Nie takie siniaki - odparł Jowett.

Jo roześmiała się nerwowo.

- A ile jest rodzajów siniaków?! - prychnęła. - Siniak to siniak.

- Musimy zrobić pełne badanie krwi, rozmaz i ewentualnie coś, co nazywa się analizą chromosomową.

- I to wszystko z powodu siniaka...?

Nagle zdała sobie sprawę ze znaczenia słów lekarza.

- Upadł na swój traktor - wyszeptała, jak gdyby na tym polegała istota sprawy.

- Musi pani zawieźć chłopca do szpitala - rzekł Jowett. - Umówiłem panią na dzisiejszy ranek.

- Teraz? - spytała.

- Tak. Natychmiast.

- Muszę jechać prosto do szpitala?

- Proszę iść od razu na oddział hematologii. - Już wypełniał formularz.

- Chwileczkę - odezwała się.

Lekarz popatrzył na nią.

- Przepraszam. To pilne - powiedział.

Wręczył jej kartkę papieru, na której zapisał ulicę i numer bramy, w którą powinna wjechać, by trafić na wskazany oddział.

- Proszę nie zawracać sobie głowy głównym parkingiem - dodał. - Niech pani zawiezie Sama prosto pod wejście i zaparkuje po lewej stronie. Tam jest sześć miejsc dla

samochodów.

Popatrzyła na kartkę, a potem znów na lekarza.

- Prosto pod wejście - powtórzyła.

- Tak.

Wstała, oszołomiona. Zbliżała się już do drzwi, gdy Sam zaczął się jej wrywać. Postawiła go na podłodze i odwróciła się w kierunku Jowetta. Dopiero teraz dotarło coś do niej.

- Mała liczba krwinek - powiedziała. - Tak się dzieje w wypadku białaczki.

Jowett podszedł. Położył rękę na jej ramieniu.

- To tylko przypuszczenie, niekoniecznie trafne - zastrzegł.

Poczuła, że ziemia usuwa się jej spod nóg.

- Nie jest przecież ciężko chory - powiedziała. - Nic mu nie jest!

- To dobrze. Udowodnimy to zaraz.

Popatrzyła na Sama. Przestał ją ciągnąć, spoglądał niepewnie to na matkę, to na lekarza.

- Da pani radę prowadzić samochód? - spytał doktor.

- Tak... Tak.

- Niech któraś z dziewcząt zrobi pani herbaty. Proszę przez chwilę odpocząć przed jazdą.

Otworzyła drzwi.

- Powiem coś panu, doktorze Jowett - odezwała się. Miała wrażenie, że ten głos nie należy do niej, był piskliwy, agresywny. - Mój syn nie ma białaczki!

Złapała Sama i wyszła z gabinetu.

\*

Podjechawszy pod szpital, nie wyłączała silnika, wpatrując się w budynek przed sobą. Obawiała się, że jeśli przekroczy jego próg, uruchomi łańcuch przerażających zdarzeń, coś, nad czym nigdy już nie zapanuje. A jeśli nie wejdzie...? Jeśli po prostu ucieknie, to wszystko się nie wydarzy. Czowała, że brakuje jej tchu, a ręce same zacisnęły się na kierownicy. Powtarzała sobie, że to, co czeka na nią za szpitalnym murem, może się nigdy nie wydarzyć, jeśli tam nie wejdzie. Mogła zatrzymać nieuchronne. Będzie sobie po prostu żyła z Samem. Zabierze go w jakieś bezpieczne, ciepłe miejsce. Na Seszele, na Mauritius, na Grenadę. Wyobraziła go sobie na złotej plaży, przesypującego piasek przez palce, uśmiechającego się. Ostatnim razem, gdy byli na plaży, Jo zrobiła ośmiornicę z piasku. Bardzo mu się to podobało. Zrobi to znowu, zabierze go gdzieś daleko od tego okropnego szpitala.

Cokolwiek ma we krwi - cokolwiek tam jest, do cholery! - zawsze będzie takie samo. Nigdy to coś się nie rozwinie. Nie zrobi im krzywdy. Uciekną tam, gdzie zło ich nie dosięgnie.

Przycisnęła dłonie do skroni. Kasetę z wierszykami, którą puściła Samowi, wyłączyła się z trzaskiem. Rozejrzała się i zobaczyła, że chłopiec zapadł w sen.

Zmęczenie. Siniaki.

Nie, to niemożliwe! Nie białaczka. Otrzymali już swoją porcję nieszczęść. Koszmar już minął. Nie mogło ich spotkać nic gorszego. Jo straciła ukochanego mężczyznę, Sam stracił ojca, którego znał wyłącznie z fotografii. Najgorsze już ich spotkało. Ostatnio zaczęła myśleć, że udało się im wyjść na prostą, a zatem białaczka nie mogła im grozić. Niech dotknie kogoś innego, kogoś, kto jeszcze nie zaznał nieszczęścia. Ona na to nie zasłużyła. Sam również. Przede wszystkim Sam!

- O, Boże... - wyszeptała.

Zwalczyła nieprzepartą chęć ucieczki i irracjonalność własnych myśli. Gdyby tylko był tu Doug, pomyślała.

Czasem zapominała o jego śmierci. Zapominała, że on nie żyje. Przypuszczała, że to mechanizm obronny, podświadoma ucieczka od rzeczywistości. Przeczytała coś w gazecie i odwracała się, żeby powiedzieć o tym Dougowi. Czasem na dźwięk telefonu podrywała się, kiedy uświadamiała sobie nagle, że to nie Doug dzwoni.

Teraz jednak nie mogła zapomnieć o jego śmierci. Musiała iść z dzieckiem do szpitala i musiała zrobić to sama.

Zaparkowała za nią ciężarówka dostawcza. Wysiadł z niej kierowca i zastukał w szybę.

- Jeśli się stąd nie ruszysz, skarbie - mruknął - odholują cię.

Jo odkręciła szybę.

- Słucham?

- A przynajmniej dostaniesz mandat. Stoisz na podwójnej żółtej linii. Ostrzegam cię.

- Och... - zamrugwała powiekami. - Dziękuję. Dziękuję.

Kiwnął głową. Odchodząc, odwrócił się i zmarszczył brwi.

Jo zerknęła do lusterka i zobaczyła swoją kredowobiałą twarz.

Automatycznie włączyła pierwszy bieg i zasygnalizowała, że skręca w prawo.

Czerwcowy wieczór ciągnął się w nieskończoność. Mimo że ulice pograżyły się w mroku - latarnie dopiero się zapalały - niebo było jasnoturkusowe. Kiedy Jo oparła głowę o szpitalne okno i wyjrzała na zewnątrz, zobaczyła na ulicach ludzi trzymających się pod rękę, rozmawiających, przechodzących pod drzewami. Zastanawiała się, czy ten straszny dzień wreszcie się skończy. Zdawał się trwać bez końca.

Gdy tylko pojawiła się z Samem na oddziale, chłopiec został podłączony do kroplówki. Zrobiono mu też transfuzję krwi. Siostra oddziałowa tłumaczyła jej, czemu to konieczne. Jo słyszała słowa, ale nie rozumiała ich. Trzymała synka za rękę i uspokajała go, mówiąc, co tylko jej przyszło do głowy. Serce biło jej tak mocno, aż zrobiło się jej niedobrze. Nie patrzyła na wiszący nad dzieckiem worek z krwią. Nie patrzyła tam, gdzie była wkłuta igła. Bawiła się z nim w „idzie rak, nieborak”, ale musiała przestać, gdyż Sam za bardzo się kręcił. Opowiedziała mu o słoniku Dumbo, namalowanym na ścianie, i o wronach, które nie wierzyły, że potrafią latać. Pielęgniarki przyniosły jej herbatę, ale Jo jej nie tknęła. Sam płakał, drapał się w rękę w miejscu, gdzie tkwiła igła i rzucał głową z boku na bok.

W którymś momencie Jo przypomniała sobie o Ginie i Catherine, ale kiedy wyciągnęła telefon komórkowy, ktoś z personelu poinformował ją, że nie może z niego korzystać w szpitalu. Przynieśli jej zwykły aparat, ale po podniesieniu słuchawki zawahała się. Co, na Boga, ma im powiedzieć? Gina miałyby znowu przyjechać? Wyjechała zaledwie trzydzieści sześć godzin wcześniej. Była zapracowana. Jo przypomniała sobie też, że podczas pisania pracy magisterskiej Catherine zazwyczaj wyłączała swoją komórkę. Zresztą po co miałyby dzwonić do jednej bądź drugiej? Nie mogły w niczym pomóc. Niepotrzebnie zaraziłaby je swoim przerażeniem. Odłożyła słuchawkę.

Podano Samowi środek uspokajający, po którym szybko zasnął z grymasem na buzi.

- Pan Elliott spotka się z panią po południu - oznajmiła oddziałowa około pierwszej.

- Kto to jest pan Elliott? - zapytała Jo.

- To znakomity specjalista - powiedziała kobieta i poklepała ją po ramieniu. - Bardzo dobrze radzi sobie z dziećmi.

Mam nadzieję, że równie dobrze radzi sobie z rodzicami, pomyślała Jo. Chciałaby potrząsnąć tym człowiekiem. Chciała walić w coś pięściami. Chciała powiedzieć: „To pomyłka, wziął mnie pan za kogoś innego”.

Założono kartę Sama. Spisali jego datę urodzenia, poród, choroby, jakie przeszedł, jego wzrost, wagę. Pobrali więcej krwi. Jo patrzyła, jak napełniają się fiolki. Pomyślała, że tym właśnie są ludzie: konstrukcją zbudowaną z krwi, kości, tkanek itd.

Ta myśl nie dawała jej spokoju. Po południu Jo była wyczerpana wsłuchiwaniami się



w wytwory własnego umysłu, który grał jakby w coś w rodzaju dziwnego tenisa; myśli przelatwały w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Widziała poranek, tuż przed wyprawą do szpitala: Sam na swoim nowym, dużym krześle, sięgający niezręcznie po płatki, dopiero co się tego nauczył, ona pisze listę zakupów - Boże! To było zaledwie rano - planuje, co kupią po wyjściu od lekarza. I teraz, mimo nie nazwanych koszmarów, wciąż pamięta o tym, że trzeba kupić sok pomarańczowy i pampersy. Myśl, że Sam nie umie jeszcze korzystać z ubikacji, że leży tu w pieluszcze, wydawała się jej najbardziej oburzająca. Jak takie małe dziecko mogło zostać podłączone do kroplówki? To przecież idiotyzm! Ponury żart. Zacisnęła powieki, pragnąc powstrzymać łzy. Chłopiec nie mógł zobaczyć, że matka płacze. Przejechała palcami po gęstych, suchych włosach śpiącego syna.

Lekarz pojawił się o piątej. Podeszedł do łóżka, na którym Sam zjadał lody.

- Cześć, Sam - powiedział mężczyzna. - Smakuje ci?

Sam niepewnie wpatrywał się w nieznajomego, z łyżeczką znieruchomiałą w połowie drogi do ust. Mężczyzna uśmiechnął się i wyciągnął rękę do Jo.

- Nazywam się Bill Elliott - powiedział.

- Jo Harper.

- Pielęgniarka posiedzi chwilę z Samem, a ja chciałbym porozmawiać z panią.

Jo popatrzyła na syna.

- Nie możemy rozmawiać tutaj?

- To nie potrwa długo. - Odwrócił się i wskazał jej drogę do pokoju po drugiej stronie korytarza.

Jo pochyliła się i pocałowała Sama w czoło.

- Wracam za minutkę - powiedziała.

- Zostawimy otwarte drzwi - poinformował ją Elliott. - Postawimy pani krzesło przy samym wejściu, tak by synek panią widział.

Pokój z oknem wychodzącym na zachód, na drzewa rosnące wzdłuż ulicy, był skąpany w różowym świetle. Jo zerknęła na biurko Elliotta i dostrzegła zdjęcie w ramce, przedstawiające go z żoną i trójką dzieci: dwiema dziewczynkami i chłopcem mniej więcej w wieku Sama. Przez całą rozmowę wciąż spoglądała na tę fotografię.

- Mamy już wyniki niektórych badań - oznajmił Elliott.

Jo milczała. Ciężko jej było oddychać, a cóż dopiero mówić.

Elliott nie zaglądał do swoich notatek ani do żadnych dokumentów leżących na biurku. Pochylił się ku niej, oparł łokcie na kolanach i złożył dłonie.

- Czy orientuje się pani, co się dzieje z Samem? - zapytał.

- Proszę mi powiedzieć - odezwała się. - Proszę.

Ile razy już to robiłeś? - zastanawiała się. Ktoś na ulicy coś wykrzyknął i wybuchnął śmiechem.

- To kwestia krwi - powiedział Elliott. - Spróbuję to pani wyjaśnić. - Popatrzył na swoje połączone dłonie. - Krew wytwarzana jest w szpiku kostnym. Organizm kontroluje jego przyrost. - Zerknął na nią. - To ciężka praca. W każdej sekundzie powstają jakieś trzy miliony czerwonych ciałek krwi i sto dwadzieścia tysięcy białych.

- Rozumiem - mruknęła. Nieświadomie także splotła palce.

- W ciele człowieka istnieje kilka rodzajów ciałek krwi - ciągnął Elliott. - Limfocyty T odpowiadają za odporność organizmu, niszcząc wirusy. Limfocyty B wytwarzają antyciała. Granulocyty, głównie leukocyty, zwalczają infekcje i zabijają bakterie. - Uśmiechnął się. - Zbyt skomplikowane?

- Nie, nie - odparła. - Proszę mówić dalej.

Elliott skinął głową.

- Są jeszcze monocyty - podjął. - Również zajmują się produkcją antyciał. Czerwone ciała krwi przenoszą tlen, płytki krwi zapobiegają tworzeniu się skrzepów i krwawieniom.

- Tak - powiedziała. Docierała do niej jednak tylko część tych informacji. Wciąż głowę zajęta miała rozmyślaniami o tym, że cokolwiek znaczą te słowa, mają związek z siniakami Sama.

- Wszystkie te struktury żyją przez różny czas - ciągnął Elliott. - Czerwone ciała krwi żyją jakieś cztery miesiące po opuszczeniu szpiku, leukocyty - kilka godzin, płytki krwi - kilka dni. Ponieważ białe ciała i płytki krwi obumierają tak szybko, nie można uzupełnić ich za pomocą transfuzji.

Oderwała od niego wzrok i znów popatrzyła na rodzinne zdjęcie. Zaczerpnęła powietrza.

- Czy Sam ma białaczkę? - zapytała.

- Nie - odparł Elliott. - Nie sądzę.

Wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym odetchnęła głęboko. Do tego momentu nawet nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech.

- Dzięki Bogu - powiedziała. - Dzięki Bogu!

Ukryła twarz w dłoniach. Poczowała rękę Elliotta na kolanie. Odjęła dłonie od twarzy i ujrzała, że on podaje jej chusteczkę. Przetarła oczy.

- Nie ma pan pojęcia, co to za ulga! Przez cały dzisiejszy dzień myślałam już... Bardzo dziękuję.

- Myślę, że Sam ma niedokrwistość aplastyczną - mówił dalej Elliott.

Jo wytarła nos, zupełnie już spokojna.

- Niedokrwistość - powtórzyła. - Zwykłą niedokrwistość. To chyba dobrze? Może pan to wyleczyć, prawda?

Przez twarz Billa Elliotta przemknął skurcz, Jo zamilkła, po czym przycisnęła chusteczkę do ust. Jej ręka zaraz jednak bezwładnie opadła na kolana.

- Może pan to wyleczyć, prawda? - powtórzyła nalegająco.

- Pani Harper...

- Jo! - przerwała.

- Jo. Posłuchaj, porozmawiamy jutro, może pojutrze. Niektóre badania trzeba przeprowadzić kilka razy. Musimy się upewnić.

- Ale wiesz już, że Sam nie ma białaczki - przypomniała.

Potańczał czoło dłonią.

- To był długi dzień - powiedział. - O wiele dłuższy dla ciebie niż dla mnie, a wierzę mi, że i dla mnie trwał długo. Tak więc... - podniósł się z krzesła. - Oboje powinniśmy iść do domu i trochę odpocząć. Musisz tu być jutro z samego rana.

Jo nie ruszyła się z miejsca.

- Niedokrwistość aplastyczna - powtórzyła.

- Może zbyt pośpieszyłem się z tą informacją - powiedział. - Musimy przeprowadzić dodatkowe badania.

- Co to jest niedokrwistość aplastyczna? - zażądała wyjaśnienia. - Czy to coś groźnego? Skąd wiesz, że Sam na to cierpi?

Spojrzał na nią uważnie i pojął, że Jo nie da się zbyć strzępami informacji.

- Kiedy widzi się niedokrwistość aplastyczną na rozmazie krwi, nie przypomina niczego innego - powiedział.

- I dlatego powiedziałaś...

- Chcę mieć stuprocentową pewność, Jo.

W końcu podniosła się z krzesła. Słyszała, że drży jej głos, gdy próbowała coś powiedzieć. Przełknęła ślinę i zaczęła od początku:

- Przypuścimy, to tylko hipoteza, prawda? - zaczęła. - W tej chwili... Dzisiaj...

- No tak.

- Jasne. A więc przypuścimy, że to niedokrwistość aplastyczna. Opowiedz mi o tym. To nie jest zwykła anemia, tak? Nie to, co myślałam. Nic prostego.

- Nie...

- Mógłbyś udzielić mi odpowiedzi? - Z całych sił usiłowała na niego nie krzyżeć. -  
Na litość boską!

Popatrzył na nią.

- Usiądź - polecił.

Usiadła. Poszedł w jej ślady, przesuwając krzesło tak, że stało teraz naprzeciwko niej.  
Mój Boże, teraz się dowiem, pomyślała. Co to jest? Co to jest, do cholery?

- Niedokrwistość aplastyczna to poważna choroba, równie poważna jak białaczka,  
choroba zagrażająca życiu. Jeśli... Jeśli ta diagnoza jest prawidłowa w przypadku Sama -  
zastrzegł.

Jo wzięła długi, głęboki oddech i zmięła chusteczkę w kulkę. Jej serce znowu  
łomotało w piersi, ale wolniej i mocniej, każde uderzenie było ciosem, za każdym razem  
przeszywał ją ból.

- Bardzo mi przykro - powiedział Elliott. Wstał i podszedł do drzwi pokoju.

Jo podniosła wzrok i zobaczyła Sama siedzącego z nogami zwieszonymi po jednej  
stronie łóżka. Wykręcał rękę pluszowego misia. Pielęgniarka owijała bandażem rękę misia.

- Moglibyśmy napić się herbaty? - Jo usłyszała głos Elliotta.

- Oczywiście - odpowiedział ktoś.

Elliott znowu usiadł.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

- Nie - wymamrotała. - Niedokrwistość aplastyczna. Nigdy o tym nie słyszałam.

- Bo to rzadka choroba. W Wielkiej Brytanii występuje sto, sto dwadzieścia  
przypadków rocznie; liczba zachorowań wciąż jednak wzrasta. Większość ludzi zapadających  
na to ma od piętnastu do dwudziestu czterech lat albo powyżej sześćdziesiątki.

Jo jęknęła.

- Więc Sama to nie dotyczy - powiedziała. - Ma tylko dwa lata!

- Obawiam się, że niektóre dzieci rodzą się z tym - odparł łagodnie.

- Obawiasz się! - warknęła, i natychmiast tego pożałowała. - Przepraszam. Tego ranka  
lekarz rodzinny też powtarzał, że się obawia.

- Przykro mi - powiedział Elliott. - To taki zwrot. Zdaję sobie sprawę, że nasza obawa  
jest niczym w porównaniu z twoim lękiem. Mam nadzieję, że nigdy nie będziemy musieli  
przeżywać takiego lęku.

Weszła pielęgniarka, niosąc tacę z herbatą. Postawiła ją na biurku i wyszła, a przy  
okazji otworzyła szerzej drzwi, żeby Jo dobrze widziała Sama.

- Szpik ludzi z niedokrwistością aplastyczną nie produkuje prawidłowych krwinek -

ciągnął Elliott. - Kiedy przyjrzymy się pod mikroskopem szpikowi kostnemu, zobaczymy, że zamiast nich jest dużo komórek tłuszczowych.

- Skąd ta choroba się bierze? - zapytała. - Czy można się nią zarazić?

- Nie. To nie jest zaraźliwe. Być może jednak Sam ma jakieś kłopoty z układem odpornościowym. Czasem to idzie w parze.

- Czy mógł na to zapaść w życiu płodowym?

- Nie.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Kiedy byłam w trzecim miesiącu, zginął jego ojciec - wyszeptała. - Czy szok mógł mu zaszkodzić? Zrobić mu krzywdę jeszcze przed narodzeniem?

- Nie da się wykluczyć, ale to mało prawdopodobne. Nie myśl w ten sposób. To nie twoja wina.

- To się musiało skądś wziąć!

Elliott rozłożył ręce.

- Możemy tylko zgadywać - powiedział. - Podejrzewamy promieniowanie albo benzen, zapalenie wątroby czy antybiotyki.

- Antybiotyki? - powtórzyła. - Sam dostawał antybiotyki.

- Po prostu nie wiemy. To nie musi być przyczyną. Choroba zaczyna się nagle. Pacjent staje się zmęczony i blade, ciężko oddycha, łatwo się siniaczy. Siniaki Sama są zresztą charakterystyczne. Powoduje je za mała liczba płytek krwi.

Przyłożyła ręce do twarzy.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Widzę, że jest zmęczony. Widzę, że ma siniaki. Ale przecież biega. Bawi się.

Elliott skinął głową.

- Wiem. Jednakże rozmaz krwi jest czytelny. Widać niedokrwistość aplastyczną. Nie przypomina to niczego innego. W połączeniu z innymi badaniami wszystko wskazuje na klasyczną niedokrwistość aplastyczną.

- Ale sprawdźcie to - powiedziała Jo. - Zróbcie coś jeszcze?

- Oczywiście - odparł. - To właśnie próbowałem ci wyjaśnić. Słuchaj, przykro mi, że ta rozmowa zaszła tak daleko. To moja wina. Niepotrzebnie cię wprowadzam w szczegóły.

- Sama cię o to prosiłam - przypomniała. - Nalegałam.

Pogładził jej dłoń.

- Zrobimy biopsję - powiedział. - Rano Sam dostanie krótko działający środek przeciwzapalny. Pobierzemy odrobinę szpiku z jego biodra.

Jo zadrżała.

- Dobra wiadomość jest taka, że dziesięć lat temu siedemdziesiąt procent ludzi z tą chorobą umierało - dodał Elliott. - Teraz tyle samo żyje. Cały czas dowiadujemy się czegoś nowego. Nowe protokoły stosowania leków...

- To właśnie zrobicie z Samem? Dacie mu lekarstwa?

- Zaczniemy od terapii immunosupresyjnej - oznajmił Elliott. - Sam dostanie ALG - globulinę antylimfocytową. To wyeliminuje limfocyty T. I cyklofosforynę. To powstrzyma te limfocyty.

- Czy to one wyrządzają szkody?

- Limfocyty T atakują szpik kostny. Organizm zwraca się przeciwko sobie. Spróbujemy to powstrzymać.

Jo zerknęła na Sama. Rozpaczliwie usiłowała zrozumieć, dlaczego atakuje go jego własna krew.

- A jeśli się nie uda? - zapytała. - Co można zrobić jeszcze?

- Zrobimy wszystko, żeby kuracja się powiodła - zapewnił Elliott. - Od czasu do czasu szpik się regeneruje i zaczyna funkcjonować prawidłowo. Temu właśnie ma służyć leczenie. Będziemy co tydzień pobierali krew, żeby sprawdzić, jak organizm Sama sobie radzi. Podamy mu krew i płytki krwi. Zawsze staramy się być dobrej myśli.

- Ale jeśli się nie uda? - powtórzyła Jo. Oderwała wzrok od dziecka i popatrzyła Elliottowi prosto w oczy.

- Bądź dobrej myśli - poprosił.

- Proszę, powiedz, co może stać się najgorszego - wyszeptała.

## 23

W sierpniu rozbili obóz na przylądku Felix, na Ziemi Króla Williama, sześć i pół kilometra od *Terroru*. Na rozkaz kapitana Croziera ekipa wysłana na brzeg pracowicie ustawiała namioty, zastawiała pułapki na zwierzynę, przeprowadzała badania magnetyczne, wyrąbywała przeręble, które wkrótce zamarzały, chyba że sześciu mężczyzn nieustannie oczyszczało je z lodu i przykrywało płótnem.

Gus błagał, żeby mu pozwolono uczestniczyć w tych zajęciach, mimo że czuł się osłabiony po upuszczeniu mu krwi niespełna przed tygodniem. Marynarze utrzymywali, że ten zabieg dobrze mu robi, ale nie był przekonany, czy mieli rację. Nienawidził widoku gęstego, lepkiego płynu wypływającego z jego ręki: miał wówczas wzmożoną świadomość

swej śmiertelności; czuł, że może w każdej chwili umrzeć, stanowiąc zbiór kości i tej czerwonej krwi, która powoli skapywała do miski.

Nie spał dwie noce po zabiegu. Czuł, że coś mu odebrano i że kiedy tylko zamknie oczy, przestanie istnieć. W końcu zasnął i został zanieiony do szpitala pokładowego. Wtedy już śnił. Śnił o rybach wyskakujących spod lodu wprost do jego łóżka, o rękach owiniętych bandażem, o własnej krwi płynącej w strumieniu i płynących w niej rybach, krztuszących się i zdychających. Śnił także o innych rybach, pływających w rzekach angielskich. Widział we śnie drewniane skrzynie pełne morskich ryb na nabrzeżach; widział sięgające kostek trzewia wielorybów na pokładzie łodzi wuja. Nie były to przyjemne sny.

Załoga, która wyruszyła na brzeg, wyszła tego ranka z namiotów i przeszła prawie dwa kilometry śladami renifera. Gus bardzo pragnął pobiec za mężczyznami, którzy nieśli strzelby; chciał, by pozwolono mu wziąć udział w polowaniu, nauczył się strzelać na Beechey. Pozwolono mu na tę wyprawę. Okutani w ciężkie płaszcze i futra marynarze nie zaszli daleko, gdyż pojawiła się mgła, zasłaniająca wszystko wokół.

- Co za diabelska pogoda! - powiedział jeden z nich. - Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Gdzie jest lato?!

Zawrócili, ale mgła wciąż gęstniała. Idący z tyłu Gus zgubił się. Słyszał głosy mężczyzn przed sobą - kilka razy zawrócili po niego - ale upadł. Zanim się podniósł, sylwetki kolegów zniknęły mu z oczu. Przez chwilę ich głosy zdawały się dochodzić ze wszystkich kierunków; chłopiec wpadał w ślady swoich towarzyszy. Powierzchnia ziemi lekko się wznosiła: rumowisko skalne i popękane łupki ilaste przeświecały spod śniegu. Gus miotał się chwilę, zanim poszedł po rozum do głowy i wykopał dziurę w niewielkim zagłębieniu w śniegu, po czym najstaranniej jak potrafił otoczył ją niewielkim nasypem. Zasnął szybko. Myśląc, że się obudził, poczuł, że czyjeś ręce wcisnęły mu coś w dłoń. Popatrzył przez mgłę i zdawało mu się, że dojrzał twarz - ładną, kobiecą. Mimo tatuaży biegnących od kącików ust do kącików oczu, była śliczna. Ale kiedy spojrzał jeszcze raz, już na jawie, ujrzał tylko kilka suchych opalizujących łusek na rękawicach.

Znaleźli go w południe.

- Augustusie! - wykrzyknął męski głos.

Chłopiec zmrużył oczy, wpatrując się w odległy blask na horyzoncie. Jeszcze kilka minut wcześniej spał głęboko i śnił, że wokół panuje piękna polarna noc, letnia noc, podczas której nie zapada zmierzch; brzeg był gruby od lodu, pod nim chlupotała woda. Pomarańczowe słońce odbijało się w długich smugach od niebieskiego lodu. Na horyzoncie pojawiła się złocista linia, zbyt jasna, by na nią patrzeć. Gus wyobrażał sobie, że tak właśnie

jest, kiedy dotrze się do nieba; widzi się złotą nić, przecinającą horyzont. Teraz jednak, gdy otworzył oczy, ujrzał rzedniejącą mgłę oraz bezkresną szarość przed sobą.

- Tutaj! Tutaj!

W jego kierunku szło czterech ludzi. Zmrużył oczy, żeby zobaczyć ich twarze. Pierwszy kroczył John Handford, jeden z najlepszych marynarzy na statkach. Osunął się na kolana i zaczął otrząpywać ze śniegu twarz Gusa.

- Gdzieś ty się podział, chłopcze? - krzyknął. - Masz odmrożenia.

Gus nie mógł odpowiedzieć zgrabiałymi wargami. Z szarości wyłoniła się druga twarz.

- To on?

- Tak.

- Podnieś go. Zmuś, żeby szedł.

Gus popatrzył na Irvinga, jednego z poruczników. Postawili go na nogi, ale nie był w stanie ich zgiąć.

- Zanieś go - polecił Irving.

Handford zarzucił sobie Gusa na plecy.

- Tu są ślady - odezwał się porucznik wpatrujący się w ziemię.

- Zwierzęce - stwierdził Handford.

- Nie zwierzęce - powiedział trzeci mężczyzna, który do nich dołączył, dysząc ciężko; wyglądał, jakby mu było niedobrze. - To ludzki ślad, ale nie buta.

Irving ujął Gusa pod brodę i spojrzał mu w oczy.

- Kto tu był? - zapytał. - Peterman, był tu ktoś?

- Dziewczyna - wydyszał Gus.

\*

Na przylądku Felix znajdowało się dwunastu oficerów i czterdziestu marynarzy, zarówno z *Terrora*, jak i *Erebusa*. Ustawili trzy namioty. Drągów cumowniczych użyto w charakterze wsporników w namiotach, niedźwiedzie skóry i koce wyściełały wnętrza. Obok każdego z namiotów płonęły ogniska. Tutaj gotowali i smażyli. Mieli miedziany garnek, zrobiony na pokładzie statku, a do ognisk używali drewna z obu jednostek.

Crozier zarządził, że obozowisko na przylądku ma być samowystarczalne i zabronił używania konserw. Organizował wyprawy wędkarskie, najsilniejszych marynarzy zabierał w głąb lądu, gdzie polowali na lisy i gdzie znaleźli nawet pardwę. Niektórzy mężczyźni uskarżali się na monotonną dietę, złożoną z niemal surowych ryb, gdyż oszczędzali opał. Crozier jednak nie ustąpił.



- Tak będzie lepiej - oświadczył. - Indianie też jedzą surowe mięso i nie znają nawet szkorbutu. Obozując tutaj, będziemy żyli jak oni. Przekonamy się, jak to jest.

Nie podobały im się te słowa. Większość nie chciała żyć jak Indianie czy Eskimosi. Przecież są Anglikami, nie żadnymi dzikusami! W Anglii mówiono, że ci, którzy przybywszy na Arktykę, prowadzili życie takie jak tubylcy, tracili po powrocie swą pozycję społeczną, ponieważ uważano, że człowiek, który egzystuje na poziomie dzikusów niegodny jest miana człowieka cywilizowanego.

Wpajano im od dzieciństwa, że biali chrześcijanie mają obowiązek nawracać pogańskie plemiona na swoją wiarę, dzielić się z nimi wiedzą i osiągnięciami. Życie na tubylczą modłę oznaczało zaś zgodę na dominację zwyczajów miejscowych. A to było przyznaniem się do słabości. Nie mogli jednak odmówić wykonania rozkazu dowódcy. Jego ciągle pouczenia irytowały ich jednak ponad miarę.

- Eskimosi, których niektórzy nazywają Inuitami, nie zawracają sobie głowy rozpalaniem ognia - mówił, gdy marynarze próbowali podgrzać na ledwie tłących się ogniskach herbatę. - Podczas swoich podróży kupiłem torby z foczej skóry; oni skóry wyprawiają, a mięso jedzą na surowo. Jadają również na surowo dziczyznę, łososie i pazury morsa. Nie przejmują się nawet tym, że mięso nam wydawałoby się zepsute.

- Boże Święty - mruknął Handford.

- Rozkoszują się smakiem surowej wątroby karibu pociętej na cząstki i zmieszanej z zawartością żołądka tego zwierzęcia - ciągnął niestrudzenie Crozier.

Zebrawali się wokół niewielkiego ognia, rozpalonego z oszczepu, z którego odpiłowano grot.

- To żaden wstyd żyć jak Indianie - powtarzał kapitan. - To nowe doświadczenie. Zobaczymy, jak damy sobie radę.

Nie przekonał ich. Tęsknili za bulionem; nienawidzili porostów i twardych zielonych łądyg, które wygrzebali spod śniegu. Uznali, że czeka ich tylko cierpienie i nieuchronna śmierć. Z pewnością Crozier oszalał, mówili. Jaki sens mają idiotyczne doświadczenia w tym jałowym miejscu, gdzie nie istniały nawet pory roku.

A jednak dieta wpłynęła na nich korzystnie. Stan tych, którzy cierpieli na szkorbut, poprawił się; marynarzy nie bolały już dźwiska, nie chwiały im się zęby; zniknęły też wrzody.

- Musisz jeść ryby - powtarzał Crozier Gusowi. - Nawet wnętrzności, skrzela i łby. Musisz jeść to wszystko, Gus.

Gus wypluwał jednak ości. Nie mógł ich strawić.

Crozier uważnie obserwował chłopca i krył przed nim najgorsze swe obawy. Indianie

znad Coppermine uważali za największy przysmak wszy i zmuszali żony do czyszczenia ubrań szytych ze skór karibu i wynajdywania tych smakołyków. Następnie brali je w dłonie i uroczyście zjadali. Crozier często o tym myślał i zastanawiał się, czy nie powinni pójść za przykładem tego plemienia. W końcu na statkach było więcej wszy niż szczurów. Skoro Indianie mogli jeść te żyjątka, to mogą i marynarze.

Kiedy inni spali, Crozier myślał o wyżywieniu załóg. Uważał za swój obowiązek przewidywanie wszystkiego, co niewyobrażalne. Miał nadzieję, że któryś z jego pomysłów może uratować im życie, zatriumfować nad otaczającą jałowością. Wspominał Indian znad Coppermine, którzy wyprawiając skóry zwierząt, mieszali ich mózgi ze szpikiem kostnym, po czym smarowali tą miksturą skóry. Ogrzewali je następnie lampami olejowymi, po czym wieszali w dymie na wiele dni. Kiedyś nosił nawet takie skóry. Czując ich miękkość, rozmyślał nad tym, że wszystko, czego używają ci ludzie, pochodzi od zwierząt, żyjących na powierzchni ziemi lub w głębi wód. Żadna fabryka nie musiała zaspokajać ich potrzeb. Żadne dziecko nie musiało pracować po czternaście godzin na dobę. Wokół ich siedzib nie płynęły żadne nieczystości. Niczego nie wyrzucali. Mieli niewygórowane potrzeby. Brali z przyrody tylko tyle, ile potrzebowali. Nic się więc nie marnowało. W porównaniu z Europejczykami byli czyści, zaradni i długowieczni.

Takie myśli wydawały się Crozierowi nie do przyjęcia przez prostych marynarzy, a zatem zachowywał je dla siebie.

\*

O pierwszej Gus został doprowadzony do obozowiska. Marynarze rozpalili ognisko, posadzili go przed nim i obracali, żeby ogrzać go ze wszystkich stron, a następnie owinęli go skórą niedźwiedzia.

Nadszedł Crozier.

- Cóż, Augustusie, czyżbyś się chciał udać na własną ekspedycję? - zapytał żartobliwie.

- Upadłem - powiedział Gus. - Przepraszam, panie kapitanie. Przewróciłem się i zasnąłem.

Crozier skinął głową.

- Kiedy czujesz się wyczerpany, musisz walczyć z chęcią zaśnięcia - powiedział. - Masz szczęście, że uszedłeś z tego z życiem.

- Widziałem tam kobietę - odezwał się Gus. - Miała wytatuowaną twarz.

- Jaki to był tatuaż?

- W linii, takie, jakie powstają przy uśmiechu.

Crozier zerknął na zgromadzonych wokół mężczyzn.

- Widziałeś ją naprawdę czy tylko we śnie?

- Nie wiem, panie kapitanie.

- Coś mówiła?

- Nie, panie kapitanie. Myślałem, że dała mi coś do jedzenia.

Crozier przykucnął i popatrzył na twarz Gusa.

- Schowaj twarz w futro. - Dotknął czoła i policzka chłopca. - Czujesz moją rękę?

Gus skinął głową.

- Ma zwykłą temperaturę? - spytał kapitan.

- Tak, panie kapitanie.

Crozier wpatrywał się w chłopca z napięciem.

- Czy ta kobieta była wysoka, Gus? - zapytał.

- Nie bardzo.

- Eskimoska?

- Tak, panie kapitanie.

- Jak te, które widywałeś wcześniej?

- Tak, panie kapitanie.

Crozier wstał, przez chwilę spoglądał na chłopca, po czym odszedł.

Tego ranka wzniesli kopiec. Znajdował się na małym wzgórzu, zdaniem Croziera najwyższym punkcie na przestrzeni wielu kilometrów. Przez dłuższy czas dźwigali kamienie z całej okolicy. Przyniesienie tych największych, tworzących podstawę kopca, sprawiło im spore trudności. Crozier usiadł, żeby napisać dokument, który zamierzał ukryć w kopcu. Nie miał ze sobą papieru Admiralicji, więc wyrwał kartkę ze swojego notesu.

*Statki Jej Królewskiej Mości „Erebus” i „Terror”, 25 czerwca 1847 roku.*

*Załoga złożona z dwunastu oficerów i czterdziestu marynarzy 26 czerwca rozpoczyna stąd wędrówkę na południe, kontynuując wyprawę porucznika Gore'a.*

*Sir John Franklin zmarł 11 czerwca 1847 roku, a porucznik G. Gore 14 czerwca 1847 roku.*

*Całkowite straty to dwóch oficerów i siedmiu marynarzy. Statki ugrzęzły w nietypowo grubym lodzie na 70 stopniu 5 minucie szerokości geograficznej północnej i 98 stopniu 23 minucie długości geograficznej zachodniej.*

Kopiec miał półtora metra wysokości. Na szczycie położyli dwie puszkę, w których Crozier umieścił wiadomość. Wszystko przysypali kamieniami. Kiedy skończyli pracę, wyprostowali się i popatrzyli na swe dzieło.

- Wytrzyma? - spytał jeden z marynarzy.

- Wiele lat - odparł Crozier. Owinął się szczelniej płaszczem. - Widziałem miejsca, gdzie wgłębienia uczynione przez sanki Perry'ego są wciąż widoczne. Kości, które znajdujecie na brzegu, fok czy niedźwiedzi, mogą tu leżeć od wieków. - Zaryzykował uśmiech. - Nic i tego nie ruszy.

Odwrócili się i zeszli ze wzgórze. Dopiero kiedy zbliżyli się do namiotów, zobaczyli Eskimosów.

Crozier usłyszał podniesione głosy, zanim jeszcze pokonał niewielkie wzniesienie między kopcem a obozowiskiem. Widział Augustusa, który wciąż siedział przy ognisku, przykryty skórą, a jego drobna twarz zwrócona była w stronę zbliżającej się grupy. Jeden z marynarzy wypadł z namiotu ze strzelbą w ręce.

- Stój! - krzyknął Crozier.

Zbiegli ze wzgórze, czy też może raczej próbowali zbiec. Cisza w obozowisku była przejmująca. Crozier poczuł nagle niezwykłą świadomość setek, tysięcy kilometrów rozciągających się we wszystkich kierunkach, i tej małej grupy Anglików uwięzionych wśród tych lodowych przestrzeni, obolałych, zmarzniętych i chorych, z ich ukrytymi zapasami odartych ze skóry lisów i oskubanych ptaków. Grupa tubylców, która się do nich zbliżyła, była natomiast dobrze odżywiona i dobrze ubrana. Oraz zaciekawiona.

Do Croziera podeszli trzej mężczyźni. Zatrzymali się kilka metrów od niego. Za ich plecami widniały zaprzęgi psów, a w nich kobiety i dzieci. Crozier popatrzył na twarze mężczyzn. Spod futrzanych kapturów wystawały im krótkie, ciemne włosy, z pojedynczymi pasmami zwisającymi po obu stronach twarzy.

Crozier przypomniał sobie kilka słów.

- *Kammik-toomee*. Jesteśmy przyjaciółmi.

Eskimosi uśmiechnęli się i podeszli bliżej, mówiąc jeden przez drugiego. Kilku marynarzy, stojących za kapitanem podniosło broń wycelowaną w przybyszy.

- Nie strzelać! - rzekł rozkazująco Crozier.

Jeden z Eskimosów wystąpił o krok i brązowym palcem postukał w pierś Croziera, uśmiechając się od ucha do ucha. Odwrócił się i zawołał coś do swych pobratymców. Mężczyźni, kobiety i dzieci - wszyscy ruszyli przed siebie.

- Panie Irving, proszę przynieść z namiotu skrzynię. Niedużą drewnianą skrzynię z żelaznym zamkiem - polecił Crozier.

Eskimoskie dzieci otoczyły Gusa. Ciągnęły za otulające go futro i chichotały.

- Nie bój się, Gus - powiedział Crozier. - Nie krzycz ani nie wykonuj gwałtownych

ruchów.

Jedna z kobiet przeszła po prawej stronie Croziera i zniknęła w najbliższym namiocie. Dwóch członków załogi ruszyło za nią. Jakies piętnaście sekund później wyłoniła się, niosąc ze sobą kapciuchy na tytoń i nieco drewna przeznaczonego na opał.

- Obserwujcie ich - polecił Crozier. - Stańcie u wejścia do namiotów. Nie wpuszczajcie ich do środka, ale nie dotykajcie kobiet.

Otworzył pudło, które mu przyniesiono. Inuici zajrzeli do niego z zaciekawieniem.

- Igły i noże - powiedział Crozier. Pokazał im igły na rozłożonej dłoni.

Mężczyźni zignorowali igły. Dotknęli za to ostrza noża.

Dłoń Irvinga zawisła nad spustem strzelby.

- Proszę nie strzelać - ostrzegł Crozier.

- Panie kapitanie - odparł Irving. - Zastrzelę każdego, kto podniesie na pana rękę z nożem.

- Nic mi nie grozi - stwierdził Crozier. - Proszę czekać. Cierpliwości.

Gus siedział nieruchomo, mając wrażenie ścierpiętych nóg. To było okropne, gdy budziły się do życia. Powinien się poruszyć, by ułatwić ruch krwi, ale się nie ośmielił. Przenosił wzrok z ciemnych, zahartowanych twarzy Inuitów na oblicze Croziera, jasne i nieco zaczerwienione, świadczące o celtyckim pochodzeniu tego człowieka. Oczy kapitana były zmęczone i przekrwione. Przyglądając się zebranym, Gus po raz pierwszy zauważył, jak źle wyglądają Europejczycy w porównaniu z tymi tubylcami, których skóra wydawała się jakby natłuszczona. Białka ich oczu były olśniewająco czyste i białe, podczas gdy marynarze mieli przekrwione oczy. Nagle poczuł się bardzo słaby.

Rozpakowano paczkę przyniesioną z eskimoskich sań. Mężczyźni stojący za Crozierem cofnęli się od niej, ale Crozier nawet nie drgnął.

- Tłuszcz wielorybi i mięso foki - powiedział w końcu. - Mrożony łosoś również.

Mężczyźni popchnęli przyjaźnie Croziera. Nagle zaczęli gadać jak rozgorączkowani. Wszyscy się śmiali i pokazywali na psy.

- Nie mamy psów - rzekł Crozier.

Dzieci biegały dookoła sań, wyciągając zapasy i przewracając je. Jeden z marynarzy złapał dziecko i podniósł do góry. To był cztero- czy pięcioletni chłopiec. Pisał radośnie, gdy został odwrócony do góry nogami i zawisł nad śniegiem.

- Oni się w ogóle nie boją - zauważył ze zdziwieniem Irving.

- A czegoż mieliby się bać? - spytał Crozier. - Dla nich pańska strzelba to jedynie patyk. Nie mają pojęcia, dlaczego stoi pan tu, zaciskając na nim dłonie. Nigdy nie widzieli

broni.

Irving zerknął na niego. Ciężko mu było oderwać wzrok od sań, z których mężczyźni wyładowywali jakieś pakunki.

- To nie tak, panie kapitanie - zaprotestował. - Na Grenlandii tubylcy posługują się bronią.

- Nie jesteśmy na Grenlandii - odparł Crozier. - Tu mieszkają inne plemiona. Ci ludzie prawdopodobnie nigdy dotąd nie widzieli białego człowieka.

Jak gdyby na dowód tego, że ma rację, zaciekawione kobiety zebrały się wokół Gusa. Wtykały palce w futro i głaskały chłopca po twarzy, dotykając odmrożonych miejsc.

- To ona! - zawołał Gus.

Crozier spojrzał w jego stronę.

- Niech ci się przyjrzy - powiedział.

Nie musiał tego jednak mówić; Gus odczuł zafascynowanie. Nigdy dotąd nie widział takich oczu, niemal granatowoczarnych, ani twarzy okolonych tłustymi czarnymi włosami. Dziewczyna była w jego wieku, nosiła kabat i spodnie ze skóry karibu, jak mężczyzna, z wyłogami z białego futra powiązanego w warkoczyki na szwach. Kaptur niemal zakrywał jej twarz, ale zsunęła go, ukazując tatuaże, które pamiętał: brązowe linie na kościach policzkowych, lśniące również na brodzie.

U jej boku przycupnęła inna kobieta. Ta była starsza; zastanawiał się, czy to matka dziewczyny. Ona także miała tatuaż, ale nikinący miejscami w bruzdach skóry. Gus nie umiałby określić, w jakim wieku jest ta kobieta, ale musiała być niemłoda, bo kiedy się uśmiechnęła, widać było starte zęby.

Paczki przyniesione z sań zostały złożone u stóp Croziera. Było tam mnóstwo surowego mięsa. Mężczyzna, który wcześniej postukał Croziera w klatkę piersiową, zręcznie ujął nóż i wsunął go w rękaw. Zawołano kobiety; wzięły igły i drewno, a także żelazne groty. Stara kobieta zabrałaby również miedziany garnek, gdyby jeden z członków załogi nie odebrał jej go.

- Dajcie im jedzenie - polecił Crozier.

Pokazali Eskimosom swoje zapasy złożone z pardw, ale przybysze nie chcieli ptaków. Żaden z marynarzy się nie zdziwił, gdyż mięso pardwy było twarde, gorzkawe i ciemne, ale tylko te ptaki dawały się łatwo ustrzelić. Crozier wyjął więc ze skrzyni rodzynki, figi i cukier.

Eskimosi zanurzyli palce w białych kryształkach, rozcierali je między kciukiem i palcem wskazującym, zanim spróbowali. Cukier stwardniał na coś w rodzaju melasy i Eskimosi natychmiast go wypluli. Podobnie postąpili z figami i rodzynkami.

Dziewczyna wciąż tkwiła u boku Gusa. Nie mogąc już znieść głaskania i dotykania twarzy, wstał i wyprostował wreszcie nogi. Zachwiał się lekko. Dziewczyna złapała go za ramię i powiedziała coś, wskazując sanie i śmiejąc się.

- Tak - odparł Gus. - Ale nie są takie jak nasze.

Miał rację. Sanie tubylców były smukłe i wąskie. Gus ocenił, że miały ponad siedem metrów długości i niewiele ponad pół metra szerokości. Przez otwory w płozach przepleciono rzemienie z foczej skóry i przeciągnięto je za końcami łuków z drewnianych listew, oddalonych od siebie o jakieś dziesięć centymetrów. Sanie wyglądały na wygodne i dostosowane do nierównego gruntu, a w dodatku do ich skonstruowania najwyraźniej nie użyto ani jednego gwoźdźca. Prowizorycznie przebudowane i wzbogacone o płozy łodzie ratunkowe, które ciągnęli marynarze, stanowiły całkowite przeciwieństwo pojazdów tubylców - były szerokie i ciężkie. Gus od razu zauważył, jak ślizgają się sanie Eskimosów, gdy ciągną je psy, nawet po dużych wzniesieniach, podczas gdy sanie ze statków grzęzły przy każdym wzniesieniu. Trzeba było wielominutowych wysiłków, by je uwolnić. Gus zastanawiał się, czemu tacy ludzie jak Franklin, który znał Eskimosów i ich życie, nie polecili zbudować takich samych sań, wąskich i pełnych gracji.

Dziewczyna podeszła do sań, oglądając się przez ramię. Wszyscy tam gestykulowali zawzięcie. Dziewczyna wyjęła coś z pojazdu, przycisnęła do piersi i zanosła Gusowi. Dwie inne dziewczyny krzyczały z radości, pokazując palcami to, co niosła. Gus spojrzał. To były szczeniaki, dwa małe husky, o nieco lisich pyszczkach i mądrych oczach, wpatrzonych w obcego człowieka. Dziewczyna podała mu zwierzęta.

- Kapitanie! - zawołał.

Zanim jednak Crozier zdążył odpowiedzieć, rozległ się wystrzał.

Eskimosi zamarli w zdumieniu. Jeden z marynarzy, stojący w pobliżu pierwszego namiotu, trzymał w uniesionej ręce strzelbę, z lufy której wydobywał się dym. Przed nim stała kobieta, z wciąż wyciągniętymi rękami. Była wyraźnie oszołomiona. Psy Eskimosów rozszczękały się.

Irving skoczył ku sprawcy zamieszania.

- Próbowala mi ją wyrwać - tłumaczył marynarz.

Kobieta uniosła wyciągniętą rękę do oczu. Krew sączyła się z jej dłoni i kapala na śnieg.

- Jest ranna! - zawołał Irving. Usiłował do niej podejść, ale ona z krzykiem odskoczyła do tyłu. - Pozwól mi zobaczyć ranę? - prosił. - Pomogę ci.

- Trafiło ją? - krzyknął Crozier.

- Krwawi - odparł Irving.

Wokół rannej zebrały się kobiety. Zsunęły jej kaptur i uważnie oglądały jej czoło, twarz, szyję.

Crozier przyśpieszył kroku.

Nagle jeden z tubylców zablokował mu drogę, groźnie wymachując rękami. Inni również wyciągnęli ręce. Rozległo się wiele głosów; grupa przybyłych zaczęła się cofać w kierunku swych sań, brnąc przez śnieg, przez zasy.

Dziewczyna, która stała obok Gusa, odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, z oczyma rozszerzonymi strachem. Potem obróciła się na pięcie i pobiegła ile sił w nogach przed siebie. Pozostałe kobiety podążyły za nią.

- Jest ciężko ranna? - spytał Crozier.

- Nie mam jak sprawdzić - powiedział Irving.

- Mówiłem, żeby nie strzelać! - krzyknął rozwścieczony Crozier do marynarza. - Miałeś rozkaz nie strzelać!

- Nie strzelałem, panie kapitanie. Ona złapała za strzelbę.

- Na litość boską! - wybuchnął Crozier.

Patrzyli bezradnie, jak tubylcy ładują sanie. Psy rwały się do biegu, w każdym zaprzęgu pies przewodnik gryzł swego sąsiada pod smagnięciem bata. Śnieg chrzęścił. Na tyłach ostatnich sań Gus widział wpatrującą się wciąż w niego dziewczynę. Zmrużył oczy, żeby na nią patrzeć; położył dłoń na twarzy, w miejscu, w którym go dotykała. Za nim, na śniegu, szczeniaki popiskiwały i wierciły się w otwartej skrzyni, do której je włożył.

Crozier cisnął na śnieg pudło, które trzymał w rękach.

- Niech to diabli! - wykrzyknął. - Niech to diabli!

Nikt nie drgnął. Dotychczas żaden z marynarzy nie słyszał, żeby kapitan kłął.

Zaczęło do nich docierać, co stało się przed chwilą. Po raz pierwszy od dwóch lat załoga ujrzała kogoś z zewnątrz. Po raz pierwszy dostali świeże mięso, o które w dodatku nie musieli walczyć. Jeszcze straszniejsza była świadomość, że oto zrazili do siebie ludzi, którzy okazali im życzliwość.

Wpatrywali się ponuro w ziemię, podczas gdy spadały na nich płatki śniegu.

W końcu Irving popchnął butem najbliższej leżącej worka z foczej skóry.

- Przynajmniej zjemy coś porządnego - mruknął.

Handford zerknął na szczeniaki.

- Tak - zgodził się. - Właśnie tak.



Tego wieczoru Catherine przycisnęła dzwonek domu przy Lincoln Street. W ciągu dnia usiłowała dodzwonić się do Jo, żeby dowiedzieć się, co lekarz powiedział na temat Sama, ale nie udało się jej zastać Jo. Postanowiła więc, że zanim wróci do domu, podjedzie na Lincoln Street. Na dole nie paliło się światło; zerknęła na okna na górze i zmarszczyła brwi. W końcu zapłonęło światło w holu i Jo otworzyła drzwi.

Pytanie o Sama uwięzło w gardle Catherine. Jo wyglądała na śmiertelnie wyczerpaną. Za nią Catherine widziała u podnóża schodów buty i ubranko Sama - skarpety, ogrodniczki, podkoszulek.

- Co się stało, na litość boską?! - krzyknęła.

Jo zostawiła otwarte drzwi i bez słowa powlokła się na górę. Catherine zamknęła drzwi i podążyła za przyjaciółką.

- Co się stało? - powtarzała bezradnie.

Łazienka i sypialnie znajdowały się na drugim piętrze. Kiedy Catherine dotarła do podestu, zobaczyła światło w pokoju Sama. Jo usiadła na podłodze naprzeciwko jego łóżka. Sam spał, spod kołdry wystawała tylko jego głowa.

Na pudle z zabawkami stał kieliszek czerwonego wina, niemal pusty. Catherine podeszła i usiadła koło Jo. Pogłaskała ją po ręce.

- O co chodzi? - powtórzyła. - Co się stało?

Wargi Jo zadrżały.

- Wiesz, gdzie on jest? - zapytała.

- Kto?

- John.

- John...? - Catherine wpatrywała się w nią. - Nie.

Ku jej zdumieniu, Jo złapała ją za rękę.

- Bo jeśli wiesz, to musisz mi powiedzieć! - zawołała.

Catherine spojrzała w oczy Jo.

- Nie miałam od niego żadnej wiadomości - powiedziała. - Mówię prawdę.

Jo ukryła twarz w dłoniach.

- Muszę go odnaleźć - wyszeptała.

Catherine spojrzała z niepokojem na Sama, obawiając się, że panika w głosie Jo obudzi dziecko.

- Musisz mnie nienawidzić - powiedziała Jo. - Masz do tego pełne prawo. To ja go ci odebrałam. - Wybuchnęła płaczem.

Catherine wyciągnęła ręce i objęła ją. Siedziały tak przez chwilę w niezręcznym uścisku, na podłodze zaśmieconej plastikowymi żołnierzkami, Pokemonami i fragmentami drewnianej układanki.

- Na litość boską! - szepnęła w końcu Catherine. - Ja cię nie nienawidzę.

- A powinnaś... - Jo poderwała się i wytarła twarz rękawem bluzki.

- Co się stało? - spytała Catherine. - Powiesz mi, do cholery, czy nie?!

Jo potrząsnęła głową.

- Co za ironia losu - powiedziała. - Właśnie tak. Cholerna ironia losu.

Łzy spływały jej po policzkach. Catherine ścisnęło się serce. Jo nie była skłonna do płaczu. Od czasu do czasu klęła, kopała drzwi w złości. Ale to...? Takie pograżanie się w rozpacz nie leżało w jej naturze.

Ostatni raz Catherine widziała ją w podobnym stanie na pogrzebie Douga. Stojąc wtedy obok Johna - Bóg wie, że i to było wystarczająco trudne; John ledwie się odzywał, wydawał się niewzruszony jak kamień - Catherine poczuła się przytłoczona rozpaczą Jo.

Na twarzy Jo malował się teraz strach przed czymś równie strasznym jak śmierć Douga.

- Chodź - wyszeptła Catherine, ciągnąc ją za rękę. - Chodź na dół. Powiedz, o co chodzi.

Jo zeszywniała.

- Nie mogę - odparła. - Nie mogę go zostawić samego.

Jej oczy utkwione były w śpiącym dziecku.

- Dlaczego? - spytała Catherine. - Tylko na chwilę.

- Nawet na minutę.

- Ale, Jo...

- Nie rozumiesz! - powiedziała Jo. Złapała kieliszek, opróżniła go i odstawiła. Rozejrzała się wokół, jak gdyby czegoś szukała, po czym podniosła kawałek układanki. To była głowa sroki, czarno-biała, z zieloną plamką oka. Westchnęła boleśnie.

- Małe smuteczki - wymamrotała. Zaczęła obracać klocek w palcach. - Trzeba na niego uważać - powiedziała w końcu. - Uważać przez cały czas. Nie wolno mu płakać ani wpadać w złość. Nie może się też przewrócić. Nie wolno mu skakać po kanapie. Nie wolno mu jeździć rowerkiem. Nie wolno mu na nic się wspinać.

Catherine poczuła się oszołomiona.

- Dlaczego? - Popatrzyła na kieliszek, a potem znowu na Jo. - Co takiego powiedział lekarz?

- Wysłał mnie do szpitala.

- Po co?

Jo milczała.

- Jo - odezwała się Catherine. Położyła ręce na ramionach przyjaciółki i potrząsnęła nią lekko. - Co John ma z tym wspólnego?

Jo uniosła dłoń.

- Słyszałaś o niedokrwistości aplastycznej? - zapytała.

- Nie.

Jo uśmiechnęła się smutno.

- Ja też - rzekła. Odłożyła fragment układanki. - Nie można jej zobaczyć... Tego właśnie nie rozumiem. Nie da się tego zobaczyć. To jest wewnątrz... Czyha w ukryciu. Nie da się dostrzec, jak na przykład złamana noga. Nie powoduje ran. Nawet gdyby zrobić prześwietlenie, i tak by się tego nie dostrzegło.

- Niedokrwistość aplastyczna... - Catherine ogarnęło nagle przerażenie. - To coś z krwią?

- Ze szpikiem kostnym.

Catherine przełknęła ślinę.

- Czy Sam to właśnie ma? Jakies nieprawidłowości w szpiku?

- Tak - odparła Jo.

Rzuciła klockiem, który odbił się od łóżka Sama. Patrzyła, jak chłopiec zmienia przez sen pozycję.

- Kiedy wróciłam z nim do domu, musiałam go wykąpać, żeby zmyć z niego ten odór szpitala... - Zaciśnęła powieki. - Ale jutro rano musi tam wrócić. O, Boże...

Catherine bezradnie patrzyła na śpiącego chłopczyka.

- Musimy odnaleźć Johna - wyszeptała Jo. - Musimy!

- Ale po co? Po co?

Jo podniosła się chwiejnie i przyłożyła rękę do gardła. Catherine także wstała. Jo zrobiła kilka kroków i podeszła do łóżka. Wyciągnęła dłoń w kierunku Sama, jak gdyby pragnęła dotknąć synka, ale bała się go zranić.

- Robi się takie rzeczy - powiedziała. Odwróciła się do Catherine. - Można to na jakiś czas powstrzymać... jeśli będziemy mieli szczęście. Krew, sterydy... coś, co nazywają cyklofosforyną. Ale on jest bardzo chory. Jest taki chory, Catherine...

Catherine nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Udręczona, przygryzła wargę.

Jo uniosła brodę, a w jej oczach Catherine po raz pierwszy tego wieczoru ujrzała błysk nadziei.

- Jest coś, co lekarze nazywają komórkami macierzystymi - poinformowała. - Jako matka, mogę dostarczyć mu komórki macierzyste... Pobiorą je z mojej krwi. Dadzą mi lekarstwo, żebym ich więcej produkowała, o tyle więcej, że będą wylewały się ze szpiku do krwi. Zbiorą tę nadprodukcję i zamrożą komórki. - Wyliczała kolejne etapy działania na palcach, choć dłonie jej drżały. - Wezmą je i zamrożą - ciągnęła. - Żeby ich użyć, gdyby nic innego nie poskutkowało.

Jej twarz stała się tak blada, że przypominała maskę.

- Wiesz, co jest najgorsze? - wyszeptwała. - Nadaję się na dawcę tylko w pięćdziesięciu procentach. Szanse są niewielkie.

- Och, Jo...

Jo złapała Catherine za ramię.

- Jeśli organizm Sama nie będzie reagował, pozostaje jedynie przeszczep szpiku kostnego. Najlepszym dawcą jest rodzeństwo, na przykład brat... - Wpatrywała się w Catherine.

- Ależ, Jo - zaczęła Catherine. - John to tylko jego przyrodni brat.

- To zmniejsza szanse - przyznała Jo. - Ale...

- Funkcjonuje przecież bank dawców szpiku - przypomniała sobie nagle Catherine. - Mówili o tym w telewizji.

- Mogą przeszukać wszystkie rejestry dawców na świecie i nie znaleźć właściwego dawcy - powiedziała Jo. Zaciśnęła pięść i przyłożyła ją do ust. Zapadła cisza, podczas której Jo usiłowała się uspokoić. - No, dobrze. Może i istnieje dawca lepszy od Johna. To skomplikowane, bo... Boże, to takie skomplikowane, lekarz to napisał, narysował mi tabelę, na litość boską...

- To nie ma teraz znaczenia - przerwała Catherine. - Zejdź na dół...

- Nie! - warknęła Jo. Zmarszczyła brwi. - To ma znaczenie. Muszę ci to wyjaśnić. John, jego ojciec i Sam mogą mieć ten sam typ tkanek. Haplotyp. Jeśli byłby rzadki, jeśli ja i Alicja miałybyśmy taki sam, wszyscy byśmy do siebie pasowali, a John nadawałby się na dawcę dla Sama. Rozumiesz. Mógłby go ocalić.

Zapadła cisza.

Catherine czuła strach.

- Jo... - odezwała się cicho. - To wcale nie jest takie proste.

- Tak - odparła Jo. - Wiem o tym.

- Na ile prawdopodobne jest to, że Sama ma ten sam typ tkanki co Doug i John? Ten...

- Haplotyp.

- Haplotyp - powtórzyła Catherine. - Z tego, co mówisz, rozumiem, że wszyscy trzej musieli mieć rzadki rodzaj haplotypu.

- To możliwe.

- Powiedzmy więc, że ojciec i synowie mają ten sam rzadki typ. Ale ty i Alicja...

- To też możliwe - przerwała Jo. - Dziesięć procent populacji ma ten sam haplotyp, więc jeśli ja i Alicja mamy ten sam...

- ...to John nadawałby się na dawcę dla Sama - zakończyła Catherine.

- Tak.

Catherine przyłożyła rękę do czoła.

- Dobry Boże... - wyszeptała.

- To jest możliwe - upierała się Jo. - Znacznie bardziej prawdopodobne niż znalezienie dawcy spoza rodziny.

- A więc nadzieją Sama jest John - podsumowała Catherine.

- Właśnie tak - Jo przez chwilę wytrzymała spojrzenie przyjaciółki, po czym zgarbiła się, jak gdyby ktoś uderzył ją w żołądek.

Catherine pośpiesznie objęła ją i przycisnęła do siebie.

- Jestem tutaj - powiedziała. - Pomogę ci.

Jo drżała.

- Wiem, że to długa droga, bardzo skomplikowana, ale jeśli okaże się, że nie mamy innego wyjścia... Jeśli nie znajdzie się inny dawca... Rozumiesz to, prawda? John to ostatnia nadzieja Sama.

\*

Trwało to jeszcze z godzinę, ale w końcu Catherine zdołała sprowadzić Jo na dół, kiedy znalazły już alarm, którego Jo nie używała od pół roku, i zainstalowały go w pokoju Sama.

Catherine zmusiła przyjaciółkę, żeby usiadła w kuchni, podczas gdy ona podgrzała zupę i dopilnowała, żeby Jo ją zjadła. Potem usiadła obok niej.

- Może Alicja wie coś o Johnie... - powiedziała, ujmując jej dłoń.

Jo wpatrywała się w nią.

- Napisałby do niej, a do ciebie nie? - zapytała z niedowierzaniem.

- Sama nie wiem.

Jo nie spuszczała wzroku z Catherine.

- Myślisz, że mógł udać się na poszukiwanie śladów Franklina w Nunavut?

- Sam? - westchnęła Catherine. - Jakim cudem?

- Była mowa o jakimś fotografii. - przypomniała sobie Jo.

- Nie pamiętam jego nazwiska. To było trzy lata temu, a poza tym myślę, że ten człowiek wciąż zmienia miejsce pobytu. Jak go znaleźć? - zastanawiała się Catherine. - Może Alicja...

Jo w zamyśleniu obgryzała paznokcieć.

- Czy John poprosiłby Alicję o pieniądze na tę wyprawę? - spytała.

- Nie wiem.

- Z czego on się w ogóle utrzymuje?

- Sądzę, że z pracy - odparła Catherine. - Może na wykopaliskach?

- Musi kontaktować się z matką.

- Nie byłabym tego pewna.

Jo wstała i podeszła do telefonu.

- Zadzwoń do niej - oznajmiła.

Catherine także podniosła się z miejsca.

- Nie będzie chciała z tobą rozmawiać - stwierdziła. - Odłóż słuchawkę. Może ja spróbuję. - Wyciągnęła notes z torebki. - Chyba wciąż mam jej numer - dodała.

Trwało trochę, zanim Alicja podniosła słuchawkę.

- Pani Marshall?

- Tak?

- Mówi Catherine Takkiruq.

Zapadła cisza.

- Pani Marshall, usiłuję odnaleźć Johna.

- Johna? - spytała kobieta. - A po co?

- Słucham?

- Dlaczego pani o niego pyta? - zażądała wyjaśnień Alicja.

Catherine zamilkła, świadoma, że stąpa po bardzo kruchym lodzie. Gdyby wspomniała o Samie, pogorszyłaby tylko sprawę.

- Zastanawiam się, co u niego słyhać - powiedziała w końcu.

- Skoro nie napisał do pani, to najwyraźniej nie chce, żeby pani znała jego adres - odparła Alicja.

Catherine zmarszczyła brwi.

- A do pani pisał?
- Nie uważam, żeby to była pani sprawa - oznajmiła Alicja.
- Ale...
- Nie widziałam pani od ponad roku, a teraz nagle...
- Sądziłam, że nie chce pani, żebym panią nachodziła.
- Niczego takiego nie powiedziałam.

Catherine poczuła, że się czerwieni. Stojąca obok niej Jo zamrugała nerwowo. Położyła dłoń na ramieniu dziewczyny.

- Kiedy ostatnio byłam u pani, powiedziała pani, że nie widzi sensu w moich wizytach we Franklin House. Dała mi pani jasno do zrozumienia, że nie jestem tam mile widziana - mówiła, zastanawiając się nad każdym słowem.

- Przepłoszyłyście go, pani i ta Harper - odparła Alicja.
- To nieprawda!
- Kręciła się pani koło niego, kiedy było jasne, że nie chce pani widzieć.
- To też nieprawda.
- Nie dawała mu pani spokoju - ciągnęła Alicja.

Myliła się tak okropnie, że Catherine umilkła, przestraszona, że wyrwie się z czymś niepotrzebnie. Przecież jeśli ktokolwiek przepłoszył Johna, to tylko Alicja z tym jej wiecznym uzalaniem się nad sobą. Catherine nigdy dotąd nie słyszała, żeby Alicja usiłowała pomóc synowi wydobyć się z rozpacz po śmierci ojca. Kiedy John powtórzył matce oskarżenie Jo, Alicja na wiele dni wpadła w złość. Uznała, że Jo przypuściła w ten sposób atak na nią, na rodzinę. Jo zraniła ją, odebrała jej męża i oskarżyła o jego śmierć syna. Przeżycia Johna wydawały się Alicji nieważne wobec jej tragedii.

- Nie mam pani nic do powiedzenia - powiedziała teraz.

Catherine zmusiła się do zachowania spokoju.

- Proszę, pani Marshall, to bardzo ważne. Czy pani wie, gdzie jest John?

Alicja jednak po prostu odłożyła słuchawkę.

- O, Boże! - jęknęła Jo.

Podeszła do stołu i opadła na krzesło.

- Co za kobieta. O, Boże - powtórzyła, wycierając oczy. - Jak do niej dotrzeć?

Myślisz, że ona wie, gdzie jest John?

- Jeśli nawet, to i tak nam nie powie.

Zapatrzyły się w ciemne prostokąty okien. Na górze Sam zaczął płakać.

Chciała go nauczyć wszystkiego, co było bliskie jej sercu. Nietypowa dla tej pory roku burza w cieśninie przemieściła się na wschód, a niedźwiedzica maszerowała teraz po lodzie nad brzegiem morza. Od czasu do czasu odwracała się i spoglądała na malucha, który potykał się, a niekiedy zamierał bez ruchu i spoglądał w przestrzeń. Właśnie to ją najbardziej niepokoiło, młode bowiem zwykle naśladują matki, obserwując je i ucząc się od nich wszystkiego, co potrzebne. Czuła, że niedźwiadek wędruje niezależnie od niej, skupiony na jakimś odległym, niedostrzegalnym dla niej obiekcie.

Instyktownie podążała na południe.

Kiedyś przebywała na początku zimy na wyspie Devon, leżącej w Cieśninie Lancastera. Gdyby był dość silny, zaprowadziłaby go tam, pokazałaby mu zatoczki, gdzie wale białe utknęły w swoim kurczącym się przeręblu, za pomocą którego zaczerpywały powietrze. Gromadziły się tam liczne niedźwiedzie, oczekujące, aż morze odetnie wielorybom drogę ucieczki, tak że staną się łatwym łupem. Wyciągały wówczas wale z morza i zagryzały je na lodzie. Zginęło w ten sposób czterdzieści młodych ssaków, szarych jeszcze. Niedźwiedzica doskonale pamiętała zapach ich krwi, rozlanej na lodzie.

Chciała nauczyć synka pływać, pragnęła, aby zaznał tego wspaniałego uczucia wolności. To miejsce nie było jednak odpowiednie. Zwierzęta znajdowały się w połowie częściowo skutej lodem zatoki, której wody szybko się przemieszczały. Samica nienawidziła tych podwodnych drgań, budzących lęk i jakieś mroczne wspomnienie. Mruknęła z zadowoleniem, kiedy dotarła na szczyt lodowego spiętrzenia. Zaraz jednak zamarła w bezruchu.

Wpatrywał się w nią wielki niedźwiedź, rozciągnięty na lodzie. Nie ruszał się, a ona poczuła zdumienie. Po chwili zorientowała się, że spojrzenie na wpół przysypanego śniegiem zwierza jest martwe.

Nieufnie przyglądała się padlinie leżącej z głową na kopcu śniegu. Nie uległo wątpliwości, że niedźwiedź przybył tu, aby umrzeć. Tak właśnie postępowały czujące nadchodzącą śmierć niedźwiedzie. Ten mógł mieć piętnaście, dwadzieścia, może trzydzieści lat. Nadszedł po prostu jego czas.

Samica odwróciła się i ujrzała ciemniejsze plamy na śniegu. Były to strzępy tkaniny, oblekające jakieś kości. Nie było już na nich mięsa. Na wietrze poruszały się tylko kawałki ciemnego, mokrego materiału. Ugryzła je i wypluła. To nie była foka. Rozgrzebała strzępy i



obwączała przedmioty leżące obok szkieletu - puszki pomalowane na czerwono. Nie przedstawiały dla niej żadnej wartości. Opadła na zad i zaryczała nawołująco.

Niedźwiadek powoli podszedł do niej, omijając ludzkie szczątki.

## 26

Następnego dnia Alicja wyjechała z Cambridge. Był piękny letni poranek, ale ona prowadziła auto, nie zauważając niemal nic na zewnątrz. Za piętnaście siódma znalazła się na przedmieściach Londynu, pokonując M25, a na M3 wjechała o wpół do ósmej.

Przycisnęła pedał gazu i przy południowo-wschodnich rogatkach miasta zjechała z autostrady na długą drogę wzdłuż wzgórz Wiltshire, na południe od równiny Salisbury, minęła Cranborne Chase, po czym wyłoniła się w dolinie Blackmore.

Tego ranka nie było chyba w Anglii piękniejszego widoku. Kraina Thomasa Hardy'ego - Dolina Wielkich Mleczarni, gdzie Tessa szukała czosnku pod okiem Angela Clare'a - rozciągała się przed Alicją bujnym zielonym dywanem. Ale Alicja nie zwracała uwagi na piękno krajobrazu, pokonując jedną wąską dróżkę za drugą. W pewnej chwili, zła na siebie za to, że źle skręciła, zatrzymała auto i położyła mapę na kolanach. Zdała sobie sprawę, że drży. Kilka razy odetchnęła głęboko, usiłując rozluźnić napięcie w piersi i ścisnąć w żołądku.

List leżał obok niej, na fotelu dla pasażera. Popatrzyła na kartkę, którą przyczepiła do mapy. *Hermitage Farm, Cerne Magna.*

Było niemal południe, kiedy w końcu dotarła na miejsce. Znalazła farmę wciśniętą między wapienny grzbiet i las. Żaden drogowskaz nie prowadził do tego skupiska rozpadających się budynków. Samochody terenowe i dwie stare furgonetki marki „Ford” stały na pełnej kolein dróżce.

Wydawało się, że nikogo tu nie ma. Alicja przeszła przez podwórze i wyszła na pole, kierując się dobiegającymi z dala głosami. Pokonując kępy pokrzyw, ostów i trawy, dotarła do kamiennego murku.

- Dzień dobry - powiedziała.

Dziewczyna siedząca po drugiej stronieomal nie upuściła trzymanego w palcach papierosa. Obejrzała się przez ramię.

- Witam - odparła.

- Szukam Johna Marshalla.

- Johna...?

- Tak. Jest tutaj?

Dziewczyna obejrzała się. Już czwarty tydzień szukano w pobliżu śladów anglosaksońskich osad. Jak dotąd jednak nie pojawiali się tu żadni goście.

- Pewnie jest gdzieś tutaj. - Obejrzała uważnie Alicję, po czym wstała. - Przyjechała pani z uniwersytetu?

- Nie mam nic wspólnego z tymi pracami. Jestem matką Johna.

Dziewczyna otworzyła w zdumieniu usta, ale nic nie powiedziała. Po prostu przydeptała nogą niedopalek.

- Tędy - odezwała się po chwili.

Weszły na wzgórze. Tuż przed szczytem teren tworzył rodzaj tarasu, na którym w cieniu drzew sześć osób krzątało się w kilku płytkich dołach.

- Ken! - zawołała dziewczyna. - Pani przyjechała do Johna Marshalla.

Mężczyzna stojący najbliżej uniósł wzrok. Jego ubranie umazane było ziemią. Wyprostował się, wytarł ręce o dzinsy i wyciągnął do Alicji dłoń.

- Ken Bryant - przedstawił się.

- Witam - powiedziała Alicja. - Wczoraj rozmawiałam z Charlesem Edge'em.

Bryant pokiwał głową.

- Tak, dzwonił do mnie wieczorem - odparł i zawahał się.

- Czy John tu jest? - spytała Alicja.

- Tak.

- Zatrudnił go pan?

- Na prośbę pewnej znajomej osoby. Poleciał mi go przyjaciel z Bristolu.

- Wiedział pan, że John zniknął z domu bez żadnych wyjaśnień? - zapytała. Nie chciała, żeby zabrzmiało to jak oskarżenie, tak jednak wyszło.

- Nie - odparł Bryant.

- Stało się to niemal dwa lata temu.

Popatrzył na nią przenikliwie.

- Nie pytamy o życiorys, kiedy ktoś się u nas zatrudnia. Przykro mi.

- John ma dom w Cambridge - powiedziała. - Nie tu jest jego miejsce.

- Pani Marshall, ja go nie porwałem - stwierdził Bryant.

- Nie - przyznała. Czowała, że drga jej kącik ust, co było oznaką silnego zdenerwowania.

- Oczywiście, że nie. Przepraszam.

Bryant zerknął na swych ludzi. Niektórzy przestali pracować i nasłuchiwali. Dotknął ręki Alicji.

- Może chciałaby pani usiąść? - zapytał.
- Chciałabym zobaczyć Johna. Gdzie on jest?
- Może najpierw moglibyśmy porozmawiać? - zaproponował.

Zaprowadził ją do stołu i krzeseł. Otrzeptał jedno z kurzu, ustawił w równym miejscu i czekał, aż Alicja usiądzie.

- Widzę, że się pani niecierpliwi - zauważył.
- Niech się pan postawi na moim miejscu - odparła.

Bryant usiadł obok niej.

- No, tak. - Zaczął skubać nitkę zwisającą z rękawa koszuli. - Widzi pani, John ma...

Cóż, że martwię się...

- O co chodzi? - zapytała. - Jest chory?
- Nie, nie - odparł Bryant. - Właściwie nie.
- Co pan ma na myśli, mówiąc „właściwie nie”?

Na twarzy Bryanta pojawił się wyraz zakłopotania.

- Widzi pani, w tej pracy mamy do czynienia z mnóstwem rozmaitych ludzi - powiedział. - Ze studentami, entuzjastycznie podchodzącymi do wykopalisk amatorami oraz ze starymi sukinsynami, takimi jak ja. - Uśmiechnął się.

Alicja wpatrywała się w niego z napięciem.

- Chodzi o to, że...
- Naprawdę nie mam wiele czasu - przerwała.

Bryant wyprostował się.

- Czy John panią prosił o ten przyjazd? - zapytał wprost.

Alicja zaczerwieniła się.

- Doskonale pan wie, że nie - odparła. - Inaczej nie musiałabym obdzwaniać połowy mieszkańców kraju, żeby się dowiedzieć, kto prowadzi wykopaliska w Dorset. - Założyła pasmo włosów za ucho. - Ale jestem pewna, że ucieszy się na mój widok...

Bryant zakotłosał się na krześle i skrzyżował ręce na brzuchu.

- John nie chce nikogo widywać - oświadczył.

Alicja wpatrywała się w niego.

- Co pan ma na myśli?

Bryant popatrzył na nią ze współczuciem.

- Pani Marshall... - zaczął. - Nie wtrącam się w życie studentów, nie usiłuję nimi kierować. Ale martwię się o Johna, naprawdę się martwię.

Alicja wciąż patrzyła na niego wyczekująco.

- John mieszka tutaj - powiedział Bryant. - Pojawił się z namiotem i rozbił tu obóz.

- Chyba wszyscy tu mieszkacie?

- Niektórzy tak, ale John ulokował się z dala od wszystkich. Nie przychodzi wieczorami. On... - Bryant popatrzył na nią. - On nic nie mówi, pani Marshall...

Podniósł się. Najwyraźniej postanowił nie dodawać już nic. Wskazał na wzgórze, tam, gdzie mogła znaleźć syna.

- Cóż, niech się pani sama przekona - powiedział.

\*

John leżał na plecach. Ulokował się za linią drzew, w niewielkim zagłębieniu w ziemi. Promienie słońca padały mu na twarz, a on wpatrywał się w niebo. Lubił tu przychodzić.

Było tak cicho. Przywykł do tego rodzaju bytowania i nawet jeśli leżał tak godzinami, nie czuł już twardej ziemi pod sobą. Było mu wygodniej niż na posłaniu w Bodrum, gdzie przez dziewięć tygodni sypiał w skrzyni furgonetki. Oczywiście, nie znalazł się jeszcze tak daleko, jak zamierzał. Ale przecież nigdzie nie było wystarczająco daleko.

Praca w Bodrum odpowiadała mu. Wykopaliska znajdowały się w pobliżu pirsu, który został wybudowany pomiędzy dwiema stromymi ścianami wybrzeża klifowego, żeby pomieścić nurków i sprzęt. To była niezmiernie skomplikowana operacja, polegająca na wydobyciu czterystu amfor z jednostki, która zatonęła w dwunastym wieku. John pracował w sześciuosobowej drużynie, przyswajając przy okazji wiedzę na temat dekompresji, stabilizatorów, lokalizacji zapasowych źródeł gazów respiracyjnych, sposobów rozplanowania stanowiska, oczyszczania podłoża z osadów. Uwielbiał to, a przede wszystkim całkowitą ciszę podczas nurkowania.

To była zmuśna, monotonna praca, zwłaszcza gdy widoczność spadała niemal do zera, ale tego właśnie pragnął: znajdować się w podwodnej ciszy, niemal niewidoczny z brzegu, słyszał tylko własny oddech. Chętnie schodził pod wodę, gdy inni nie mieli na to ochoty. Podobało mu się, gdy świat kurczył się do kilku metrów dna morskiego. Lubił też zimną wodę, z radością witał dreszcz chłodu, pojawiający się nawet w tych ciepłych wodach. Rozkoszował się znieczuleniem, jakie niósł ze sobą chłód. Coraz częściej musiał przypominać sobie o konieczności przerwania pracy, gdy kończył się czas przeznaczony na nurkowanie.

Lubił nawet - jeśli można tym słowem określić cokolwiek, co działo się w jego głowie - chwile oczekiwania na przystankach dekompresyjnych. Inni nurkowie uskarżali się na nudę, ale jego radowała. Pragnął tak właśnie żyć - w zawieszeniu. Jeśli czegoś rzeczywiście nie znosił, to powrotów na powierzchnię - wynurzenia się na światło, dźwięki i kolory. Czterysta amfor! Najchętniej wydobyłby każdą z nich samodzielnie. Chętnie robiłby to nadal,

zanurzony w mrok i ciszę. Ale zajęcie to trwało tylko przez pół roku. Taki już był charakter tej pracy. Nigdy nie trwała tak długo, jak John by tego pragnął.

- John... - odezwał się ktoś.

Popatrzył w górę, przysłaniając oczy.

- Witaj - powiedziała matka.

Podniósł się z ziemi.

- Nie uściskasz mnie? - zapytała.

Zawahał się na chwilę, a następnie podszedł i rozłożył ramiona. Oparła głowę na jego ramieniu.

- Och, John... - wyszeptała.

Cofnął się. Trzymała go na odległość ramienia i patrzyła uważnie.

- Niech ci się przyjrzę - mruknęła.

- O co chodzi? - zapytał.

- Cóż... - Wyciągnęła rękę, jak gdyby chciała go objąć, ale znieruchomiła w pół gestu.

Był brudny, jak gdyby się nie mył od wielu dni. Alicja usiłowała ukryć niesmak. Próbowała się uśmiechnąć, przygryzając wewnętrzną stronę policzka, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy. Chciała wziąć syna za rękę, pociągnąć za sobą do samochodu i natychmiast zabrać do domu. Zmusiła się do zachowania spokoju.

- Mogłabym usiąść? - zapytała i przycupnęła na trawie.

John usadowił się obok.

- Piękne miejsce - powiedziała, choć tak naprawdę nie dostrzegала niczego wokół siebie. Jej wzrok krążył po twarzy Johna, który skubał źdźbło trawy.

- Jak się masz? - zapytała.

- Nieźle.

- Nie wyglądasz dobrze.

Wzruszył ramionami. Alicja przełknęła ślinę.

- Cieszysz się, że mnie widzisz? - zapytała.

Uśmiechnął się lekko.

- Musiałam przyjechać - powiedziała.

- W porządku - mruknął.

- Ten twój list. Nie mogłam...

Umilkła. Wyjęła z torebki chusteczkę i demonstracyjnie otarła oczy. Kiedy jednak znów na niego spojrzała, poczuła się urażona, widząc, że nie zrobiło to na nim żadnego

wrażenia. Patrzył w stronę pól.

- Złamałeś mi serce - szepnęła.

Nie było odpowiedzi.

- John... - powiedziała. - Minęły dwa lata, odkąd zniknąłeś... Co ja ci zrobiłam?

- Przepraszam - mruknął.

- Gdybyś wiedział, jak się martwiłam... Mało nie oszalałam z niepokoju. Jak mogłeś zrobić coś takiego?

- Przepraszam - powtórzył.

- I napisałeś tylko dwa razy, nie podając adresu...

Odwrócił się ku niej.

- Posłuchaj, jadę do Kanady! Jeśli więc pojawiłaś się tutaj, żeby mnie powstrzymać, to tylko zmarnowałaś czas - powiedział.

Alicja prychnęła z oburzeniem.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia? - zapytała.

- A czego chcesz? Zamierzasz mnie powstrzymać?

- Dlaczego miałabym to robić? Nie mam takiego zamiaru. Jestem po prostu twoją matką, osobą, której zależy na tobie jak nikomu innemu.

Ukrył twarz w dłoniach.

- Błagam, tylko nie to - wymamrotał. Opuścił ręce - Nie zaczynaj wszystkiego od nowa. Gdyby naprawdę ci na mnie zależało, byłabyś zadowolona, że mogę robić to, co chcę. Wreszcie robię to, co chcę. Wcześniej mnie powstrzymałaś od wyjazdu. Ale ten fotograf ponownie złożył mi propozycję i tym razem skorzystam z niej. - Wyrzucił zmięte źdźbło trawy. - Jadę do Kanady pracować z Richardem Sibleyem. Tego lata wybiera się do Gjoa Haven. Mówiłem ci.

- To idiotyczne! Tak sobie wyjechać! Zupełnie jak jakiś hippis. Tak zresztą wyglądasz.

- No i dobrze - odparł gorzko.

- Zupełnie, jak gdybyś nie miał domu ani pieniędzy.

- I tak wyjadę.

- A jak zarobisz na podróż? - zapytała.

- Mam na samolot. Zaoszczędziłem.

- Gdybyś wrócił do domu i pojechał w przyszłym roku, opłaciłabym ci samolot.

- Dlaczego? - zapytał.

- Bo chciałabym mieć cię trochę w domu, zająć się tobą.

- Nie, mamo.

- Spójrz tylko na siebie - powiedziała. - Wyglądasz okropnie. Wróc ze mną.

- Nie - odparł.

- Nie wiem, dlaczego wyjechałeś - ciągnęła. - Cokolwiek jednak to było...

- Musiałem - potarł twarz rękami, po czym przejechał po oczach rękawem. - Myślałem

o tym. Gdybym nie był w Cambridge, nie doszłoby do tego.

- Do czego?

- Do wypadku - odrzekł. Podniósł się, jak gdyby zamierzał odejść.

- Nie rozumiem... - powiedziała matka.

John z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Nie rozumiesz, bo nie słuchasz, prawda? Usiłowałem ci to wyjaśnić. Ty jednak nie chcesz o niczym wiedzieć.

- Ależ...

- To była moja wina.

Alicja wpatrywała się w niego.

- Ten wypadek?

- Tak.

- Nonsens!

- Nie było cię tam - przypomniał. - On w ogóle nie znalazłby się na jezdni, gdyby nie ja.

- A ty nie znalazłbyś się tam, gdyby nie ona - stwierdziła. - Ta Jo Harper. Pomyślałeś o tym?

John podniósł wzrok.

- Gdzie ona jest? - spytał.

- Nie mam pojęcia - skłamała.

- Wciąż mieszka w Cambridge? Co u niej?

- U kogo? - zapytała ze zdumieniem Alicja.

- U Catherine.

Alicja odetchnęła z ulgą.

- John... To już przeszłość.

Odwrócił głowę.

- Wróc do domu - powtórzyła.

- Ile jeszcze razy, cholera?!

- Nie musisz mnie karać. Ja nie zrobiłam nic złego.

- Boże, ja cię nie karzę.
- A jak byś to nazwał?
- Nie karą przecież.
- Nie zastanawiałeś się, co ja czuję?
- Mamo...
- Nie myślałeś o tym, prawda? - ciągnęła. - To cierpienie, jakiego mi przysporzyłeś...  
Ruszył przed siebie.
- Co robisz? - zapytała.
- Pracuję - przypomniał. - Przerwa na lunch się skończyła.
- Ale ja nie skończyłam - powiedziała.
- Pobiegła za nim, potykając się na kępach trawy.
- John! - zawołała. Złapała go za ramię. Zatrzymał się, ale nie patrzył na nią. -

Posłuchaj mnie!

Uniósł głowę.

- Nic nie rozumiesz - odezwał się. - I nie zrozumiesz nigdy. - Jego twarz zaczęła pokrywać się rumieńcem. Alicja spostrzegła, że drżał. - Zawsze najważniejsza jesteś ty! Nie chodzi ci o mnie ani o tatę. Nigdy ci na nas nie zależało.

- To nieprawda! Jak możesz tak mówić?

- Myślisz wyłącznie o sobie. Nie obchodzi cię też Catherine.

- Catherine? - powtórzyła ze zdziwieniem.

- Ją także zostawiłem - przypomniał. - Pomyślałaś kiedyś o tym? A przecież kochałem ją. Nadal ją Kocham.

- No to... - Alicja zawahała się. - Wróc do domu. Jestem pewna, że możemy ją odnaleźć.

- Nie mogę! - wrzasnął. - Nie rozumiesz?! Nie rozumiesz tego, co mówię? Do cholery! Naprawdę nie rozumiesz?!

Wpatrywała się w niego z otwartymi ustami, przerażona rozpaczą w jego głosie.

- Zabiłem go! - krzyknął. - Już wiesz? Jo miała rację. **Z a b i ł e m** go. Widziałem to również w twarzy Catherine, kiedy poszliśmy do tej kaplicy.

- Nie! - wyszeptała Alicja. - Mylisz się.

- Nie myślę się - odparł. Był blady jak płótno, z trudem łapał powietrze.

- Kochanie...

Wyszarpnął się z jej uścisku.

- Posłuchaj... - Z trudem szukał słów. - Przez dwa lata usiłowałem przed tym uciekać.



Oderwać się od tego, nie myśleć. Jechać gdzieś, gdzie on był, z nadzieją, że go spotkam. Jest tylko jedno miejsce na ziemi, gdzie może mi się to udać.

Alicję ogarnęło przerażenie. Dostrzegła wreszcie, jak cierpi jej syn, i to przeraziło ją tak, jak nic dotychczas.

- Jesteś chory - powiedziała i zdała sobie sprawę, że to prawda. - Musisz być teraz z ludźmi, którzy cię kochają i którzy mogą ci pomóc. Jeśli chcesz, poszukamy Catherine.

Obrócił się na pięcie.

- Myślisz, że będę mógł spojrzeć jej w twarz, dopóki sam tego wszystkiego nie uporządkuję? - spytał.

- John, kochanie...

- Nie nazywaj mnie kochaniem! - wrzasnął. Zaciśnął pięści i przyłożył je do skroni. - Nie mogę wrócić! Nie mogę chodzić tamtędy, którędy on chodził. Nie mogę wrócić na studia. Nie jestem w stanie widywać ludzi, którzy go znali, jak Peter Bolton czy Catherine. Nie chcę zobaczyć w ich twarzach oskarżenia.

- Ależ nie zobaczysz! - powiedziała. - Oni wcale nie uważają, że kogoś zabiłeś.

- Uważają - odparł. - A jeśli nawet jakimś cholernym cudem tak nie jest, to ja w i e m. Mam tę świadomość.

Łzy napłynęły do jego oczu. Alicja z przerażeniem dostrzegła, że pierwsze krople spływają po brudnej twarzy. Usiłowała je otrzeć, ale syn ją odepchnął.

- Mam to w sobie. - Zakrył twarz dłonią.

- Synku - powiedziała. - Pójdziemy do kogoś, do jakiegoś terapeuty. Pomoże ci uporać się z tą rozpaczą. Pomoże, wiem, że tak będzie. - Wyłamywała sobie palce. - To był twój ojciec, masz prawo czuć się okropnie, nie byłbyś człowiekiem, gdybyś czuł inaczej...

Nagle John się roześmiał i opuścił dłoń. Na jego twarzy widniał grymas przypominający ponury uśmiech.

- Człowiekiem? - powtórzył. - Chryste! Nie jestem człowiekiem.

Wpatrywała się w niego z przerażeniem.

- Co masz na myśli? - zapytała.

Machnął ręką.

- Opuściłem ludzką rasę - odparł. - Duchem odszedłem już tam, gdzie panuje wieczny mróz.

Poczula okropny ucisk w klatce piersiowej, nieoczekiwany i tak dotkliwy, że spazmatycznie łapała płytkie oddechy. Trwał przez dłuższą chwilę. Przed jej oczyma wirowały plamki. W końcu ustąpił. Nigdy w życiu nie doświadczyła czegoś podobnego.

- John, kochanie - powiedziała. - To nieprawda. Jesteś moim synem, moim jedynym synem. Proszę cię, wróć ze mną do domu. Proszę.

Do Alicji dotarła fala dźwięków: szczekanie psa, zachrypnięty krzyk bażanta, odgłos samochodu jadącego dróżką, którą i ona przejeżdżała tego ranka - widziała słońce odbijające się na szybie i dachu, dobiegał ją cichnący warkot silnika, gdy pojazd zniknął za drzewami. Wkrótce dostrzegła jedynie plamkę, gdy auto skręciło za róg domu w dolinie. Napotkała wzrokiem spojrzenie Johna i wiedziała już, że go utraciła.

- Muszę iść - powiedział. - Muszę coś skończyć.

Zaczął schodzić po wzgórzu.

- Jedź do domu, mamó - poprosił, przystanąwszy na moment. - Jedź do domu.

## 27

Jo wciąż śniło się to samo. Jechała w wagoniku kolejki górskiej. Metalowa uprzęż była rozpięta; kiedy pojazd zjeżdżał, wietrzyk chłodził twarz dziewczyny. Słyszała skrzypienie łańcuchów, regularny, ciężki zgrzyt, który rozlegał się wokół i sprawiał, że zaciskała zęby; do jej uszu dobiegała także odległa muzyka. Powoli, gdy pojazd wjeżdżał na strome wzniesienie, wyłaniały się przed nią wierzchołki drzew, woda, odbijająca się w jeziorze, spacerujący ludzie, unoszący twarze.

Siedzenie było twarde. Nikt więcej nie jechał tym wagonikiem, nikt inny nie jechał tą kolejką. Pozostałe wagoniki były puste, a kiedy jej wagonik zatrzymał się na szczycie wzniesienia, zapanowała chwila absolutnej ciszy. Powiał silniejszy wiatr, niosąc zapach wody, soli i rozkładu. Ten nieoczekiwany atak na zmysły nieodmiennie zaskakiwał ją. Odwracała głowę, żeby go uniknąć, i wtedy widziała Sama, swojego Sama, jadącego równoległym torem, samotnego w całej kolejce wznoszącej się na szczyt.

W tym samym momencie spadała, a z jej gardła wydobywał się krzyk, odbierający możliwość złapania tchu. Spadając, widziała świat przelatujący przed oczyma w smudze kolorów. Dostrzegła uniesione twarze. Nagle zniknęło wszystko. Jo wylatywała ze swojego siedzenia w nieograniczoną przestrzeń i opadała z coraz większą prędkością. Miała pewność, że nigdy nie przestanie spadać, że wypadnięcie z wagonika i spadanie będą trwałe w nieskończoność.

Zawsze w tym momencie budziła się, dysząc i siadała wyprostowana na łóżku, a jej serce biło tak mocno, jak gdyby miało wyskoczyć z piersi. Czasem słyszała własny krzyk więźnący w gardle; czasem dopiero ten krzyk ją budził. Siadała na łóżku, łapiąc powietrze,

zlana potem.

Życie na jawie przypominało w jakimś sensie tę upiorną jazdę ze snu. Jo nie panowała już nad swym życiem. Bardzo chciałaby wysiąść z tej kolejki, stanąć na drodze i spojrzeć w górę, jak czynili to ludzie w jej snach, obserwować kogoś innego, przywiązanego do wznoszącego się pojazdu. Chciała być tylko obserwatorem. Chciała mieć możliwość wyboru.

Ale nie było ani czasu, ani żadnych możliwości wyboru. M u s i a ł a przyjechać do Londynu. Zatrzymała się u Giny. Sam właśnie skończył cykl ALG - globuliny antylimfocytowej, cyklofosforyny i metyloprednizolonu, lekarstw, które miały zniszczyć limfocyty T, atakujące szpik kostny w organizmie.

- Poznajemy dopiero tę chorobę - tłumaczył jej Elliott. - Dwadzieścia lat temu prawie zawsze przegrywaliśmy. Jest znana medycynie od niemal stu lat, ale próby jej zwalczenia przypominały błędzenie w labiryncie. Wiemy, że w wielu przypadkach ALG skutkuje, ale nie wiemy, na jakiej zasadzie. Zakładamy, że odbywa się to przez immunosupresję, ale kiedy próbujemy kopiować ALG in vitro, zachodzi niewłaściwa korelacja.

Stali obok łóżka Sama, którego przeniesiono do izolatki. Pierwszego dnia płakał; patrzył na Jo z pokrytą plamami, nieszczęśliwą twarzą, a w jego spojrzeniu kryło się oskarżenie. Dlaczego mi to robisz? - zdawał się pytać. Żałowała, że nie może położyć się na szpitalnym łóżku i cierpieć za niego. Przymocować się do aparatury, do kroplówek. Włączyła telewizor, ale jego spojrzenie ominęło ekran i powędrowało do okna.

- Wkrótce będzie lepiej - zapewniła go.

Nienawidziła się za te słowa. Skąd mogła to wiedzieć?

Skąd mogła wiedzieć, że mu się polepszy? Jak mogła choćby próbować znaleźć wyjście z tego labiryntu, znaleźć słowa, które wyjaśniłyby wszystko dwulatkowi, skoro sama tego nie rozumiała i sama była przerażona? Nie wiedziała, czy mu się poprawi.

Kiedy jej to wyjaśniano - informowano o lekarstwach, zabiegach - trudno jej szło przyswajanie tych informacji. Zupełnie jak gdyby jej umysł się zamknął. Wystarczy, wystarczy - wołało coś w niej. Wróciwszy do domu w nocy, siedziała niemal do rana, przeglądając strony internetowe w poszukiwaniu informacji o tej terapii. Przyglądając się przy śniadaniu wydrukcom, miała trudności ze zrozumieniem prostych zdań. Zawsze szczyła się swą umiejętnością przyswajania informacji na różne tematy - rzadko kiedy potrzebowała notatek przy wywiadach. Pamiętała. Po prostu pamiętała. Zawsze, ale nie teraz.

- Czuję się, jakby mój mózg umarł - wyznała Elliottowi. - Słyszę, co do mnie mówisz, i myślę, że to rozumiem. A dwie godziny później nie mogę sobie niczego przypomnieć.

Elliott pokiwał głową.

- To normalne - powiedział. - Nie przejmuj się tym. Możemy wszystko powtórzyć i dwadzieścia razy. To żaden problem.

Żaden problem. Nie przejmować się. Normalne.

Co, do cholery, było normalne, w tym oszalałym świecie? Usiłowała pomyśleć, co oznaczało „normalne” jeszcze dwa tygodnie wcześniej. Może spacerowanie po mieście i upominanie Sama, żeby nie dotykał szyb wystawowych, nie biegał w tłumie, nie zabierał zabawek innym dzieciom? To było normalne. Albo siedzenie obok niego, kiedy wylewał koktajl mleczny na siebie i na nią, strącał go ze stołu prosto na swoje kolana? To również było normalne. Kiedy próbował wetknąć do ust tuzin żelek naraz? Normalne. Kiedy siedział na jej kolanach, wpatrzony w ekran laptopa, przyglądając się nazwisku Giny w poczcie internetowej? Znał już literę G; wiedział, że zazwyczaj to, co po niej następowało, doprowadzało jego mamę do śmiechu, i taką mieli zabawę - wszędzie pokazywali G i śmiali się do siebie, to był taki sekretny kod. Normalność, Sam. Pamiętasz to jeszcze? Albo kiedy leżał w jej ramionach nocą, z kciukiem w ustach i opadającymi powiekami, i starał się nie zasnąć. To było normalne. Kiedyś.

Teraz znajdowała się w jakimś innym miejscu, gdzie nie obowiązywały dotychczasowe zasady. Widziała inne kobiety - inne matki - chodzące po mieście, usiłujące utrzymać obok siebie dzieci podczas zakupów, wycierające ich buzie przy kawiarnianych stolikach... Boże, to było nie do zniesienia! Nie przypuszczała, że może się stać taka zła, niezadowolona ze wszystkiego, i nadal być sobą, nadal być Jo Harper.

Każdego dnia, gdy zerknęła w lustro, odczuwała zdziwienie na widok własnej twarzy. Trudno jej było uwierzyć, że ten nowy świat nie odbił się na jej twarzy, że ból, który odczuwała, nie był na niej widoczny, jak blizna czy znamię. Podświadomie oczekiwała bowiem, że ujrzy coś strasznego, przerażającego... Może krew w oczach? Skórę, która się złuszczyła, odsłaniając żywą tkankę? Czarne usta, olbrzymi siniec... Zawsze musiała uciekać od takich myśli. Tak naprawdę nic się w niej nie zmieniało ani nie rozpadało. Była wciąż taka sama. To nie ona, to Sam się zmieniał.

Trzeba go było trzymać z dala od potencjalnych źródeł zakażenia. Nie mógł więc chodzić do żłobka. Nie mogła wozić go środkami publicznego transportu: pociągami, autobusami, samolotami. Musiał unikać tłumów. A więc żadnych przyjęć, żadnych pływali. Musiał unikać nawet sadzawki w ogrodzie, gdzie woda zawsze była pełna liści. Żadnego wychodzenia do ogrodu! Ten zesłany z nieba kawałek ziemi, który dla niego pielęgnowała, okazał się nagle najeżony niebezpieczeństwami.

Jego dieta także zmieniła się diametralnie. Nie mógł już jeść surowych owoców ani

warzyw. Jego posiłki trzeba było gotować, żeby wyeliminować nawet nieszkodliwe bakterie. Żadnego świeżego mleka, żadnego twarogu. Tylko niektóre płatki zbożowe, otwierane i zjadane w ciągu jednego dnia. Należało podawać mu jedzenie paczkowane i puszkowane. Zupełnie jak gdyby znajdowali się w jakiejś długiej podróży, podczas której nie można dostać świeżej żywności. To było jak podróż w kosmos albo wędrówka przez pustą krainę, zamarznąłą i jałową, odciętą od świata, wypełnioną ich prywatnym bólem, w której trwała walka o przeżycie.

Terapia ALG zajęła tydzień. Najgorsze było dopasowanie cewnika Hickmana. Sam potrzebował wielu zastrzyków, a cewnik ów zaprojektowano tak, żeby mu ulżyć: teraz rurka dochodziła wprost do jego klatki piersiowej. Łatwiej... tak, przyznała Jo tej pierwszej nocy. Tak było łatwiej Samowi. Ta niewinnie wyglądająca plastikowa wtyczka zwisająca z jego piersi była dobrze wykonana; przy uważniejszym przyjrzeniu się można było zauważyć niewiele więcej niż plastikową taśmę utrzymującą ją w miejscu. Ale, oczywiście, to było o wiele więcej.

Kiedy to zobaczyła, kiedy przeniesiono tu Sama, Jo poczuła, że wszystko się wali. To nie był strach ani wstręt. To była świadomość, że niczego nie da się zmienić, że świat stał się okrutny i nigdy już nie będzie taki jak wcześniej. Sam z rurką wchodzącą w jego ciało znajdował się w samym oku cyklonu. Mogła go widzieć, mogła go słyszeć, mogła go nawet dotknąć - ale nie mogła go stąd zabrać.

Ułożyli go ostrożnie w łóżku, a on otworzył oczy.

- Cześć, synku - powiedziała. - Jak się masz?

Spojrzał na nią, a jego wargi zadrżały. Potem jednak uświadomił sobie obecność cewnika. Jego ręce wyciągnęły się do miejsca, w którym wchodził w jego ciało. Potem jak, gdyby w zwolnionym tempie, oczy chłopca rozszerzyły się, a jego wyciągnięta dłoń zawisła nad szyją. Musi się czuć tak, jak gdyby zrobiono mu coś strasznego, pomyślała Jo. A ja na to pozwoliłam.

- Wszystko w porządku - usiłowała go pocieszyć. - Dzięki temu jesteś wyjątkowy. Wyjątkowy, Sam.

Wpatrywał się w nią. Widziała w jego oczach bezgraniczne zaufanie.

- Napraw - wyszeptał. - Napraw, mamo.

Jakoś udało się jej uśmiechnąć, poprawić mu kołdrę, pogłaskać po czole, aż na szczęście zapadł w drzemkę. Poszła do toalety, zamknęła się i płakała z rozpaczy.

Za każdy razem, kiedy kąpała, przytulała i karmiła Sama, za każdym razem, gdy kładła się z nim na swoim łóżku i zdumiewała się jego skórą, jego palcami, jego niezwykłą

delikatnością, jego doskonałością, nigdy nie dotarła tak głęboko jak cewnik. Nigdy nie dotarła tak głęboko jak lekarstwo, które w niego pompowali. Nigdy nie dotarła tak głęboko jak to plastikowe urządzenie, które wnikało w jego serce. Nigdy nie dotarła tak daleko jak ta przeklęta choroba, która panoszyła się w jego wnętrzu.

Terapię ALG rozpoczęto od godzinnej dawki próbnej. Jo wręczono broszurę na ten temat. Jak w wypadku każdego lekarstwa, podano w niej skutki uboczne oraz dobroczynne efekty działania. Zmiała ją i wyrzuciła, gdyż lista skutków ubocznych była wyjątkowo długa. Jo nie chciała wiedzieć, że skutkiem terapii może być zatrzymanie akcji serca, uszkodzenie wątroby lub nerek. Pragnęła myśleć tylko o tym, co mu pomoże, co go uzdrowi. Dwie godziny później, o czwartej po południu, Sam zaczął otrzymywać normalną dawkę. Osiemnaście godzin dziennie przez pięć dni, a potem jeszcze płytki krwi, krew i antybiotyki.

Trzeciej nocy przestała płakać. Te łzy i tak wylewała jakaś inna osoba, strachliwa, płaczliwa kobieta. Kobieta, która bez przerwy miała chusteczkę w dłoni. Jakże Jo nienawidziła tej kobiety, tej matki, która szlochała, kiedy do cewnika sączyły się lekarstwa. Nie obchodziło jej, co myślą o niej pielęgniarki. Bolało ją serce, jak gdyby zadano jej cios. Bolały ją zębra, gdyż często nieświadomie wstrzymywała oddech. Siadała i wpatrywała się w chłopca. Nie czuła głodu.

Najgorsze jednak miało dopiero nadejść. Sam stał się milczący, pogodzony z losem. Jego spojrzenie podążało za pielęgniarkami, a potem kierowało się ku matce. Kiedy Jo się do niego odwracała, patrzył na nią z pełnym wiary przekonaniem, że ona może go obronić. To było najgorsze.

\*

Pod koniec tygodnia Elliott powiedział, że powinna jechać do Londynu na pobranie komórek macierzystych. Spodziewała się tego, ale był to cios, który spadł zbyt szybko po pierwszej serii ALG.

- To na wszelki wypadek - zaznaczył.

Znowu siedzieli w jego gabinecie, po piątym dniu terapii. Jo zorientowała się, że wpatruje się w kartkę, na której lekarz narysował tabele. Elliott mówił powoli i ostrożnie, zerkając na Jo, żeby sprawdzić, czy rozumiała. Martwiła go apatia tej kobiety, jej tępy, zrezygnowany wyraz twarzy.

- Oto, co się stanie - powiedział. - Damy ci lekarstwo, które spowoduje nadprodukcję komórek macierzystych.

Zbierzemy je następnie i zamrozimy. Będą gotowe, gdybyśmy ich potrzebowali.

- Jak? - zapytała Jo. - Jak to zrobicie?

- Podłączymy cię do maszyny. To się nazywa afereza. Oznacza rozbitcie krwi, twojej krwi, na pojedyncze komponenty.

- Pod znieczuleniem? - zapytała.

- Nie, po prostu usiądziesz na krześle z rurkami w obu rękach. To potrwa jakieś cztery godziny.

- Aha - mruknęła. - W porządku.

Poczuła, że żołądek wywraca się jej do góry nogami.

- Pięć dni wcześniej podamy ci lek stymulujący układ odpornościowy GCSF. To czynnik wzrostowy. Wprowadza się go tuż pod powierzchnię skóry. Dostaniesz pięć dawek przez pięć kolejnych dni, zawsze o tej samej porze. Powiedzmy, wczesnym popołudniem.

- I co się stanie? - zapytała Jo. - Jak się będę czuła?

Elliott rozłożył ręce.

- Każdy reaguje inaczej - odparł. - Chcemy zmusić twój organizm, żeby zachowywał się tak, jak gdyby zwalczał wirus, więc możesz mieć objawy grypy - czuć ból w mięśniach, zmęczenie, bóle głowy. Może rozboleją cię kości. To dobry znak.

- Dlaczego?

- Szpik kostny zwiększa swoją objętość, tak że rozlewa się do twojej krwi. Mnóstwo komórek macierzystych. Trzeba będzie je tylko wyłapać.

- Jasne - powiedziała Jo. Chryste - pomyślała.

- Potem te komórki zostaną zamrożone. Umieścimy je w ciekłym azocie, powoli, żeby nie utworzyły kryształków. Tak można je przechowywać przez długi czas, całymi latami nawet.

Jo zaczęła się zastanawiać. Przeszły jej nudności wywołane myślą o tym, że godzinami będzie siedziała z igłami w żyłach; zaczęła dostrzegać sztuk sztuki medycznej. To było niemal zuchwalstwo, wyzwanie Boga na pojedynek. Poczuła, że zapłonęło w niej maleńkie światełko. Przez kilka dni będzie jeszcze bliżej Sama. Będzie jego partnerką, będzie go wspierała w walce z niedokrwistością. Pomoże mu. Jo po raz pierwszy odczuła satysfakcję. Zdała sobie sprawę, jakie to genialne w swej prostocie: pobranie komórek, oczyszczenie ich z krwi, oddanie z powrotem. Wreszcie i ona mogła się na coś przydać, ona, która do tej pory czuła się taka bezradna i niepotrzebna u boku Sama.

Elliott uśmiechnął się do niej, jakby czytając w jej myślach.

Jo oparła łokieć na jego biurku i brodę na dłoni. Mogła wyzwąć Boga - nieprzejednanego, surowego Boga - na ten pojedynek. Uśmiechnęła się w końcu i uniosła wzrok.

Elliott wyraźnie się ucieszył.

- Cóż, witaj - powiedział.

- Co? - Jo uniosła brew.

- Uśmiech - odparł. - Pierwszy twój uśmiech.

- Kiedyś często się uśmiechałam. - Wzruszyła ramionami. - Nieźle mi to wychodziło. -

Wstała, żeby opuścić gabinet.

Elliott odprowadził ją do drzwi.

- Rób to częściej - poprosił. - Ta umiejętność znowu ci się przyda.

\*

Siedziała w Szpitalu Uniwersyteckim w Londynie, z Giną u boku. To był pierwszy dzień pobierania komórek macierzystych. Obok stali fotografowie z „Kuriera”. Kiedy Jo poprosiła o przysługę, Gina nie wahała się ani chwili. Dwa dni wcześniej Jo zapytała przez telefon, czy można by zamieścić w gazecie artykuł - choćby tylko króciutki - na temat tego, co robiła. Czy dałoby się zamieścić również fotografię? Wspomnieć o Samie, Dougu albo o obydwóch? Zaznaczyć, jakie to ważne, żeby dziecko znalazło dawcę?

- Oczywiście - odparła Gina.

- Głupio mi o to prosić.

- Dlaczego? - spytała Gina. - Ja się przecież zajmuję najnowszymi wiadomościami.

Jo roześmiała się. Gina zmarszczyła brwi, słysząc ton tego śmiechu.

- Może czytelnicy zapamiętali, że Doug był transportowany drogą powietrzną - powiedziała Jo.

Gina już widziała tę stronę przed oczyma. Nagłówek: „Rozpaczliwy ratunek”. Zdjęcie Jo przy aparacie do aferezy.

- Doug był dzielnym człowiekiem, Jo - odparła łagodnie. - Musisz podtrzymywać rodzinne tradycje.

- Dziękuję - powiedziała przyjaciółka.

- Zatrzymaj się u nas, kiedy przyjedziesz.

- Ale tylko na jedną noc - odrzekła Jo. - Cath jest z Samem. Muszę wracać.

Gina usiłowała nie myśleć o czasach, gdy Jo przyjeżdżała z synkiem i wymykali się do Regents Park albo do Dome, robiąc sobie wagar. Usiłowała nie myśleć o innym Samie, którego ściagała po wiktoriańskich korytarzach Holland Park, gdy bawiła się z nim w Power Rangers.

- Gino... - odezwała się Jo, zanim odłożyła słuchawkę. - Przepraszam, ale muszę zapytać, nie jesteś przeziębiona?



- Nie.
- Nie masz rozstroju żołądka?
- Nie, wszystko w porządku. Jesteśmy zdrowi.
- Przepraszam za to przesłuchanie.
- W porządku. Do zobaczenia.

A jednak ta rozmowa nie przygotowała Giny do widoku Jo na dworcu kolejowym. Choć zawsze szczupła, teraz była po prostu wychudzona. Marynarka zwisała z jej ramion, skóra miała błydy odcień. Tylko uścisk pozostał taki sam: pełen szorstkiego buntu.

- Widzę, że szykujesz się do walki - zauważyła Gina, trzymając przyjaciółkę na odległość ramienia.

Jo wzniosła zaciśniętą pięść.

- Lepiej w to uwierz - powiedziała.

## 28

Telefon zadzwonił o wpół do dziewiątej następnego ranka. „Kurier” znajdował się w sprzedaży od niecałych trzech godzin. Gina i Jo siedziały w gabinecie, wyglądając na rzekę i przypatrując się promom oraz łodziom z turystami. Pomyślały, że woda w Tamizie opadła. Poranek już był ciężki od upału.

Gina podniosła słuchawkę.

- Dział reportażu - powiedziała. - Tak, to ja.

Jo zerknęła na nią. Gina uniosła brew.

- Rozumiem - mruknęła. - Tak.

Jo obserwowała, jak przyjaciółka rysuje w swoim notatniku koła o wspólnym środku, co oznaczało u niej głęboką koncentrację.

- Chwileczkę - powiedziała. Zakryła słuchawkę dłonią. - Znasz Anthony'ego Hargreavesa z HMS *Fox*?

Jo myślała intensywnie.

- Tak, to lekarz, który zajmował się Dougiem - odparła. - Oczywiście!

- Jo Harper jest tutaj - odezwała się Gina do słuchawki. - Chciałby pan z nią rozmawiać?

Uśmiechnęła się i wręczyła słuchawkę Jo.

- Jo Harper - przedstawiła się.

- Pani Harper, mówi Anthony Hargreaves.

- Witam - powiedziała. - Jak się pan miewa?

Na chwilę zapadła cisza.

- Chyba istotniejsze jest, jak miewa się pani? - spytał. - Czytałem artykuł.

- Tak...? - odparła.

- Przykro mi z powodu pani syna.

- Dziękuję.

- Chciałem tylko powiedzieć... - Przerwał na chwilę. - To nie moja sprawa, pewnie mówię to, co i tak pani już wie. Ale pisała pani o dawcach. O dawcach szpiku kostnego. Że Sam potrzebuje kogoś takiego.

- Tak.

- Była pani w Fundacji Jamesa Norberry'ego?

- Jamesa Norberry'ego? - powtórzyła.

- Zajmuje się dawcami szpiku kostnego. Mieści się tu, w Londynie. Mają rejestr ludzi, którzy zgodzili się zostać dawcami.

- Nic o tym nie wiem - odparła. - Powinam tam pójść?

- Doug i John byli na ich liście - powiedział.

Pokój nagle się zakołysał. Jo usiadła na najbliższym krześle.

- Co takiego?!

- Nie pamięta pani? - spytał. - Kiedy obaj znaleźli się na statku, cała załoga poddawała się właśnie badaniom. Członkowie fundacji weszli na statek, gdy staliśmy w Portsmouth. Szukali dawców. Jeden z mężczyzn...

- Ta mała dziewczynka! - krzyknęła Jo. - Na pana tablicy wisiało zdjęcie małej dziewczynki.

- Zgadza się - przytaknął. - Chrissie Wainwright. Miała dziewięć lat. Była siostrzenicą bosmana. Chorowała na białaczkę.

- Pamiętam... - mruknęła Jo. Nie ośmieliła się jednak zapytać, czy dziewczynka przeżyła. Obawiała się odpowiedzi.

- Doug i jego syn poddali się temu badaniu - ciągnął Hargreaves. - Posłaliśmy próbki następnym lotem. Trafiły do fundacji.

- Nic mi nie mówił...

- Obaj dostali kartę. Kartę dawcy.

Jo usiłowała powrócić pamięcią do czasu po śmierci Douga - przypomniała sobie adwokata z testamentem, zamieszanie z Alicją. Przejrzała wtedy mnóstwo korespondencji, ale nie pamiętała takiej karty.

- Miał kartę lekarską ze swoim numerem - powiedziała. - I chyba ubezpieczenie.

- To karta w kolorze kremowym, wygląda jak mały folder - dodał Hargreaves. - Nawet jeśli jej pani nie znajdzie, w fundacji z pewnością są odpowiednie dokumenty.

- Skontaktuję się z nimi.

Zapadła cisza.

- Cóż - odezwał się Hargreaves. - Wątpię, by podali pani nazwiska dawców, pomyślałem jednak, że John powinien być u nich zarejestrowany.

- Ale nikt nie wie, gdzie on jest! - zawołała Jo. - Napisałam w artykule...

- Tak - przerwał Hargreaves - ale to John może się skontaktować z fundacją. Mógł im zresztą powiedzieć, gdzie przebywa. Tylko tyle chciałem pani przekazać. Nie wie pani, gdzie jest John, ale fundacja może to wiedzieć. Może już się z nim skontaktowali, może rozmawiali.

- I będą wiedzieli, czy może zostać dawcą - dopowiedziała Jo.

- Najprawdopodobniej - zgodził się Hargreaves.

- O, Boże... - westchnęła Jo.

Kiedy mu podziękowała i pożegnali się, odłożyła słuchawkę i spojrzała na Ginę.

- Dobra wiadomość? - zapytała Gina. - O co chodzi z Johnem?

Jo nie ruszyła się z miejsca. Jej dłoń powędrowała do ust.

- Masz może książkę telefoniczną? - zapytała po chwili.

- Oczywiście - odparła Gina. Otworzyła szufladę biurka. - Kogo chcesz znaleźć?

- Fundację Jamesa Norberry'ego.

Gina przerzucała kartki.

- Proszę bardzo - powiedziała. - Południowo-zachodni Londyn.

- Jaki jest dokładny adres? - spytała Jo.

- Tarrangore Street.

Jo skinęła głową.

- Muszę tam iść - powiedziała. Sięgnęła po swoją torebkę, leżącą na podłodze.

Gina zerwała się z biurka.

- Spokojnie! - odezwała się. - Poczekaj chwilę. Nie możesz jechać przez cały Londyn.

Nie teraz.

- Dlaczego?

- Musisz być o trzeciej w szpitalu.

- No i co z tego? - spytała Jo. - Mam dużo czasu.

- Powinnaś odpoczywać - przypomniała Gina. - Zaledwie cztery dni temu powiedziałaś, że czujesz się paskudnie z powodu GCSF, pamiętasz? Widziałam, że brałaś

dzisiaj paracetamol.

- Nic mi nie jest.

- Po co tam chcesz iść? - zażądała wyjaśnień Gina. - O co chodzi? O rejestr dawców szpiku? Ci ludzie nie rozmawiają z każdym, kto wejdzie z ulicy.

- Nie wchodzę z ulicy - zaprotestowała Jo. - Jestem matką pacjenta. Jestem też krewną jednego z dawców. Chcę wiedzieć, gdzie jest John. Hargreaves mówi, że oni mogą znać miejsce jego pobytu.

- Nawet jeśli wiedzą, to i tak nie zdradzą ci niczego. To poufne dane - zauważyła Gina.

- Muszą! - stwierdziła Jo.

- Jo, nie zrobią tego. Pomyśl choć trochę.

- Powiedzą mi - zapewniała z uporem Jo. - Muszą!

- Jo...

- Nie rozumiesz?! - krzyknęła Jo. - Jeśli z nim porozmawiają, a on odmówi, to co wtedy?

- Nie wiem. Chyba nie mogą go zmusić.

- No właśnie. Jeśli go znajdą, a on odmówi, to nie mogą zrobić nic. Ale ja mogę.

- Niby co? - spytała Gina.

- Mogę pojechać za nim nawet na skraj świata. Potrafię go przekonać. Zacznę od przeprosin za to, że nazwałam go mordercą.

- Nie miałaś przecież tego na myśli - zauważyła Gina.

Jo popatrzyła na nią ze smutkiem.

- O to właśnie chodzi - powiedziała. - M i a ł a m. Z całego serca w to wierzyłam, ale teraz już nie wierzę. Myślałam, że John wróci do Catherine, a kiedy to zrobi, przeproszę go serdecznie. Ale on nie wrócił...

- Obawiasz się, że jeśli dowie się o Samie, to też nie wróci? - spytała Gina. - Oczywiście, że wróci. Nie byłby człowiekiem, gdyby odmówił. Wróci.

- Nie musi nie być człowiekiem, żeby nie wracać - odparła Jo. - Na pewno czuje się skołowany, winny, samotny i przestraszony. I to przede mną.

Gina przytrzymała ją za ramię.

- Dlaczego nie poczekaasz? - zapytała. - Elliott wkrótce ci powie, czy znaleziono dawcę.

- Nie mogę czekać - odrzekła Jo. - Jeśli istnieje choć cień nadziei, że mogłabym coś zrobić, to muszę to zrobić.

- Ale przecież nie wiadomo, czy John może być dawcą dla Sama!

Jo stała już w drzwiach.

- Muszę to zrobić - powtórzyła. - I tyle.

\*

Fundacja Jamesa Norberry'ego była niemal niewidoczna wśród innych budynków. Jo wysiadła z taksówki i znalazła się na zatłoczonej ulicy. Po jednej stronie, w dużym, szarym budynku znajdowały się mieszkania komunalne; w pobliżu stał kiosk z gazetami, sklep spożywczy, sklep z artykułami żelaznymi, rząd segmentów. Światła na ruchliwym skrzyżowaniu. Pub na rogu. Agencja bukmacherska. Kwaciarnia. Jo pomyślała, że mogłaby się znajdować na dowolnej ulicy w mieście. Nigdzie nie widziała fundacji.

Ruszyła wzdłuż sklepów, szukając odpowiedniego numeru - dwadzieścia trzy... trzydzieści cztery. Zatrzymała się i spojrzała na adres, który zapisała na strzępku papieru. Fundacja mieściła się pod numerem 28/30. Gdzie to jednak było? Musiała przegapić. Wróciła tam, skąd przyszła, i wreszcie znalazła drzwi wciśnięte między wypożyczalnię wideo a pralnię samoobsługową. Nacisnęła guzik domofonu.

- Fundacja Jamesa Norberry'ego - odezwał się jakiś głos.

- Nazywam się Harper - powiedziała Jo. - Muszę z kimś porozmawiać na temat dawcy.

Drzwi się otworzyły.

Jo weszła po schodach. Na szczycie przystanęła zdumiona: powierzchnia wydawała się znacznie większa niż z zewnątrz, szklane drzwi prowadziły do recepcji. Na drzwiach znajdował się kolejny zamek: recepcjonistka spojrzała na nią, po czym otworzyła drzwi. Jo weszła do środka.

- Pani Harper?

- Panna - poprawiła Jo. - Muszę z kimś porozmawiać.

Dziewczyna za biurkiem uśmiechnęła się.

- Poznaję panią z gazety - powiedziała.

- Czy jest tu ktoś, z kim mogłabym porozmawiać?

Dziewczyna skinęła głową.

- Zadzwoiłam po panią Lord - odparła. - Już jest.

Jo odwróciła się i ujrzała kobietę, która wyszła z gabinetu po drugiej stronie recepcji. Niewysoka, szczupła i ciemnowłosa, wyciągnęła rękę do Jo.

- Dzień dobry. Nazywam się Christine Lord.

- Jo Harper.

Christine Lord zerknęła na recepcjonistkę.

- Saro - powiedziała. - Będziemy w sali, gdzie przeprowadzamy rozmowy kwalifikacyjne. Przyniesiesz nam kawę?

Jo niecierpliwie podążyła za panią Lord. Sala, choć była spora, okazała się duszna i zawałały ją jakieś pudła.

- Proszę wybaczyć - powiedziała Christine. - Nie mamy gdzie trzymać przesyłek.

- Dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać - rzekła Jo. - Chciałabym porozmawiać o dawcy z waszych rejestrów.

- Proszę.

- Nazywa się John Marshall. On i jego ojciec, Douglas, zarejestrowali się jakieś trzy lata temu.

- Rozumiem.

Jo popatrzyła przenikliwie na kobietę.

- Są na tej liście? - spytała.

- Tego nie mogę pani powiedzieć.

Jo z trudem złapała powietrze.

- Oddali krew na statku HMS *Fox*.

- Widzieliśmy się z ludźmi z tego statku, owszem - powiedziała Christine.

- A więc macie krew Johna i Douga?

- Tego nie mogę powiedzieć. Przykro mi.

Jo odetchnęła głęboko.

- Douglas Marshall zmarł - oznajmiła. - Zmienił adres, a dwa miesiące później zginął w wypadku. Może usiłowaliście się z nim skontaktować, żeby uaktualnić dane, i nie mogliście go znaleźć? Cóż...

- Wiem, że Douglas Marshall nie żyje - przerwała Christine. - Czytałam o jego śmierci.

- Po śmierci Douga jego syn, John, zmienił adres - mówiła dalej Jo. - Wyprowadził się ze swojego mieszkania na Wilding Crescent 16A w Cambridge.

Nie było odpowiedzi.

- Wie pani, gdzie on jest teraz? - zapytała Jo.

- Jeśli okazuje się, że dawca się nadaje, zwracamy się do niego pod ostatnim znanym adresem - odparła Christine.

- Pisaliście do Johna Marshalla pod tym adresem? No tak, nie może pani powiedzieć. Rozumiem. - Spróbowała z innej strony. - Jeśli tak, to nie było odpowiedzi. Podał wam nowy

adres? Czy skontaktował się z wami i dał nowy adres?!

Christine Lord słuchała z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Wszystko, co robimy, zostaje między dawcą a transplantologiem - powiedziała. - Musimy chronić tożsamość dawców.

- Ale to nie jest zwykły przypadek - stwierdziła Jo.

- Z całym szacunkiem, żaden przypadek, z którym mamy do czynienia, nie jest zwykły. Każdy to sytuacja awaryjna.

Jo dosłownie musiała ugryźć się w język. Chciała wykrzyknąć, że Sam nie jest taki jak inni, ale wiedziała, że to nielogiczne. W tym pokoju, w tych gabinetach, Sam był dokładnie taki jak każdy. Wszystkim pacjentom śmierć zaglądała w oczy.

Christine obserwowała ją uważnie.

- Cenimy sobie każdą informację o miejscu zamieszkania dawcy - powiedziała. - Ludzie rejestrują się z dobrej woli, ale zapominają nas powiadomić, że się przeprowadzają.

- John z pewnością by to zrobił, tego jestem pewna - odparła Jo. Upominała się, żeby mówić spokojnie, rzeczowo. Nie miało sensu złościć się, krzyczeć. - Ale wyjechał nagle... Był wtedy bardzo przygnębiony.

- Jeśli okaże się, że może być dawcą, mamy specjalnych ludzi do nawiązywania kontaktów. Ich praca polega na znajdowaniu zaginionych osób.

Jo pochyliła się w jej kierunku.

- Czy ktoś szuka Johna Marshalla? - zapytała. - Czy go znalazł?

- Przykro mi...

- Błagam, niech pani nie mówi, że tego też nie może mi powiedzieć! - krzyknęła Jo. - Może pani! Jestem matką jego przyrodniego brata! Jego przyrodni brat umiera. Musi mi pani powiedzieć!

Christine Lord potrząsnęła głową.

- Nie mogę, panno Harper - odezwała się łagodnie. - Nie dlatego, że nie chcę, ale dlatego, że jestem prawnie zobowiązana do nieudzielania takich informacji.

Jo ukryła twarz w dłoniach.

- Dawców trzeba strzec - ciągnęła Christine Lord. - Muszą być pewni, że nikt nie zapuka do ich drzwi i nie zażąda szpiku kostnego. Zachęcamy ludzi, żeby się rejestrowali, ale żeby tak się działo, musimy im zagwarantować, że nie będzie wywierany na nich żaden nacisk ze strony rodziców, krewnych, lekarzy czy nas samych.

- Pani nie rozumie - powiedziała Jo. - Nie zamierzam wywierać na niego nacisku. Mam mu coś do powiedzenia, coś osobistego, dla jego własnego dobra. Coś, co dotyczy

czasów, zanim się to wszystko zaczęło. - Zaczerwieniła się. - Muszę go przeprosić.

- Niezależnie od tego, jaka ma być natura kontaktu, nie wolno nam go umożliwić - odparła Christine. - Proszę sobie wyobrazić, co by się stało, gdybyśmy udzielali takich informacji. Proszę sobie wyobrazić, że jakieś dziecko umiera; jego rodzice nie cofną się przed niczym. Proszę sobie wyobrazić, że ktoś dzwoni do dawcy i proponuje mu pieniądze. Albo grozi jemu lub jego rodzinie.

- Nie zamierzam mu grozić - jęknęła Jo.

- Wiem - westchnęła Christine. - Ale tu wchodzi w grę decyzja dawcy, który musi mieć prawo do prywatności. Radzimy dawcom, wspieramy ich, robimy wszystko, aby im ułatwić oddanie szpiku; umieszczamy ich na przykład w prywatnych szpitalach. Płacimy ich wydatki. Zatrudniamy ludzi, którzy czuwają przy nich o każdej porze, rozwiewają ich wątpliwości, udzielają informacji. Działamy jako pośrednicy, jeśli to konieczne, między dawcą a personelem medycznym.

Zapewniamy tłumaczy, kontaktujemy się z duchownymi różnych wyznań, jeśli dawcy sobie tego życzą. Pilnujemy, żeby dbano o ich dietę i osobiste potrzeby. Najważniejsze jednak z tego, co dla nich robimy, ważniejsze niż to wszystko razem wzięte, jest to, że zachowujemy ich anonimowość i szanujemy ich decyzje, jakiekolwiek by były.

Jo wpatrywała się w nią.

- To znaczy, że gdyby John odmówił Samowi pomocy, przesłibyście nad tym do porządku? - wyszeptała. - Nawet gdyby nadawał się na dawcę?

Christine rozłożyła ręce.

- Oczywiście, zrobilibyśmy co tylko można, aby się dowiedzieć, co go dręczy. Czasem przeraża myśl o oddaniu szpiku - wyjaśniła. - Usiłujemy wytłumaczyć wszystko, co tylko możemy wytłumaczyć. Ale nie naciskamy. Nie posługujemy się emocjonalnym szantażem. Nawet nie mówimy, kim jest pacjent. Tak... Co do pani pytania - jeśli ktoś odmawia, nie wolno nam nalegać. Nawet jeśli ktoś się zgodzi, jeśli pacjent jest przygotowywany do przeszczepu, drzwi do sali operacyjnej są otwarte, a dawca leży na wózku... Jeśli wtedy zmieni zdanie... nie ma przeszczepu. Nie ma dawcy.

- Chyba nikt tego nie robi?

- Nie wiem o nikim, kto by się wycofał w tak późnej fazie - odparła Christine. - Ale nie można przewidzieć, czy tak się nie stanie. Czasem ludzie się wycofują.

- Dlaczego? Przecież wiedzą, że chodzi o czyjeś życie.

- Zgadza się - przytaknęła Christine. - Proszę jednak pamiętać, dlaczego się zgłosili. Siedmiu dawców na dziesięciu rejestruje się, bo ktoś, kogo znali, zachorował i potrzebował



przeszczepu. Oddali krew, żeby się zarejestrować i sprawdzić, czy mogą być dawcami. - Wzruszyła ramionami. - Czasy się jednak zmieniają. Może osoba, którą znali, zmarła. Może już wcześniej oddali szpik, a ta osoba i tak nie przeżyła. Może cały ten proces jest tak związany z bólem, z koszmarnymi wspomnieniami, z poczuciem winy, że nie chcą przez to jeszcze raz przechodzić?

Poprawiła się na krześle.

- Mamy do czynienia tylko z ludźmi - przypomniawszy. - Przez cały czas mamy do czynienia z ludźmi w stresie. My też jesteśmy w stresie. Musimy postępować tak ostrożnie, jak się tylko da.

- Nawet wiedząc, że w tej samej chwili może umierać dziecko? - odezwała się Jo.

- Tak - odparła Christine.

Ktoś zapukał do drzwi. Weszła recepcjonistka z tacą i postawiła kawę na stole.

- Ma pani ochotę na coś jeszcze? - spytała. - Szklankę wody? Sok?

Jo przez chwilę nieuważnie wpatrywała się w tacę, po czym podniosła wzrok.

- Szklankę wody - poprosiła. - Bardzo dziękuję.

Christine Lord odwróciła się, sięgnęła do niewielkiego biurka za sobą i wyjęła kartkę papieru.

- Tylko jedno mogę pani zaproponować - powiedziała. Popchnęła kartkę w kierunku Jo. - Jeśli John Marshall kiedykolwiek skontaktuje się z tym biurem, przekażę mu ten list, pod pewnymi warunkami.

- Zrobiłaby pani to? - Jo wpatrywała się w kartkę.

- Niczego nie mogę obiecać - powiedziała Christine. - Ale zatrzymam ten list u siebie. Jeśli kiedykolwiek skontaktujemy się z Johnem Marshalllem, z jakichkolwiek powodów - powtarzam: j e ś l i - powiem mu, że czeka na niego list od pani. Ale oddam mu go tylko wtedy, jeśli mnie o to poprosi.

- Dziękuję - szepnęła Jo.

Przez pół godziny siedziała samotnie w pomieszczeniu i układała to, co chciała przekazać Johnowi. Okazało się to bardzo trudne. Pierwszy szkic był historyczny, pisała o tym, jak chory jest Sam, jak zrozpaczona ona, jak pragną powrotu Johna. Twierdziła nawet, że to jego obowiązek. Gdy przeczytała list, zdała sobie sprawę, że to żądanie, zwykły emocjonalny szantaż. Wydarła kartkę, zmięła ją i zaczęła od początku. Tym razem odkryła, że uda jej się zmieścić wszystko, co chciała przekazać, w kilku prostych zdaniach.

*John, proszę, wybac mi te straszne rzeczy, które mówiłam. Bardzo mi przykro, tym bardziej że niezbędna nam jest teraz twoja pomoc. Jeśli chciałbyś wrócić do domu, albo*

*potrzebujesz, żeby ktoś ci w tym pomógł, proszę, skontaktuj się ze mną.*

Napisała na dole swój numer telefonu i adres e-mailowy, zakleiła kopertę i wróciła do recepcji, gdzie czekała Christine Lord.

- Gdyby się skontaktował... - zaczęła Jo.

- Zrobimy, co w naszej mocy. - Christine wzięła list i włożyła go do kieszeni.

Jo zawahała się po raz ostatni.

- Rozumiem, że nie powie mi pani, czy są jacyś odpowiedni dawcy, nawet jeśli to nie John? - zapytała.

Christine Lord położyła rękę na ramieniu Jo.

- Gdy tylko znajdzie się dawca, zawiadomimy transplantologa - odparła. - Poprosimy, żeby skontaktował się z panią, tylko jeśli podejmie pozytywną decyzję w odniesieniu do dawcy. Nawet lekarz zna tylko numer identyfikacyjny dawcy, a nie jego nazwisko. Zapewniam jednak panią, że jeśli mamy pozytywny wynik, nie marnujemy ani chwili. Ani sekundy.

Jo wpatrywała się w twarz kobiety. Widziała na niej współczucie.

- Jasne - odparła. - Dziękuję.

Jeszcze raz spojrzała za recepcję, w kierunku korytarza z kolejnymi zabezpieczeniami i zamkami. Usiłowała sobie wyobrazić, co się za nimi znajduje. Wiedziała, że gdzieś w tych pokojach jest karta z nazwiskiem Johna, będąca ogniwem w łańcuchu, którego nie wolno było zerwać. Może są tam także inne nazwiska, nazwiska ludzi, których nigdy nie spotkała i których krew idealnie pasuje do krwi Sama? Może niektórzy nadają się na dawców, ale w niewystarczającym stopniu? Może są i tacy, którzy nadają się idealnie, ale nie chcą być dawcami? Nigdy się nie dowie. Popatrzyła na Christine Lord.

- Cóż... Do widzenia.

- Do widzenia, panno Harper. Życzę szczęścia.

Christine Lord wsłuchiwała się w kroki Jo na schodach i szcęk otwieranych drzwi, prowadzących na ulicę. Wróciła do swojego gabinetu i przyglądała się przez okno, jak Jo zatrzymuje taksówkę i wsiada. Wtedy usiadła przy komputerze. Spojrzała na rząd ekranów, na fluorescencyjne światła, które męczyły oczy, na blankiety podań i uaktualnione formularze, ulotki promocyjne i apele, na cenne listy od ludzi pytających, jak zostać dawcą. Ujrzała przelotnie swoje odbicie w lustrze na parapecie: zmęczoną kobietę, która była zawsze o krok od wzięcia sobie paru wolnych dni, lecz nigdy nie znajdowała na to czasu. Za lustrem wędły nie podlewane zielistki, a śmiecie wysypywały się z koszy. Christine pomyślała, uśmiechając się drwiąco do siebie, że odkąd podjęła pracę w fundacji, nigdy nie miała czasu

na nic. Wszyscy zresztą stawali tu codziennie do wyścigu z czasem. Mimo dramatycznych wysiłków, zawsze brakowało im i czasu, i pieniędzy.

Skupiła się na formularzu wstępnym, leżącym na wierzchu sterty papierów. Tego ranka, jakieś dwadzieścia minut przed pojawieniem się Jo Harper, Fundacja Jamesa Norberry'ego otrzymała prośbę o znalezienie dawcy dla dwuletniego chłopca z Cambridge. Nie reagował na kurację ALG. Christine przejrzała dane pacjenta. Na górze kartki widniało pytanie, czy sprawa jest pilna. *Tak* - napisał lekarz.

*Data urodzenia: 11 czerwca 1998*

*Płeć: męska Rasa: biała*

*Diagnoza: ciężka niedokrwistość aplastyczna*

*Nazwisko: Samuel Douglas Marshall*

Christine zaczęła nanosić dane do programu wyszukującego odpowiednich dawców. Badanie serologiczne krwi, badanie DNA w kierunku genów przenoszących chorobę, typ cytomegawirusa, lekarz, centrum przeszczepów, data diagnozy. Kiedy zakończyła wpisywanie informacji, wcisnęła klawisz „znajdź”. W takich właśnie chwilach wszyscy pracujący w fundacji zaciskali kciuki i zaczęli się modlić. Niezależnie od tego, jak długo pracowali i ilu dawców znaleźli, kiedy tylko rozpoczynało się poszukiwanie, zawsze następował taki moment, gdy los rozdawał karty.

Trzeba było sprawdzić dwa miliony dawców na całym świecie. Każde poszukiwanie polegało na sprawdzeniu tych samych komponentów - układu antygenów HLA, czyli zgodności tkankowej antygenów we krwi. Istniały trzy główne cząsteczki: HLA-A, HLA-B, HLA-DR. Zidentyfikowano trzy główne grupy antygenów zgodności tkankowej: HLA-A, HLA-B, HLA-DR. Jak dotąd, rozpoznano dwadzieścia cztery prawdopodobne antygeny w grupie HLA-A, pięćdziesiąt dwa w grupie HLA-B i dwadzieścia w grupie HLA-DR. Wraz z każdym nowym antygenem liczba możliwości wzajemnych oddziaływań błyskawicznie rosła. Skoro każdy człowiek posiadał przynajmniej dwa antygeny w każdej cząsteczce, teoretycznie możliwe było ponad sześćset milionów kombinacji HLA. Komputer przeszukiwał właśnie te sześćset milionów, ścigając pasujące do siebie opisy przez zwężające się tunele prawdopodobieństwa, odrzucając natychmiast wielu potencjalnych dawców.

Szansę powodzenia zwiększały się w wypadku antygenów innych niż HLA, których rola w przeszczepie była niejasna. Uważano, że te niejasne cząsteczki czy poziomy mogą być winne niepowodzeniu przeszczepu; organizm buntował się przeciwko nowemu szpikowi i odrzucał go. Testy DNA już ujawniły, że antygeny, które niegdyś uważano za identyczne, kryją w sobie nawet do dziesięciu wariantów czy mikrowariantów.

Christine Lord często się zastanawiała, co ludzie będą w przyszłości myśleli o tych metodach doboru, kiedy już zostaną odkryte nie znane dziś składniki krwi. Zastanawiała się, czy jako stara kobieta będzie w stanie spojrzeć wstecz i zobaczyć, jakim ryzykownym hazardem był każdy przeszczep w roku dwutysięcznym, gdy zestawiano antygeny, podając lekarstwa, które miały ułatwić przyjęcie przeszczepu, kiedy ingerowano w delikatną strukturę organizmu, za pomocą wprowadzenia szpiku obcego człowieka. Mimo ogromnego ryzyka przeszczep czasem się udawał, a wówczas chorzy zyskiwali szansę na powrót do zdrowia.

Christine Lord obserwowała obrazy skaczące na ekranie przed sobą, jedyny objaw trwających poszukiwań. Oparła głowę na ręce i czekała. Sześćset milionów kombinacji. Dwa miliony dawców. Jeden mały chłopiec w izolatce w Cambridge. Nie powinna się tak angażować, a jednak robiła to. Patrzyła z nadzieją na ekran, jak gdyby chodziło o życie jej własnego syna. Samuel Douglas Marshall powinien mieć taki sam rzadki haplotyp ojca jak jego brat. Jo Harper powinna mieć inny haplotyp, taki sam jak matka Johna Marshalla.

Christine przyłożyła ręce do twarzy i zakryła oczy. Oparła głowę na dłoniach, nie patrząc na ekran. Oceniała szanse na jeden do dwudziestu milionów.

## 29

Dwudziesty siódmy kwietnia tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku. Wielki Czwartek. Crozier stał samotnie na lodzie w odległości stu metrów od statków. Jego serce przepełniało wzruszenie. Powiada się, że żeglarze są zaślubieni z morzem - w wypadku Croziera to powiedzenie się sprawdzało. Czuł, że cała dusza należy do jednostki, na którą spoglądał. Jej kadłub nadal stawiał opór wichurom szalejącym tej zimy.

Losy Croziera od dziewięciu lat były ściśle związane z *Terrorem*. Pływając na nim, miał okazję dotrzeć na dwa lodowe kontynenty. Przebył na jego pokładzie tysiące kilometrów. Dopłynął na Antarktykę pod dowództwem sir Jamesa Clarka Rossa. Znał ten statek lepiej niż jakiegokolwiek inne miejsce. Znał jego kształty, dźwięki, które wydawał, możliwości i mocne strony. Statek był jego dumą.

Pomimo stale atakujących sztormów nadal świetnie się prezentował. Stał, wtopiony w lód, tylko nieznacznie odchylony od pionu. Przymykając oczy, Crozier mógł sobie wyobrazić, że statek lekko unosi się na morskiej fali i płynie wzdłuż brzegu w kierunku otwartego morza. I rzeczywiście płynął, nawet tej zimy. Na podstawie własnych obliczeń Crozier doszedł do wniosku, że *Erebus* i *Terror* przebyły trzydzieści pięć kilometrów w kierunku południowym, niesione przez dryfujący lód. Było to zauważalne, lecz nie wystarczające. Zabrakło niespełna

dwustu kilometrów do otwartej wody.

Zastanawiał się, jak długo jeszcze statki wytrzymają napór mas lodowych.

Choćby jutro mogły zostać uszkodzone przez lód lub wiatr. Albo też dryfować całymi latami, gdyby nie zniszczyły ich siły natury. Przy tempie piętnastu kilometrów rocznie można było założyć, że w przeciągu dziesięciu, jedenastu lat te dwa olbrzymy wyzwolą się z oków lodu i popłyną w stronę cieśnin na zachód. Crozier zastanawiał się, czy to w praktyce możliwe. Myślał o widoku dryfującego *Terrora*, bez załogi, pozbawionego masztów. Statek-widmo, pokonujący przestworza oceanu. Zastanawiał się, w jaki sposób opuszczona jednostka dotrze do Przejścia Północno-Zachodniego. Czy jest to w ogóle możliwe bez załogi. A załoga musiała opuścić statek. Musiał opuścić go i kapitan, bez względu na to, jak wiele statek dla niego znaczył.

Przyjrzał się swoim dłoniom. Ten dzień był dość ciepły, zaledwie minus dziesięć stopni, więc zaryzykował zdjęcie rękawic. Tam, gdzie stał, w jasnym świetle dnia wszystko świetnie dostrzegał. Przysunął dłonie bliżej oczu i odwrócił. Sine ślady zaczęły się pojawiać nawet na mięsistych wypukłościach wnętrza dłoni i wokół paznokci kciuków. Skóra stała się blada, pokryły ją starcze plamy. Na nadgarstkach uwypukliły się pasma żył; kostki palców pokrywały rany, które nie powstały ani z zimna, ani z powodu skaleczeń. Były to oznaki obumierania ciała.

Założył rękawice z powrotem, ostrożnie, powoli, godząc się wreszcie na przyjęcie prawdy, której całymi miesiącami nie dopuszczał do siebie. Nie zrobił tego nawet w ciągu kilku ostatnich tygodni, już po tym, jak kazał przenieść wszystkie zapasy na brzeg; obawiał się, że szalejąca wichura może zniszczyć statki. Nawet gdy wydał już podkomendnym rozkaz spakowania się, nie chciał przyjąć do wiadomości nieubłaganej prawdy.

A prawda była taka, że załogi umierały, wszyscy ich członkowie, on sam również. Najsilniejszy atak szkorbutu zaczął się w ubiegłym roku. Nikt nie wiedział, nawet lekarze, co było przyczyną. Wiadomo było tylko, że ma to coś wspólnego z dietą i że świeże mięso oraz sok z cytryn chronią przed chorobą. Nikt nie miał jednak pojęcia, co to za choroba.

Obawiano się szkorbutu. Kiedy człowiek stawał się ustawicznie zmęczony, pod jego skórą pojawiały się krwawe wybroczyny, puchły dźiąsła, a zęby zaczynały się ruszać, żeglarze wiedzieli, z czym mają do czynienia. Chorzy odczuwali zaburzenia oddechu przy najlżejszym wysiłku fizycznym, nie byli w stanie wykonywać swych obowiązków. Praca umysłowa - pisanie dziennika, dokonywanie obliczeń - również stała się niezmiernie skomplikowana, a stopień jej trudności zwiększał się z dnia na dzień. Crozier wiedział, że myśli mu się płaczą. Często z trudem udawało mu się dobrać słowa, aby dokończyć zdanie.

Stał się niezręczny, sprawiały mu kłopot najprostsze nawet czynności, jak choćby ubieranie czy mycie. Nie mógł dobrać do końca rozdziału swej ulubionej książki. Wszyscy go denerwowali. Bez względu jednak na to, co mu dolegało, tę samą chorobę widział we wszystkich twarzach wokół.

Jedynym sprawdzonym sposobem walki ze szkorbutem było podawanie chorym odpowiednich środków, przede wszystkim soku z cytryny. Zarówno *Erebus*, jak i *Terror* wyruszyły w podróż z ogromnymi zapasami tego płynu, przechowywanego w beczkach. Na statki załadowano przeszło dwa tysiące kilogramów soku i załoga nadal dysponowała jego zapasami wystarczającymi na trzy miesiące. Crozier przypuszczał jednak, że sok, tak długo przechowywany, stracił właściwości, które pomagały w zwalczaniu choroby, tym bardziej że kilkanaście już razy zamarzał i topniał. Nadal wydawali ludziom sok, lecz kuracja przynosiła mizerne efekty.

Podniósłszy głowę, ujrzał Fitzjamesa zmierzającego po lodzie w jego kierunku. Obserwował, jak jego zastępca wolno przemierza pustkowie. Fitzjamesa uważano niegdyś za najprzystojniejszego mężczyznę w marynarce. Był wówczas wysoki, śniady, rzucający się w oczy; teraz jakby się skurczył, powłóczył nogami, a o jego twarzy nie dałoby się już powiedzieć nic miłego.

Fitzjames sporo wycierpiał przez kilka ostatnich tygodni, zapadłszy na zapalenie płuc. Medycy stwierdzili, że udało się organizmowi pokonać chorobę, lecz Crozier nie był o tym przekonany. Z odległości wielu metrów słyszał ciężki, rzęzący oddech swego zastępcy.

- Jakie są wyniki? - spytał. Rankiem nakazał Fitzjamesowi i Williamowi Rhodesowi, jednemu z kwatermistrzów, sprawdzenie zapasów.

- Niezbyt dobre - odparł Fitzjames i rozkaszał się. - Mamy zapas węgla na dziesięć dni.

- Pracy silnika?

- Tak.

- A do gotowania?

- Może wystarczy do końca lata.

Crozier bezsilnie uderzył pięścią o swe biodro.

Tego dnia pogoda po raz pierwszy od czterech tygodni była przychylna ludziom. Przez ostatni miesiąc sztormy szalały bez końca. Słońce, którego tak długo wyczekiwali w czasie zimowych miesięcy, prawie wcale nie wyglądało zza chmur. Nikt nie wychodził nawet na pokład. Tylko raz garstka mężczyzn odważyła się zejść na lód i wyrębać przeręble, aby nałapać ryb. Ta wyprawa kosztowała jednak ludzkie życie.

Wiatr wiał z niewiarygodną, isticie piekielną siłą. Okazało się, że pora roku, która powinna pozwolić im zaoszczędzić paliwa i puszkowanej żywności, zmusiła ich do dwukrotnie szybszego zużywania zapasów. Miało ich wystarczyć na trzy lata, a czas ten mijał dwiętnastego maja.

W styczniu szkorbut na dobre zadomowił się na statku. Z powodu choroby zmarło dwudziestu jeden mężczyzn. Ich zmagania ze śmiercią trwały długo, dzielnie walczyli o życie. Ostatecznie jednak każdy z nich musiał ulec niezmordowanemu wrogowi. Dwóch odeszło we śnie, czterech z powodu wyczerpania organizmów, ośmiu innych zmarło na zapalenie płuc. Pozostali, będący cieniami samych siebie - zmarli, dręczeni przez halucynacje, płacząc i sztywniejąc podczas kolejnych ataków.

Za każdym razem, gdy któryś z nich umierał, do głowy Croziera wracała uporczywa myśl, że załogi dziesiątkuje coś jeszcze oprócz jadu kiełbasianego, którego sama nazwa budziła w nim gniew. Istniało coś innego i wiedział, że ma to związek z konserwami. Kolejne zgony następowały szybciej i były boleśniejsze. Znacznie szybciej postępowała też gruźlica. Apatyczne spojrzenia mężczyzn, nawet tych uznawanych za zdrowych, budziły lęk. Często też wybuchały kłótnie, marynarze zaniedbywali swoje obowiązki; nawet opowieści snute przez nich brzmiały dziwnie. Wszystko było odmienne niż podczas innych rejsów.

Kapitan starał się otrząsnąć z nawrotów lęku, które również świadczyły o chorobie. Wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Dalsze pozostawanie na pokładzie było równoznaczne z wyrokiem śmierci - brakowało zarówno paliwa, jak i żywności. Jedyłą nadzieją na przetrwanie było świeże mięso, które mogli znaleźć bardziej na południe. Musieli ruszyć w drogę. Jeśli nie porzucą jedyne miejsce, które dawało im schronienie, zamieni się ono w zbiorowy grób.

- To jeszcze nie wszystko - oznajmił Fitzjames.

Crozier spojrzał na niego uważnie.

- Nie wszystko? - powtórzył. - Co to ma znaczyć?

- Zbadaliśmy wszystkie skrzynie z żywnością - mówił Fitzjames. - Dotarliśmy do zapasów z samego dna statku, pierwszych, które przysłał Goldner.

- I co?

- W każdej skrzyni znaleźliśmy puszki, które eksplodowały - obwieścił Fitzjames. - Puszki z mięsem.

Mężczyźni wpatrywali się w siebie przez chwilę.

- Ile? - spytał Crozier.

- Dziewięćdziesiąt jeden puszek, każda o wadze dwóch i pół kilograma.

- Dobry Boże - wyszeptał Crozier. - Co więc jeszcze nam zostało?

- Osiemdziesiąt dwie puszki z mięsem i sto z zupą.

Crozier zamyślił się. Przy racjach zmniejszonych o połowę żywność mogła z trudem wystarczyć na siedem tygodni. Za siedem tygodni przypadał koniec czerwca. W czerwcu poprzedniego roku nadal tkwili tu skuci lodem. Na jego powierzchni nie pojawiło się ani jedno pęknięcie. Nie mogli raz jeszcze podjąć takiego ryzyka.

Musiał zaprowadzić swoich ludzi tam, gdzie lód już stopniał. Nie na północ, nie na zachód - musieliby przebyć setki kilometrów, zanim dotarliby do otwartego morza. Południe! Tylko ten kierunek wchodził w grę. Pójdą tam, dokąd nie mogą dotrzeć statki, w stronę Przejścia, które podobno widział Gore w swojej ostatniej podróży.

Spojrzał na Fitzjamesa.

- Przykro mi, James - powiedział.

Nie musieli mówić nic więcej. Fitzjames wiedział to samo, co Crozier. Oczekiwanie dobiegło końca, przysłała pora wymarszu. Przez twarz młodszego mężczyzny nie przebiegł nawet cień emocji. Miał trudności z pokonaniem tych stu metrów, które dzieliły ich od statków. Jego twarz pokrywały rany, zwłaszcza w okolicach ust, które zniekształcone były przez wrzody. Widać je także było na języku. Ten człowiek nie był w stanie przejść choćby i kilometra. Crozier położył mu rękę na ramieniu.

- Nie mamy wyboru - stwierdził Fitzjames.

Razem udali się w stronę statku.

\*

Na pokładzie *Erebusa* zgromadziło się stu czterech mężczyzn. W ciągu ostatnich trzech lat zmarło dwudziestu pięciu członków załogi, między innymi Franklin. Przez chwilę Crozier wspominał nie tylko swojego dowódcę, lecz także osobę znacznie niższą rangą, nieszczęsnego Torringtona. Następnie wyłowił wśród zebranych twarz Augustusa Petermana. Chłopak wyrósł i ogromnie wyszczupłał, została z niego sama skóra i kości. Matka nie poznałaby go, pomyślał Crozier. Stał się mężczyzną. Crozier powiódł wzrokiem po pozostałych marynarzach, wyczuwając ich zaniepokojenie.

- Kiedy rozpoczęliśmy tę podróż, mieliśmy nadzieję zakończyć ją sukcesem - zaczął. - Sami wiecie, że utknęliśmy tu na dobre. Właśnie wy przeżyliście to, czego nie doświadczył żaden inny marynarz przed wami.

Zgromadzeni wsłuchiwali się w jego słowa, nikt nawet nie drgnął. Crozier przypuszczał, że dobrze wiedzą, co im za chwilę powie.

Nad statkiem rozpościerało się krystalicznie czyste niebo, a pokład tonął w



opalizującym światłem. Gdyby kapitan przyjrzał się uważniej swoim podkomendnym, ujrzałby takie same sińce, które widział na własnym ciele. Napotkał zdeterminowany wzrok jednego z marynarzy. Inny spojrzał na morze i potarł oczy kułakiem.

- Nie mógłbym oczekiwać od was niczego więcej, wy zresztą nie moglibyście mi nic więcej ofiarować - stwierdził Crozier. - Pragnę wam jednak podziękować, podobnie jak nasz kraj dziękuje wam, za waszą odwagę.

Cisza. Na tkwiącym w lodowym uścisku statku nie słychać było nawet najcichszego szeptu.

- Wyruszyliśmy z Greenhithe z zapasami wystarczającymi na trzy lata - ciągnął Crozier. - Na podstawie rzetelnie przeprowadzonych obliczeń wiemy już, że zostało nam żywności na trzy miesiące, przy ograniczonych racjach. Jutro rano opuścimy statki - oznajmił. - Zapasy umieścimy na trzech łodziach. Skierujemy się w stronę rzeki Backs Fish.

Tym razem dał się słyszeć pomruk. Crozier pozwolił, aby przetoczył się on przez tłum.

Rzeka Backs Fish była oddalona o trzysta czterdzieści kilometrów w kierunku południowym. Wiedzieli, że nie pociągną łodzi dalej niż na odległość dwóch, trzech kilometrów dziennie. Nawet gdyby wszyscy członkowie załogi cieszyli się świetnym zdrowiem, byli sprawni i silni, nie dotarliby do rzeki w czasie krótszym niż sto pięćdziesiąt dni. A jej ujście znajdowało się w odległości półtora tysiąca kilometrów od najbliższej osady Kompanii Hudson Bay nad Wielkim Jeziorem Niewolniczym. Dla wszystkich było jasne, że nie uda im się tam dotrzeć. Wielu nie miało żadnych szans dojść nawet do rzeki.

- Mam mapy terenów, przez które zaczniemy marsz - oznajmił Crozier. - Nie dysponuję jednak mapami obszarów rozciągających się na wschód. Zdaję sobie sprawę, że droga rzeką jest trudna, lecz kiedy dotrzemy nad Backs Fish, nadal będzie trwało lato. Na rzece nie natkniemy się na lód, jestem natomiast przekonany, że spotkamy tam ludzi z Kompanii Hudson Bay, którzy zostaną wysłani na poszukiwania, jeśli do końca wiosny nie damy znaku życia.

Ponownie rozległ się pomruk. Nie wszyscy podzielali wiarę Croziera w ofiarność Kompanii Hudson Bay.

- Sir George Back odnotował, że u ujścia rzeki można się natknąć na liczne stada jeleni, piźmowolów i ptaków - kontynuował kapitan. - Bez trudu zdobędziemy więc żywność. W razie potrzeby uda nam się zgromadzić zapasy na całą zimę.

Nie dodał jednak, że Back napisał coś jeszcze. Rzeka była rwąca, a jej bieg przerywały liczne wodospady.

Dały się słyszeć głosy. Crozier spojrział w tamtą stronę.

- Mówcie głośniej! - krzyknął. - Pytajcie, jeśli macie jakieś wątpliwości.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

- Fury Beach... - rozległ się jakiś głos.

- I co z tego?

- Tam można znaleźć żywność - padła odpowiedź. - Ross pozostawił tam zapasy.

Fury Beach znajdowała się kilkaset kilometrów na północ, na wschodnim brzegu wyspy Somerset. Nazwa tego miejsca pochodziła od statku HMS *Fury*, który roztrzaskał się tam w tysiąc osiemset dwudziestym piątym roku. Jednostką dowodził sir Edward Parry. Wszystkie zapasy ze statku zgromadzono na brzegu.

- Żywność na Fury Beach ma już przeszło dwadzieścia lat - przypomniał Crozier. - A my potrzebujemy świeżego mięsa. Na Fury nie ma świeżej żywności ani dziczyzny. Sir John Ross stwierdził to już dziesięć lat temu.

Odwrócił się w stronę swojego specjalisty od lodu.

- Pan Blanky służył pod dowództwem sir Johna - dodał. - Poinformował mnie, że Fury i Somerset to jałowe tereny. Nie ma tam zwierzyny, czasem tylko pojawiają się lisy lub zające. Nawet pięciu ludzi nie zdołaloby z tego wyżyć, nie mówiąc o setce mężczyzn.

Załoga spojrzała na Blanky'ego, a następnie znów utkwiała wzrok w kapitanie.

- Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy - stwierdził Crozier, pochylając się do przodu. - Znaleźliśmy się w sytuacji krytycznej. Nie możemy tu zostać, nie możemy powędrować na zachód ani na wschód, nie uda nam się też popłynąć na północ. Pozostaje tylko południe, a marsz oznacza nieuchronną śmierć części z nas. Pozostanie wszakże w tym miejscu to wyrok śmierci dla wszystkich. Statki jakoś dotąd przetrwały, lecz byle sztorm może je znieść. Musimy też pamiętać, że jeśli to lato będzie takie jak poprzednie, nie znajdziemy tu żywności ani też nie uwolnimy się z lodu.

Zapadła głęboka cisza.

- Weźmiemy trzy łodzie - ciągnął Crozier. - Każda waży trzysta sześćdziesiąt kilogramów. Osadzimy je na dębowych płozach. Zabierzemy namioty, żagle i wiosła, a także żywność, odzież, proch, broń i paliwo.

Kapitan zamilkł. Obawiał się, że lada chwila zadrzy mu głos.

Marynarze oddalili się w myślach od miejsca, w którym stali. Zaczęli wspominać swoje domy, ulice lub farmy albo też inne wyspy. Pomyśleli o żonach, rodzicach, dzieciach. Przypomnieli sobie Wielkanoc; za trzy dni zarówno kościoły, jak i piwiarnie zapełnią się ludźmi. Myśleli o angielskiej wiosnie, łagodnie przechodzącej w lato. Jeden czy dwóch

pochyliło głowy. Wielkanoc... Kuszenie Chrystusa, zdrada i cierpienie. Mieli wyruszyć w Wielki Piątek, dzień ukrzyżowania. Co bardziej religijnych mężczyzn przeszedł dreszcz. Ten dzień nie był dla nich dobrym dniem na rozpoczęcie podróży.

Crozier patrzył w kierunku południa. Unikał wzroku Fitzjamesa, Little'a, Irvinga, jak też innych oficerów stojących u jego boku.

- Pozostawiamy na łaskę Opatrzności najwspanialsze statki na świecie - powiedział cicho. - I oddajemy się w opiekę Stwórcy.

## 30

O wpół do dziewiątej następnego ranka Catherine czekała w holu Akademii Badawczej, wpatrując się w ścieżkę za szklanymi drzwiami. Kiedy pojawiła się Alicja, Catherine zrobiła krok do przodu.

- Pani Marshall...

Alicja stanęła.

- Pani...?

Drzwi za nimi otworzyły się. Inni ludzie, którzy najwyraźniej rozpoznali Alicję Marshall, weszli i także się zatrzymali, żeby na nią poczekać.

- Przepraszam - powiedziała Alicja do Catherine. - Mam zaraz spotkanie członków zarządu. - Ruszyła przed siebie.

Catherine pobiegła za nią.

- Czy on jest w kraju? - spytała.

Alicja dotarła do podnóża schodów.

- Kto pozwolił pani nachodzić mnie? - spytała.

- Chodzi o Johna - odezwała się Catherine. - Muszę wiedzieć. Proszę.

Za nimi pojawił się jakiś mężczyzna.

- Wszystko w porządku? - zapytał Alicję.

- Nie mam pojęcia, jak ta osoba dostała się tutaj - odparła. - Drzwi miały być zamknięte do dziewiątej trzydzieści.

- Proszę... - powtórzyła Catherine. Otworzyła torbę, wyjęła z niej portfel, z którego wyciągnęła fotografię Sama.

Podążyła ją Alicji.

Ta zamarła.

- Kto panią przysłał? - zapytała po chwili.

- Przyszłam sama - powiedziała Catherine. - Widzi pani tego chłopczyka?  
- To ta Harper! - odezwała się Alicja. - Oto kto panią nasłał!  
- Nazywa się Samuel Douglas Marshall - poinformowała Catherine. - Ma dopiero dwa lata.

- Czy zawołać ochronę? - spytał mężczyzna.  
- Jest bardzo chory - ciągnęła Catherine. - Wiedziała pani o tym? Cierpi na chorobę zwaną niedokrwistością aplastyczną.

Wydawało się jej, że Alicja mrugnęła nerwowo.

- Pisano o tym w gazetach. Widziała się pani z jego matką? - spytała Catherine.

Twarz Alicji stała się biała. Kobieta złapała Catherine za łokieć i odciągnęła ją na bok.

- Dlaczego uważa pani, że miałabym się widzieć z jego matką? - wysyczała.

- On jest bardzo chory - powtórzyła Catherine.

Alicja zacieśniała uścisk.

- Ja też mam syna - powiedziała. - I miałam męża. Może pani już o tym nie pamięta, jak niektórzy inni.

Catherine usiłowała oswobodzić rękę.

- Wspierałam mojego męża, stałam u jego boku - ciągnęła szeptem Alicja. - Wychowałam jego syna. Pomagałam mu w karierze. Poświęciłam się dla niego. A kiedy w końcu odniósł sukces i zaczął się nim cieszyć, co się stało? - Pstryknęła paznokciem w fotografię Sama. - Matka tego dziecka mi go zabrała!

Catherine zbladła. Przycisnęła zdjęcie do piersi.

- To jeszcze nie wszystko - dodała Alicja. - Nie wystarczyło jej, że go zabrała, to jeszcze oskarżyła mojego syna o to, że go zabił.

Wpatrywała się w Catherine gniewnym wzrokiem.

- Zabrała też pani Johna. Najwyraźniej jednak nie znaczył dla pani tyle, ile dla mnie.

Catherine przez chwilę milczała.

- Ludzie mówią rozmaite rzeczy w gniewie - powiedziała w końcu. - Może pani do nich należy?

Alicja obruszyła się. Wyprostowała się i weszła na schody. Catherine za nią.

- Ci ludzie żałują potem swych słów - dodała. - Tak jak żałowała Jo.

- Nie obchodzi mnie to - oznajmiła Alicja.

- John nie wyjechał z powodu Jo - tłumaczyła Catherine. - Był tu przecież po pogrzebie, prawda? Ale nie mógł dłużej wytrzymać tej atmosfery. To nie ma nic wspólnego z panią, ze mną czy z Jo. To sprawa między Johnem i jego ojcem. Dlatego odszedł i dlatego nie

wraca, i cała nasza miłość nie jest w stanie go sprowadzić, dopóki w swoim odczuciu nie uzyska rozgrzeszenia, pani Marshall.

Catherine wiedziała, że jej słowa trafiły w czuły punkt. Na ułamek sekundy na obliczu Alicji pojawiło się zrozumienie.

- Czy pani jej nie przebaczy? - Catherine kuła żelazo póki gorące. - To, co leży Johnowi na sercu, to nie skutek nieprzemyślanych słów Jo. - Przerwała na chwilę, po czym dodała: - Poza tym ona bardzo żałuje.

Alicja uniosła brwi.

- Doprawdy? - odezwała się z sarkazmem w głosie. - No to wszystko w porządku.

Catherine poczuła, że się czerwieni.

- Nie znałam dobrze pani męża, pani Marshall - rzekła. - Ale znam pani syna. Wiem, że bardzo kochał ojca.

Alicja wpatrywała się w nią.

- Chciał być blisko niego - ciągnęła Catherine. - Pragnął tego bardziej niż czegokolwiek.

- Nic pani nie wie! - syknęła Alicja.

Catherine trudno było rozgniewać, ale wciąż miała przed oczyma to lekceważące pstryknięcie w fotografię Sama.

- Czytała pani artykuł? - spytała.

- Nie.

Catherine uważnie spojrzała na rozmówczynię, jak gdyby potrafiła czytać w jej myślach.

- Nie wierzę - powiedziała. - Myślę, że przeczytała go pani bardzo uważnie.

Alicja odwróciła się.

- James, pozwól na chwilę - zawołała do mężczyzny, który wciąż stał przy schodach. - Tej osoby naprawdę nie powinno tu być.

- Myślę, że pani przeczytała - powtórzyła Catherine niskim głosem pełnym napięcia. - Ale nadal nic pani nie rozumie. Sam jest bardzo chory.

Wyciągnęła przed siebie fotografię.

- Czy on nie wygląda jak jego ojciec? - spytała. - Dlatego pani nie patrzy? Przecież to skóra zdjęta z Douga.

Usta Alicji zadrżały.

- Słodki chłopczyk, prawda? Ma oczy swojego ojca. - Podsunęła zdjęcie bliżej. - Tylko że teraz właściwie nie można zobaczyć jego oczu. Bierze lekarstwa, które powodują

obrząk buzi. I dużo płacze, chociaż lekarze zabronili tego.

Złapała Alicję za ramię.

- Wie pani, dlaczego tak się dzieje? - spytała. - Bo jego układ odpornościowy nie działa. On nie ma nic, co mogłoby zwalczyć obrażenia, nic, co powstrzymałoby krwawienie.

Usiłowała wstrząsnąć Alicją.

- Był zdrowy i szczęśliwy. Wyglądał jak jego ojciec, a teraz jest chory i wygląda jak śmierć na chorągwi. Rozumie pani? - Jej głos drżał. - On umiera. Syn pani męża umiera! A jego matka, którą nazywa pani „tą Harper”, jest teraz przy nim. On nie je. Lubi lody, ale nie wolno dawać mu lodów. Usiłuje więc skłonić go, żeby wypił mleko. Wolno mu pić tylko jeden rodzaj mleka, ale on go nie lubi, więc Jo siedzi z nim od piątej rano nad tym kubkiem. On wymiotuje. Przyszedł lekarz, zrobił zastrzyk, a teraz...

Catherine przerwała, żeby złapać oddech. Oparła się o ścianę.

- Teraz ta Harper - wyszeptała - usiłuje utrzymać syna przy życiu, lecz nie wie, jak to zrobić.

Zapadła cisza.

- Myśli pani, że tego nie rozumiem? - odezwała się Alicja.

Catherine spojrzała na nią.

- Przepraszam, ale... - Odsunęła włosy z twarzy, popatrzyła znów na zdjęcie. - Sam to jedyny brat Johna.

Obie kobiety stały naprzeciwko siebie. U stóp schodów zebrała się grupa osób, które zerkały niepewnie na siebie, nie wiedząc, czy należy interweniować, czy też nie.

- Ten chłopczyk potrzebuje brata - powiedziała Catherine. - Potrzebuje go właśnie teraz.

- Nie wiem, gdzie on jest - rzekła Alicja.

- Proszę nie kłamać, pani Marshall! - Zrozpaczona Catherine niemal krzyknęła. - Proszę tego nie robić!

- Nie wiem, gdzie on jest - powtórzyła Alicja podniesionym głosem.

Catherine zerknęła za siebie, na korytarz, gdzie w gablotach dostrzegła eksponaty pochodzące z wyprawy Franklina. Resztki, które McClintock i Kane przywieźli z Wyspy Króla Williama. Tak wielu ludzi wyruszyło na poszukiwanie Franklina... Wszyscy go szukali, tak jak one teraz szukają Johna. A znaleźli jedynie kilka szczątków. Stąd widziała sepiową podobiznę Croziera. Ponownie spojrzała na Alicję.

- Czy pojechał do Gjoa Haven? - zapytała. - Dała mu pani pieniądze na tę podróż? Czy tam powinniśmy go szukać?

Alicja nie odpowiedziała.

- Gjoa Haven - powtórzyła Catherine. - Niewielkie miasto na Wyspie Króla Williama.

Alicja zacisnęła usta.

- Czy pani nie rozumie? - wyszeptała Catherine. - Każda z nas kogoś straciła. Proszę, pani Marshall. Nie traćmy już nikogo więcej.

Alicja odwróciła się i weszła na schody.

Catherine patrzyła za nią, dopóki tamta nie zniknęła w korytarzu. Łzy spływały jej po twarzy. Zerknęła na korytarz, gdzie zebrani członkowie zarządu spoglądali na nią niepewnie. Podniosła torbę i włożyła do niej fotografię dziecka. Przeszła wzdłuż gablotek, zatrzymując się na chwilę, żeby spojrzeć na Franklina i jego pierwszego oficera oraz na ściskające serce dowody ich klęski. Położyła dłoń na szkle.

- Gdzie jesteście? - wyszeptała. - Gdzie wy wszyscy jesteście?

## 31

Miasto dusiło się od upału. Był niedzielny poranek, parę minut po ósmej. Gdy Bill Elliott wędrował wzdłuż Senate House Passage, pomyślał, że nigdy dotąd w Cambridge nie było w sierpniu tak gorąco. Mury domów nagrzone były jak późnym popołudniem; w powietrzu wisiała ponadto wilgoć. Spojrzał w górę, gdy dotarł do King's; na niebie już pojawiły się chmury burzowe, z których dobiegało głucho dudnienie.

Jo prosiła, żeby przyszedł z samego rana, ale pomyślał, że pojawił się za wcześnie - kiedy dotarł do domu, zasłony na piętrach wciąż były zaciągnięte. Nie chciał pukać; domyślał się, jak Jo z synem spędzili noc, a wiedział, jak cenny jest dla nich sen. Odwrócił się z zamiarem odbycia spaceru przed stawieniem się u małego pacjenta.

Widział Jo w zeszłym tygodniu.

Nie była już tą trzydziestolatką, która pierwszego dnia przemierzała korytarze szpitala i żądała wyjaśnień. Nie była już tą młodą kobietą, która rozplakała się z ulgą na wieść, że choroba syna to jedynie niedokrwistość. Teraz jej pogoda ducha zniknęła. Wokół oczu pojawiły się zmarszczki. Obcięła włosy, a ta nowa fryzura była bardzo nietwarzowa.

- Nie musisz mi mówić, że wyglądam okropnie - powiedziała, uśmiechając się nieznacznie, gdy ujrzała wyraz jego oczu. Przejechała ręką po chłopięcym uczesaniu. - Nie mam czasu na nic wyszukanego.

Właściwie fryzura była nie tyle okropna, ile bezlitośnie obnażająca zmizerowaną twarz Jo.

- Musisz jeść - powiedział jej.

- Jem - odparła.

Nie uwierzył.

Było bardzo wcześnie; Kaplica Królewska nie została jeszcze otwarta dla zwiedzających. Ominął wejście, zerknął na fasadę - piękno prostoty, triumf gracji. Żałował, że nie ma z nim Jo Harper, tak chętnie pokazałby jej to dzieło ludzkiej wiary.

Zszedł Garrett Hostel Lane aż do rzeki. Poziom wody był niski; wpłynęła na to pogoda. W zeszłym miesiącu na wschodzie Anglii temperatura osiągała trzydzieści stopni. Spojrzał z mostu na rzekę Cam i zobaczył muliste dno. Pomyślał o Samie, zafascynowanym elektrycznym wiatrakiem, który postawili przy jego łóżku podczas ostatniej transfuzji. Teraz rozmaite drobiazgi przyciągały uwagę tego dziecka; jego świat skurczył się do przedmiotów znajdujących się bezpośrednio przed oczyma. Już nie mógł biegać. Teraz chciał obecności matki, swojego Listonosza Pata i słomek do picia.

Przypominał Elliottowi zdjęcia dzieci znalezionych przed laty w rumuńskich sierocińcach, zajętych jedynie układem swoich palców na szczebelkach łóżek. Nie znały świata poza kratkami, i Sama też nie interesowało nic poza szczegółami z najbliższego otoczenia: słomką, zabawką, rękami osoby stojącej obok łóżka. Choroba i izolacja były wyczerpujące i ograniczające odbiór świata.

W zeszłym miesiącu Jo przyniosła do szpitala album z fotografiami. Najpierw usiłowała zająć nimi Sama, a kiedy przyszedł Elliott, pokazała mu zdjęcia.

- To ojciec Sama i Johna - powiedziała i uśmiechnęła się wstydliwie. - Właściciel rzadkiego haplotypu, kłopotliwy osobnik.

Z dumą wręczyła mu zdjęcia. Douglas Marshall uśmiechał się na fotografii. Douglas Marshall na jakiejś plaży. Douglas Marshall na brzegu lodowatego morza.

- Miał obsesję - powiedziała Jo. - Przekazał ją swojemu synowi. Chodzi o Franklina.

To nazwisko ostatnio pojawiało się często w prasie, ze względu na artykuł Jo w „Kurierze”, i Elliott miał wrażenie, że zna tę historię na pamięć. Jo i Catherine Takkiruaq były pewne, że John udał się na Arktykę, na Wyspę Króla Williama, i że gazety w Kanadzie i Nunavut wydrukowały historię Sama. Poproszono o pomoc wszystkie organizacje dysponujące środkami transportu, które tam docierały. Zdjęcie Johna zawisło też na kanadyjskich lotniskach.

- Zapomniałam o Franklinie! - powiedziała ze zdziwieniem Jo. - Możesz to sobie wyobrazić? Przecież to dzięki Franklinowi ja i Doug zetknęliśmy się. Mieliśmy nawet zrobić o nim program. A jednak od chwili urodzin Sama nie poświęciłam tym statkom nawet jednej



myśli... - Tego dnia była w całkiem dobrym humorze. - On wróci - powiedziała pewnym tonem. - To dobry chłopak. Wróci.

Ale nie wracał. Minęły cztery tygodnie. Nikt nie słyszał o Johnie ani w Anglii, ani w Kanadzie, ani w Nunavut. Również ojciec Catherine w Arctic Bay nie miał o nim żadnych wiadomości. John Marshall najwyraźniej nie udał się tropem Franklina.

Elliott był świadkiem upadku ducha Jo Harper. Pragnął jej przekazać to, co wiedział, czyli to, co według etyki zawodowej powinien zatrzymać do swojej wiadomości. Zmagał się z tą chęcią, obserwując przeżycia Jo.

Ona wiedziała, że lekarz powinien milczeć, gdyby znaleziono dawcę, a tym bardziej gdyby okazało się, że John spełnia wszelkie warunki. Ściagała Johna z uporem, lokując wszystkie swoje nadzieje w przekonaniu, że właśnie on będzie mógł uratować dziecko. Nie miała żadnej pewności. Nikt jej nie miał, oprócz pracowników Fundacji Norberry'ego i Elliotta. A świadomość ta była ciężkim brzemieniem.

Elliott zawrócił znad rzeki i poszedł z powrotem na St Bene't Street. Na cichej uliczce otwarto już kościół i zaczęła się msza święta. Zawahał się, zanim otworzył drzwi, nie chciał zakłócać uroczystości. Wszedł cicho, zajął miejsce z tyłu i przymknął oczy. Kościół był najstarszym budynkiem w mieście, zbudowano go za panowania króla Kanuta. Kiedy Elliott studiował, przychodził tu regularnie, żeby posłuchać dźwięku dzwonów. Najstarszy pochodził z tysiąc pięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Ołtarz w bocznej nawie wybudowano w średniowieczu, podobnie jak szerokie, ukośne okna. Ludzie od wieków ściągali tutaj po pociechę. Elliott pochylił się, oparł łokcie na kolanach i zaczął się modlić.

\*

Wrócił pod dom Jo dziesięć minut przed dziewiątą. Ekipa telewizyjna już przyjechała; furgonetka i dwa samochody terenowe zaparkowały na podwójnej żółtej linii. Kiedy zerknął przez otwarte drzwi, zobaczył w korytarzu Jo z Samem na biodrze. Chłopiec ukrył buzię na ramieniu matki. Obejrzała się na dźwięk kroków gościa.

- Cześć, Bill - powiedziała z uśmiechem. - Omal nie przegapiłeś tej wielkiej chwili.

Wręczyła mu kubek z kawą.

- Zdecydowaliśmy się na ogród - dodała i machnęła ręką w tamtym kierunku.

Na trawniku, pod bzem, stały krzesła.

- Wygląda bardzo profesjonalnie - zauważył.

- Mam nadzieję, że tego nie schrzanię. - Popatrzyła na niego bezradnie.

Dotknął uspokajająco jej ręki i spojrzał na Sama, który wpatrywał się w niego w milczeniu. Poglądził policzek chłopca, przejechał palcem po jego delikatnej, pokrytej

meszkiem skórze. Wyraz twarzy Jo był nieodgadniony, gdy wychodziła do ogrodu.

- Jesteśmy gotowi - oznajmił reżyser.

Jo usiadła na krześle przed kamerą, poprawiła spódnicę i sprawdziła, czy Samowi jest wygodnie. Ekipa ustawiała światła.

- Hej, Sam! - zawołał reżyser i wyjął coś z kieszeni. - Chcesz się pobawić?

To była figurka Jessa, kota Listonosza Pata. Sam spojrział na nią i zaczął płakać. Rozległ się pełen strapienia pomruk.

- O co chodzi? - Jo obróciła twarz syna ku sobie.

Sam wyprężył się.

- Jest zmęczony - powiedziała Jo. - Przepraszam.

- Nieważne. - Reżyser podniósł coś z trawy i wręczył Jo klaps. Sam zerknął kątem oka i przestał szlochać.

- Gotowi?

- Tak - odparła Jo.

Bill Elliott poczuł ucisk w gardle.

- Ruszamy! - zawołał ktoś.

Jo uniosła twarz do kamery.

- To mój syn - powiedziała z uśmiechem. - Ma na imię Sam. Niecałe trzy miesiące temu zorientowaliśmy się, że jest chory.

Sam miał odwróconą głowę; zajmował się klapssem.

- Jak każdy dwulatek, Sam lubi się pakować w kłopoty - ciągnęła Jo. Poklepała synka po ramieniu. - Jak każda matka, przywykłam do tego, żeby go z nich wyciągać.

Delikatnie uniosła głowę dziecka, które patrzyło teraz w kamerę.

W ogrodzie zapadła cisza, a Sam spoglądał prosto w obiektyw. Jeszcze niedawno był ładnym, psotnym chłopcem o gęstych włosach koloru słomy i niezwykle niebieskich oczach, lecz teraz buzia, która miała pokazać się na ekranach telewizorów w przyszły weekend, nie wydawała się ani ładna, ani psotna. Chłopiec stracił część włosów. Jego skóra przybrała żółty odcień. Elliott pomyślał, że najgorszy jest jednak wyraz oczu dziecka. Widział to już tysiące razy wcześniej. Wypełniał je ból. Elliott stwierdzał nieraz, że w pewnym momencie - u niektórych wcześniej, u innych później - chore dziecko i jego rodzice przybierają wyraz twarzy, który wydaje się nie z tego świata. W swym bólu i lęku docierali do miejsc w duszy tak przerażających, że odmieniało ich to na zawsze i uwidaczniało się w wyrazie oczu. Zmieniali się wewnętrznie. Nie tylko ze względu na chorobę, lecz także na tę szczególną wędrówkę, którą odbyli w psychice. Wszyscy byli podróżnikami po krainie, gdzie dusza nie

miała wielkich szans na przeżycie.

Łzy napełniły oczy Billa. Popatrzył w ziemię i zmarszczył brwi. Miał nadzieję, że nikt nie widzi, jak ociera oczy.

- Tym razem jednak nie mogę pomóc Samowi - mówiła cicho Jo. - Cierpi na coś, co się nazywa niedokrwistością aplastyczną. Zapewne, tak jak i ja początkowo, pomyślicie... Cóż, nie brzmi to groźnie. - Uśmiechnęła się. - Niestety, to ciężka choroba. Samowi potrzebny jest przeszczep szpiku kostnego.

Umilkła. Ona także najwyraźniej walczyła z płaczem. Członkowie ekipy spoglądali na siebie. Reżyser uniósł rękę, co miało oznaczać przerwę w nagraniu.

W końcu Jo uniosła głowę.

- Sam potrzebuje dawcy, dawcy szpiku kostnego - kontynuowała.

Zerknęła przelotnie na reżysera, który dawał jej znaki, żeby mówiła dalej, a tymczasem na ekranie powinny ukazywać się zdjęcia.

- To John Marshall - ciągnęła. - Przyrodni brat Sama. Możliwe, że mógłby być dawcą. Jest naszą ostatnią deską ratunku.

Uśmiechnęła się niepewnie i zaczerpnęła tchu.

- Problem, wielki problem, polega na tym, że nie wiemy, gdzie przebywa John i zastanawiamy się, czy moglibyście nam pomóc. On jest studentem archeologii. Kiedyś mieszkał w Cambridge.

Ręka reżysera wykonała gest cięcia. Teraz na ekranie miała znów ukazać się Jo.

- Sam i ja chcielibyśmy was zapytać, czy widzieliście Johna Marshalla - mówiła Jo. - Może być w kraju albo za granicą. Może ostatnio podróżowaliście i spotkaliście go? Na przykład na lotnisku w innym kraju? Jest wysoki, jasnowłosy, podobny do swojego ojca, Douglasa Marshalla.

Bill Elliott podszedł bliżej.

- Fundacja Jamesa Norberry'ego to organizacja, która kojarzy dawców szpiku z pacjentami, takimi jak Sam - kontynuowała Jo. - Na całym świecie są miliony ludzi, którzy chcą ofiarować swój szpik kostny, a to może uratować życie ludzkie. John Marshall był zarejestrowany w tej fundacji.

Sam odchylił się w ramionach matki i, jak gdyby na sygnał, spojrział na nią.

- Jeśli więc ktokolwiek z was uważa, że mógłby zostać dawcą albo że widział Johna Marshalla, proszę, niech zadzwoni pod numer wyświetlony na dole ekranu. I... Bardzo dziękuję. - Urwała. - Dziękuję.

Skończyli po wpół do dziesiątej. Bill Elliott pokazał się na pół minuty, wystąpił wraz z Jo. Na ekranie miały się pojawić również przebitki na niego - w gabinecie przy pliku dokumentów i podczas rozmowy z pielęgniarkami na oddziale. Oprócz Jo, Elliotta i zdjęć Johna film ukazywał też pracę fundacji. Program, sponsorowany przez fundację, miał zostać wyemitowany w następną niedzielę, w tradycyjnym paśmie antenowym przed popołudniowymi wiadomościami. Nie był to może najlepszy czas, ale z pewnością lepszy niż żaden.

- Dobrze się spisałeś - powiedziała Jo po odejście ekipy.

- Nie mówiłabyś tak, gdybyś zobaczyła, co nakręcili wczoraj - odparł Bill. - Pokazali mi fragment nakręcony kamerą z ręki. Przekonałem się, że mam kaczy chód.

Jo wybuchnęła śmiechem.

- Wyobraź sobie, że można dożyć mojego wieku i nie wiedzieć, że chodzi się jak kaczką - ciągnął. - To okropne! Będę musiał nosić książki na głowie albo zacząć uczęszczać na specjalne zajęcia.

- Nie chodzisz jak kaczką - zaprotestowała.

- Trzymałem w dodatku ręce za plecami. To już szczyt wszystkiego!

Zobaczył, że spojrzenie Jo wędruje do okna sypialni na górze, skąd dobiegało pojękiwanie Sama.

- Ma wysoką temperaturę - mruknęła.

- Powinienem już iść - rzekł.

Jo zerknęła na zegarek.

- Jesteś spóźniony?

- Nie - odparł. - Lubię być na miejscu nieco wcześniej. Mam dla dzieci tylko jedną niedzielę na dwa tygodnie i nie chcę, żeby na mnie czekały.

Jo wstała.

- Musi być ci ciężko - zauważyła.

- Zadziwiające, do czego można przywyknąć.

- To chodzenie do ich nowego domu...

- I oglądanie kogoś, kto cię zastąpił... - dodał.

Podeszła do drzwi.

- Jo - odezwał się Bill. - Wiesz, że jeśli znajdą dawcę, trzeba będzie przenieść Sama na Great Ormond Street na przeszczep.

Spojrzała na niego.

- Cieszę się, że wierzysz w dawcę.

- Ty też musisz wierzyć - odparł. - Nastaw się na to.  
- Wybacz, jeśli moja wiara jest nieco wątpliwa - mruknęła.  
- Wiesz, co mówi siostra oddziałowa? - spytał. - Że przychodzisz do szpitala zrobiona z ciała, a gdy wychodzisz, sprawiasz wrażenie, jakbyś była ze stali.

- Co...? - Zmarszczyła brwi.  
- Kiedy stajesz wobec sytuacji kryzysowej, to jest tak, jakbyś wstąpiła do pieca - wyjaśnił. - Wychodzisz z niego silniejsza, jak zahartowana stal.

Na twarzy Jo pojawiły się rumieńce. Elliott nie wiedział, co ją tak wzburzyło.

- Nienawidzę takiego gadania! - mruknęła.  
- Jakiego gadania?  
- Że Bóg obarcza największym ciężarem najsilniejszych - odrzekła. - Nienawidzę tego idiotycznego, kretyńskiego religijnego bełkotu.

Elliott milczał, zdumiony.

Patrzyła gdzieś ponad nim.

- Wczoraj był tu duchowny - powiedziała. - Miejscowy pastor chyba. Nie wiem zresztą na pewno, bo nie chodzę do kościoła. Nawet nie spytałam, skąd wie o moich kłopotach.

Podniosła ściereczkę z najbliższego stojącego krzesła i nerwowo zgniotła ją w dłoni.

- Wiesz, co mi powiedział?  
- Powiedz.  
- Zapytał, czy mogłabym powierzyć swoje smutki Bogu. - Rzuciła ściereczkę i odwróciła się do niego, z ręką na biodrze.

- A mogłabyś? - zapytał.

Jo wyrzuciła ręce do góry.

- Nie zaczynaj i ty! - wykrzyknęła.  
- Nie wierzysz w Boga - stwierdził.  
- Widziałeś Sama?! - Spojrzała wrogo. - Catherine jest wierząca, i wygląda na to, że ty też.

- Tak - odparł.

- No to powiedz mi, jak ty to robisz? - spytała. - Nie rozumiem tego. Catherine widzi Sama, tak jak ja. Jest dla niej prawie jak brat albo syn. I ona... ona się nie buntuje.

- A ty tak - stwierdził.

Podeszła do niego, a jej oczy błyszczały.

- Jestem wręcz wściekła - powiedziała. - Chcesz, żebym uwierzyła, że za chorobą

dziecka kryje się wyższa racja? Jakaś wszechmocna siła? Chcesz, żebym się modliła? Prosiła o pomoc? - Jej usta drżały. - Nie mogę! Rozumiesz? Już nie mogę się modlić.

Bill był na tyle rozsądny, żeby nic nie mówić. Jej spojrzenie powędrowało do kubków po kawie, stojących obok zlewu. Chwyliła jeden z nich i z całej siły rzuciła nim o ścianę.

- Jo... - Elliott zamrugał nerwowo, gdy szczątki naczynia rozprysnęły się po podłodze.

- Wiem, że John nie będzie się nadawał na dawcę, a poza tym on nigdy nie wróci. Sam umrze.

- Nie wolno tak myśleć!

- Nie mów mi, co mam myśleć!

- Mówię ci tylko, czego powinnaś się trzymać.

- Nie mogę! - krzyknęła. - Nie mogę już dłużej patrzeć, jak Sam codziennie oddala się ode mnie. Już nie mogę!

- Musisz - stwierdził. - Jeśli stracisz wiarę w jego powrót do zdrowia, Sam to wyczuje.

- Nie mogę nic na to poradzić - odparła. Widział rozpacz na jej twarzy. - Nie wiem już nic. Nie wiem, dokąd się udać ani co robić. Nie widzę żadnego wyjścia. I całe to gadanie o Johnie! To, co powiedziałam do kamery, to typowe chwytywanie się brzytwy. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Usiadła ciężko na krześle i ukryła twarz w dłoniach.

- John nie nadaje się na dawcę! - jęknęła. - Nie nadaje się. Nikt się nie nadaje.

- Nadaje się - oznajmił nagle Elliott.

Chwilę trwało, zanim Jo podniosła zalaną łzami twarz.

- Co...?

- John nadaje się na dawcę - powtórzył.

Wpatrzona w niego, podniosła się powoli.

- Christine Lord powiedziała mi to w zeszłym tygodniu - dodał.

- Nie wolno jej tego mówić. Ani tobie...

- Nie wolno - potwierdził. - Ale wszyscy jesteśmy bardzo niespokojni. Musiałem się dowiedzieć.

- Nadaje się... - powtórzyła, z trudem wierząc w tę informację. - W jakim stopniu?

- Niemal doskonałym.

- O Boże... - jęknęła.

Elliott wyjął z kieszeni kawałek papieru. Napisał na nim numer AZMA 552314 i wsunął w dłoń Jo. Rozpaczliwie pragnął wziąć ją w ramiona, przytulić, dodać jej otuchy, ale powstrzymał się, nie chcąc wykorzystywać jej chwili słabości.

- To numer dawcy, który może ofiarować szpik - wyjaśnił. Zamknął palce Jo na świstku papieru. - Wśród rzeczy Johna musi być jego karta dawcy. Na karcie wpisano ten numer. Jeśli kiedykolwiek zechcesz to sprawdzić, będziesz miała dowód.

- Dawca... - powtórzyła w oszołomieniu.

Zacisnęła palce i podniosła pięść do ust, wciąż nie spuszczać wzroku z Elliotta.

- Bardzo ci dziękuję - szepnęła.

## 32

Śnieg sypał miękko, pogoda była bezwietrzna. Od wielu dni ciężkie płatki prószły na ziemię, tworząc nad morzem zasłonę o długości ponad półtora tysiąca kilometrów wzdłuż Cieśniny Wiktorii. W taką pogodę wieloryby z Cieśniny Lancastera wypływały stadami, wynurzając się z tętniącej życiem wody na cichą powierzchnię. Niebo znikło i wszystko wokół skryło się pod białą warstwą śniegu. W nocy nie było widać gwiazd.

Tak długotrwałe opady zdarzały się tu niezwykle rzadko. Przeciętnie w Arktyce nie spadało więcej niż trzynaście centymetrów śniegu. Rok tysiąc osiemset czterdziesty ósmy w niczym nie przypominał jednak innych lat. Przez kilka dziesięcioleci Eskimosi wspominali ten rok, nazywając go *tupilak* - „duch”.

Trzy miesiące wcześniej załoga *Erebusa* i *Terrora* napotkała sześciokilometrowej długości grzbiet lodowy, dzielące ją od Ziemi Króla Williama. Wyruszyli ze statków dwudziestego pierwszego kwietnia o jedenastej i maszerowali zaledwie godzinę, kiedy na ich drodze wyrósł pierwszy grzbiet. Jeden z oficerów, Fairholme, wspiął się na szczyt, aby ocenić dalszą drogę. Nierówne wzniesienie lodowe miało wysokość trzynastu metrów. Kiedy mężczyzna dotarł na jego wierzchołek, przekonał się, że grzbiet ciągnie się na co najmniej półtora kilometra w każdą stronę, a za nim rozpościera się lodowa powierzchnia, pokryta wielkimi bryłami lodu. Gdzieś tam między tymi blokami migotała kra, wyglądająca niczym płaska, piaszczysta plaża, pofałdowana przez cofające się fale. Oficer odwrócił się w stronę ludzi ciągnących pierwsze sanie.

- Nie ma innej drogi! - krzyknął.

Wspięli się więc na grzbiet. Z przodu szło czterech marynarzy, usiłujących wyrównać nieco lód za pomocą łopat i kilofów i tworząc coś w rodzaju toru, po którym zamierzali poprowadzić łodzie na płozach. Po zakończeniu tej pracy dwunastu mężczyzn zaprzęgnięto do łodzi za pomocą lin. Pozostałych osiemnastu ustawiono po bokach i z tyłu łodzi. Zdażyli już zmarznąć, a szczególnie ucierpiały ich stopy, mające bezpośrednią styczność z lodowymi

półkami, w które wbijali buty, aby zyskać punkt oparcia.

Marynarze ciągnący prowizoryczne sanie czuli ich ciężar w ramionach, rękach i plecach. Liny niemalże odcinały im dopływ krwi i tchu. Ładunek był nie na ludzkie siły. Mężczyźni popychający go z boków potykali się, liny wysuwały się im z rąk w grubych rękawicach. Zanim dotarli na szczyt grzbietu, ich rękawice, buty, płaszcze i spodnie były mokre.

Osadzone na drewnianych płozach łodzie trudno było wlec po płaskim terenie, a co dopiero mówić o wspinaniu się na lodowy grzbiet! Ładunek był tak ciężki, że wydawało się, iż przyszło marynarzom ciągnąć bloki marmuru, a nie żywność. Pokrywali się potem, który momentalnie zamarzał. Przetłuszczone i wilgotne od potu włosy zamarzały im strąkami na głowach. Okulary chroniące oczy wpijały się w policzki.

Pokonanie pierwszego grzbietu trwało półtorej godziny. Kiedy stanęli na wierzchołku, była już pierwsza po południu. Docierający na górę kolejni wędrowcy milkli na widok przestrzeni pokrytej podobnymi wzniesieniami.

Z trudem zeszli z grzbietu, starając się nie upaść pod ciężarem łodzi, którą opuszczali na linach. Gdy wreszcie dotarli na dół, po zaledwie dziesięciu krokach musieli wspinać się ponownie.

O szóstej zatrzymali się, aby przygotować obozowisko na noc.

Rozstawili namioty. Bolały ich mięśnie, a płuca zdawały się pękać z wysiłku. Wszystko, czego dotknęli, przywierało im do palców. W ciągu kilku minut zeszywniało płótno, z którego uszyto namioty. Gdyby nie oddechy drzemiących, materiał skruszałby zapewne na mrozie jeszcze przed nadejściem ranka. Kiedy marynarze rozbijali obóz, kucharze roztopili nieco lodu i zaparzyli herbatę na rozpalonym z trudem ogniu. Wszyscy zjedli również ledwo podgrzany bulion z puszek, zagryzając go rodzynkami, które trzymali w ustach, aż się rozmroziły. Crozier zmierzył tej nocy temperaturę - spadła do minus trzydziestu dwóch stopni.

Na cztery dni przed dotarciem do Ziemi Króla Williama pogorszył się stan Fitzjamesa, który nie mógł iść, dlatego też przez półtora kilometra ciągnęli go w łodzi, owiniętego w niedźwiedzie skóry. Kiedy lekarz przyszedł go obejrzeć po postawieniu pierwszego namiotu, chory wyglądał po prostu na sennego.

- James... - odezwał się Goodsir. - Słyszysz mnie?

Fitzjames z trudem otworzył oczy.

- James...? - powtórzył oficer.

- Jestem zmęczony - wyszeptał Fitzjames.



Podczas wypakowywania przyborów kuchennych transportowanych tą samą łodzią stwierdzili, że nawet whisky przechowywana pod stopami Fitzjamesa zamarzała na kość.

- Nie śpij! - rozkazał mu Goodsir. Własnymi dłońmi, w których nie czuł zimna, zaczął masować ręce, klatkę piersiową i ramiona Fitzjamesa. Następnie rozcierał mu plecy przez gruby wełniany płaszcz i pelerynę z foczej skóry.

Wzrok Fitzjamesa powędrował do powiewającej kłapy namiotu i ponownie skierował się na lekarza. Chory wyszeptał coś niezrozumiale.

- Co mówisz? - spytał Goodsir.

- Zakwitły jabłonie - wyszeptał Fitzjames. - W Anglii.

Goodsir wziął go za rękę.

- Niedługo będziemy w Anglii - obiecał.

Fitzjames potrząsnął głową. Goodsir wsłuchiwał się w jego płytki, świszczący oddech. Zerwał się wiatr. Ostatnia grupa miała spore kłopoty z postawieniem namiotu. Goodsir widział dwóch siedzących na saniach mężczyzn ze zwieszonymi głowami. Przeraził go ten widok. Ludzie nazywali taki stan „senną wygodą”. Kiedy człowiek przestawał odczuwać zimno, ogarniała go nieprzeparta potrzeba snu.

Ponownie skierował wzrok na Fitzjamesa. W tej krótkiej chwili, kiedy Goodsir patrzył gdzie indziej, chory zmarł.

Pochowali go rankiem, zużywając bezcenną energię na wycięcie otworu w lodzie o grubości przeszło dwudziestu centymetrów, przez który wsunęli ciało do płytkiej przybrzeżnej wody. Nie było bowiem możliwości wykopania grobu.

\*

Kiedy natrafili na kopiec oznaczający punkt, do którego poprzedniego roku dotarł Gore, wydobyli zostawioną przez niego notatkę i zastąpili ją własną. Wcześniej Fitzjames nalegał, aby napisali sprawozdanie; jego przygotowanie zajęło niemal godzinę. Crozier zgodził się na tę zwłokę i teraz cieszył się z tego, gdyż wiedział, że Fitzjames przygnębiony był własną niesprawnością. Siedział sztywno w pierwszym namiocie, który postawili, i obmyślał treść notatki, którą następnie pisał w świetle lampy, trzymanej przez jednego z marynarzy. Możliwość sporządzenia notatki bardzo podniosła go na duchu.

*25 kwietnia 1848 roku Statki Jej Królewskiej Wysokości „Terror” i „Erebus” porzucono 22 kwietnia, pięć mil na NNW od tego miejsca. Jednostki tkwiły w lodzie od 12 września 1846 roku. Oficerowie i załoga złożona ze 105 osób, pod dowództwem kapitana F. R. M. Croziera - znajdują się teraz na 69 stopniu 37' 42" szerokości geograficznej, 98 stopniu 41' długości geograficznej. Porucznik Irving natrafił na list ukryty w kopcu usypanym*

prawdopodobnie przez sir Jamesa Rossa w 1831 roku, cztery mile na północ, w którym to kopcu w czerwcu 1847 roku pismo pozostawił zmarły komandor Gore. Sir John Franklin zmarł 11 czerwca 1847, a liczba ofiar, które pochłonęła dotąd wyprawa, wynosi 9 oficerów i 15 marynarzy.

*James Fitzjames, kapitan H.M.S. „Erebus”*

Kiedy Fitzjames skończył pisać, notatkę jego pokazano Crozierowi. Ten studiował ją przez kilka chwil, żałując, że autor pozostawił tak niewiele wolnego miejsca. Należało przecież podać planowany kierunek marszu. Kapitan musiał wcisnąć kilka słów na końcu strony:

*F. R. M. Crozier, kapitan i starszy oficer. Wyruszamy jutro, 24 kwietnia, w kierunku rzeki Backs Fish.*

Jeśli mieli przebywać kolejne grzbiety lodowe, musieli ująć z sań część ciężaru. Wyrzucili więc odzież, piecyki do gotowania, kilofy, ciężkie garnki, apteczkę z zawartością, sekstans, skrzynię na broń, naczynia i książki.

Crozier z trudem powstrzymywał krzyk wściekłości. Patrzył na stos przedmiotów, starannie ułożonych rzędami, i widział piecyki, siekiery, łopaty. Serce rozdierała mu złość. Podeszedł do stosu i kopnął piecyk.

- Mamy jeszcze cztery, panie kapitanie - oznajmił Fairholme.
- Zabraliśmy za dużo bagaży - rzucił Crozier.
- Wypakowaliśmy wszystko, co się dało, panie kapitanie.
- Pokaż, co masz w swoich bagażach.
- W bagażach? - zdumiony Fairholme nie wiedział, jak się zachować.
- Pośpiesz się!

Fairholme wyciągnął pakunek z sań. Crozier wyjął z niego mosiężny karnisz, fragment piorunochronu, mosiężny uchwyt i talerz.

- Po co ci to wszystko? - wrzasnął.
- Sam pan wydał polecenie, panie kapitanie, by zakładać piorunochrony na namiotach
- odparł Fairholme.

Crozier nie pamiętał, jakie rozkazy wydał dzień wcześniej, a cóż dopiero mówić o rozkazach wydanych w chwili opuszczania statków.

- Zostaw to wszystko - nakazał. - Mosiężny uchwyt, mosiężny talerz...
- Może się to przydać na handel wymienny - przypomniał Fairholme. - Metal... Sam pan rozkazał, panie kapitanie.

Crozier poczerwieniwał.

- Nie przypominaj mi moich własnych słów! - krzyknął. - Masz to wszystko zostawić!

Wyciągnął pakunek z sań i rzucił go na stos. Wzburzony, przemaszerował w tę i z powrotem wzdłuż szeregów zdeorientowanych mężczyzn.

- Jeśli w paczkach złożonych na sanie jest coś ciężkiego, macie to natychmiast wypakować! - ryknął. - Nie zabieramy żadnych ciężkich przedmiotów poza bronią i sprzętem kuchennym! Do roboty!

Nikt się nie ruszył.

- Na co czekacie?!

Ani drgnęli.

Crozier zdawał sobie sprawę z ich krańcowego wyczerpania. Zdawał sobie też sprawę, że nie są w stanie przypomnieć sobie, co spakowali. Nie mieli też pojęcia, co dałoby się teraz wyrzucić. Ogarnęła go furia. W ustach poczuł kwaśny smak. Zdesperowana załoga wpatrywała się w niego z rezygnacją, przypominając bezwolne zwierzęta prowadzone na rzeź. Śnieg, podrywany przez powiewy wiatru, chłostał wszystkich po twarzach.

- Do roboty! - ponaglił Crozier.

Ujrzał w oczach Fairholma smutek wywołany poczuciem rozczarowania, nie potrafił jednak zdobyć się na to, aby się odezwać do marynarza.

Załoga w milczeniu przystąpiła do pracy.

\*

Droga wzdłuż linii brzegowej Ziemi Króla Williama okazała się nieco łatwiejsza; średnio wędrowali ponad trzy kilometry dziennie. Temperatura trochę wzrosła, wynosiła około minus dziesięciu stopni. Przez cały dzień pokonywali śnieżne zleby. Grzbiety lodowe nie były tak trudne do przebycia jak te w pobliżu statków, lecz załoga i tak miała z nimi tyle trudności, że wołała ciągnąć sanie u ich podnóży. Na szczęście było to możliwe, gdyż wąwozy tworzące się między grzbietami przebiegały z północnego zachodu na południowy wschód. Wiatr nie dokuczał wędrowcom, osłoniętym przez lodowe wzniesienia, lecz obfitsze niż dotąd opady śniegu utrudniały marsz.

Augustus Peterman prowadził załogę pierwszych sań, a swoje miejsce zwolnił dopiero w południe. Linę holowniczą, zamocowaną w taki sposób, aby ciągnąć ciężar jak najbliżej środka ciężkości, przekazał jednemu z palaczy, niskiemu, energicznemu liverpoolczykowi, na którego dłoniach nadal widać było ślady pyłu węglowego.

- Dobrze ci szło - pochwalił chłopca Crozier.

Gus spojrział na dowódcę pustym wzrokiem.

Marynarze starali się wznović wędrowkę, lecz nie mogli ruszyć sań z miejsca. Śnieg

sięgał do kolan, a ciężki ładunek zapadał się coraz głębiej w miękkie podłoże. Zarówno Gus, jak i Crozier pomogli marynarzom, pchając łódź od strony rufy, aż przednie płozy wreszcie uniosły się nieco, umożliwiając dalszą drogę.

Nikt nie skomentował faktu, że dowódca zabrał się do pracy zwykłych marynarzy. Niezbędna była każda para rąk.

Kiedy ruszyli, Gus przesunął dłońmi po oczach.

- Co się stało? - zainteresował się Crozier.

- Nic takiego, panie kapitanie.

Kapitan spojrzał na niego surowo. Z oczu chłopca ciekły łzy. Nie świeciło wprawdzie słońce, lecz biel śniegu i mroźne powietrze były równie niebezpieczne dla wzroku.

- Gdzie twoje gogle? - spytał Crozier.

- Nie mogę ich nosić, panie kapitanie.

- Dlaczego?

Gus wbił wzrok w stopy. Jego ręce zwisały luźno wzdłuż boków.

- Mam zwiady - odparł.

- Zwiady? - powtórzył Crozier.

Rozejrzał się wokół i zauważył, że wraz z Gusem pozostaje o jakieś trzydzieści metrów w tyle za całą grupą.

- Musisz nosić gogle - stwierdził.

- Kiedy się rozgrzewam, pot zalewa mi oczy, które mnie potem pieką - odparł Gus. -

A gdy przestaję ciągnąć sanie, pot zamarza.

- Jeśli będziesz szedł bez gogli, stracisz wzrok i trzeba będzie cię prowadzić - ostrzegł Crozier.

- Trudno - szepnął Gus.

- Osłoń oczy! - nakazał kapitan.

Gus z ociąganiem wykonał polecenie, a następnie spojrzał na idących w przodzie członków załogi.

- Ilu tam jest? - zapytał.

Crozier zmarszczył czoło.

- Co masz na myśli?

- Mężczyzn, panie kapitanie.

- W tamtej grupie? Trzydziestu jeden...

- Trzydziestu jeden - szepnął Gus. - Trzydziestu jeden...

Crozier chwycił go za ramię, zaniepokojony zarówno pytaniem, jak i posępnym tonem

głosu chłopca.

- Idziemy! - wydał komendę.

Chłopiec posłusznie poszedł za nim.

- Zetrzyj pot z twarzy i zasłoń ją - nakazał Crozier.

- Zimno mi w środku - wyznał Gus.

- Zawiąż szczelniej szalik.

- Ale zimno mi pod skórą.

Crozier lekko popchnął go przed siebie i zaczął mówić, choć nie było to łatwe podczas wyczerpującego marszu, podczas którego buty zapadały się głęboko w śnieg.

- Nasze położenie wcale nie jest najgorsze - zaczął. Patrzył, jak młody człowiek kołysze się, nierówno stawiając kroki. - Myśl o przyszłości, o tym, co zrobisz, gdy wrócisz do domu.

Chłopiec milczał.

- Ludzie dawali sobie radę w gorszych sytuacjach - ciągnął dowódca. - W tysiąc siedemset siedemdziesiątym siódmym roku trzystu pięćdziesięciu marynarzy przeszło lodowiec u wybrzeży Grenlandii, kiedy rozbił się statek wielorybniczy. Dotarli do duńskich wiosek na zachodnim wybrzeżu.

Gus nie zareagował. Potknął się i upadł na wyciągnięte ręce, a powrót do pozycji pionowej zajął mu sporo czasu.

- Dziesięć lat temu brytyjskie statki utknęły w Zatoce Baffina - kontynuował kapitan. Uznał, że jego słowa mogą natchnąć chłopca otuchą. - Uwięźły w lodzie tak samo jak nasze.

Gus otrząpywał z siebie śnieg powolnymi ruchami, jak starzec. Crozier dotknął jego ramienia.

- Wszystkie te statki wróciły do Anglii - mówił dowódca. - Trzy lata wcześniej *Shannon* z Hull...

Gus spojrzał na niego udręczonym wzrokiem.

- Znałem mata z *Shannon* - przypomniał sobie.

- No, widzisz. Chyba więc wierzysz, że można to przetrwać.

- Zginęło wówczas szesnastu mężczyzn i trzech chłopców - stwierdził Gus. - Kiedy dwa duńskie brygi znalazły resztę załogi, brakowało już wody i żywności. - Spojrzał w oczy Croziera. - Znałem tego człowieka. Nigdy więcej nie wypłynął w morze. Włóczył się po knajpach. Dużo pił. Mówił, że ciągle czuje pragnienie.

Kapitan uniósł brodę chłopca.

- Ale p r z e ż y ł - zauważył.

- Tak - wyszeptał Gus. - Ale jakie to było życie...

Crozier mocno potrząsnął jego ramieniem.

- To, co człowiek robi z własnym życiem, to jego prywatna sprawa - stwierdził twardo. - Bóg mu je ocalił. Wszyscy dokonujemy wyborów i sami decydujemy o tym, czy resztę życia spędzić na topieniu wspomnień w alkoholu, czy też stawić im czoło. To właśnie jest darem Boga: możliwość decydowania o sposobie życia, wolność wyboru.

Odwrócił chłopca w kierunku marszu.

- Dobrze się im przyjrzyj - polecił, wskazując mężczyzn mozolnie ciągnących sanie. - Bóg nie ocali życia wszystkim z nich. Być może nie ocali go nikomu z nas. Musimy jednak przeżyć życie do ostatniego tchnienia. Nie możemy się poddać. Tak cennego daru jak życie nie wolno marnować.

Usta Gusa zaczęły drżeć, choć bardzo starał się opanować płacz.

Crozier ściszył głos.

- Bardzo ci zimno? - spytał łagodnie.

- Bywało gorzej - odparł chłopiec. - Teraz jakoś nie czuję chłodu.

- Możesz iść?

- Tak.

- Idziemy w stronę Backs Fish - przypomniał Crozier. - I dotrzemy tam.

- Tak - szepnął chłopiec. - Dotrzemy... - Zamilkł i zmarszczył brwi, jakby w głębokim skupieniu. - Trzydziestu jeden - powiedział cicho. - W moim zespole jest trzydziestu jeden mężczyzn.

Crozier poklepał go po plecach.

- Zgadza się, Gus - odparł. - To prawda. Zuch chłopak.

\*

Dziesiątej nocy po opuszczeniu statków nie padał śnieg i nie było wiatru. Nad obozem zapadła cisza. Gus zamknął oczy i zakrył uszy rękami, aby nie słyszeć ciężkich oddechów wokół siebie. Na polecenie kapitana Goodsir umieścił go wśród chorych, ale chłopiec nie dopuszczał myśli, że może z nim być tak źle jak z jego towarzyszami. Bolały go zęby, miał zresztą obolałą całą jamę ustną, lecz przecież nie czuł się tak źle jak Kinningthwaite, który leżał na boku i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w Gusa. Marynarz miał trudności z oddychaniem - z jego płuc dobywało się rżenie. Pół jego twarzy zajmowała czarna wybroczyna. Leżał z otwartymi oczyma o szklistym spojrzeniu. Na brwiach i brodzie osiadły kryształki lodu.

- Kinningthwaite... - szepnął Gus. - Słyszysz mnie?

Chory poruszył oczami.

- Wrócili? - spytał Gus.

Kiedy otrzymał zadanie karmienia chorego, ów oznajmił, że za plecami chłopca stoją ludzie.

- Jacy ludzie? - zainteresował się Gus.

- Martwi - odparł Kinningthwaite, a na jego twarzy pojawił się upiorny uśmiech.

Gus odsunął się w odruchu lęku. Łyżka i filiżanka zagrzechotały w jego rozdygotanych dłoniach.

- Patrz - ciągnął marynarz. - Policz ich.

Gus nie zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Jest ich trzydziestu jeden - odpowiedział, odzyskując zimną krew. - Ale oni nie są martwi, Joshua. Wszyscy żyjemy. Jutro znajdziemy się w odległości osiemdziesięciu kilometrów od Point Victory. Pokonaliśmy już przeszło sto kilometrów - dodał z dumą.

- Policz ich - upierał się Kinningthwaite.

To było za dużo dla wyczerpanego chłopca. Odwrócił się, czując w gardle dławienie. On przecież liczył. Liczył przez cały dzień. Zastanawiał się teraz, czy to jeden z objawów choroby. Nie mógł nad tym zapanować. Twarze kolegów zlewały się przed jego oczyma. Niekiedy wydawało mu się, że w zespole jest pięć osób, innym razem, że pięćdziesięciu. Niekiedy jeden człowiek zdawał się mieć kilka twarzy. Cały dzień rozmyślał o macie z *Shannon*. On także wszystkich liczył. Liczył zmarłych i żyjących. Twierdził, że jeśli nawet nie liczy na głos, w jego umyśle wciąż odbywa się to liczenie.

Gus wiedział, o co chodzi Kinningthwaite'owi. Rzecz w tym, że gdy przemarznięty do szpiku kości człowiek przestawał odczuwać zimno, zaczynały się sny na jawie. Spoglądając na swoje zagłębiające się w śniegu, ślizgające na lodzie i osuwające z krawędzi grzbietów stopy, chłopiec często odnosił wrażenie, że widzi obok innych wędrowców. Słyszał nawet ich głosy. Były niekiedy kobiece, a należały do sąsiadek z Hull. Kobiety mówiły to co zwykle podczas rozwieszania prania na sznurkach, rozciągniętych pomiędzy domami, podczas sprzątania lub kiedy zasiadłszy na dworze, plotkowały, klęły, nawoływały dzieci.

Słyszał śpiew matki, nucącej wiejskie piosenki, zapamiętane z dzieciństwa. Wydawało mu się chwilami, że matka powtarza jego imię. Poczuł się na powrót dzieckiem. Miał niekiedy wrażenie, że leży w ramionach matki kołyszącej go do snu przy wygasającym piecu. Przypomniawszy sobie, że gdy miał dwa czy trzy lata, lubił się do niej tulić, gdy ulice Hull rozprażone były upałem lub zlewane deszczem bądź też zasypywane śniegiem. Wydawało mu się nieraz, że słyszy odgłosy dobiegające z doków. Zaczynał liczyć ludzi stojących za

krzesłem matki, po czym nagle spoglądał w dół i orientował się, że liczy własne ślady butów na śniegu.

Leżąc w namiocie pograżonym już w ciemnościach, ukrył twarz w kocu i zapłakał. Trzydzieści jeden. Sto trzy. Osiem. Osiemnaście. Jeden. Liczby były jednak nieważne. Stało się tak, że każdy z marynarzy stracił poczucie więzi z pozostałymi. Każdy z nich osobno dążył do swego Stwórcy.

\*

W czerwcu dotarli do Zatoki Terrora.

Podróż do tego miejsca zajęła im półtora miesiąca. Stracili w tym czasie dwudziestu ośmiu ludzi spośród początkowej liczby stu czterech. Z grona oficerów ubył John Irving - człowiek, który uratował Gusa w dniu spotkania z Eskimosami. Zmarł sześć dni po Jamesie Fitzjamesie.

Chowając go, Crozier zastanawiał się, dlaczego Irving osiem lat wcześniej porzucił marynarkę i wyemigrował do Nowej Południowej Walii, po to tylko, aby powrócić sześć lat później. Zawsze chciał zapytać, co spowodowało ten zwrot w jego życiu, ale nie zdobył się na to. Bez względu na to, jakie były przyczyny decyzji Irvinga, los rzucił tutaj tego trzydziestoletniego mężczyznę, który tak naprawdę nigdy nie czuł silnego związku z morzem. Przed zakopaniem jego zwłok Crozier zdjął z nich medal, aby odesłać go do domu zmarłego wraz z rzeczami osobistymi. Odznaczenie to przyznano Irvingowi w tysiąc osiemset trzydziestym roku w Królewskiej Uczelni Morskiej za zajęcie drugiego miejsca w dziedzinie matematyki.

Richard Aylmore, steward z mesy podoficerskiej, odszedł następny. Upadł, ciągnąc ostatnie sanie i przez kilka minut leżał na lodzie, zanim towarzysze pomogli mu wstać.

Zmarł kilkanaście godzin później. Thomas Work, Josephus Geator i William Mark, starsi marynarze z *Erebusa*, byli następnymi. Później zmarli John Weekes, cieśla, który przygotował dębowe płozy pod łódzie, i Solomon Tozer z *Terrora*. William Hedges, kapral, oraz kucharz John Diggle, który tak bardzo przeraził się śmiercią Franklina, zmarli na śniegu, w śladach wyżłobionych przez sanie. Magnus Manson, William Shanks, David Sims, John Handford, Alexander Berry i Samuel Crispe, wszyscy z *Terrora*, zeszli w odstępach trzydniowych.

Kiedy wędrowcy zbliżyli się do południowo-zachodniej części Ziemi Króla Williama, nie byli w stanie pochować ostatnich zmarłych. Wiał silny północno-zachodni wiatr, który pozbawił marynarzy resztek sił. Zamiast kopać groby, po prostu owinęli zwłoki Berry'ego, Handforda i Crispe'ego w koce i przysypali kamieniami oraz śniegiem. Zwłoki zamarzyły,



zanim jeszcze zakończono nad nimi modlitwy. W wyniku niedożywienia i nękających ich chorób zmarli byli tak wychudzeni, że przeniesienie zwłok odbyło się bez trudu.

\*

Zanim rozbili obóz w odległości osiemdziesięciu kilometrów na południe od Point Victory, Crozier, straciwszy orientację, nie był w stanie powiedzieć, gdzie się znajdują. Zmarło kolejnych dziesięciu ludzi, którzy po prostu upadli i wyzionęli ducha. Wszystko to stało się jednego ranka - czterech mężczyzn odeszło w ciągu godziny. Po odwróceniu jednego z ciał na plecy Crozier ujrzał spuchniętą, poczerniałą od skorbutu twarz. Zmarli cierpieli ponadto na zaburzenia krążenia, co było bezpośrednią przyczyną zgonu. Wlokący się noga za nogą marynarze byli zbyt zmęczeni, aby zająć się zmarłymi. Zimno i otępienie stłumiły wszelkie uczucia. Zapomnieli, co to smutek. Zabrakło im łez. Uświadamiali sobie, że ktoś upadł dopiero wtedy, gdy się przypadkiem odwrócili. Zatrzymywali się wówczas i patrzyli. Czasami któryś zbliżał się do leżącego, ślizgając się i potykając na lodzie. Próby niesienia pomocy zawsze jednak okazywały się bezskuteczne. Kto upadł, umierał.

W Point Victory Crozier był krańcowo wyczerpany. Jego ciało sprawiało wrażenie straszliwego ciężaru. Gdy się rozejrzał, uświadomił sobie, że reszta załogi jest w podobnym stanie. Z sześćdziesięciu sześciu pozostałych przy życiu mężczyzn zaledwie kilku nie poruszało się równie niezdarnie jak on sam. Przykro było patrzeć, z jakim wysiłkiem rozbijali namioty i przywiązywali liny, przygotowując nocleg. Zajmowało im to dwa razy więcej czasu niż pierwszego dnia po opuszczeniu statków. Każdego ranka mijało około półtorej godziny, zanim spakowali wszystkie rzeczy. Organizowanie obozu wieczorem trwało znacznie dłużej.

Kapitan usiadł i zaczął obliczać, ile jeszcze dni zajmie dotarcie do Backs Fish. Z trudem zbierał myśli. Mogło to być od trzydziestu do pięćdziesięciu dni przy powolnym tempie niespełna dwóch i pół kilometra dziennie, które obecnie utrzymywali.

Grzbiety lodowe znikły, lecz dokoła niezmiennie rozpościerała się tafla lodu, choć przecież trwało lato. Gnejs i wapień, świadczące o tym, że stąpa się po lądzie, powinny nie tylko być widoczne miejscami spod śniegu, powinny stanowić podłoże. Crozier nie wiedział, czemu nie ma zagłębień terenu wypełnionych wodą, stawów oraz rzeczek, które zgodnie ze słowami Rossa gęsto pokrywają Ziemię Króla Williama. Członkowie załogi już od dawna powinni wzbogacić dietę o porosty, które podobno obficie tu występują. Powinni już organizować polowania na jelenie, wędrujące rzekomo stadami po półwyspie. Na nic podobnego nie natrafili. Nie było ani gruntu, ani porostów, ani też jeleni. Lód w ogóle nie topniał, chociaż trwał najcieplejszy z arktycznych miesięcy. Bóg zapomniał o północnej Kanadzie.

\*

Kapitan wyciągnął mapy i z trudem rozpostarł je na wąskiej skrzynce. W dotychczasowym tempie mieli szansę dotrzeć do rzeki Backs Fish za miesiąc. W sierpniu! Crozier ukrył twarz w dłoniach i pogrążył się w myślach. Sir John powiedział mu kiedyś, że podczas wyprawy zorganizowanej w latach dwudziestych on również dotarł w sierpniu do północnego wybrzeża nieopodal ujścia rzeki Coppermine. Wbrew przewidywaniom, okazało się wówczas, że łód skuł wodę jeszcze przed końcem miesiąca. We wrześniu Coppermine zniknęła pod śniegiem.

Crozier wpatrywał się w mapę. Nikt nie wiedział, co znajduje się na zachód od Backs Fish, poza tym, że jest tam jakaś cieśnina. Gdyby sprzyjało im szczęście, mogła prowadzić bezpośrednio do miejsca, w które przeszło dwadzieścia lat wcześniej dotarł Franklin. Być może znajdowało się ono nawet setki kilometrów na zachód, lecz taką trasę z łatwością dałoby się przebyć łodziami. Wystarczyło umiejętnie wykorzystać silne prądy morskie i pożeglować w stronę Pacyfiku. Takie rozwiązanie wydawało się rozsądniejsze niż podejmowanie prób pokonania burzliwych wód Backs Fish.

Przy odrobinie szczęścia, a Bóg z pewnością był im to winien - tej odrobinie szczęścia, którą dowódcy innych wypraw przyjmowali za oczywistość - u ujścia rzeki zaopatrzyliby się w ryby i zwierzynę, zapewniając sobie prowiant na dalszą drogę. Dysponując odpowiednimi zapasami, niewielka grupa marynarzy mogłaby popłynąć na zachód albo też w górę rzeki.

N i e w i e l k a   g r u p a .

Zamyślony głęboko Crozier wyjrzał z namiotu. Po chwili przywołał Goodsira. Przyszło mu do głowy, że stojący przed nim w wieczornym półmroku oficer wygląda najgorzej spośród członków wyprawy. Pochylony Harry przywłókł się, powłócząc nogami.

- Ilu mamy chorych? - spytał Crozier. - Ilu ludzi może kontynuować podróż?

Goodsir zwlekał z odpowiedzią.

- Ilu ma siły, by dotrzeć do Backs Fish? - upewnił się wreszcie.

- Tak.

- Żaden.

Crozier pochylił się w jego stronę.

- Harry... - zaczął łagodnie. - Musimy iść. Ilu w przybliżeniu?

- Dwudziestu... - Goodsir wzruszył ramionami.

- Ilu mamy w tej chwili ogółem?

- Dzisiaj wieczorem doliczyłem się sześćdziesięciu czterech.

Zapadła cisza. To znaczy, że czterdziestu czterech jest chorych. Goodsir uniósł dłoń, aby zdjąć lód z brody. Ręka drżała mu tak silnie, że zrezygnował z tej bezsensownej czynności. Przez kilka sekund niezdarnie poruszał dłonią. Miał obrzękłe sine usta, a gdy mówił, widać było spuchnięty język.

- Nigdy dotąd nie spotkałem się z takim rodzajem szkorbutu - wyszeptał Crozier.

- Ja również - rzekł Goodsir.

Zamilkł, usiłując dobrać w myślach odpowiednie słowa. Chciał powiedzieć coś ważnego, co przez cały dzień nie dawało mu spokoju, a co mogło stanowić wyjaśnienie tych przerażająco licznych zgonów. Tak wielu ludzi umierało podczas pracy, w dodatku te wylewy podskórne... Obecność ich świadczy o pękaniu naczyń krwionośnych, uzmysłowił sobie Goodsir. Być może nagle wypadki śmierci podczas zwiększonego wysiłku fizycznego oznaczały, że szkorbut w jakiś sposób atakuje serce? Jeśli pękały naczynia podskórne, to i serce... Zapomniał jednak o swoim logicznym wywodzie i wnioskach, które z niego wyciągnął. Usiadł z rękoma między kolanami, a jego umysł szybko popadł w odrętwienie.

Tymczasem Crozier wstał.

- Chcę, żebyś rozbił namiot szpitalny - oznajmił Goodsirowi. - Zostawimy wam tyle zapasów, ile się da. Chcę, żebyś został tutaj z Macdonaldem. Stanley i Peddie pójdą ze mną.

Spojrzał z góry na strzęp człowieka, który przed zaciągnięciem się na statek miał tak rozległe zainteresowania - był patologiem, z zamiłowaniem studiującym nauki przyrodnicze; ogromnie cieszył się z możliwości wzięcia udziału w ekspedycji badawczej na Arktykę.

Goodsir miał otępiały wyraz twarzy.

- Pan Stanley jest zbyt osłabiony, aby iść dalej, panie kapitanie - odrzekł.

## 33

Noc dobiegła końca. Od maja do lipca nad światem, w którym żyją niedźwiedzie polarne, przez całą dobę nie gaśnie słońce.

Samica stała nad brzegiem Cieśniny Simpsona, nisko zwiesiwszy głowę z wyczerpania. Padał deszcz, wiatr wiał ze stałą prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, poziomo wbijając w futro zwierzęcia krople wody. Lód w cieśninie pękał.

Nie wiedziała, czy mały żyje, czy nie. Nie mogła go nakarmić. Foki pływały daleko od brzegu, a jej nie poszczęściły się łowy. Przeszła sto siedemdziesiąt dwa kilometry i nie wiedziała już, dokąd zmierza i w jakim celu. Zwinięty w kłębek niedźwiadek leżał na skalistym wybrzeżu. Przyjrzała mu się z umiarkowanym zainteresowaniem, a chwilę później

skoncentrowała się na nagłym ruchu w wodzie.

Woda, w której zerowała foka, była stosunkowo płytka; nurkując, foka w równych odstępach czasu wynurzała się na powierzchnię niemal w tym samym miejscu. Stojąca na brzegu niedźwiedzica nie widziała jej, lecz spostrzegła samca, zamierającego za każdym razem, gdy foka wynurzała się. Leżał bez ruchu, udając pływającą bryłę lodu. Wreszcie udało mu się dotrzeć na odległość kilku metrów od upatrzonej zwierzyny. Wtedy nagle rzucił się do przodu i zatopił zęby w grzbiecie foki. Krew zakłębiła się w wodzie i po chwili upolowane zwierzę znalazło się na krze. Zwijano się bezsilnie, miotane śmiertelnymi drgawkami.

Samica, widząc, że polowanie zakończyło się sukcesem, przywarła do podłoża. Nie miała zamiaru wchodzić samcowi w drogę ani przerywać mu posiłku. Leżała nieruchomo, za nią przyczał się niedźwiadek. Czekala, aż najedzony samiec przepłynie cieśninę, zostawiając w spokoju i ją, i jej malca.

Niedźwiedź wyszedł w końcu na brzeg. Samica leżała tyłem do wiatru, kryjąc się w dole wygrzebanym w żwirze. Małego przycisnęła do swego boku. Obudził ją nęcący zapach. Uniosła łeb i ujrzała na skale drugą fokę, świeżo zabitą przez niedźwiedzia. Samiec zmierzał w kierunku prowizorycznej kryjówki niedźwiedzicy i niedźwiadka chwiejnym, niezgrabnym krokiem. Niedźwiedzica zerwała się. Samiec ominął ją, bo wyczuł obecność małego. Zainteresował go bezruch niedźwiadka. Mógłby go zabić bez żadnych skrupułów. Kiedy więc nagle przyspieszył kroku, samica zaatakowała.

Miała jedyną przewagę nad wrogiem - lżejsze ciało. Była niedożywiona i dość chuda, a jego otaczała gruba warstwa tłuszczu i futra przez co miał wolniejsze ruchy. Wbiła mu kły głęboko w bark. Trysnęła krew. Zaskoczony, ale i rozjuszony przeciwnik cofnął się, z łbem nisko pochylonym, sygnalizując w ten sposób gotowość do kontrataku. Samica nie zamierzała ustąpić pola. Obawiała się, że nie mogąc dobrać się inaczej do niedźwiadka, samiec najpierw zabije ją. Musiał jednak uporać się z tym szybko, aby nie dopuścić do przegrzania swego ciała. Gdyby udało się jej zmusić go do dłuższej walki, dałby za wygraną, gdyż temperatura jego ciała zbliżyłaby się do punktu krytycznego.

Niedźwiedzica nie stawała, mówiąc szczerze, w obronie potomka. Nawet go nie zauważała. Instynktownie po prostu stawiała czoło wrogowi; nie kierowało nią uczucie macierzyńskie, lecz potrzeba zadbania o przedłużenie rodu.

Zaatakowała jeszcze raz, znacznie agresywniej. Uderzyła przeciwnika w bark przednimi łapami, a on rzucił się w kierunku jej łba, usiłując zatopić kły w miękkim miejscu pod szczęką. Walka w niczym nie przypominała potyczek z okresu wczesnej dorosłości, które samiec toczył z rówieśnikami. Tamte starcia sprowadzały się głównie do straszenia

przeciwnika. Samica okazała się trudniejsza do pokonania, niż się spodziewał. Walczył z nią zaledwie przez kilka sekund, ze wzrokiem wbitym w niedźwiadka. Dopiero gdy poczuł ból, spojrzał na samicę. Po jego śnieżnobiałym futrze spływała krew. Nie zastanawiając się długo, odwrócił się i zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Wpatrywała się w odbiegającego przeciwnika zmrużonymi oczyma, trzymając wysoko uniesioną głowę. Biała sylwetka wtopiła się w końcu w szarość skał, a następnie pokonany niedźwiedź zanurzył się w oceanie i powoli płynął, ignorując foki. Kierował się w stronę grubszej kry.

Samica długo jeszcze stała nad brzegiem, aż w końcu jakiś impuls nakazał jej dalszy marsz. Sporo czasu zajęło jej nakłonienie potomka do drogi. Wreszcie ruszyli. Po kilku krokach niedźwiedzica poczuła ból w szyi, ale nie zwróciła na to uwagi.

## 34

Od programu telewizyjnego w którym Jo wystąpiła z apelem, rozpętało się piekło. Pięciominutowy program wyemitowano o osiemnastej trzydzieści. Przez pierwsze dwie minuty prezentowano Fundację Jamesa Norberry'ego; następnie na ekranie pojawiły się fotografie Douglasa Marshalla. Fragmenty jego audycji uświadomiły widzom, dlaczego miały one tak wysoką oglądalność. Realizatorzy skupili się zwłaszcza na jednym odcinku, nakręconym u ujścia rzeki Severn, gdzie podczas odpływu wyłania się z morza neolityczny krąg drewnianych pali. Doug nalegał, aby zostawić ten zabytek na swoim miejscu.

Następnie pokazano zdjęcie Sama, zrobione podczas jego pierwszych urodzin; zanurzał ręce w zielonej galaretkie, a na jego twarzy widniał wyraz zachwytu. A potem drugie zdjęcie, na którym dziecko miało bladą, spuchniętą buzię i posiniaczone ręce.

Gdy tylko zjawiły się na ekranie zdjęcia Douga Marshalla, w Fundacji Jamesa Norberry'ego rozdzwoniły się telefony.

Po pojawieniu się fotografii Sama wszystkie linie były już zajęte. Telefony zablokowały się zupełnie, gdy pokazano chłopca na kolanach Jo, pod krzakiem bzu. Do nocy fundacja otrzymała cztery tysiące osiemset telefonów od potencjalnych dawców. Do środy liczba ich wzrosła do dwudziestu sześciu tysięcy.

„Kurier” także został zasypany lawiną informacji. W piątek na pierwszej stronie zamieszczono zdjęcie Johna, a w następnym tygodniu redakcję zasypały listy od ludzi, którzy twierdzili, że widzieli tego młodego człowieka. Niestety, wyglądało na to, że pojawił się w kilkuset miejscach naraz: w Tajlandii, w Nowej Zelandii, na południu Francji, w Irlandii oraz

w odległych od siebie miejscowościach angielskich.

- Tak to jest - mruknęła Gina, która do późnej nocy czytała przypadającą na nią porcję listów. - Gdyby tylko szaleńcy zostawili nas w spokoju...

Podsunęła kartkę zapisaną kaligraficznym pismem Mike'owi.

- No popatrz! - zawołała. - Jakaś kobieta z Cleveland twierdzi, że John siedzi związany w jej salonie.

Wymienili smutne uśmiechy.

Inne równie bezwartościowe listy leżały na stosie. Nie odważyli się ich jednak wyrzucić. Schowali je w szafce, tak na wszelki wypadek.

Tego ranka, bębniąc palcami o biurko, Gina pogрузыła się w myślach. Już dawno dowiedziała się od Jo wszystkiego o namiętnościach i zainteresowaniach Johna; ostatnio rozmawiała o nim niemal bez przerwy. Ignorując fakt, że pięć minut wcześniej zaczęło się umówione spotkanie, zalogowała się do Internetu i wypisała hasło *Niedźwiedź polarny*.

Alta Vista wyświetliła jej dziesiątki stron. Gina na chybił trafił wybrała jedną i spędziła dziesięć minut na lekturze informacji o ciężkim losie polarnych niedźwiedzi. Dowiedziała się między innymi, jak globalne ocieplenie wpływa na ich środowisko naturalne, przedłużając porę letnią i skracając okres występowania lodu.

- Jezu! - mruknęła, zmieniając stronę. - Piętnaście tysięcy niedźwiedzi w kanadyjskiej Arktyce. Piętnaście tysięcy potencjalnych śladów!

Rozmasowała czoło u nasady nosa, usiłując zapobiec nadchodzącemu bólowi głowy.

Przejrzała sieć w poszukiwaniu informacji kanadyjskich służb hydrograficznych, znalazła je. Obejrzała zdjęcia chmur, opadów śniegu i oblodzenia - zrobione z satelitów, które pokazywały warunki pogodowe w rejonie będącym przedmiotem fascynacji Johna: na Wyspie Króla Williama i w Cieśninie Lancastera. Ujrzała rysunki z satelity Landsat przedstawiające lód pękający w zatoce Cambridge w lipcu, lód w Cieśninie Wiktorii w sierpniu, niemożliwie skomplikowane obrazy płytkich i głębokich wód oraz całej sieci maleńkich wysepek.

Oparła brodę na dłoni i wpatrywała się w ekran. Jeśli John rzeczywiście usiłował się tu dostać, znalazł się poza zasięgiem poszukiwań. Cieśnina Wiktorii była najbardziej chyba odludnym miejscem na ziemi, zamrzniętym przez jedenaście miesięcy w roku - w ciepłym roku. Nie dało się tam dopłynąć zwykłym statkiem, ze względu na żwirowe mielizny i piaszczyste brzegi, które czyniły dostęp do wysepek niebezpiecznym. Kiedy nie panowały mrozy, na brzegu zalegał topniejący lód, uniemożliwiający wdarcie się w głąb ładu. Gina zadrzała. Wpadła na inny pomysł.

Po pięciu minutach przeglądarka wyświetliła rezultaty poszukiwania hasła *Ślady Franklina*. Gina przeczytała informacje o kilku wyprawach, które zorganizowano w celu poszukiwania śladów ekspedycji Franklina. Każdego dnia zajęcia członków wyprawy były przekazywane przez satelitarne łącza do operatora sieci. Gina obserwowała pojawiające się na ekranie arktyczne maki i żółte porosty; widziała lód dryfujący w okolicach Wyspy Króla Williama, tablicę pamiątkową, kość udową z głębokimi śladami zostawionymi przez jakieś ostrze.

Zdumiona tą ostatnią fotografią, wpatrzyła się uważnie w ekran, marszcząc w skupieniu brwi.

*Założenie: Zbadanie, przeanalizowanie i zinterpretowanie pozostałości po wyprawie Franklina, odkrytych na Wyspie Króla Williama latem 1992 roku przez Barry'ego Ranforda i Mike'a Yarascavicha; dokonanie głębokiej eksploracji okolic Zatoki Terrora.*

*Wykonanie: Załoga złożona z siedmiu osób pracowała na pierwszym stanowisku od 15 lipca 1993 roku do 29 lipca 1993 roku. 300 kości, w tym 5 czaszek i 7 żuchw, zebrano i przewieziono... Barry Ranford, Derek Smith i John Harrington przeszukali „szpitalny namiot” wyprawy Franklina... Rezultaty...*

Gdy wzrok Giny powędrował w dół strony, wstrzymała oddech.

*Znajdowało się tam co najmniej 11 osób... 92 kości miały pośmiertne nacięcia... Zawartość ołowiu w kościach 82 i 83 części na milion...*

Wyprostowała się.

- Pośmiertne nacięcia... - mruknęła do siebie i czytała dalej.

*Zinterpretowane jako ewentualny dowód kanibalizmu...*

Poczuła mdłości. Próbowwała pomyśleć o czymś innym. Za rzeką płynącą tuż pod oknem Jo po raz pierwszy szła do szpitala dziecięcego na Great Ormond Street, dokąd przeniesiono Sama. Teraz pewnie wchodzi na oddział.

- Wróc - wyszeptała Gina w pustkę swojego gabinetu. - Na litość boską, John! Wróc...

\*

Kiedy skończyła pracę, udała się prosto na Great Ormond Street. To była okropna podróż metrem pełnym ludzi. Woń spoconych, stłoczonych londyńczyków w wagonie była dokuczliwa, a w dodatku zepsuły się ruchome schody. Kiedy Gina wyłoniła się na Russell Square, brakowało jej powietrza, a wędrówka do szpitala zdawała się nie mieć końca.

Ujrzała Catherine i Jo na korytarzu. Stały oparte o ścianę, każda ze styropianowym kubkiem w dłoni. Całując obie, Gina zauważyła, że kawa w kubkach jest zimna.

- Jak on się miewa? - zapytała.

- Śpi - odparła Catherine.

- Właśnie miał kolejną transfuzję płytek krwi - dodała Jo. Popatrzyła na przyjaciółkę z nowym wyrazem twarzy; było tam coś więcej niż strach. Gdyby Gina miała ten wyraz jakoś nazwać, użyłaby określenia „przerażenie”. Jo wyglądała jak ofiara wypadku, jak uosobienie nieszczęścia.

Jej lęk udzielił się Ginie.

- O co chodzi? - zapytała. - Widzę, że coś się stało. Co?!

Catherine położyła dłoń na ramieniu Jo.

- Chodzi o wyniki ostatnich badań - odparła. - Jego krwinki białe obojętnochłonne są równe zero jeden. Krwinki białe pięć i cztery dziesiąte. Liczba płytek krwi - jedenaście.

Wszystkie trzy rozumiały już te dane. Niebieska karta Sama wypełniana była codziennie, wypisywano na niej wyniki badań krwi i przeprowadzanych zabiegów. Po lewej stronie widniała data, następnie waga chłopca, a potem rozmaite informacje dodatkowe i spis podawanych lekarstw. Ginie śniły się te rubryki. Wszystkie trzy miały zresztą obsesję na ich punkcie.

Dziś poziom hemoglobiny Sama wynosił sto dwa. Normalnie powinien wahać się pomiędzy sto dwadzieścia i sto czterdzieści. Liczba białych ciałek krwi pięć i cztery dziesiąte. Nieźle. U zdrowego człowieka waha się między cztery a dziesięć.

Gina rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś stołka.

- Usiądź - powiedziała, ciągnąc Jo w kierunku rzędu krzeseł.

Wszystkie trzy zajęły miejsca blisko siebie.

- Krwinki białe obojętnochłonne zero jeden - powtórzyła Gina. Aż za dobrze знаła ten wynik. Liczba krwinek białych obojętnochłonnych stanowiła element sumy białych krwinek. To one reagowały na antybiotyki, zwalczały infekcje w organizmie. Ich poziom powinien wahać się pomiędzy półtora a osiem i pół na milimetr sześcienny.

- Momentami ich poziom spada do zera - powiedziała Jo. - Oddziałowa mi mówiła. - Podniosła wzrok na Ginę. Kryło się w nim błaganie.

- Płytki krwi... - wyszeptła Gina. - Co się stało z płytkami krwi?

Widziała, że oczy Catherine napęłniły się łzami i że dziewczyna robi wszystko, by Jo tego nie dostrzegła. Żadna z nich nie powiedziała ani słowa. Wszystkie trzy wiedziały, że normalnie poziom płytek wynosi od stu pięćdziesięciu do czterystu tysięcy.

Sam miał jedenaście tysięcy.

Boże jedyny! - pomyślała Gina. Jedenaście tysięcy na milimetr sześcienny. Dziesięć procent minimum...



Dotąd uważała, że przeniesienie Sama na Great Ormond Street to wyraz optymizmu świata medycznego. Przetransportowano chłopca do centrum przeszczepów, żeby był gotowy w chwili odnalezienia się Johna. Teraz jednak Gina zastanawiała się, czy za przeniesieniem nie kryje się coś innego. Być może znalazł się tutaj, bo byłby zbyt już słaby, żeby przeżyć podróż po jakimś czasie? Czy w ogóle dokonają przeszczepu, jeśli chłopiec będzie słabł z dnia na dzień? Z pewnością był za słaby, żeby przeżyć wstępną chemoterapię. Umarłby w szpitalu, czekając na szpik. I tak umrze, powiedział jakiś głos w jej głowie.

Ogarnął ją popłoch. Zerknęła na Jo, przerażona, że ten głos był słyszalny i dla pozostałych dwóch kobiet.

Jo patrzyła na nią.

- Zadzwoił do mnie ktoś z „Echa” - powiedziała.

- Z „Echa”? - powtórzyła Gina ze zdziwieniem. Był to wielkonakładowy brytyjski brukowiec.

- Powiedzieli, że znalazł się dawca, pasujący w osiemdziesięciu pięciu procentach. Nie John.

Catherine spojrzała na Jo ze współczuciem, po czym przeniosła spojrzenie na Ginę.

- Możesz w to uwierzyć? - zapytała. - Zadzwoili tutaj, na oddział.

- Kiedy?

- Pół godziny temu.

- I co mówili?

- Że jest dawca, zgodność wynosi osiemdziesiąt pięć procent. To ktoś w Stanach, kto zarejestrował się miesiąc temu.

- Ale w wypadku Johna byłoby to dziewięćdziesiąt pięć procent zgodności tkankowej - powiedziała Gina i uświadomiła sobie, że niepotrzebnie podkreśla ten fakt, niepożądany, rozpaczliwy fakt, że niemal doskonałe rozwiązanie znajduje się poza zasięgiem możliwości. - Jak, do cholery, „Echo” się o tym dowiedziało?

- Nie mamy pojęcia - odparła Catherine.

- Pracownicy fundacji nie udzielają takich informacji - mruknęła Jo.

- „Echo” nie ma żadnego interesu w podawaniu takich wiadomości! - parsknęła Gina. Zacisnęła dłonie. - I jeszcze dzwonić tutaj! Kto to był? Bradley? Marsh? Kto?

- Fundacja twierdzi, że informacja nie pochodzi od nich - wtrąciła Catherine. - A dzwoniła jakaś kobieta. Nie dosłyszałam jej nazwiska.

- Pieprzona suka! - warknęła Gina.

Zobaczyła na twarzy Jo cień uśmiechu - boleśnie żalosalną parodię rozbawienia.

- Przepraszam - zreflektowała się. - Ale krew się we mnie gotuje. Wysłali kogoś, żeby zdobył informację, nie dowiedzieli się nawet połowy i mieli czelność zadzwonić do ciebie, gdy i tak szalejesz z niepokoju!

Nagle zamilkła.

- A czy te osiemdziesiąt pięć procent zgodności wystarczy? - zapytała po chwili.

- Nie wiemy - odparła Jo. - Czekamy, aż ktoś nam to wyjaśni.

- Boże jedyny... - wyszeptała Gina. Złapała Jo za rękę; nie była w stanie opanować łez. Otarła szybko oczy. Nie powinna płakać! Ma być przecież podporą Jo, pomocnicą Catherine. Mimo to... - Dobry Boże... Dobry Boże, błagam!

Jo zeszywniała. Wstała i wyrwała rękę z uścisku Giny.

- Nie ma żadnego znaczenia, czy to będzie zgodność osiemdziesięciopięcioprocentowa, dziewięćdziesięcioprocentowa czy nawet stuprocentowa - powiedziała. - Nie ma też znaczenia, czy John wróci. I tak będzie za późno.

- Nieprawda! - Catherine poderwała się z krzesła.

- Sam nie nadaje się już do przeszczepu - mówiła dalej Jo.

Gina także wstała.

- Nie mów tak - odezwała się. - Nawet tak nie myśl. Nadaje się!

- Dlaczego mnie okłamujecie? - krzyknęła Jo. - Wystarczy na niego spojrzeć. Nie reaguje na n i c. ALG w ogóle mu nie pomogła.

Odwróciła się od nich, uniosła rękę i przycisnęła dłonie do szyby. Stała tak, nieświadomie przybrawszy pozę ukrzyżowanego człowieka.

- Nie zdążą... - wyszeptała. - Jego organizm już się poddał.

Catherine wyciągnęła rękę, zawahała się, po czym opuściła ją bezwładnie.

Jo przycisnęła policzek do framugi okna. Obie kobiety wpatrywały się w jej biały profil.

- Teraz znalazł się w jakimś niedostępnym mi miejscu - wyszeptała. - Walczy ze smokami, skazany na porażkę, a ja nie mogę do niego dotrzeć. Nie mogę do niego dotrzeć. - Jej wargi drżały.

Gina odwróciła ją twarzą ku sobie i położyła ręce na jej ramionach.

- Posłuchaj uważnie - powiedziała. - Sam nie umrze, Jo. Będzie miał przeszczep szpiku. Wróci do ciebie.

Jo popatrzyła na nią zrezygnowanym wzrokiem i opuściła głowę.

- Gino... - wyszeptała.

Gina przytuliła ją mocno. Wbrew temu, co powiedziała, pragnęła wpaść na oddział,

porwać Sama i wybiec. Nie uciekać z nim w żadne konkretne miejsce, po prostu biec przed siebie.

## 35

Kiedy Alicja wyszła na King's Parade, ujrzała Johna. Zatrzymała się jak wryta pośród pośpiesznie przesuwanego się tłumu. Właśnie minęła Lensfield Road i St Andrews, przeszła obok Muzeum Archeologii, którego zbiory tak spodobały się Johnowi, gdy po raz pierwszy wybrał się do Cambridge. Często opowiadał potem o eksponatach z okolic Pacyfiku, o trofeach brytyjskich wypraw śladami Franklina, o pierwszej i trzeciej wyprawie Cooka, o zdobyczach Haddona z Cieśniny Torresa. Powiedział kiedyś matce, że wizyta w muzeum to jak półgodzinna podróż dookoła świata. Od Jerycha do nizin Ameryki Północnej; od Kechipauan do Fidzi i Vanuatu.

Wyszedłszy z muzeum na niemiłosiernie nagrzaną ulicę, Alicja zatrzymała się na schodach, myśląc o tym, jak bardzo życie Johna przypomina życie jego ojca. Chciał wyjechać, a ona go zatrzymywała - bez powodzenia.

Kiedy zobaczyła go po drugiej stronie King's, była w pierwszej chwili przekonana, że widzi stojącego syna. Dopiero gdy szybkie bicie serca niemal odebrało jej dech, zdała sobie sprawę, że to tylko jego studenckie zdjęcie, powiększone do naturalnych rozmiarów i wystawione w oknie kawiarni. Podeszła bliżej i ujrzała czerwony napis u dołu fotografii: *Czy widziałeś Johna Marshalla?*

Był wszędzie, we wszystkich gazetach. Nie czytywała już „Kuriera”, ze względu na nieprzerwaną kampanię, którą prowadził wydawca. Myślała o tym, żeby zadzwonić do redakcji ze skargą. Była matką Johna, a jednak nikt z nią nie skonsultował apelu o znalezienie syna. Zupełnie jak gdyby Jo Harper była jedyną matką na świecie, a Sam jedynym synem. Przeglądając tę samą gazetę, widziała wiele innych nieszczęść ludzkich, ale to zdawało się nie liczyć. Odwróciła się od okna kawiarni, z twarzą zasłoniętą ręką.

Jechała do domu jak we mgle. W samochodzie panował upalny zaduch. Otworzyła okna, ale do środka dostał się tylko czerwony kurz wraz z drobinami słomy. Jechała za traktorem wypełnionym ładunkiem zboża. W tym roku zbiory były obfite; nawet o dziesiątej w nocy słyszała kombajny na polach. Leżała w łóżku, z odsuniętymi zasłonami i otwartymi oknami, wpatrując się w nieskończone niebo, tak zachwycające turystów. Niebo artystów. Co oni widzieli? Pustkę. Ot, i wszystko. Niebo nad wschodnią Anglią było bezkresne i puste.

Skręciła na podjazd. Wyjęła ze skrzynki wieczorną gazetę. Usiadła w samochodzie, z

silnikiem na jałowym biegu, i zapatrzyła się w pierwszą stronę. Notatka u dołu przyciągnęła jej uwagę:

*Sam Marshall, chłopiec, który wciąż trafia na czołówki gazet ze względu na swoją walkę ze śmiertelną chorobą, został wczoraj przewieziony na Great Ormond Street w Londynie, gdzie przygotowuje się go do transplantacji szpiku kostnego, pobranego od jego przyrodniego brata.*

Krew napłynęła do twarzy Alicji. Wrzuciła bieg i w obłoku kurzu podjechała pod dom. Wyciągnęła kluczyki ze stacyjki i wbiegła do środka, po czym złapała słuchawkę telefonu w korytarzu. Wykręciła numer gazety.

- „Sygnał Wieczorny”.

- Chcę rozmawiać z redaktorem naczelnym - powiedziała.

- Kto dzwoni?

- Alicja Marshall. - Czekala niecierpliwie, wbijając klucze w drewnianą boazerię, żłobiąc rowki w dwustuletnim dębie.

- Ed Wheeler, słucham.

- Mówi matka Johna Marshalla - powiedziała. - Pewnie pan wie, kim jestem?

- Jego matka... - powtórzył redaktor. - Jo Harper?

- Nie! - odparła Alicja. - Jestem matką Johna Marshalla. J o h n a.

- A, rozumiem. Przepraszam. - Na moment zapadła cisza. - Czym mogę służyć?

- Pana dzisiejsza gazeta. Strona tytułowa.

- Tak...

- Gdzie on jest?

- Przepraszam, kto?

- John. Mój syn! - warknęła. - Gazeta podała, że chłopiec został przewieziony do Londynu na przeszczep. A skoro tak, to musi być i dawca.

Redaktor wreszcie zrozumiał.

- O, nie - odparł. - Przepraszam za wprowadzenie w błąd. Szpital twierdzi, że taki jest powód przeniesienia, ale wątpię, czy znaleźli przyrodniego brata Sama.

Znowu zapadła cisza.

- Ale przecież pani chyba pierwsza by o tym wiedziała - dodał po chwili mężczyzna.

Ze złością nadal żłobiła boazerię.

- Zgadza się - stwierdziła. - Wiedziałabym. Wiedziałabym wcześniej niż ktokolwiek inny.

- Właśnie...

- Proszę więc nie pisać nieprawdy. Jeśli ktokolwiek mógłby go znaleźć, to tylko ja - zaznaczyła.

Te słowa wymknęły się jej z ust, zanim zdążyła się zastanowić.

Redaktor uczeplił się ich.

- M o ż e go pani znaleźć? Wie pani, gdzie on jest?

- Chciałam podkreślić, że w tej historii chodzi nie tylko o matkę chorego dziecka - usiłowała się wycofać. - A wy wszyscy chyba o tym zapominacie.

- Wie pani, gdzie on jest? - powtórzył mężczyzna.

Rzuciła słuchawkę.

Weszła do salonu, nadal gotując się ze złości. Nie minęła nawet minuta, kiedy telefon zadzwonił. Alicja nie zamierzała odebrać. Zgrzytając zębami, poszła do kuchni i wyciągnęła z lodówki butelkę wina. Nalała sobie kieliszek i wychyliła go jednym haustem. Wszystko, co miała, rozpadło się na kawałki.

W s z y s t k o   r o z p a d ł o   s i ę   n a   k a w a ł k i. To zdanie wciąż kołatało w jej umyśle. Była zdrową kobietą, szanowaną i wpływową. A jednak nie potrafiła zapanować nad własnym życiem. N i g d y   n i e   p a n o w a ł a   n a d   w ł a s n y m   ż y c i e m. Osiągnięcia były tylko złudzeniem. Raz objawiona, ta myśl nie chciała zniknąć. Alicja jęknęła i wróciła do salonu, gdzie opadła na fotel i włączyła pilotem telewizor.

Zaczęły się lokalne wiadomości wieczorne. Patrzyła w ekran bez zainteresowania, wyłączywszy dźwięk. Nie miała ochoty słuchać o nieważnym życiu innych ludzi. Jakaś kobieta otwierająca list. Dziecko dumnie ściskające wstążkę w dłoni. Wypadek drogowy - reporter na poboczu, błyskające niebiesko światła wozu patrolowego. Przysłoniła oczy dłonią, zirytowana nie obchodzącymi jej sprawami. Kiedy opuściła dłoń, z ekranu spoglądała na nią twarz Douga. Alicja gwałtownie wciągnęła powietrze i podkręciła głoś.

- ...uznany profesor w Blethyn College, który zginął ponad dwa lata temu...

Alicja pochyliła się w fotelu. Na ekranie pojawiła się Jo, siedząca pod krzakiem bzu, z Samem na rękach.

- Niedzielna emisja telewizyjnego apelu zaowocowała zdumiewającym wzrostem zainteresowania Fundacją Jamesa Norberry'ego. Dotychczas... - mówił komentator.

Alicja miała wrażenie, że nie zdoła już nigdy odetchnąć. Nie chcąc patrzeć na Jo, zerknęła na dziecko. Wyglądało niemal jak John, kiedy był w jego wieku - nawet tak samo wykrzywił usta w grymasie, który mógł być uznany za uśmiech.

Ale chłopiec na kolanach Jo Harper nie uśmiechał się, widziała to. Wpatrywał się w matkę, z napięciem w oczach. Spojrzała na jego palce, splecione z palcami Jo.

Wyłączyła telewizor. Wyszła na korytarz, a następnie na podjazd, oddychając głęboko. Drżała na całym ciele. Minęła samochód i szła przez długi trawnik.

W ogrodzie kwitły kolorowe kwiaty. Patrzyła na ich kępy, po czym opadła na kolana na starannie przystrzyżoną trawę.

- O, Boże! - jęknęła. - Co ja zrobiłam?

Przez całe życie walczyła o coś, co uznała za najważniejsze. Walczyła o Douga; walczyła o jego utrzymanie przy sobie; wrobiła go w małżeństwo. Trzymała Johna przy sobie, podczas gdy Doug coraz bardziej się oddalał; dławiła swoje dziecko emocjonalnie. Trzymała je w domu, izolując od innych dzieci, nie chciała, żeby się do nich zbliżał. Nalegała, by pozwolił odprowadzać się do szkoły, nawet gdy był już nastolatkiem. Nie chciała, żeby bywał u kolegów, zniechęcała chłopców do wizyt u niego. Pod wpływem jej szantażu uczuciowego zrezygnował ze swoich planów i podjął studia w Cambridge. I dręczyła go. Boże, jak bardzo go dręczyła!

Wpatrywała się teraz w pomarańczowe kępy kwiatów, czując się tak, jak gdyby jej serce stanęło w płomieniach.

Codziennie dzwoniła do Johna, pytała, co robi i z kim przestaje, a kiedy zaczął się oddalać - kiedy czuła, że chce się od niej uwolnić, kiedy widziała, że zabiega o uwagę ojca - jeszcze mocniej naciskała, żeby wzbudzić w nim poczucie winy. A teraz straciła ich obu. I męża, i syna. Wszystko, co w życiu zdobyła, wywalczyła za pomocą błagań i dąsów. Cóż z tego miała? Samotność. I strach. Dni wypełnione strachem. Nienawidziła świata, o którym myślała, że zabrał jej syna, nienawidziła kobiety, której Doug ofiarował miłość. Nienawidziła tego małego, chorego dziecka. Aż tak daleko zaprowadziło ją uczucie, które brała za miłość?

Jo Harper ż y ł a, miała przyjaciół. Była podziwiana i szanowana. Wystarczyło spojrzeć, jak oddana jest jej ta dziewczyna, Catherine. Wystarczyło włączyć telewizję. Matka Sama zdawała się poruszać serca lekarzy, ekipy telewizyjnej, ludzi z „Kuriera”, z lokalnych stacji radiowych. Była kochana.

Również Doug kochał ją tak, jak nigdy nie kochał Alicji. A teraz odżył w swoim synu. Mały miał skórę zdjętą z ojca. Za dwadzieścia lat stanie się drugim Dougiem Marshalllem. Samuel Douglas Marshall... Jeśli przeżyje.

Jeśli przeżyje...

Alicja krokiem starej kobiety przeszła na tył domu, przygnieciona poczuciem klęski życiowej. Usiadła w cieniu i przez długi czas wsłuchiwała się w ciszę.

Kiedy podniosła się, otworzyła szufladę w biurku i wyjęła z niej stosik papierów. Były tam między innymi dwa listy od Johna, które nadeszły w ciągu ostatnich dwóch lat. Było tam

również zdjęcie Johna, jej samej i Catherine. Wyprostowała je w miejscu, gdzie wcześniej je zgięła, żeby ukryć Catherine. Po raz pierwszy dostrzegła, że nie jest to fotografia trójki osób. John i Catherine trzymali się za ręce, patrzyli na siebie. Ona sama stała po drugiej stronie syna, ale to właśnie ona wyraźnie tu nie pasowała. Zgięła więc zdjęcie tak, by widoczna była tylko Catherine z Johnem. Jej postać zniknęła.

Wyjęła spośród papierów małą kartę koloru kremowego. Przyjrzała się jej uważnie, po czym wraz z ostatnim listem od Johna włożyła do torebki. Sięgnęła po kluczyki i wyszła z domu.

## 36

Była północ. Gina poszła już do domu, a na Great Ormond Street Jo spała na sofie obok łóżka Sama. Światła na korytarzu i w części pomieszczeń oddziału wygaszono. Jo śniła o Johnie. Stał na środku białej bezkresnej przestrzeni. Wydawało się, że nie istnieje ziemia, niebo, horyzont, tylko ta przestrzeń. Usiłowała do niego dotrzeć, ale to, co miała pod stopami, wciągało ją. Walczyła z całych sił, żeby się wydostać, ale tonęła. Sylwetka Johna roztopiała się zaś w otaczającej bieli.

Ten wieczór był straszny. Gdy Gina, Catherine i Jo wróciły po kilku minutach do pokoju, w którym zostawiły śpiące dziecko, Sam nie spał, grzbiet wygiął w łuk, tak że szeroki opatrunek z gazy zwinął się pod pachami. Z piersi chłopca sączyła się krew.

- O, Boże! - krzyknęła Jo. - Co się stało?!

Gina odwróciła się na pięcie i pobiegła po pielęgniarkę.

- To cewnik Hickmana - powiedziała Catherine. - Wyciągnął go.

- Boże! - jęknęła Jo. - Co teraz...? Co teraz?!

Instynktownie zacisnęła koniec cewnika. Popatrzyła na Catherine.

- Skąd to wypływa? - zapytała. - Czy z jego serca? Na pewno z serca. O, Boże, Boże...

Sam milczał, najwyraźniej zaskoczony swoją nieoczekiwaną siłą i rozmiarem rury, którą wyrwał sobie z piersi. Widząc przerażenie kobiet, zaczął krzyczeć.

- Nie krzycz - błagała Jo. - Sam! Sam! Cicho...

Z przerażeniem wpatrywała się w Catherine. Krew skapywała jej pomiędzy palcami.

- Nie! - krzyknął Sam. To był ogłuszający, wysoki dźwięk, który rozniósł się po szpitalu.

Pielęgniarka wpadła razem z Giną.

- Skąd ta krew...? - wybełkotała Jo. - Nie mogę jej powstrzymać.

Pielęgniarka delikatnie odsunęła jej rękę.

- To krwawienie podskórne - powiedziała.

- Zostawiłyśmy go na krótką chwilę... Spał.

Pielęgniarka spokojnie zwróciła się do Jo:

- To nie z serca. Krwawienie zaraz ustanie. Wszystko w porządku - mówiła dość głośno, żeby Jo usłyszała ją przez ten przerażający krzyk dziecka. - Wszystko będzie dobrze - dodała współczująco.

Dobrze...

Jo wyrwała się ze snu o nieuchwytnym Johnie. Przez chwilę widziała jedynie światło księżyca na podłodze.

Nagle usiadła. W drzwiach stała Alicja.

- Witaj, Jo - powiedziała.

Jo zerwała się na równe nogi.

- Taki mały chłopczyk - rzekła Alicja. - Nie zdawałam sobie sprawy... Taki mały...

Jo podążyła za jej spojrzeniem. Sam spał spokojnie pod wpływem środków uspokajających. Wyglądał jak aniołek z buzią wygładzoną, rozpogodzoną we śnie. Jedynie drobne kropelki krwi na skraju poduszki wskazywały na to, co zaszło zaledwie trzy godziny wcześniej. Alicja wyciągnęła rękę i dotknęła buzi dziecka.

Jo podeszła do łóżka i ujęła małą rączkę.

- Co pani tu robi? - spytała.

Alicja nie odrywała wzroku od Sama.

- Przyjechałam.

- Która godzina?

- Północ. - Popatrzyła niepewnie na swą następczynię u boku Douga.

Jo nie potrafiła odczytać nic z wyrazu twarzy tej kobiety. Nigdy dotąd nie widziała jej oblicza bez maski. Uważała, że w oczach Alicji odbija się jakiś fałsz czy też niezrozumiała dla niej poza.

Teraz jednak ta twarz pozbawiona była maski.

- Przyniosłam coś - powiedziała kobieta, grzebiąc w torebce. Wyciągnęła w końcu kartę i podała ją Jo.

*Fundacja Jamesa Norberry'ego* widniał napis na górze kartonika. Było tam jeszcze nazwisko Johna, a także numer AZMA 552314.

Jo nie musiała zaglądać do swojej torebki, żeby przekonać się, że to ten sam numer, który podał jej Bill Elliott, numer dawcy. Nie musiała sprawdzać, bo miała te cyfry



zanotowane w pamięci, i wiedziała, że jeśli kiedykolwiek jeszcze je zobaczy, to będzie dobry znak.

- Jest coś jeszcze - odezwała się Alicja, trzymając w dłoni list. - John do mnie napisał. Pojechałam, żeby się z nim spotkać. Nie mogłam go powstrzymać od wyjazdu. Ja... - Głos jej się załamał. Odetchnęła głęboko. Wyciągnęła przed siebie zapisaną kartkę. - Jeśli to coś pomoże, tu jest adres - dodała.

Numer telefonu i adres Richarda Sibleya były wypisane na górze. Jo wzięła kartkę i wbiła w nią wzrok.

Alicja odwróciła się. Dotarła już do drzwi, kiedy Jo ruszyła za nią, ściskając w dłoni list od Johna. Dotknęła ramienia Alicji i przez chwilę obie kobiety patrzyły sobie w oczy. Nagle Jo objęła Alicję.

- Wybacz mi - rozszlochała się Alicja. - Proszę, wybacz mi.

## 37

Kiedy Gus dotarł do skały, był zbyt zmęczony, żeby utrzymać się w pozycji siedzącej. Położył się twarzą do ziemi, z ręką opartą na kamieniach. Nie padał już śnieg ani deszcz ze śniegiem, ani nawet nie wiał wiatr. Temperatura przekroczyła zero stopni, a dzień wcześniej spadł deszcz.

Gus patrzył na Zatokę Simpsona.

Zostawili za sobą lód i w zeszłym tygodniu dotarli do sześćdziesiątego ósmego stopnia szerokości geograficznej. Tu morze nie było zamrożone. Na falującej leniwie ciemnoniebieskiej wodzie unosiła się szarawobiała kra. To był brudny, stary lód, pochodzący z obszarów, na których zostawili statki. Wiele kilometrów na południe ocean w końcu wyzwolił się z oków lodowych. Ziemia Króla Williama była wyspą. Przejście Północno-Zachodnie istniało, znajdowało się właśnie przed niedobitkami załóg *Erebusa* i *Terrora*. Ale tych czterech ocalałych mężczyzn nic już to nie obchodziło.

W końcu Gus podźwignął się i przyciągnął ku sobie dwa spore kamienie; podniesienie ich przewyższało jego siły. Potem z kieszeni wydobyl puszkę, której nie zdołali zalakować. Zwinęli więc kartkę z wiadomością, wepchnęli ją do walca, owinęli go kawałkiem skóry i związali rzemykiem.

Położył teraz puszkę na płaskim, dużym kamieniu i przysypał okruchami skał. Ten wysiłek wyczerpał go do cna. Koniuszki jego palców przywarły do szorstkich granulek żwiru. Wkrótce walec był przykryty, a Gus wiedział, że nikt go nigdy nie odnajdzie. Udało mu się

jednak sporządzić coś na kształt kopca, ostatniego usypanego przez załogę Franklina... Dwieście metrów dalej, u stóp skalnego wzniesienia, ustawili namiot. Oglądając się, Gus widział, jak kiepsko im to poszło. Materiał nie był napięty, boki nie zostały odpowiednio obciążone; jeden róg wysunął się spod kamieni.

Chłopak powoli dźwignął się na łokciu. Podrapał paznokciem najbliższej leżący kamień. Cienka, zielonkawa powłoka odpadła w suchych płatkach. Otworzył usta i położył płatki na języku.

Bolały go wargi i jama ustna; ciężko mu było żuć nawet te porosty. Wczoraj udało się im ustrzelić ptaka, ale dojście do miejsca, gdzie spadł i zabranie go kompletnie ich wyczerpało. Kucnęli, by go przekroić. Usiłowali żuć następnie surowe mięso, ale ich dziąsła były tak spuchnięte, że natychmiast zaczęły krwawić.

Gus w ślimaczym tempie zaczął schodzić ze wzniesienia. Kiedy ostatnio zebrał się na odwagę i spojrzał na swoje stopy, zobaczył, że palce są czarne. Stracił też czucie poniżej w prawej stopie; lewa była w lepszym stanie.

Przy namiocie ukląkł i zgarbił się, chroniąc ciało przed słoną bryzą. Nie chciał wchodzić do środka. Nie chciał wiedzieć, co się tam mówi. Nie chciał brać udziału w ostatniej rozmowie. W modlitwach i udzielaniu rozgrzeszeń.

Wczoraj w nocy dopadła ich elektryczna burza. Ścieśnili się wszyscy w namiocie, całkiem mokrzy, gdyż deszcz ze śniegiem przemoczył tkaninę namiotu. Wyładowania wyglądały jak upiory z bajki; skaczące po wodzie, błękitne snopy energii zdawały się być wszędzie.

Gus miał nadzieję, że to przyszedł po niego diabeł. Jeśli grzesznicy skazani byli na piekło, to Gus nie miał wątpliwości, że już wkrótce ujrzy diabelskie oblicze. Dowie się, jak to jest zostać wyrwanym z życia i strąconym w otchłań piekielną. Ta myśl wcale go nie przerażała. W piekle przynajmniej nie będzie zimna. Pomyślał, że mógłby egzystować w wieczności wypełnionej płomieniami. Spalone ciało stanie się obojętne na wszystko. A najważniejsze, że nie będzie wreszcie odczuwać głodu.

Głód zaś nie oznaczał wcale pustego brzucha, jak sądził w dzieciństwie. To było coś znacznie gorszego. Głód oznaczał ból jak od ciosu noża. Gus przestał myśleć o posiłkach, które będą na niego oczekiwały, kiedy dotrze do domu - o stekach z kluskami pływającymi w gęstym sosie, o gotowanej rybie, o rybie pieczonej na koksownikach w dokach. Zapomniał już nawet, jak pachną potrawy, jak to jest czuć żywność w ustach, w żołądku.

Kiedy człowiek zdrowiał po szkorbutcie, stara skóra schodziła z jego twarzy płatami, odsłaniając delikatną jak u dziecka, bezwłosą nową warstwę. Ale im się to nie przytrafi. Nie

wyzdrowieją. Umrą w ciągu kilku dni, jeśli nawet przyjmą ofiarę, która została teraz złożona.

Gus nie mógł sobie przypomnieć imienia mężczyzny, który zmarł ostatnio. Abraham? Abraham Seeley, z *Erebusa*? Co takiego zrobił biblijny Abraham? Abraham postanowił złożyć w ofierze własnego syna, Izaaka. Wśród marynarzy nie było żadnego Izaaka. Nie było więc kogo złożyć w ofierze oprócz tego człowieka, który mógł być Abrahamem albo jednym z tych, którzy przyszedli tu z Point Victory: Danielem Arthurem, kwatermistrzem; Williamem Goddardem, szefem ładowni; George'em Kinniardem; Reubenem Male'em, szefem kubryku na *Terrorze*.

Ale to już nie byli ludzie, żaden z nich. To były tylko cienie...

Gus spojrzał na plamę szarości za wodą. Za cieśniną leżała Kanada. Setki kilometrów dalej znajdowały się placówki Kompanii Zatoki Hudsona. Fort Churchill, Fort York, Severn Fort, Albany, Moose Fort, East Main, Fort George. Nazywano tę krainę Moosonee, Manitobą, Ziemią Ruperta. Była tam Rzeka Małego Wieloryba, a także Rzeka Wielkiego Wieloryba. Tubylcy używali nazw Sakehao i Ketemakalemao. Statek wuja Gusa dotarł tam kiedyś, gnany burzą. Żyli tam ludzie. W Albany Station mieszkało na przykład osiemdziesiąt rodzin. Tak mówił misjonarz. Gus jednak nigdy nie popłynął do zatoki, nie znajdzie się na statku wielorybniczym ani też na żadnym innym statku.

Był z tego zadowolony, podobnie jak cieszyła go perspektywa, że przestanie istnieć. Nie będzie musiał chodzić, nie będzie musiał oddychać; niczego nie usłyszy; nie będzie musiał oglądać ostatniego błysku w oku umierającego człowieka. Bóg mu nie wybaczy.

Nagle po drugiej stronie cieśniny dostrzegł ruch. Pomyślał, że wzrok go zawodzi. Potem uznał, że to kry obracające się w prądzie morskim albo też wzburzona woda. Potem ujrzał sylwetki ludzkie. Kucnął i wytężył wzrok.

Przez moment zastanawiał się, czy to członkowie załóg. Małeńkie figurki w oddali wyglądały jak zjawy. Może to ludzie, których zostawili? Może duchy zmarłych? Może kiedy usiłował wznieść kopiec, umarł z wysiłku i teraz powolnym marszem idzie ku niemu zmarła załoga, pragnąca go powitać na drugim brzegu?

Oślonił oczy. Sylwetki stały się wyraźniejsze. Ileż to minęło tygodni, odkąd widział tych ludzi? Było ich ponad dziesięciu - może dwunastu? To ci, którzy zostali w cieśninie, a teraz nadchodzą z wychudzonymi twarzami, owinięci płaszczami, w czapach skrywających rany i owrzodzenia na czaszkach. Gus podniósł się z trudem.

Poczuł nagle, że nie chce oglądać tego przerażającego pochodu. Jeśli to zmarli przyszedli po niego, nie chce spojrzeć im w twarze, zobaczyć wyrazu ich oczu! Nie chce patrzeć na ludzi, których kroił, czy choćby tylko pomagał kroić. Tych pociętych jak patroszone ryby,

wysuszonych w promieniach bladego słońca, którzy posłużyli za pokarm dla chorych.

Na rozkaz Croziera nacięli kości udowe zmarłych i wyssali je. On także... Czuł to mdłe ciepło w ustach, którego nie mógł przełknąć. Właśnie owo ciepło sprawiało, że to było nie do zniesienia. Żuli, szlochając nad szczątkami. Gus nie wiedział, czy Crozier również wziął udział w uczcie. A jednak, gdy dziś usiedli we dwójkę - trzeci mężczyzna spał, wydając świszczące odgłosy typowe dla zapalenia płuc - Crozier dotknął ręki chłopca.

- Spójrz na mnie - wyszeptał.

Gus popatrzył mu w oczy. Dojrzał w nich odbicie własnego przerażenia.

- Czy wiesz, co to jest? - spytał Crozier. - Co tam widzisz, za nami?

- Nie chcę wiedzieć - odparł Gus.

Crozier ścisnął jego ramię.

- O tym nie powinien wiedzieć nikt - powiedział. - Kiedy się stąd wydostaniesz, kiedy przeżyjesz, musisz to zachować dla siebie.

Gus złapał walec, który Crozier przygotował.

- Poczekaj chwilę - odezwał się Crozier. - Posłuchaj... Gus nie patrzył na dowódcę. Wciąż obracał w dłoniach miedzianą puszkę; było mu niedobrze, gdy uświadamiał sobie daremność zostawiania tej ostatniej wiadomości.

*11 sierpnia 1848 roku.*

*H.M.S. „Erebus” i „Terror”.*

*Pozostał 1 oficer, 3 członków załogi.*

*Ostatni kopiec wykopany na 68 stopniu 15 minucie szerokości geograficznej i 97 stopniu 30 minucie długości geograficznej.*

*W oczekiwaniu na zwiadowców z Zatoki Hudsona.*

*F. R. M. Crozier, kapitan i dowódca*

Opadające pismo biegło nierównymi rzędkami przez arkusz.

Crozier odebrał Gusowi walec i odrzucił go gdzieś na bok.

- Gus! - odezwał się. - Musisz mnie wysłuchać.

- Nie chcę o tym mówić - rzekł z uporem chłopak.

- Wiem - odparł Crozier. - Ale pamiętaj, że Bóg jest miłosierny.

W końcu Gus spojrział na niego. Serce mu się ścisnęło, gdy ujrzał ostatni płomyk życia w twarzy kapitana.

- Dla nas nie ma przebaczenia - wyszeptał.

Crozier wciąż trzymał jego palce w uścisku.

- Mylisz się - powiedział. - Niebiosa to miłosierdzie. Ci, którzy umarli, już nam

przebaczyli. Pobłogosławili nas i udzielili nam wskazówek. Czy serce Boga miałyby być mniej miłosierne niż ludzkie?

- Nie mogę! - jęknął Gus.

- Możesz - sprzeciwił się Crozier. - Kiedy zostaniesz sam, to jedyna rzecz, którą m u s i s z zrobić.

- Nie! - szlochał Gus.

- Obiecay - nalegał kapitan.

Chłopiec zaczął płakać. Obietnicy nie mógł złożyć. Takiego rozkazu nie mógł wypełnić, choć wypełniał wszystkie inne. Poszedł za Crozierem do tego diabelskiego miejsca. Poszedłby za nim nawet do samego piekła. Nie mógł jednak zrobić tego jednego, czego żądał od niego kapitan. Jeśli zostaną sami... Jeśli pozostanie ciało Croziera... Człowieka, który był dla niego prawie ojcem!

- Gus - odezwał się znów Crozier. - Posłuchaj... Szpik kostny...

- Nie, panie kapitanie! Nie...

- Szpik kostny jest najbardziej pożywny. Zapamiętaj to. Nawet jeśli nie zjesz nic więcej, musisz wyssać szpik.

Gus zakrył twarz rękami, szlochając w rozpacz. Czuł dotyk dłoni dowódcy na swoim ramieniu.

- Przebaczam ci, Gus - wyszemrał Crozier. - Słyszysz? Przebaczam ci.

Gusowi przyszło coś do głowy. Otworzył oczy i spojrzał na dowódcę.

- Niech ja będę pierwszy - powiedział. - Niech będę pierwszy - dla pana.

Wtedy Crozier opuścił głowę. Z głębi jego trzewi wydarł się jęk. I to było najgorsze, najgorsze ze wszystkiego - ten rozpaczliwy jęk.

\*

Gdy Eskimosi podeszli do obozowiska, dobiegła ich woń wywołująca złe przecucia. Zbliźali się ostrożnie, zastanawiając się, nasłuchując. Słyszeli dwa głosy, przytłumione hukiem morza i brzęczeniem lodu.

Idący przodem spojrzeli na siebie. Kusilo ich, żeby nie zwalniać kroku.

Wszyscy czterej z rodzinami przebyli kawał drogi, polując na foki. Jak wszyscy tubylcy, wiedzieli, że w tej krainie pojawiają się biali ludzie, ale nikt z tu obecnych nie widział jeszcze białego człowieka.

Tooshooarthariu wysunął się naprzód. Zaintrygował go widok otwartego namiotu. Ujrzał leżącego na ziemi mężczyznę i drugiego, starszego, stojącego nad nim.

Uniósł dłoni.

Stojący powoli powtórzył gest, a następnie podszedł.

Teekeeta i Owwer tkwiący u boku Tooshooarthariu cofnęli się, a Managaq odwrócił się na pięcie, gotowy do natychmiastowej ucieczki. Kiwnął ręką na żonę; zatrzymali się oboje dopiero przy saniach.

Tooshooarthariu widział wyraźnie, że głód, dręczący jego rodzinę przez całą zimę, dał się we znaki białemu. Miał jednak przed sobą skutek czegoś o wiele straszniejszego niż zwykły głód. Słyszał, że skóra białych ludzi jest jaśniejsza, ale ten obcy miał dziwny kolor. Jego twarz pełna była plam, wyglądających tak, jakby ktoś źle zszyl skórę. Jego czoło miało rozmaite odcienie: niebieski, szary i przeraźliwie biały. Skóra na kościach policzkowych także wydawała się biała. Usta natomiast przybrały kolor czarny, sprawiały wrażenie zbyt okropne, by się im przyglądać. Wargi i dziąsła miały ten sam kolor; zęby były długie, żółte, pokryte plamami krwi.

Ten przerażający mężczyzna zaczął mówić.

Tooshooarthariu patrzył jednak raczej na jego ręce, bo nie rozumiał języka - tych szorstkich, krótkich dźwięków. Pojął jednak, że mężczyzna przybył z północy - machał ręką w tamtym kierunku - i że tam były łodzie, duże łodzie. Mężczyzna złapał topniejący kawałek lodu i wyciągnął go przed siebie, zgniatając obiema rękami. Potem wzniosł jeden palec i pokazał na siebie. Powtórzył gest. Jeden człowiek. Dwóch ludzi. Trzech. Ręce szybko się poruszały. Wielu mężczyzn.

Eskimosi z niedowierzaniem wpatrywali się w namiot.

Teraz nie było tam wielu ludzi, to oczywiste. Jak to w ogóle możliwe, że wielu ich przywędrowało po lodzie? Tubylcy nie poruszali się w dużej gromadzie. To było niebezpieczne. Żyli w małych społecznościach, złożonych z dwóch czy trzech rodzin. Nawet na wielkich letnich spotkaniach nie pojawiała się więcej niż czterdzieści, pięćdziesiąt osób. Nie można przeprowadzić bezpiecznie przez lód setek ludzi.

Biały człowiek był wyniszczony - to się dało zauważyć, nawet jeśli nie patrzyło się na tę straszną twarz. Nie trzymał się prosto. Młodszy, który właśnie podnosił się z posłania, był nieco wyższy. On także nie był w stanie się wyprostować.

- Są głodni - wyszeptał Owwer.

Eskimosi odeszli do kobiet.

Pierwsze, co powiedziała żona Tooshooarthariu, Ahlangyah, to że nie ma za dużo fok; zupełnie jak gdyby czytała w myślach męża. Wiosną spędzali wiele godzin na poszukiwaniu odpowiedniego miejsca do polowania. W słoneczne dni, kiedy foki wylegiwały się na krach, wydawały się łatwym celem, ale żeby myśliwemu udało się je podejść, musiał mieć czas,

cierpliwość i praktykę. Foki mają znakomity słuch, a więc do kry czy otworu w lodzie należało skradać się powoli, mozolnie. Czasem myśliwi godzinami trwali nieruchomo na lodzie, czekając, aż foka wyjrzy z przerębła, aby zaczerpnąć powietrza. To była chwila na wykazanie się prawdziwym kunsztem łowieckim - należało usłyszeć fokę pod lodem i przewidzieć moment, w którym napnie mięśnie, by wyskoczyć na powierzchnię. Wtedy myśliwy uderzał włócznią, mając nadzieję, że trafi w czaszkę, poszerzał otwór w lodzie i wyciągał zdobycz. Przez cały ten czas musiał zmagać się z rannym zwierzęciem.

Nie łapali wielu fok. Zabijali je tylko wtedy, gdy były im niezbędne; później musieli zebrać kości, zanieść je nad morze i wrzucić do wody. Gdyby tak nie postąpili, przyniosłoby im to pecha przy kolejnych polowaniach.

- Zabijali ptaki - domyślił się Owwer z gestów białego człowieka. - Niech więc teraz poczekają na następne. Tooshooarthariu popatrzył niepewnie na starszego mężczyznę.

- Mamy za mało mięsa, żeby jeszcze ich karmić - przypomniała Ahlangyah.

Nie wiedział, ilu jest białych. Popatrzył na namiot. Ile osób mógł pomieścić? Może nawet dziesięć. Gdyby chcieli dać mięsa dla wszystkich, nic by nie zostało dla nich samych. A jeśli biały człowiek zobaczy mięso na saniach, może chcieć zabrać wszystko.

Tooshooarthariu słyszał, że kiedy dwadzieścia zim wcześniej mężczyźni zwani Parry i Lyon przybyli na swoich statkach do Igloodik, jego dziadek wraz z innymi ludźmi ze swojego szczepu bywał u nich. Mężczyzna zwany Artungun, będący wtedy dzieckiem, dowiedział się, że może jechać z Parrym do kraju białych ludzi. Artungun potrafił liczyć w ich języku, śpiewać pieśni, których go nauczyli, i twierdził, że przywrócił go do życia szaman Parry'ego, upuszczając mu krwi z ramienia. Artungun demonstrował bliznę, aby udowodnić, że mówi prawdę. W opowieściach dziadka kryło się jednak również coś zatrważającego. Biali ludzie mieli patyki, które zabijały zwierzęta. Nosili je na ramionach i używali drobnego, czarnego prochu, którym potrafili wywołać ogień. Wciąż patrząc na starszego z mężczyzn, Tooshooarthariu zastanawiał się, czy ci dwaj mają takie groźne patyki w namiocie. Gdyby ofiarował białym ludziom jedzenie, a byłoby go za mało, czy ci użyliby ognistego proszku i swojej broni, żeby żądać więcej?

Popatrzył na Ahlangyah. Odpowiedziała mu kamiennym spojrzeniem.

- Na co chorują? - zapytała.

- Nie wiem - odparł.

Skinęła głową w kierunku dzieci.

- Nie chcemy ich choroby - powiedziała.

Stracili dziecko pięć miesięcy wcześniej; wiedział, że o tym myślała. Spojrzenie

Ahlangyah powędrowało teraz do białego chłopca, który mógł mieć najwyżej kilkanaście lat. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało, zanim opuściła głowę i zakryła twarz rękami. Mimo jego upstrzonej plamami twarzy widziała, że miał jasną skórę, przypominającą kobiecie pasemka światła na niebie.

Owwer skrzyżował ramiona.

- Oni umierają - mruknął. - Nasze mięso już im nie pomoże. Będą tylko dłużej umierali.

Tooshooarthariu zawahał się. Owwer miał rację. Nie mógł jednak tak po prostu odejść z mięsem w torbach i skazać tych ludzi na śmierć głodową. Popatrzył znów na mały, żalony namiot, i zastanowił się, z jakich statków przyszli ci ludzie i gdzie się one teraz znajdowały. Zastanawiał się, czy to w ogóle prawda. Setki ludzi? Duże statki z żaglami?

A jeśli to prawda, to gdzie są ci ludzie?

Może czekają na nich. Może setki ludzi już idą. Może jutro tu dotrą. Może zostawili tu swoich chorych i niebawem po nich wrócą. A może ci tu nie umrą, jeśli oni podarują im żywność na tydzień? Może to wszystko, czego potrzebują?

Biały człowiek usiadł, jakby zabrakło mu sił. Tooshooarthariu napotkał jego spojrzenie, widział tępą rozpacz w jego oczach. Pomyślał, że cokolwiek to wszystko znaczy, nie może obojętnie pójść dalej, zabierając foki.

- Dajcie im mięso - polecił.

\*

Dwa dni później światło poranka stało się jaśniejsze. Morze wydawało się ciemnoniebieskie, a powietrze pachniało słodko. Gus pomyślał o ogrodach.

U jego boku leżał kawałek foczego mięsa, które zostawili Eskimosi. Wczoraj wieczorem on i Crozier zjedli zaledwie kilka kęsów. Mięso było bardzo tłuste i bardzo trudne do gryzienia. Długi wieczór poszarzał, ale nie zapadła ciemność. Panowało milczenie, bo i nie było już o czym mówić.

Wczesnym rankiem Francis Crozier zmarł.

Gus przez długi czas wyciągał koce z namiotu i owijał ciało. Ten wysiłek bardzo go wyczerpał.

Gdy już skończył tę czynność, nie mógł przypomnieć sobie żadnej modlitwy; nie mógł też płakać. Usiadł przy zmarłym i spoglądał na wodę. Potem położył się obok martwego kapitana i czekał na pójście w jego ślady.



Deszcz ustał. Wiał lekki wiatr. Zachmurzenie było dość duże, lecz widoczność dobra. Niedźwiedzica leżała na brzuchu, z wyciągniętymi łapami, głowę opierała na kamieniach. Dzięki temu czuła się lepiej.

Spała od wielu godzin. W snach przebywała w różnych światach. Pływała pod warstwą lodu oczyszczonego ze śniegu, dzięki czemu przefiltrowane światło docierało do oceanu, wypełniając głębinę kolorowymi smugami. W Cieśninie Lancastera trwało arktyczne lato, wody zapełniły się ławicami żebroplawów, których wyrostki chwytne pulsowały w przejrzystej toni. Ocean zgęstniał od malutkich, przezroczystych widłonogów, tak drobnych, że wyglądały jak drobinki pyłu oświetlone załamaniem światłem słonecznym. Nurkowanie w takim morzu przypominało zanurzanie się między gwiazdy.

Śniła też o wielorybach, białuchach i walach, które po spędzeniu zimy przy południowej krawędzi lodu każdej wiosny masowo powracały na żerowiska. Przybywały pierwsze, przed wszystkimi innymi wędrowcami. Płynęły szczelinami między pękającym lodem, kierując się na północ. Jeśli woda znów zamarzała i przeręble się zamknęły, białucha potrafiła w zanurzeniu przepłynąć pod pokrywą lodową odległość dochodzącą do trzech kilometrów. Gdyby nie napotkała na przeręble, mogła po prostu podplłynąć pod lód i wypchnąć go do góry masą swego ogromnego ciała. W rezultacie pomiędzy lodem i wodą tworzyła się kieszeń, w której gromadziło się powietrze. Niedźwiedzica widziała przepływające obok wieloryby o grzbietach i otworach nosowych zrytych bliznami po zderzeniach z ostrymi krawędziami lodu.

Słyszała, jak morskie olbrzymy śpiewają podczas podwodnych podróży. Białucha wydawała rytmiczne dźwięki, wypełniające prądy morskie. Wale, bezlitośnie mordowane przez ludzi, tak że zagrożone były wymarciem, naprawdę śpiewały, obwieszczając głębinom swoją obecność długimi melodiami o niskiej częstotliwości.

Niedźwiedzica stanowiła część tego świata. Przemierzyła setki kilometrów wzdłuż linii brzegowej i każdego roku widziała oznaki powracającego życia: mącznicę lekarską, której liście jesienią stawały się czerwone; bażynę czarną, utrzymującą owoce na łodygach nawet podczas ciężkich mrozów; malinę moroszkę o gęstej, kremowej konsystencji; porosty, najstarsze i praktycznie niezniszczalne rośliny na ziemi; dywany dzikich kwiatów: maków, białych dębików ośmiopłatkowych, błękitnych niezapominajek.

Była częścią tego świata; żyła dzięki umiejętności wyłapywania zapachów, przenoszonych w powietrzu na odległość wielu kilometrów. Wiedziała, gdzie gromadzą się ptaki: czterysta tysięcy gęsi śnieżyc po południowo-zachodniej stronie Ziemi Baffina; dwieście tysięcy gęsi Rossa w Zatoce Królowej Maud; wiedziała, gdzie latają długoogoniaste

wydrzyki; niebezpieczne jastrzębie; czarnonogie mewy trójpalczaste.

Znała ostrą biel śniegu, niebiesko-białą mgłę arktyczną, niosącą w swoich kłębach kryształki lodu; złudzenie optyczne w postaci rozbłysków światła uwięzionych między słońcem, lodem i mgłą.

Miała ich widok w głowie i w sercu. Podobnie jak wiele innych widoków: milion gwiazd w wodzie pełnej światła, słońce przesuwające się nad śniegiem, burze i spokój. Takie obrazy towarzyszyły jej teraz, podczas ostatniej już podróży.

\*

Helikopter leciał nisko, już czwarty raz okrążał ten kawałek wybrzeża.

- Tam! - wrzasnął Richard Sibley. - Tam, przy górze żwiru!

Minęły cztery dni, odkąd wrócił do Winnipeg. Filmował grizzly nad Khutzeymateen, a po powrocie do domu znalazł swoją siostrę nad stosem e-maili i Johna Marshalla, siedzącego w samym środku tego bałaganu, z dużą torbą podróżną u stóp i kubkiem kawy w dłoni.

Eskimoski przewodnik zauważył niedźwiedzicę z łodzi transportowej. Wrócił z Gjoa Haven, żeby poinformować świat o najwyraźniej nieżywej samicy, z raną na szyi. Pływaczka wciąż miała na sobie obrożę z czarnym numerem ekipy znakującej. Wiadomość dotarła do Sibleya w ciągu kilku minut.

- Na brzegu mamy Pływaczkę. Chce pan zrobić ostatnie zdjęcie?

Pewnie, że chciał.

Początkowo planował przybyć do Gjoa Haven latem, żeby sfotografować połowy pstrągów. Kiedy ponownie zaprosił tu Johna Marshalla, powiedział, że będzie na Wyspie Króla Williama prawdopodobnie w sierpniu i że może spróbuje łowienia pstrągów w Zatoce Chesterfielda.

W odpowiedzi John wysłał mu list zawierający datę przybycia i numer lotu.

Sibley nie miał wiele czasu na rozmowę z chłopcem, który zresztą nie wydawał się gadatliwy. Siadywał na uboczu, obejmując kolana rękami. Sibley mógł do woli obserwować tę jego ulubioną pozę, gdy John siedział obok niego w długiej podróży do Gjoa, podczas której kilkakrotnie zmieniali samoloty na coraz mniejsze, aż wreszcie zakołowali nad małą osadą, umiejscowioną na brzegu rozległej zatoki.

Johnowi od razu spodobało się Gjoa. Ludzie mieszkali tam w drewnianych lub prefabrykowanych domach, wyrastających w wapiennych nizinach; podobała mu się regularna zabudowa, nie psująca wyglądu krajobrazu, jak stwierdził z twarzą przyciśniętą do okna samolotu. Przybyli tu poprzedniego dnia, ale nie widzieli ani śladu niedźwiedzia. Nie

mógł go dostrzec również przewodnik.

Tego ranka Sibley obudził się w złym nastroju, zirytowany kosztami drugiego lotu.

- Lepiej, żeby tym razem tam była - powiedział do Johna przy śniadaniu. Wyciągnął z torby stos listów i notatek i przeglądał je teraz pobieżnie. Przy jednym wzniósł brwi. - Znasz kogoś o nazwisku Gina Shorecroft?

- Nie - odparł John.

Sibley podał mu ręcznie napisaną notatkę, przyklejoną do e-maila wysłanego przez siostrę Sibleya.

- To podobno pilne - powiedział John zerknął na kartkę i schował ją do kieszeni.

- Kto to jest Jo Harper? - spytał Sibley. Zacytował e-maila: - *Jo Harper musi z tobą porozmawiać.*

John wstał.

- Już ze mną rozmawiała. - Naciągnął na siebie kurtkę. Widząc zaintrygowane spojrzenie Sibleya, wzruszył ramionami. - Jutro do niej zadzwonię. Teraz jest tam środek nocy.

\*

Helikopter wylądował sto metrów od brzegu. Przewodnik, Mike Hitkolok, wysiadł pierwszy. Odbiegli już od wirników, kiedy Mike ich zatrzymał.

- Idźcie za mną - powiedział. - Zobaczymy, co ona robi. Dobrze?

Pokiwali głowami na znak zgody.

Sibley wręczył część sprzętu Johnowi i obaj ruszyli przed siebie z aparatami fotograficznymi i kamerami wideo. Kiedy dotarli na szczyt najbliższego żwirowego wzniesienia, Mike zszedł pierwszy. Rozglądali się uważnie; nie było widać żadnego niedźwiedzia.

- Czuję się tak, jak gdybym ją znał - mruknął John.

Sibley popatrzył na niego.

- Ścigamy ją od czterech lat - powiedział. - To dopiero bestia! Wiesz, co zamieścili w sieci? Jej eskimoskie imię - Pihoqahiaq, „Wieczny wędrowiec”.

John skinął głową.

- Powinna trzymać się jednego miejsca - zadumał się Sibley. - Przemierzać parę setek kilometrów w tę czy tamtą stronę. Ale ona jest inna. Zupełnie inna.

Pot spływał mu po szyi, bardziej ze zdenerwowania niż z gorąca. Za każdym razem, gdy podchodził blisko niedźwiedzia denerwował się. Nigdy nie przestał się ich bać.

- John - powiedział cicho - jeśli ona żyje, jeśli się poruszy, uciekaj, dobrze? Prosto do

helikoptera. Nie oglądaj się, tylko wiedz.

- Zgoda - odparł John.

- Jakiś czas temu czytałem artykuł w „Wiadomościach Nunatsiaq” - dodał Sibley. - O australijskim wędrowcu na wschodzie rzeki Soper. Niedźwiedzica i dwoje młodych ścigało go przez jedenaście kilometrów! - Sibley roześmiał się, trochę nerwowo. - Pewnie nie były głodne, tylko zaciekawione.

Zobaczyli, że Mike macha na nich ze szczytu następnego wzgórza. Podeszli ostrożnie na odległość jakichś dwudziestu metrów.

- Nie żyje? - zawołał Sibley.

- Nie żyje - nadeszła odpowiedź. - A w każdym razie nie rusza się.

Poszli dalej, aż wreszcie ją zobaczyli - zwiniętą w niemal embrionalnej pozycji. Na jej piersi widniała krew; tylne łapy miała sztywno wyciągnięte. Sibley wyjął statyw i przez jakiś czas go ustawiał.

Kiedy był już gotów, ze zdumieniem ujrzał, że John ruszył przed siebie.

- Hej, synu... - zaczął.

- Hej! - krzyknął Mike niemal w tym samym momencie.

John nie przerywał marszu.

- Co, do cholery?! - mruknął Sibley. Włączył kamerę wideo.

- Wiatr! - krzyknął Mike, mając na myśli „stójcie pod wiatr”. Na wszelki wypadek.

Przez obiektyw Sibley ledwie dostrzegł, co się następnie stało. Ruch był tak nagły, że kamera wysliznęła mu się z ręki, a kiedy automatycznie się po nią schylił - nawet wtedy nie opuścił go zawodowy instynkt - ujrzał, że Mike Hitkolok płynnym ruchem podnosi strzelbę do ramienia.

John nie krzyknął. Nie uciekł. Kiedy niedźwiedzica dźwignęła się na tylne łapy, pozostał na swoim miejscu, jak gdyby wrósł w ziemię.

Wystrzał poniósł się echem. Zwierzę zachwiało się na rozstawionych łapach, mignęło futro poplamione krwią i obnażone zęby. Sibley miał sekundę, żeby pomyśleć: Co za rozmiary, o Jezu, Jezu... zanim niedźwiedzica padła martwa, zaledwie o dwa metry od Johna.

Fotograf rzucił kamerę i pobiegł w dół wzgórza, a kamyki pryskały spod jego butów na wszystkie strony.

Mike nawoływał Johna.

Dotarli do niego.

- Ty pieprzony gówniarzu! - wrzasnął Sibley. - Ty głupi gnoju! Coś ty zrobił? Życie ci niemiłe?! Mówiłem ci, żebyś wiał, mówiłem!

Ale słowa odbijały się od chłopaka jak piłeczki pingpongowe.

John Marshall patrzył ponad swymi towarzyszami, ponad trupem niedźwiedzicy, w kierunku dołu, w którym leżała.

- Ma potomstwo - wyszeptał. - Bronił swojego małego.

## 39

Następnego dnia podjechali po Jo koło południa. Kiedy pojawiła się pod białym sklepieniem drzwi wejściowych szpitala Great Ormond Street, Gina i Mike wyszli z taksówki. Jo potknęła się, ale wpadła w ramiona Giny.

Catherine także wysiadła.

- Nie musisz ze mną jechać - powiedziała. - Zostań lepiej tutaj. Sama dotrę na Heathrow. Wszystko w porządku.

- Nie dotrzesz - odparła Jo.

- Jesteś roztrzęsiona - zauważyła Gina. - Ja pojedę z Catherine.

Jo uniosła rękę, żeby uciąć dalszą dyskusję.

- Gdybym mogła, poleciałabym razem z nią - powiedziała. - A cóż dopiero mówić o podróży na lotnisko...

- Wiemy o tym - odparła Gina.

- Wróć do Sama najszybciej, jak będę mogła - ciągnęła Jo. - Przed podwieczorkiem.

- W porządku - rzekła Gina. - Mam numer twojej komórki. Jedź.

Jo ucałowała ją i uściśnęła Mike'a. Razem z Catherine wsiadła do taksówki. Pomachały przez tylną szybę, a kiedy taksówka zjechała z krawężnika, Jo odwróciła się do dziewczyny.

- Masz wszystko? - zapytała.

- Tak, nie przejmuj się.

- O której odlatuje samolot?

- O wpół do czwartej. Mamy mnóstwo czasu.

- A z Calgary...

- Do Edmonton - podjęła Catherine. - Z Edmonton do Yellowknife.

- O której będziesz w Yellowknife?

- O dwudziestej drugiej czterdzieści cztery.

Jo skinęła głową.

- A następnego dnia polecisz do Gjoa Haven.

- Dotrę tam o wpół do pierwszej po południu - upewniła ją Catherine. - Zadzwońę stamtąd.

- Twój ojciec przyleci następnego dnia? - dociekała Jo.

- Tak - potwierdziła Catherine. - Już jest w Nunavut, ale musi lecieć przez Iqaluit do Yellowknife, żeby złapać samolot do Gjoa. Dotrze tam dwadzieścia cztery godziny po mnie. To długa droga.

Jo złapała ją za rękę.

- Nie mogę uwierzyć, że to prawda! - zawołała. - John tam był, potem zniknął. Kiedy to wszystko się skończy, Catherine?

Catherine objęła ją.

- Wkrótce - odparła. - Znajdziemy go.

- Na litość boską, nawet jeśli pogoda będzie dobra, kiedy tam dotrzesz, nawet jeśli go namierzą, obiecaj mi, że nie pójdziesz go szukać bez swojego ojca i tego Mike'a Hitkoloka. Nie rób niczego nierozważnego.

Catherine uśmiechnęła się.

- Obiecuję - powiedziała.

Dzień wcześniej Richard Sibley zatelefonował do Giny. Najpierw zadzwonił do siostry w Winnipeg, żeby potwierdzić numer telefonu, który widział na e-mailu Johna, który chłopak wepchnął do kieszeni. Poinformował Ginę, że owszem, John przybył z nim do Gjoa Haven, że odnaleźli niedźwiedzicę, że John przeżył atak, a kiedy wrócili do Gjoa, on nadał tę wiadomość. Nie wiedział jednak, gdzie obecnie John się znajduje.

- Słucham...? - odezwała się Gina, obawiając się, że źle usłyszała. Razem z Mike'em przygotowywali się do wyjścia do szpitala.

- Wróciliśmy i on poszedł do swojego pokoju - darł się Sibley. - Kiedy skończyłem pisać ten kawałek dla wiadomości, poszedłem do niego. E-mail z pani numerem leżał na łóżku, ale John zniknął.

- Zniknął? - powtórzyła Gina. - Dokąd tam można pójść, na litość boską?!

- Zabrał łódź transportową - odparł Sibley. - I, pani Shorecroft...

Gina czekała ze ściśniętym gardłem.

- Ktoś z telewizji powiedział mi o Samie. Bardzo mi przykro.

- Nie wiedział pan? - jęknęła Gina, czując ciężar w piersi.

- W e-mailu nie było mowy na ten temat.

- Przecież mówiono o tym w waszej telewizji! - jęknęła.

- Nie oglądaliśmy - odparł Sibley. - Nigdzie w pobliżu nie było aparatu. Kiedy

wróciliśmy, poleciliśmy prosto do Gjoa, nawet nie zjedliśmy obiadu - dodał, a ten kiepski żart wypadł wyjątkowo blado.

- Nie mogę uwierzyć! Najpierw jest, potem znika...

- Nie mam pojęcia, dokąd mógł się wybrać - powiedział Sibley. - Atak niedźwiedzicy to wprawdzie wielkie przeżycie, ale szczerze mówiąc, pani Shorecroft, John nie wydawał się tym poruszony. Chyba w ogóle się nie przejął. Mnie trzeba było stamtąd znieść, muszę się przyznać, ale on...

Gina przycisnęła rękę do ust. Mogła się domyślić, co za chwilę usłyszy.

- Wygląda na to, że on dźwiga jakieś ciężkie brzemie - podsumował Sibley. - Wie pani, o czym mówię. Bardzo ciężkie brzemie.

- Wiem - odparła Gina. - To długa historia, panie Sibley. Bardzo długa i smutna historia.

\*

Taksówka jechała teraz w kierunku Whitehall. Po lewej stronie zaczynał się długi sznur londyńskich parków: St James, Green Park, Hyde Park, Kensington Gardens. Ona i Doug dziesiątki razy spacerowali wzdłuż jeziora Serpentine aż do Round Pond i wracali przez The Mall - zawsze w to samo miejsce, do Franklin Memorial na Waterloo Place, obok Łuku Admiralicji, do brązowej tablicy, która ukazywała Croziera wygłaszającego mowę pogrzebową nad ciałem Franklina.

W taksówce było bardzo duszno. Catherine odkręciła nieco okno i do środka wpadło zakurzone, przesycone wonią benzyny powietrze. Spojrzała na zegarek i wyprostowała się z ręką na klamce drzwi. Dziwne, pomyślała Jo, która jeszcze przed trzema laty nawet nie słyszała o Franklinie. Nie chciała słyszeć o Franklinie ani o nikim jego pokroju. Zmagania załogi *Erebusa* i *Terrora* nic dla niej nie znaczyły. A teraz sama odbywa podróż w nieznane...

Tam, dokąd się udawała, nie było map. Nikt nie mógł pokazać drogi komuś, kto stał w drzwiach izolatki i przechodził przez obce terytorium, trzymając za rękę syna. Ludzie mówili, że jest jakieś wyjście, ale nie mieli pewności. Trzeba było po prostu iść, skoczyć w ciemno. Nie było odwrotu ani objazdu, ani innej drogi. Istniała tylko ta niemożliwa z pozoru droga. Trzeba było rzucić się w nieznane, mdlejąc ze strachu, bo nie dało się zrobić nic innego.

Gdzieś po drugiej stronie świata pewien chłopak odbywa podróż śladami Franklina, gdyż uczepił się myśli, że tam czeka go rozgrzeszenie. Nie zdawał sobie sprawy, co robi. Był równie zagubiony jak Jo. Nie miał pojęcia, jaki będzie rezultat czy konsekwencje jego czynów. Ona i Sam byli zaś jak uwiązani do niego, ciągnął więc ich w ten świat.

W królestwo śmierci.

Boże, nie! - pomyślała, gdy ścisnął się jej żołądek. Nie myśl tak. To już nie będzie królestwo śmierci. To będzie królestwo życia. John, Doug, Sam, Catherine. My wszyscy.

Wszyscy tam zaczniemy żyć.

Jo zamknęła oczy i zobaczyła przed sobą znajome nazwiska zmarłej załogi. Doug opowiedział jej tę historię, kiedy negocjowali umowę na nowy program telewizyjny. Siedzieli wokół kartonowych pudeł, prawie gotowi do przeprowadzki na Lincoln Street, i dyskutowali, jak się zabrać do kilku pierwszych odcinków. Zapamiętała te nazwiska, nazwiska, które po śmierci Douga zepchnęła w kąt podświadomości. Ostatnio znowu wypłynęły. Gdy siedziała, nie mogąc zasnąć, przy łóżku Sama, słyszała je kolejno, jak litanię, rozbrzmiewającą echem w korytarzu.

McClintock, przeszukując w tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym roku wybrzeże Wyspy Króla Williama, znalazł ciało Harry'ego Peglara, obserwatora z bocianiego gniazda na *Terrorze*. Kilka kilometrów na wschód od przylądka Herschel Peglar leżał na małym wzniesieniu, twarzą do dołu. Wciąż miał na sobie żakiet o podwójnym przodzie, uszyty z miękkiej, błękitnej tkaniny ozdobionej jedwabiem, i płaszcz, a także biało-niebieski szal na szyi. Maszerował w swym zwykłym stroju. Dookoła szkieletu rozrzucone były rzeczy osobiste: grzebień, monety, notatnik. Obok leżał wielki kamień. Przewodnik McClintocka uznał, że Peglar usiadł i oparł się o niego. Próbuując wstać, upadł na twarz, może już martwy, może tylko wyczerpany. Tak czy inaczej, już się nie podniósł. Przeleżał tak przez jedenaście lat.

Inny poszukiwacz, porucznik Schwatka, znalazł grób na Point Victory, na północno-zachodnim wybrzeżu Wyspy Króla Williama, po drugiej stronie miejsca, w którym załogi opuściły statki. Ciało zaszyte było w płótno, a obok leżał medal przyznany Johnowi Irvingowi. Ten sam poszukiwacz znalazł kości ludzkie rozrzucone po całym wybrzeżu.

Jo otworzyła oczy i rozejrzała się. Taksówka przyśpieszyła; wyjeżdżali z miasta. Jo wróciła myślą do miejsca, w którym mieli kręcić pierwszy odcinek - do wschodniego wybrzeża Wyspy Króla Williama, jakieś sto kilometrów od statku.

Doug uważał, że załogi rozdzieliły się właśnie w tej okolicy. Uważał, że połowa ludzi została, gdyż byli zbyt chorzy na dalszy marsz. Sądził, że został również jeden z lekarzy, by opiekować się tym szpitalem pod perkalowym dachem. Eskimosi twierdzili, że znaleziono tam wiele ciał - trzydzieści lub czterdzieści. No i łódź, oczywiście. Tak słynną łódź, że część Zatoki Erebusa, gdzie ją znaleziono, nazywano po prostu Miejscem Łodzi.

Załoga poszukiwawcza ze statku parowego *Fox*, dowodzona przez Leopolda McClintocka, znalazła w tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym roku łódź ratunkową na



płozach. Łódź wskazywała dziobem północ, co mogło świadczyć o tym, że kilku pozostałych przy życiu ludzi zapragnęło wrócić na statki. Być może byli to ostatni mieszkańcy szpitala pod namiotami. Doug sądził, że podjęli decyzję o powrocie na statki, gdyż tylko one mogły zapewnić jakieś takie schronienie - pod warunkiem, że statków nie zniszczyły burze - a ponadto pozostały na nich jakieś zapasy. Ludzie uznali zapewne, że lepiej wrócić, niż spędzić zimę na brzegu, pod namiotem. Niewielka grupa zawróciła więc po swoich śladach.

Nie zaszli jednak daleko. Prawdopodobnie dwaj mężczyźni byli umierający, a łódź nieprawdopodobnie ciężka. Rozum i logika musiały opuścić rozbitków. Ciągnęli olbrzymi ciężar, a gdy odnaleziono łódź, okazało się, że wypełniały ją rozmaite śmiecie. Poza dwoma szkieletami znajdowały się tam: buty, ręczniki, mydła, gąbki, grzebienie, pokrowce na broń, szpagat, włosie, piły, pilniki, wosk, kule, śrut, naboje, noże, igły i nici, pochwy na bagnety, dwie rolki ołowiu w arkuszach, jedwabne chustki i książki: *Proboszcz z Wakefield*, *Dziennik osobistej pobożności*, *Chrześcijańskie melodie*, Biblia, modlitewnik Kościoła anglikańskiego. Z tyłu łodzi McClintock odkrył łyżki, widelce, łyżeczki do herbaty, talerze, zegarki, wiosła, konserwy, tytoń, herbatę i czekoladę. Nie było natomiast mięsa, sucharów ani drewna na rozpałkę. Opisuując później swoje odkrycie, zaznaczył, że wszystko, co marynarze wlekli w łodzi, stanowiło zbędny balast, który znacznie nadszarpnął ich siły.

Nie zdołano ustalić, kim byli dwaj mężczyźni w łodzi. McClintock wspomniał, że jeden siedział w kucki na dziobie; był młodym człowiekiem. Kości leżały rozrzucone. Jakieś duże, silne zwierzęta, zapewne wilki, znalazły zdaniem McClintocka ciało i rozszarpały je. Drugi mężczyzna, starszy i roślejszy, siedział wyprostowany, otulony w futra, z dubeltówkami po obu stronach, naładowanymi i odbezpieczonymi, z lufami opartymi o burty łodzi.

Ci dwaj intrygowali Douga. Utrzymywał, że musieli to być ostatni z chorych, których Crozier zostawił, i którzy, przyszedłszy do zdrowia, usiłowali wrócić na statek. Dlaczego jednak, wybierając się w daleką drogę, zabrali łódź pełną książek, lecz żadnych zapasów żywności? Wątpliwości Douga budziły też kości u stóp starszego mężczyzny. Jakie wilki, pytał, rozszarpałyby ciało, a potem starannie ułożyły kości w stosik?

No i Crozier! Tajemnicza postać, którą najwyraźniej ścigał teraz John. Jedyne, co wyłaniało się z morza niewiadomych to zeznania tubylców, zwanych niegdyś Esquimaux. Krążyło mnóstwo opowieści o tym, że Crozier przeżył jeszcze wiele lat wśród tubylców, a w końcu dotarł na zachód, do Zatoki Hudsona. Mówiono nawet, że był już w pobliżu placówki Kompanii Hudson Bay, kiedy zabiło go wrogie plemię. Opowiadano też, że kapitan został wyleczony zimą tysiąc osiemset czterdziestego dziewiątego roku, po czym udało mu się

osiągnąć rzekę Backs Fish albo też zatokę Repulse na wschodzie. Niektóre Eskimoski wiele lat później opowiadały Europejczykom, że miały dzieci nie tylko z Crozierem, ale i z samym Franklinem.

Pewne było jedynie, że latem tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku Crozier znalazł się na najbardziej wysuniętym na południe krańcu Wyspy Króla Williama. Spotkał tam grupę Inuitów, których błagał o focze mięso dla swoich głodujących ludzi. Dostał je, ale Inuici odeszli, gdyż bali się choroby trapiącej Europejczyków. Mówili, że ich twarze były pokryte czarnymi plamami, zęby żółte, a dziąsła krwawiące. Obawiali się, że choroba może być zaraźliwa, a ponadto sami niemal głodowali po przeraźliwie mroźnej zimie i wiosnie, gdy lato zwlekało z nadejściem.

Crozier pozostał na brzegach Cieśniny Simpsona, najprawdopodobniej gdzieś między niewielkimi wyspami Point Tulloch. Pewne było, że ani jego, ani załogi nie widziano po spotkaniu z tubylcami. Statki - te cuda techniki wiktoriańskiej Anglii - zatonięły lub zostały wyrzucone na brzeg przez burze w następnych latach i rozpadły się. Podobnie jak mężczyźni na pokładzie, zniknęły bez śladu.

Jo zadrżała, gdy taksówka wjechała na terminal lotniczy. Catherine złapała podręczny bagaż i przechyliła się, żeby otworzyć drzwi. A jeśli John nie wróci, pomyślała Jo, obserwując profil dziewczyny. Jeśli go nie znajdziesz...? A jeśli nikt go nigdy nie znajdzie?

Wiedziała, że lady Jane Franklin pogrążyła się w żałobie na niemal trzydzieści lat od zaginięcia męża. Pomyślała z rozpaczą, że nie chce, by Catherine dane było przekonać się, jak to jest spędzać życie, nie wiedząc, co się stało z mężczyzną, którego się kocha, tak jak było z lady Franklin.

Tylko nie ona, pomyślała Jo. Tylko nie ta dziewczyna!

\*

Poczuły się zdumione, kiedy wyszły z taksówki. Pierwszą osobą, którą ujrzała Jo, była biegnąca ku niej reporterka. Towarzyszył jej operator kamery.

- „Meridian News” - powiedziała kobieta. - Dowiedziały się panie czegoś nowego o Johnie Marshallu?

- Nie - odparła Jo, mrużąc oczy przed ostrym światłem.

- Ale jest za granicą?

- Tak.

- Jak Sam, panno Harper? - zapytał inny głos.

- W porządku. Bez zmian.

- Rozmawiała pani z matką Johna?

- Tak.

- Jedzie tam pani?

- Nie. Jedzie panna Takkiruq. Zna tamte rejony.

Mikrofony zwróciły się w kierunku Catherine.

- Jeśli tam jest, przywieziemy go - zapowiedziała młoda kobieta.

Jo wyciągnęła rękę ku reporterce.

- Chcę, żeby jedno było jasne: John Marshall nie wie, że go szukamy. - Starła się mówić spokojnie. - Jeśli go znajdziemy i jeśli zdecyduje się wrócić, będzie wspaniale. Będzie cudownie. - Uniosła brodę i spojrzała wprost w kamerę. - Ale jeśli nie dotrzemy do niego na czas albo... jeśli stanie się coś, to nie będzie jego wina. Proszę o tym pamiętać.

\*

Było piętnaście po drugiej, kiedy bagaż Catherine przeszedł przez odprawę. Dziewczyna stała w bramce przy sali odlotów, trzymając w dłoni bilety.

- Uściskaj ode mnie Sama - poprosiła.

- Dobrze.

- Dziś miał lepsze wyniki.

- Tak.

Popatrzyły na siebie.

- Powiedz Johnowi... - wyszeptała Jo. - Powiedz mu...

Catherine skinęła głową.

- Wiem, co mu powiedzieć - odparła. - Wiem. Wszystko w porządku.

Jo zerknęła na ekran komputera nad głowami, gdzie wyświetlił się na zielono numer lotu Catherine. *Kierunek: Calgary. Bramka 79.*

- Szkoda, że nie mogę lecieć z tobą.

- Wszystkiego dopilnuję - zapewniła Catherine.

Ludzie pchali się. Kilka osób zerknęło w ich kierunku.

Zaczęli się trącać łokciami, gdy rozpoznali kobiety.

Jo zarzuciła ramiona na szyję Catherine.

- Proszę, uważaj na siebie.

- Przywiozę Johna - obiecała dziewczyna. - Wkrótce, słyszysz?! Będiesz stała na tym lotnisku, o, tam. Przejdziemy obydwójce przez te bramki. Gwarantuję ci to. - Pocałowała Jo w policzek i odeszła.

Patrząc na nią, Jo poczuła straszliwy ucisk w piersi. Tak bardzo chciała pobiec za Catherine, lecieć z nią, wysiąść z samolotu w Calgary, polecieć do Gjoa Haven. Podążyć za

nią wszędzie, dokąd ona się wybierała.

Jednocześnie chciała być już na Great Ormond Street. Chciała obserwować kolejną transfuzję, popchnąć wzrokiem krew, by szybciej płynęła przez przewody, wpatrywać się w żyłę Sama, małą, niebieskawą żyłę w zgięciu ręki. Patrzyła na nią obsesyjnie. Nie na cewnik Hickmana, którym pompowano lekarstwa, lecz na to maleńkie niebieskie miejsce. Było dla niej oznaką życia. Kiedy widziała drgający puls, wiedziała, że Sam nadal jest z nią.

Prosiła o tak wiele: o życie dziecka i o życie Johna Marshalla. O dwa żywoty w świecie powszechnego zniszczenia, w którym tak wielu innych umierało... Świadomość ta bardzo jej ciążyła. Bramki przy wejściach to rozmywały się w jej oczach, to znów nabierały ostrości. Jo widziała Catherine, jej wysoką sylwetkę, ciemne włosy. Była przerażona, że dziewczyna jedzie sama, bała się, że już jej nie ujrzy.

I wtedy zobaczyła...

Po lewej stronie Catherine szedł Doug. Jo widziała jego profil, szarą torbę przerzuconą przez ramię.

- Doug...

Odwrócił się i spojrzał na Jo. Ujrzała wyraz jego oczu. Wyczytała z nich obietnicę: „Jadę z nią. Będę tam”.

Zamrugła powiekami i Doug zniknął. Catherine odwróciła się i uniosła na pożegnanie rękę. Potem zniknęła w tłumie.

Jo wciąż patrzyła na miejsce, gdzie był Doug.

- Dobry Boże - modliła się, zapominając o załamaniu swej wiary. - Dobry Boże, pomóż nam.

Nagle zalała ją fala ciepła i poczuła przedziwną lekkość, jakiej doświadczyła już kiedyś, dwa lata wcześniej, kilka dni po urodzeniu Sama. Czowała, że Doug jest tak blisko niej, że mogłaby go dotknąć, poczuć jego usta na twarzy.

Gdzieś z oddali usłyszała reporterów, ale ledwie zauważyła troskę w ich głosach. Smuga kolorów przemknęła jej przed oczyma i zlała się w wielobarwną plamę; ziemia usunęła się Jo spod nóg i zapanowała ciemność.

Zatoka Głodu. Wyspa Maconochie. Widział ją już wcześniej w snach, ale te sny były zawsze kolorowe: surowe błękity i oranż, podświetlony lód, niebieskozielony ocean, arktyczne maki, skalnica.

W ciągu ostatnich dwóch dni John zdał sobie sprawę, że wszystkie jego sny były bardzo podobne, nawet te o *Jeanette*, pełne kolorów i odcieni. Fiord Disko pod nogami McClintocka w sierpniu tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego roku, niebieskie dzwonki wśród polnych kwiatów. Rozbłyśki światła wokół słońca. Boże Narodzenie McClintocka na *Foxie* w tysiąc osiemset pięćdziesiątym ósmym roku, przy blasku świec, oświetlających wyszorowany do białości drewniany stół, podczas gdy na zewnątrz padał śnieg i temperatura spadła do osiemdziesięciu stopni poniżej zera.

Jednakże kolory były tylko w snach.

John stanął na najwyższym wzniesieniu, jakie tylko mógł znaleźć. Miało pewnie z dziesięć metrów nad poziom morza. Było południe. Rozejrzał się po księżycowym krajobrazie półwyspu - płaskim i gładkim, z wyjątkiem miejsc, w których widniały niewielkie usypiska kamieni. Wokół lśniła woda. Roztopiony lód utworzył setki kałuży wśród skał.

Popatrzył na wschód. Ziemia idealnie płaska, jak wzrokiem sięgnąć. Nie było żadnego ruchu: żadnych zwierząt, żadnej roślinności. Kiedy się odwrócił, zaprotestowały przeciwko temu wszystkie mięśnie. Przez trzy dni przeszedł pięćdziesiąt kilometrów, ręce i nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Rozstawił namiot, ale spoglądając teraz na niego, widział, że nie najlepiej sobie z tym poradził. Kłapa trzepotała na wietrze. Czuł nieprzepatą chęć, żeby go zwinąć; wolałby się go w ogóle pozbyć. Zastanawiał się, czy nie zakopać go wraz z pozostałymi swoimi rzeczami.

Na wschodzie zatoczka się rozszerzała. Wyspa Maconochie znajdowała się zapewne niecały kilometr stąd. John zmrużył oczy, usiłując zauważyć jakikolwiek kształt w monotonnym krajobrazie. Na mapie przyczepionej do ściany jego mieszkania w Cambridge wyspa miała kształt białego owalu, postrzępionego po zachodniej stronie przez piaskowe i żwirowate wydmy. Tak samo było w rzeczywistości: wypłowały horyzont, z kotłującą się mgłą, biel na szarości, szarość na bieli.

John usiadł na brzegu. Krusząca się skała zazgrzytała niczym tłuczona porcelana. Zacisnął zęby. Zwinął się w kłębek; resztki jego energii ulotniły się. Był obojętny na temperaturę i wszechobecne komary. Pierwszego dnia wędrówki usiłował naciągać kaptur na twarz i nosił rękawiczki, gdyż owady obsiadały go, kiedy tylko się zatrzymywał. Pokryły zawietrzną stronę namiotu, najwyraźniej dobrze sobie radząc we względnie ciepłym siedmiu stopni. Ostatnio John nie próbował powstrzymywać ich ataków i jego twarz pokryta była śladami licznych ukąszeń.

Ból ten nie był już jednak doznaniem rzeczywistym. Tak samo jak pragnienie, jak ból w stawach i mięśniach.

Przewrócił się na brzuch i zamknął oczy. Wsunął ręce pod kamienie, przejechał palcami po ich krawędziach, ostrych miejscami jak ostrze noża. Owiewał go chłodny, słony wiatr.

Schwatka nazwał to miejsce Zatoką Głodu, kiedy w tysiąc osiemset siedemdziesiątym dziewiątym roku przybył tu w poszukiwaniu śladów Franklina. Myślał wtedy, że wpadł na trop. Słuchał opowieści Eskimosów o znalezieniu ciał, zegarków, broni i prochu. Dzieci tubylcze nie znały prochu strzelniczego. Myślały, że to czarny piach. Zabrały go do namiotu i podpaliły. Osmaliły sobie włosy i brwi i przeraziły się nie na żarty.

Niektórzy mówili, że Crozier dotarł aż do wyspy Montreal, tuż u ujścia rzeki, ale John szczerze w to wątpił. To było pięćdziesiąt kilometrów dalej, a jakoś nie mógł sobie wyobrazić kapitana wędrującego jeszcze pięćdziesiąt kilometrów po wybląganiu od tubylców foczego mięsa. Nie... To musiało się zdarzyć tutaj. Tutaj właśnie Crozier umarł.

John przewrócił się na bok i otworzył oczy. Wciąż czekał. Po opuszczeniu łodzi odbył oczyszczający marsz. Czuł wdzięczność za doznany trud, bo zajmował jego myśli. Drugiego dnia padało i woda dostała się do namiotu, obudził się cały mokry, z ubraniem przyklejonym do skóry. Wstał i poszedł przed siebie, świadom, że z trudem oddycha. Widział lód daleko w kanale, lśniły jego kryształki na brzegu kałuż. Jeszcze miesiąc i nastaną mrozy.

Z pewnym wysiłkiem znów usiadł i znów czekał. Myślał, że ujrzy coś, co po kapitanie pozostało. Ale niczego tu nie było. Nagle pomyślał o ojcu. Ujrzał go w tamtym pokoju, pokoju z wielkim oknem, w Cambridge. Leżał w łóżku z nogą w gipsie i mówił o kobiecie z gazety. Po dwóch wizytach Jo Harper nie umiał mówić o niczym innym. Nie interesował go syn. Przypomniał sobie tamten dzień: deszcz wysychający na oknie, wpadające przez nie słońce, pobrużdżona, uśmiechnięta twarz Douga, światło w jego oczach.

John chciał mu opowiedzieć o Catherine, ale nie zdołał znaleźć słów. Jak zwykle, słowa więły mu w gardle. Nie mógł zerwać maski. Tylko Catherine widziała oblicze, które skrywał przed światem, znała jego rozpacz, pragnęła jego miłości. Pogodziła się nawet z jego obsesją, w przeciwieństwie do Amy, która wciąż prosiła, żeby dał sobie z „tym” spokój. Catherine pracowała wraz z nim, szła z nim ręką w rękę, jej oczy wciąż wlepione były w jego twarz. Nie mógł patrzeć w te oczy po śmierci ojca. Nie mógł znieść przebaczenia i zrozumienia, które w nich widział, bo on sam nie mógł sobie przebaczyć. Nie miał poza tym nic do zaoferowania - ani matce, ani Catherine. A jednak ona poszłaby za nim wszędzie.

Przyłożył rękę do twarzy i zastanawiał się, dlaczego jest mokra. Dopiero po chwili zrozumiał, że to łzy.

Dzień przetoczył się w kierunku wieczoru. Ocean w końcu nabrał koloru - głębokiego indygo. Było to tak piękne, że John roześmiał się na widok magicznej sztuczki wody, zmieniającej barwę w coraz słabszym świetle. Kobalt i indygo jak z pudełka z farbami. „Dodaj wody do suchego barwnika. Patrz, jak rozkwita”. Indygo na pędzlu, wsiąkające w papier. Kolory dzieciństwa, nazwy na pudełku. Jak się nazywały? Sjena palona, fiolet, biel tytaniczna. I ten połyskliwy błękit u stóp.

Światło wiecznego dnia przygasło, a potem nagle lunął deszcz, gęściejszy niż chmara komarów, niż ciemność. Zaledwie w kilka minut światło zamieniło się w mrok. Wiatr przybrał na sile i wbił zimne igły w twarz chłopaka. John nie widział już lodu na oceanie. Nie widział porytego dołami terenu. W końcu zupełnie się pogubił.

W pewnej chwili zorientował się, że stoi na czworakach, ale nie mógł sobie przypomnieć, czego szuka, dopóki nie zamknął oczu i nie przywołał w pamięci znanego z widzenia kształtu. Zranił się w dłoń, poszukując tego czegoś. Wydawało mu się, że czuje pod dłonią cylindryczny kształt. Myślał, że to znalazł, ale było to tylko złudzenie. Wciąż opierał się na rękach i kolanach. Czuł, że zimne powietrze oczyszcza mu płuca.

Leżał teraz u wejścia do namiotu, spoglądając na drogę, którą przyszedł. Gdzieś tam w morzu był *Erebus*. Dryfował. Może również *Terror*? Inuici opowiadali, że jeden ze statków rozbił się o brzeg Wyspy Króla Williama, zepchnięty przez lód. Drugi statek znaleźli niemal nietknięty, dalej na południe, i weszli na pokład. Znajdowało się tam ciało mężczyzny i drabina prowadząca na lód, a także ślady dwóch innych mężczyzn. Na początku Inuici byli przestraszeni, ale zebrawszy całą swą odwagę, weszli do środka statku, rozdzierając kadłub. Zabrali cały metal, jaki zdołali udźwignąć, po czym odkryli, że statek tonie. Osłabili jego konstrukcję na linii wodnej.

Zatonął szybko, w przeciągu jednego dnia. Jeszcze przez wiele miesięcy widać jednak było jego fragmenty, potem i one zniknęły pod wodą. Gdzieś na dnie morza, w które wpatrywał się John, tkwił wrak. Gdzieś na dnie leżały dwie lokomotywy parowe. Zostaną tam, jeszcze długo po tym, gdy wszystko inne ulegnie rozkładowi.

Jego ojciec zawsze powtarzał, jakie to byłoby osiągnięcie, gdyby udało się wejść na pokład zatopionego *Erebusa* lub *Terrora*.

John pomyślał o ciszy podczas nurkowania w Turcji, o syku powietrza, o gładkiej powierzchni butli z tlenem, o rytmicznym bębnieniu, takim jak bębnienie, które, jak mu się wydawało, usłyszał teraz nad sobą. Przypominało odgłos silnika łodzi, hałas, który słyszy się, czekając pod wodą na wynurzenie. Słysz się wówczas zarówno to, jak i doskonałą ciszę, zapadającą kiedy człowiek przestaje oddychać. Pomyślał o *Erebusie* - ani żywym, ani

martwym - na dnie Cieśniny Wiktorii.

Podniósł się i spojrzął na ocean, na szaroniebieskie wody i niebo bez gwiazd.

Morze szumiało u jego stóp.

- Tato... - powiedział bezradnie, a słowa te utonęły w ryku wody. Znowu osunął się na kolana pośród rozdrobnionych łupków skalnych. - Tato, pomóż mi. Nie mogę cię odnaleźć.

\*

Warkot łodzi rozległ się późno w nocy. Popłynęli za daleko wzdłuż wybrzeża i deszcz spychał ich teraz na brzeg. To upór jednej osoby aż tu ich zagnał. Łódź zazgrzytała dnem o kamienie. Wysiadło troje ludzi, dwoje natychmiast wyciągnęło canoe; ciężki silnik przechylił kadłub jednostki. Odwrócili twarze od wiatru, zgarbili ramiona. John słyszał te głosy - z pewnością głosy duchów - urywane i tłumione przez wichry. Trzecia sylwetka skierowała się w stronę wzniesienia, a następnie zaczęła biec w jego kierunku. Starał się wyrwać z gorączkowych majaków, żeby dokładnie zobaczyć, jak brnie przez potok ku niemu.

Nie było jej tu w rzeczywistości. Była tylko marzeniem.

Gdy uklękła obok i odrzuciła kaptur z twarzy, zobaczył wodę spływającą po jej włosach. Włosach, tak czarnych w jego dłoni...

- John! - wołała. - John!

Zamknął oczy, wdzięczny, że przyszła do niego w tym śnie.

Objęła go. Uniosła jego głowę.

- Jest zbyt daleko - powiedział. - Zbyt daleko, by wracać.

- Nieważne, jak daleko - odparła. - Pójdziemy tam razem.

## 41

Była szósta po południu. W szpitalu na Great Ormond Street panowała cisza. Minęło pięć dni od wyjazdu Catherine.

Gina zatrzymała się na korytarzu obok okna, w tym samym miejscu, w którym wszystkie trzy stały zaledwie tydzień temu. Zastanowiła ją niespotykana o tej porze cisza. Jeszcze raz zerknęła na zegarek, a potem na korytarz. Nigdy dotąd nie było tu tak cicho - pobrzękiwał sprzęt, dzwoniły telefony, z lekkim szumem wciąż otwierały się ognioodporne drzwi, dobiegały głosy z pokojów, szum windy, monitorów przy łóżkach. A jednak w tej chwili panowała absolutna niemal cisza. Wydawało się, że nie dobiega nawet hałas z ulicy. Odwróciła się. Korytarzem szła pielęgniarka.

- Czy coś wysiadło? - zapytała Gina.



- Słucham...?

- Czy coś wysiadło? - powtórzyła. - Czy zepsuła się klimatyzacja albo coś innego?

Pielęgniarka zatrzymała się.

- Nie wydaje mi się. Wszystko jest normalnie. - Spojrzała ze zdumieniem.

Nagle Gina nabrała straszliwej pewności, że wie, co oznacza ta cisza. Minęła zdziwioną pielęgniarkę i wpadła w drzwi pokoju Sama.

Sam leżał w łóżku za parawanem; obok niego siedziała Jo w wielkim zielonym fotelu. Spała, z głową przechyloną na bok. Trzymała misia. Wózek z kolacją stał z boku, zawartość talerzy była niemal nietknięta.

Jo ustawiła fotel równolegle do łóżka, więc zasłaniał Sama przed stojącymi w drzwiach. Gina poczuła, że przeszywa ją straszliwy lęk, odniosła wrażenie, że świat się zatrzymał. Wrażenie to przypominało chwile podczas wypadku, kiedy w zwolnionym tempie człowiek uświadamia sobie wszystko, co się stało, i najdrobniejsze nawet szczegóły stają się nienaturalnie wyraźne.

Gina zauważyła obrączkę, którą Jo nosiła na serdecznym palcu, wąskie platynowe kółko z delikatnym motywem winorośli, niewątpliwie starannie dobrane. Na nadgarstku przyjaciółka miała plastikową szpitalną bransoletę. Jo napisała na niej swoje imię i nazwisko, żeby Sam widział, że nie tylko on nosi coś takiego. Litery zdawały się poruszać. Gina natężyła słuch, żeby usłyszeć, czy dziecko oddycha. Nie usłyszała jednak niczego.

Nagle ruch w kącie pokoju przyciągnął jej uwagę. Odbiornik telewizyjny był włączony, ale miał ściszony głos. Gina weszła do pokoju, zainteresowana tym, co widzi na ekranie. Zmarszczyła brwi. Znajome logo BBC z wieczornych wiadomości zastąpiła twarz spikera i powiększony obraz w lewym rogu. To był helikopter, krążący nad szarym, monotonnym krajobrazem i grupa ludzi. Gina zrobiła krok do przodu.

W tej chwili obudziła się Jo. Spojrzała na przyjaciółkę.

- Co się stało? - spytała.

Jej oczy rozszerzyły się, gdy ujrzała wyraz twarzy Giny. Utkwiła wzrok w podłodze, zbyt przerażona, by spojrzeć na łóżko. Potem zerknęła na Sama i opadła na fotel.

Leżał nieruchomo, z rękami wyciągniętymi po bokach. Nie spał, wpatrywał się w telewizor. Podążając za jego spojrzeniem, obie kobiety zwróciły wzrok na ekran.

- Mój Boże... - wyszeptała Jo.

To było ujęcie z lecącego samolotu. W dole widoczny był cień lecącej dwusilnikowej „Wydry”. Pierwsze ujęcie ukazywało niebieską plamę na szarym tle. To był namiot, wciśnięty między kałuże. Następny obraz przedstawiał łódź transportową, wciągniętą na brzeg, oraz

łódź z silnikiem Johnsona na rufie, spoczywającą na pochyłości terenu pokrytego wapiennymi odłamkami.

Teraz ukazała się mapa: Gjoa Haven zaznaczona jako czerwona plamka na północy, Zatoka Pelly'ego na wschodzie, zatoka Cambridge na zachodzie, pomiędzy nimi długie pasmo Wyspy Króla Williama, w kształcie przewróconego na bok serca. Znowu namiot, tym razem bliżej, samolot leciał widać nisko. Następnie twarze. Catherine, oblężona na pasie startowym, z ojcem u boku. Brązowa twarz i przenikliwe oczy Josepha Takkirua. Catherine odsuwając ręką włosy z oczu, uśmiechnięta i unosząca drugą rękę, jakby chcąc powstrzymać pytania.

Jo rzuciła się, by pogłodzić telewizor.

- ...odnaleziony żywy, po pięciu dniach poszukiwań w najsurowszej okolicy, i po światowej kampanii trwającej ponad dwa miesiące - mówił spiker.

Tłum się rozdzielił. Teraz widoczne stały się nosze.

- O, Boże! - krzyknęła Gina.

Z telewizora wciąż dobiegał głos. Nie słyszały nawet połowy. W tej samej chwili rozdzwoniły się oba telefony na biurku w pokoju pielęgniarek.

- ...podwójny ratunek, gdyż tego samego dnia mały niedźwiadek polarny został przewieziony do Manitoby.

Na ekranie znowu pojawiła się Catherine.

Zasypano ją pytaniami.

- Panno Takkirua! Jak się miewa John?

- W porządku - odparła, usiłując precyzyjnie się przez tłum. - Jest wyczerpany, ale w dobrym stanie.

- Może nam pani pokazać, co znalazł?

- Mogę - odparła.

Widziały, jak Catherine szuka czegoś w kieszeni swojej parki. Wyjęła wreszcie mały miedziany walec, zielony od śnieży.

Jo krzyknęła ze zdumieniem. Zrobiła krok do przodu i położyła dłoń na ekranie.

- To leżało pod jego ręką - mówiła Catherine.

Hałas zrobił się nie do zniesienia.

- Czy to oryginalne?

- Panno Takkirua...

Catherine zacisnęła na chwilę puszkę w dłoni i zamknęła oczy. Następnie uśmiechnęła się szeroko i spojrzała na znaleziony przedmiot.

- Francis Crozier - mruknęła. - Kapitan *Terrora*, statku Jej Królewskiej Mości, jedenasty sierpnia tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku.

Gina i Jo rzuciły się sobie w ramiona.

Widziały, jak na ekranie Catherine zakrywa uszy rękami w proteście przeciwko potwornemu hałasowi wokół.

Jo pochyliła się nad Samem i ucałowała go.

Catherine złapała najbliższy mikrofon.

- Mogę coś powiedzieć? - spytała. - Mogę powiedzieć tylko kilka słów? Mam wiadomość dla Jo Harper w Londynie.

W pokoju szpitalnym zapadła cisza tak głęboka, jaką Gina słyszała przed chwilą na korytarzu.

Widziały, jak Catherine wyciąga przed siebie walec.

- Słuchaj, Jo - powiedziała cicho, patrząc wprost w kamerę. - Cuda się zdarzają. Powiedz Samowi, że jego brat przyjeżdża.

## Epilog

Samochód terenowy, specjalnie przystosowany do pokonywania tundry, stał w Zatoce Churchilla, w prowincji Manitoba. Miał ponad trzy metry wysokości, ale niedźwiedź, rozciągnięty na całą swą długość, sięgał do okna. Dorośli znajdujący się w samochodzie cofnęli się odruchowo, widząc wielki łeb. Dziecko jednak ani drgnęło.

Ze wszystkich zgromadzonych w pojeździe, może to matka chłopca powinna być najbardziej przestraszona i odciągnąć Sama od okna. Ale Jo Harper stała z tyłu razem z Billem Elliottem i przyglądała się temu niecodziennemu spotkaniu.

Krok do przodu zrobił John Marshall. Usiadł obok swojego przyrodniego brata i wziął go na kolana. Obok siedziała Catherine.

- Jak go nazwiemy, Sam? - spytał, obejmując czterolatka.

- Pływak - odparł Sam.

- Myślisz, że on potrafi pływać? - zapytała z uśmiechem Catherine.

- Przez wiele kilometrów - odparł Sam.

- Jak jego matka - dodał John.

Niedźwiedź odwrócił się i czterema łapami opadł na pokrytą śniegiem ziemię. Wydawało się, że przez chwilę się waha, lecz odszedł w kierunku północnego zachodu, nie obejrawszy się ani razu. To był pierwszy wielki niedźwiedź polarny wypuszczony na wolność.

John wstał z Samem na rękach. Podążali spojrzeniem za Pływakiem, aż znikł im z oczu. Wtedy John odwrócił się do Jo i objął ją uściskiem. Stali tak przez chwilę z Samem przytulonym do obojga.

- Myślisz, że przeżyje? - szepnęła Jo.

- Tak - odparł z przekonaniem John. - Tu dzieją się rzeczy na pozór niemożliwe.

Sam podbiegł z powrotem do okna, ściągnął rękawiczki i przyłożył dłoń do zimnej szyby. Kiedy ją odjął, na szybie pozostał idealny ślad. John również zdjął rękawicę i przyłożył rękę do śladu dłoni chłopca. Jo także przyłożyła dłoń. Po chwili trzy nakładające się na siebie odbicia rąk zdobiły szybę.

Za nimi rozciągał się szlak polarnego niedźwiedzia.

\*

Wiosną tysiąc osiemset pięćdziesiątego roku niedaleko Jeziora Christie ślady stóp wciąż były widoczne. Nie należały jednak do Eskimosów, Indian z plemienia Chipewyan czy

Cree.

Kimkolwiek był biały człowiek, który szedł tamtędy zimą, dokonał tego, gdy śnieg był świeży i miękki. Potem śnieg zastygł i nadeszły zimowe wichury, więc w kwietniu po wędrownicy tej pozostały jedynie wyraźnie zachowane ślady.

Odbita stopa była dłuższa niż stopy Eskimosów, a szlak biegł po lodzie z zatoki na północny zachód. Nie było odcisków pięt i ślady wskazywały na to, że wędrowiec stawiał stopy na zewnątrz, czego nie robili tubylcy. Eskimosi z południa, którzy odkryli ślady, przeszli aż do zatoczki Lyons, w nadziei, że odnajdą tego człowieka.

Niektórzy twierdzą, że samotny piechur szedł do Ignearing, na północny wschód od Igloodik. Inni utrzymują, że poszedł na wschód, do Fort Hope, do budynków wzniesionych przez Johna Rae, który przybył tam trzy lata wcześniej, szukając rozbitków ze statku Franklina.

Według niektórych pogłosek podróżny przeszedł wybrzeże i ożenił się z Inuitką, po czym dotarł do Fort Churchill, siedemset pięćdziesiąt kilometrów na południe.

Wędrownica z tego najbardziej wysuniętego na północ punktu zatoki Hudson do fortu była możliwa. Znajdował się tam cały łańcuch obozów Inuitów. Na wyspie Depot, w Fort Fullerton i w Nuvuk, na południe od zatoki Wager prowadziła placówki handlowe Kompania Zatoki Hudsona, dokąd co roku zawijały statki z zapasami. Wysuwano przypuszczenia, że wędrowiec wrócił stamtąd tą samą drogą, którą przypłynął w tysiąc osiemset czterdziestym piątym roku; przemierzył ocean, by dotrzeć do swoich ludzi.

Niektórzy twierdzili, że biały człowiek dotarł do Fort Hope i długo stał na ruinach domu Rae'ego, wraz z kobietą Maliaraq, spoglądając na wody zatoki, zanim się odwrócił i znowu poszedł na zachód, bo żaden człowiek w jego kraju nigdy by mu nie uwierzył.

Albo, co gorsza, ludzie w jego kraju uwierzyliby aż nazbyt chętnie w to, co zrobił, ale by tego nie zrozumieli. I nie darowaliby mu nigdy. Nie mógł dźwigać świadomości, że jest jedynym członkiem tak licznej załogi wracającym do domu.

Słychać także głosy sceptyków, którzy twierdzą, że to tylko domysły, twory fantazji ludzkiej, bo nie było żadnych śladów wiosną tysiąc osiemset pięćdziesiątego roku. Eskimoskie rodziny znad rzeki Great Fish, którą biali nazywają Backs Fish, nigdy bowiem nie wróciły, żeby zabrać ze sobą ocalałego chłopca.

Według tych opinii żaden biały chłopiec nie wyrósł wśród tubylców na mężczyznę ani nie mieszkał z nimi, ani nie doszedł do Fort Hope, skąd miał rzekomo wrócić.

\*

Niektóre historie są prawdziwe, inne nie.

O niektórych podróżach się marzy, ale nigdy się ich nie odbywa.

Niektórzy zaś, tacy jak Sam Marshall i Augustus Peterman, długo krocą po ciemnych, ścieżkach, których nie widział żaden inny człowiek.

Kroczą po to, by w końcu dotrzeć do światła i ocaleć.

## Wyjaśnienia i podziękowania

...boję się jedynie, że przez spóźnienie... wpadniemy na lód... James, żałuję, że cię tu nie ma, nie miałbym wtedy wątpliwości, że obraliśmy właściwy kurs...

Książka zaczęła się od Francisa Croziera.

Wiedziałam o wyprawie Franklina z tysiąc osiemset czterdziestego piątego roku, kiedy czytałam list w Instytucie Badań Polarnych im. Scotta w Cambridge. Crozier wysłał go z wysp Whalefish dziewiętnastego lipca tysiąc osiemset czterdziestego piątego roku do Jamesa Clarka Rossa. Spłowiwały rękopis tego jedynego listu, pełnego zarówno obaw jak i przejawów dobrego humoru, uderzył mnie swoją niezwykłą siłą. Crozier wiele razy podróżował z Rossem i w tekście widać jego przywiązanie do wielkiego dowódcy.

Im więcej czytałam o tej fatalnej wyprawie, tym więcej podziwu żywiłam dla wytrwałości i odwagi załogi H.M.S. *Erebus* i *Terror*. Mam nadzieję, że oddałam tym ludziom sprawiedliwość. Wszyscy marynarze ze statków zginęli; jednak ich zalety - zdumiewająca lojalność i wzajemne przywiązanie - nie umarły. Mężczyźni ci wzruszają nas dziś, jako ci, którzy usiłowali znaleźć drogę w ciemnościach.

Nie ma już znaczenia, czy Franklin odnalazł Przejście Północno-Zachodnie, choć jego istnienie potwierdzili ci, którzy szukali Franklina wiele lat później. Pozostawił po sobie o wiele większą spuściznę i przykład, tak jak cała jego załoga.

Ci, którzy dobrze znają historię Franklina, wiedzą, gdzie kończą się fakty, a zaczyna fikcja. Starałam trzymać się faktów, gdy tylko było to możliwe, ale wszystkie przytoczone tu rozmowy osnute są jedynie na przypuszczeniach. Nigdy nie znaleziono żadnych dzienników pokładowych; odkryto tylko jedną miedzianą puszkę. To, że Crozier oświadczył się siostrzenicy Franklina, jest prawdą; to, że oplakiwał jej odmowę, to jedynie przypuszczenie.

Kolejne przypuszczenie to spotkanie z Eskimosami na przylądku, chociaż ostatnie rozmowy w Zatoce Głodu są bardzo prawdopodobne. Eskimosi rzeczywiście podarowali białym mięso w tamtym miejscu i czasie.

Ślady po śmiertelnym marszu są dobrze udokumentowane. Informacje dotyczące wędrówki można znaleźć w książce Richarda Cyriaxa, *Sir John Franklin's Last Arctic Expedition* (Methuen 1939, wznowiona w limitowanym nakładzie przez Arctic Press w 1997 roku).

Należy podkreślić, że, choć znaleziono wiele śladów po ostatnim marszu, nikt nie zna kolejności zgonów. Wiemy, że Fitzjames napisał ponurą wiadomość dwudziestego piątego

kwietnia tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku, nie wiemy jednak, czy był już wtedy chory, czy też nie. Nie wiemy, czy Goodsir i Stanley zostali, by doglądać chorych w namiotach. Nie wiemy nawet, czy Crozier był jednym z ostatnich ocalałych, choć niektóre doniesienia Inuitów zdają się to sugerować.

Na *Terrorze* nie było nikogo nazwiskiem Augustus Peterman. W ogóle nie znaleźli się tam młodzieńcy poniżej siedemnastego roku życia. Chłopcy w wieku Gusa regularnie jednak pływali na innych jednostkach, zwłaszcza na statkach wielorybnych. Chciałam przedstawić tragedię widzianą oczami dziecka i mam nadzieję, że to drobne naciągnięcie faktów zostanie mi wybaczone.

Z tego, co wiem, statki zostały zaprojektowane, zbudowane i obciążone dokładnie tak, jak to opisałam. Prawdopodobnie zawsze będą istniały kontrowersje co do tego, ilu członków załogi otruło się konserwami Goldnera, a wiktoriańska Anglia była przerażona pogłoskami o wypadkach kanibalizmu. Swoją opinię na temat obu tych spraw zaprezentowałam w książce.

Chociaż data śmierci Franklina jest dokładna, przyczyna zgonu pozostaje nieznana. Mogła być to śmierć naturalna, ale mogła też nastąpić w wyniku zatrucia jadem kiełbasianym, jak napisałam. Wiadomo jedynie na pewno, że śmierć przyszła nagle.

Sekcje zwłok na wyspie Beechey naprawdę się odbyły. Jestem zobowiązana Johnowi Geigerowi i Owenowi Beattiemu za zdumiewającą książkę, *Frozen in Time*. Najbardziej poruszył mnie los Johna Torringtona, a jego szczupłe dłonie o długich palcach, przedstawione we wspomnianej książce, to obraz, który nigdy mnie nie opuści.

Podobnie jestem zobowiązana Johnowi Macdonaldowi i Johnowi Harringtonowi za pozwolenie na powoływanie się na ich internetowe opracowanie *Franklin Trail*, jak i ich operatorowi sieci, Karisowi Burkowskiemu. Obaj Johnowie, Macdonald i Harrington, zasypywani byli przeze mnie e-mailami, na które odpowiadali z wielką cierpliwością.

Wdzięczna jestem także Danowi Moore'owi za informacje o Gjoa Haven, i R. K. Headlandowi archiwście w Instytucie Badań Polarnych im. Scotta. W dużym stopniu skorzystałam także z informacji o Franklinie zawartych w książce Scotta Cookmana *Iceblink* (John Wiley, 2000), którą przeczytałam z zainteresowaniem.

Książka Davida C. Woodmana, *Strangers among Us* (McGill-Queens University Press 1995), prezentuje fascynującą teorię, według której poszczególni członkowie załogi mogli przeżyć, powrócić na opuszczone statki na kolejną zimę lub udać się na wschód, w kierunku Zatoki Hudsona. Wiele wypowiedzi Inuitów wskazuje, że istnieje taka możliwość, ale niestety, nie ma dowodów na poparcie tej tezy.

Wyszukałam wiele informacji o niedźwiedziach polarnych z książki Iana Stirlinga i



Dana Guravicha, *Polar Bears* (University of Michigan Press 1998), *Journeys with the Ice Bear* Kennana Warda (North Word Press 1996) i *Arctic Dreams* Barry'ego Lopeza (Harvill Press, 1999). Zbyt dobrze wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że praktycznie niemożliwe jest wypuszczenie osieroconego potomstwa z powrotem na wolność. Ale zawsze pozostaje nadzieja. Zwłaszcza w książkach.

Co do współczesnej historii, otrzymałam niewiarygodną wprost pomoc w kwestii niedokrwistości aplastycznej.

Przede wszystkim chciałabym podziękować Paulowi Veysowi, transplantologowi ze szpitala na Great Ormond Street, który opowiadał mi o możliwości przeszczepu szpiku.

Po drugie, bardzo pragnę podziękować dwóm rodzinom, które miały doświadczenie z tą chorobą: Stuartowi i Karen Heatonom, a także ich niezwykłym córkom: Emmie i Beth, oraz Shaunowi i Sheili Burrowesom i ich synom: Elliottowi i Nathanielowi. Obie rodziny były uprzejme spotkać się ze mną i opowiedzieć o szczegółach choroby. Obie okazały się niezwykle życzliwe w tak niesprzyjających okolicznościach.

Ich odwaga skojarzyła mi się z załogą Franklina - taka sama solidarność i nadludzka determinacja do przezwyciężenia koszmaru. Jeśli naprawdę wzruszyła was historia Sama, pamiętajcie, że istnieją prawdziwe rodziny, które właśnie teraz potrzebują szpiku kostnego.

Linda Hartnell z Fundacji Przeszczepu Szpiku Kostnego im. Anthony'ego Nolana w Londynie poświęciła mi wiele godzin swojego cennego czasu, wyjaśniając zawilości zgodności tkankowej, za co bardzo dziękuję.

Dziękuję również Bryony Dettmar z Grupy Wsparcia Chorych na Niedokrwistość Aplastyczną za skontaktowanie mnie z Heatonami i Burrowesami. A także Denise Curtis, która opowiedziała mi o swoich dzieciach, Davidzie i Hannah.

Ci, którzy doświadczyli spustoszeń, jakie czyni niedokrwistość aplastyczna, zdają sobie sprawę, że choroba i leczenie Sama postępowały szybciej niż zazwyczaj, a zainteresowanie Billa Elliotta jego matką sprawiło, że ujawnił więcej, niż powinien. Proszę tych, którzy wiedzą o tym więcej niż ja, aby wybaczyli mi skrócony czas choroby.

Jeśli występują jakieś błędy w faktach, które mają zilustrować te tematy, spowodowane są przeze mnie, a nie przez źródła cytowane powyżej.

Chciałabym bardzo podziękować także tym, którzy wspierali mnie podczas pisania tej książki:

Mojej agentce Sarze Fisher, przyjaciółce i podróżnicze na niezwyklej górskiej kolejce, którą okazał się rok 2000.

Barbarze Rozycki, za ufność pokładaną we mnie. Ursuli Mackenzie i mojemu

wydawcy, Francesce Liversidge, oraz całemu zespołowi w Transworld. Carole Baron i Brianowi Tartowi i pracownikom Dutton z Nowego Jorku.

A także wielu osobom, które zaangażowały się w międzynarodowe wydanie książki, za zaufanie i miłe słowa.

Julii Goddard, która upewniała się, że nie utonę.

Stu i Dale Blunsomom, Astrid Gessert, Anne Corbin za pomoc w wyobrazeniu sobie przyszłości. Thursday Group za ich bezinteresowny entuzjizm i wsparcie. Stuartowi Heatonowi, mojemu współpracownikowi, za pomoc, gdy było ciężko.

Kenowi McGregorowi, który niezmiennie wierzył, że nadejdzie odpowiedni moment.

I, co najważniejsze, mojej córce Kate.